

ADRIANNA FILIMONOWICZ

# TANIEC GÓR ŻYWYCH

Adrianna Filimonowicz

**TANIEC  
GÓR  
ŻYWYCH**





# Spis treści

Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Epilog

# ROZDZIAŁ 1

Mężczyzna przesadził dwoma susami górski grzbiet i rzucił się w skos stromego, najeżonego skałami zbocza, z którym niewprawny piechur nie ważyłby się próbować. Jana Wardę znały jednak wszystkie okoliczne szczyty. Przedzierał się tędy wielokrotnie – w pogodzie i niepogodzie, czasem nawet nocą, gdy uchodził ze wsi albo zasadzał się przed świtem gdzieś po drugiej stronie tatrzańskej grani. Tym razem jednak zbrakło mu szczęścia. Potknięcie i upadek. Nim zorientował się, co zaszło, lawka zlodowaciałego śniegu, na której wylądował, ruszyła w dół, porywając za sobą kamienną lawinę. Jan począł szarpać się z wciśniętą za pas ciupagą. Jeden ze zdobycznych pistoletów – pięknie intarsjowanych kapiszonowców – wypadł mu i potoczył się zbczem. Nie było jednak czasu myśleć nad stratą. Mężczyzna gwałtownym targnięciem obrócił się na brzuch. Zdołał zahaczyć ostrzem ciupagi o skalny występ i zahamować. Śnieg i kamienie pognały niżej, a on leżał, tuląc twarz do ziemi i łapiąc gwałtownie oddech. Nagle huknęło. Nabity pistolet, tłukący się wśród kamieni, wypalił, a po nim ozwał się drugi, donośniejszy strzał, mierzony w stronę Jana. Na grani stał zdyszany, węgierski żandarm z karabinem w rękę. Przeładowywał, niemalże nie spuszczać celu z oka.

– Uparty – syknął Warda, dźwigając się ostrożnie na nogi.

Zerknął tęsknie w stronę łagodnego siodła Pysznińskiej Przełęczy. Obrął niebezpieczną drogę w nadziei, że zniechęci żandarmów do pościgu, ale się przeliczył. Teraz zaś nie miał już wyboru. W zdradliwym, stromym terenie nie było miejsca na kolejny błąd. Jeden Pon Bucek wybaczyć postanowił, nie należało liczyć na więcej. Wołos – pan umarłych i strażnik magii – nieustannie łypał z potężnego masywu Wołoszyna, a jego podziemne krainy czekały na lekkomyślnych wędrowców. Żandarm wypalił po raz kolejny – ponownie niecelnie. Krzyknął ze złością i ostrożnie ruszył w dół. Jan nie czekał, aż skróci dystans. Wypatrzył wśród skał znajomą ścieżkę i znów ryzykując poślizgnięcie, pognał ku niej. Dogoniły go niskie głosy – to drugi zbrojny odwoływał kompana meandrującego w trudnym terenie. Rozsądek zwyciężył wreszcie nad zapalczywością i pościg ustał.

Drogę, którą Jan sobie upatrzył, przecinały potoczki. Jedne ledwie ciurkały, szukając sobie dróg wśród skał, inne, wzmocnione topniejącymi na grani śniegami, spadały siklawami ze stromych ścian, śmiało dążąc ku korytom strumieni. Przez dwa przeprowił się ostrożnie, trzeci przesadził jednym skokiem.

– Nie harcuj tak – zaszemrał mu za plecami nieludzki, lecz słodki głos.

Brzegina siedziała na chłostanym kaskadą głazie. Woda tańczyła na jej długich, przypominających sitowie włosach i głąskała półnagie plecy. Straciła ramiączko lnianej sukienki, przesytej gałązkami brzoź i łodyżkami nierozkwitłych jeszcze kwiatów. Wzdłuż odkrytej nogi – gładkiej niczym oszlifowany kamień – ciągnęły się dwie złote żyły miedzi i tuż nad kolaniem wślizgiwały się na wewnętrzną stronę uda.

– Leleja! Myślałem, że niżej cię znajdę.

– Słyszałam wystrzały. – Spojrzała na niego czujnie. – Ranny?

– Tylko potłuczony. Ześlizgnąłem się kawałek. Nic groźnego. – Chciał przysiąść, ale wstała gwałtownie, obryzgując go wodą.

– Gonia cię? – Poczęła się rozglądać.

Spojrzenie lśniących oczu barwy krokusów bacznie lustrowało ściany i przełęcz.

– Cofnęli się. Nie bój, Leleja, nie bój.

Westchnęła.

– Chodźmy w dolinę.

Jan skinął głową i ruszył wzdłuż kaskady, podpierając się ciupagą. Brzegina szła u jego boku, przeskakując lekko z kamienia na kamień. Mogła puścić się z nurtem i w jednej chwili znaleźć się wśród hał czy regli, ale jak wiele razy wcześniej cierpliwie towarzyszyła mężczyźnie. Jej niepokój rozwiewał się z każdym krokiem, zastępowany pogodą budzącej się do życia przyrody Tatr.

Pora była jeszcze przed wiosennym redykiem, hałę więc spowijała cisza, a w zacienionych miejscach i na podmywanych zimną wodą kamieniach wciąż gnieździł się śnieg. Usiedli nad brzegiem strumienia, w miejscu, gdzie korzenie przewróconego drzewa wydarły w ziemi sporą jamę. W jej głębi Jan chował zapasowe ubrania, narzędzia i jedzenie, na wypadek przydługiej wizyty żandarmów we wsi. Wyciągnął teraz wysłużoną cucheę, okrył się nią szczelnie i rozparł się na kamieniach. Leleja przysunęła się bliżej. Smukłe palce przemknęły po zarośniętym policzku mężczyzny. Jan nie był już

młody i sam coraz częściej to zauważał. Twarz miał jak wyciosaną ze skały – pooraną wiatrem i mrozem – o wyrazistym profilu i przenikliwym spojrzeniu. Niegdyś wysoki i barczysty, po przekroczeniu czwartego krzyżyka nagle wysmukłał. Niezmiennie pięknej Lelei to jednak nie przeszkadzało. Wtuliła się w niego mocno, dłoń wplatając w brązowe, za długie nieco jak na góralskie zwyczaje, włosy mężczyzny. Jej chłodny oddech przyjemnie pieścił szyję. Jan westchnął ciężko i odsunął brzeginę.

– Nie mam dziś czasu. Muszę do wsi.

– Bo? – Ciemne źrenice fioletowych oczu zwęziły się drapieźnie.

– Wiesz, że nie będzie jeszcze miesiąca, jak Agnieszkę pochowali. Muszę dopatrzeć siostrzenic i siostrzeńca.

– Siostrzenicy. Reszta już przecież własnych rodzin się dorobiła – poprawiła ze śmiechem Leleja, ale widząc smutek w jego ciemnych oczach, przycichła.

– Rację masz – odparł, wstając. – Ale ta jedna to może być i tak dość kłopotu. Muszę ją przygotować na redyk i mieć pewność, że potem, jak sezon na zbójowanie się zacznie, nie będzie mnie potrzebowała.

Brzegina zapatrzyła się w dal. Zdawało się, że jej wzrok z łatwością przenika strzeliste turnie i ciężkie masywy, oddzielające ich od małego wąwozu pooranego licznymi jaskiniami. Miejsca, w którym ludzie z Cierpkówki i Wichrzyków zwykli chować swoich zmarłych. Pokiwała powoli głową.

Choć słońce chyliło się ku zachodowi, na utwardzonej kamieniami wiejskiej drodze oraz w obejściach było rojno. Ziemia nie obeschła jeszcze po śniegach, ale ludzie garnęli się już do pracy. Zapachy budzącego się życia, szczególnie intensywne o zmroku i ze świtaniem, rozganiały zimowy marazm. Chwytano łapczywie świeże powietrze, strząsano zapach palenisk, wystawiano twarze na najdrobniejsze nawet promienie słońca. Janowi, który wprawdzie nie uczestniczył w tym mrówczym poruszeniu, udzielił się wesoły nastrój. Wiosna dla niego oznaczała początek zbójowania, długie noce pod rozgwieżdżonym niebem – samotne lub z Leleją w ramionach – szaleńcze biegi po graniach i cierpliwe czatowanie w jaskiniach czy lasach. Słowem wolność, której nie miał, siedząc kątem u siostry lub gościnnych gazdów.

Dymny Wąwóz, skryty między południową ścianą Raptawickiej Grani a niedostępnym wałem Dymnego Muru, od wieków przyciągał ludzi swoim



półmrokiem. Pierw był miejscem obozowania band rozbójniczych, skrytostrzelców, zbiegłych więźniów, dezertarów i wszelkiej maści pomylnych włóczędów. Z czasem stał się osadą dla ludzi robiących z nimi interesy, aż wreszcie obrósł w kurne chaty otoczone skromnymi gospodarstwami, z uporem walczące o miejsce z napierającą zewsząd przyrodą. Do wąwozu wdzierały się i sięgające do połowy Cierpkowej Doliny lasy reglowe, i bujna zieloność rozpościerających się dalej hał. W cieniu monumentalnych ścian, z których przy każdej ulewie spadały z hukiem kaskady, pleniły się mchy i paprocie, chętnie obrastając podwórza, a nawet ściany chałup. Nad granią Dymnego Muru kłębiły się mgły lub chmury dymu przywiewane z karczmi i kuźni nieodległej Doliny Kościeliskiej, w której Jan szczególnie lubił zasadzać się na handlarzy i właścicieli okolicznych ziem. Choć w porównaniu z Chochołowem czy Kościeliskiem biedne i nieprzyjazne do życia Cierpkówka i Wichrzyki miały swoją legendę. I wśród górali, i wśród przybywających tu niechętnie i z rzadka żandarmów.

Jan minął przysadzisty budynek karczmy u Raptusa, z której dobiegały śpiewy i zawodzenie gęślików. Ktoś dręczył smyczkiem struny, inny pogwizdywał, paru śpiewało. Przed wejściem, na zwalonym pniu obłupanym z gałęzi, siedziało dwóch poważnych gazdów. Pykali fajeczki w milczeniu, choć twarze mieli skupione, jakby spojrzeniami prowadzili poważną dysputę.

– Scyńście bogi – pozdrowił ich Jan.

– Dajcie bogi – odparł stary Józef Poręba, niespiesznie odwracając wzrok od towarzysza. – Cóż na graniach, Hajduk?

Miał największe stado we wsi, a jego ród mało komu ustępował reputacją. Nieczęsto więc zagadywał do Wardy, którego trzymały się kłopoty, a pieniądze już nieszczególnie. Ale widać i poważanym gazdom wiosna zamąciła nieco w głowach. Jan zatrzymał się, wypadało.

– Rojno, jak na wczesną porę. Od żandarmów, zwłaszcza za granią. Może u Węgrów jacy ważni przyjezdni? Nie wiem.

– No widać, żeś uciekał. Jeszcze cię pewno pamiętają – kontynuował Poręba. Zaciągnął się fajeczką. – Wy to we krwi macie. Wardy wszystkie.

Jan wyprostował się nieco. Skinął głową, ale nie było w tym pokory. Ze swojej krwi był dumny i nie zamierzał udawać, że jest inaczej. Ale gazda nie

szukał zwady. Zaśmiał się gardłowo i klepnął po portkach, pięknie wyszytych kolorową nicią.

– Ale dzieci twojej siostrze dobrze wyrosły. Antek dziś już na wyręby pojechał. Ugodziliśmy się, że dom mojemu wnukowi postawić pomoże. Ze dwóch parobków jeszcze wezmą, to się do połowy lata może uwiną.

– Miał sam się budować tego roku – zdziwił się Jan. – Znaczy, chałupę po Agnieszce powiększać.

– Ano! Ale mówił, że twoja siostrzenica kazała tej waszej Niemirze pójść z domu. Luźniej się zrobiło, to jeszcze ten rok przepędzi kątem u siostry. A zarobi, odłoży i na przyszłą wiosnę może nie będzie tej waszej chatyny rozbudowywał, a swoją postawi.

– Dobrze – mruknął Jan wbrew swoim myślom. – A wiecie Józefie, dokąd Niemira poszła? Do kogoś na komorne?

– Rozpytywała. – Gazda wzruszył ramionami i znów pyknął z fajeczki. – Ale gdzie ją przygarnęli, to nie wiem.

– Robotna, gdzieś wezmą – dodał uspokajająco drugi gospodarz.

Jan pożegnał się pospiesznie, rozproszony wieściami. Chałupa, która pozostała po Agnieszce, choć rozbudowana w ostatnich latach, była za ciasna dla całej rodziny. Póki jednak siostra Jana żyła, nikogo z domu popędzić nie pozwalała. Gnieździli się więc razem – ona sama, jej córka z mężem, syn z żoną i Niemira. Zbójnik zachodził do nich jedynie, gdy musiał i przy świętach, choć zawsze witany był z otwartymi ramionami. Teraz jednak Agnieszka zmarła i Kachna najwyraźniej postanowiła zaprowadzić swoje porządki. Mężczyzna zawrócił na pięcie i wszedł do gospody. Jeśli gdziekolwiek wiadano, dokąd poszła Niemira, to właśnie tam.

– Powiedźcie, gdzie postawić?

Jadźka Kowalowa obróciła się i na moment zmartwiała. W jej oczach zabłysł nabożny lęk, a usta szybko złożyły się do bezgłośnej modlitwy. Niemira poczuła, jak coś wewnątrz niej kurczy się niczym lis w jamie, ścigany przez psy. Pon Bucka się nie lękała, ale wiedziała, że starczy jedno spojrzenie, by drapieżna samotność w jej sercu wystawiła pazury. Stała nieruchomo, czekając, aż gaździna się otrząśnie, wciąż z workiem ziarna przewieszonym przez plecy i dwoma wiadrami pełnymi wody w dłoniach. Nie pochylała się nawet. W istocie ledwo czuła ciężar. Drażniło ją tylko, że

nie może odgarnąć z twarzy czarnych włosów, które wymknęły się z warkoczy i łaskotały w nos. Taką dostrzegł ją Jan.

Była drobna przy rosliej Kowalowej – ledwo sięgała kobiecie do ramienia. Zdawało się, że nawet jeśli Podhalański Gazda obdarzył ją niezwykłą siłą, powinna złamać się pod ciężarem jak młoda brzoźka. Lecz to nie boskie moce ją wyróżniły.

Jan wszedł na podwórze, pozdrowił gospodynię.

– Jedno wiadro wnieś do czarnej izby. A to zostaw tu. Ziarno do szopy. Jutro zanieziesz do młyna – rzuciła pospiesznie Jadźka. – Hajduk, wy do męża pewnie? On w karczmie.

– Wiem. Spotkałem go. Z siostrzenicą przyszedłem pogadać.

Kowalowa odetchnęła z ulgą. Ulotniła się do chałupy.

Weszli do kuźni. Jan przysiadł na zydlu, Niemira w milczeniu zaczęła rozpalać w palenisku. Płomienie zatańczyły wesoło. Czerwone światło rozlało się po izbie, wyłowiło rozwieszane na hakach i zalegające ławę obcęgi, szczypce i młotki, ale nie zdołało zetrzeć śmiertelnej bladości z twarzy dziewczyny. Jasna, lniana koszula bez haftów i takąż sama spódnica dokładały się do obrazu. Agnieszka – zmarła siostra Jana – kochała przybraną córkę i swoją niebagatelną siłą charakteru zmusiła wieś, by ją zaakceptowała. Nie dało się jednak ukryć, że na Niemirę patrzono jak na odmienicę. Czasem z wdzięcznością, czasem z niechęcią, ale wiecznie z poczuciem dystansu.

– Cóż się stało, że Kachna cię pognała?

– Zośka Antkowa dziecko będzie miała – odparła sucho dziewczyna.

Podeszła do stołu i poczęła porządkować narzędzia. Oglądała je w skupieniu, obracała po kilka razy w dłoniach. Staszek Halka przyjął ją ledwie dwa dni temu, ale chwalił, że uczyła się prędko. Jan wiedział, że kowal dobrze sobie to umyślił. Miejsca w obejściu mu nie brakło – przy kuźni szło bez trudu wyporządzić komorę – i brał solidną cenę za swoją pracę. Za kąt i garść stawy dostał zaś parobka, o jakiego nie było łatwo ani w Cierpkówce, ani w Wichrzykach.

– Kachna miała prawo. To teraz jej dom. Wiesz, prawda?

– Prawda... – odrzekła głucho Niemira.

I nagle kowalskie kleszcze wypadły jej z rąk i uderzyły głucho o klepisko.

– Ale to był jedyny dom, jaki miałam i jaki będę miała – wykrztusiła. – Wiesz, prawda?

## ROZDZIAŁ 2

Powrót Staszka Halki – zwanego po prostu Kowalem – oszczędził Janowi niełatwych odpowiedzi. Choć część narzucała się sama. Starczyło posłuchać rozmowy Niemiry z gospodarzem, by poznać, jak obca była wszędzie poza chałupą Wardów.

– Będziecie tu chcieli później piecucha?

– Co mówisz?

– Czy będziecie chcieli, żeby piecuch doglądał paleniska. Nie trzeba będzie samemu pilnować, czy nie gaśnie. Tylko inne ofiary niż bożętom trzeba rzucać, bo ziarno to mu się od czupryny zapali.

Jan odszedł szybko. Nie spodziewał się, by Kowal, którego żona twardą ręką rządziła domem i każdej niedzieli, pogoda czy niepogoda, chodziła do kościoła w Zakopanem, zgodził się na porządki Niemiry. Choć niewątpliwie by na nich zyskał. Warda szanował Podhalańskiego Gazdę – Pana Boga, jak go zwał ksiądz jegomość – lecz raczej za jego obojętność godną wielkiego pana niż za zaangażowanie w chłopskie sprawy. Może w Zakopanem czy Kościelisku rzeczywiście znać było jego rękę, ale tu...? W Cierpkówce i Wichrzykach lepiej było żyć dobrze ze starymi duchami, demonami i bóstwami. Ten, kto umiał, choćby był najgorszym łachudrą i obibokiem, mógł liczyć na przychylność mieszkańców. Agnieszka umiała. A Jan chyba jeszcze bardziej. I to zresztą sprowadziło go pod chałupę Gajdów tamtego wieczora, gdy pierwszy raz zobaczył Niemirę.

To się zdarzyło osiemnaście lat temu. Gajdowie już wtedy byli najważniejszym rodem w Cierpkówce. Stary Gajda – mądry gazda – wiedział swoje. Gdy jego wnuczka rodziła dziecko, poszedł i do księdza, i po Hajduka. Ksiądz obiecał się modlić, rodzinie pokutę przykazał i przypominał o higienie. Długo też mówił o obowiązkach i o tym, by nie prosić pogańskich diabłów w ten czas do chaty. I stary Gajda prosić nie zamierzał. Wiedział jednak, że demony, zwłaszcza złe, same się wproszą, a jeśli dobre mają zastać drzwi zamknięte, to trzeba je udobruchać.

Jan siedział więc na progu chałupy, w której pierwsze okrzyki wydawał Filip Gajda, i pykał fajeczkę, czekając. Najbardziej martwiło go, że dzieciak

nie dostał imienia zastępczego, tylko od razu takie jak do chrztu. Sam przez pięć pierwszych lat wołany był Nielub i nie wątpił, że to uratowało mu życie. Nie miał jednak wpływu na decyzję Gajdów ani chęci nikomu nic wymawiać – jego ojciec za wiele życia bezowocnie na tym strwonił. Jan chciał zrobić swoje i iść na hale. Było po Wielkanocy, pogoda już piękna, a na szlakach handlowych ruch.

Nagle spowił go chłód, a do nozdrzy wdarł się trupi odór. Nie wając się ruszyć od progu, Warda patrzył, jak rosnące pod płotem paprocie więdną, a goryczki gubią kwiaty i podwijają listki. Zmilkły rozśpiewane przed snem ptaki i grające u stóp zbójnika świerszcze.

„Aż tak źle?” – pomyślał, rozcierając gęsią skórkę na przedramionach.

Sięgnął do torebki z poświęconymi pod figurą Wołosa ziołami, wyjął uplecioną z arcydziegła bransoletkę i obwiązał ją wokół nadgarstka. Chwycił nóż z wrytym tuż poniżej rękojeści symbolem głowy byka.

Niewysoka, chuda postać wychynęła bezszelestnie zza rogu. Szła boso, drobiąc kroczyki, obojętna na wszystko dookoła. Biała, haftowana sukienka płatała jej się między nogami i ciągnęła się po kamieniach. Gdy minęła dom, Jan wstał zdezorientowany. Choć wcześniej tylko raz widział taką istotę, wiedział, że nie mógł się pomylić. To była cicha – przywdziewający kształt dziewczynki demon, przynoszący dzieciom śmierć. Niosła żelazną różgę, której dotyk odbierał życie. W czarne włosy wpleciony miała wianek zwiędłych kwiatów, a twarz jej była blada, o czarnych usteczkach i ruchliwych, ciemnych oczach. Wszystko przed nią truchlało, nawet wiatr puszczał gałęzie krzewów i cichł. Wyglądała tak jak przed laty, gdy ujrzał ją w Chochołowie, znaczącą swój szlak trupami. Lecz nic poza tym nie było jak wtedy...

Uśmiechała się. Różgę wcisnęła pod pachę, a w ramionach niosła żywe dziecko. Pochylała ku niemu oblicze, palcem szturchała nosek i wydęty brzusek. Stroiła do spowitej w sukienkę dziewczynki miny, poruszała bezdźwięcznie ustami i pewnie zmierzała przed siebie, ku miejscu, gdzie ściany obu Murów, Raptawickiego i Dymnego, schodziły się, zamykając wąwóz.

Z nieodległego domu Spaleników dobiegł straszliwy lament. Jakiś mężczyzna krzyczał wniebogłosy, wtórował mu skrzekliwy głos staruszki. Cicha uniosła głowę i nagle spojrzała wprost na Jana. Choć twarz miała dziecięcą, z ciemnych oczu biła powaga i dojrzałość. Zbójnik zacisnął

mocniej dłoń na nożu. Od zagrody Spaleników dobiegały kolejne krzyki. Ktoś wołał, by śłać po księdza, ktoś inny po Hajduka albo starą Urszulę Gajdową, zwaną Matuszą. Cicha, mrużąc oczy, położyła palec na ustach. Jan ani myślał czynić inaczej. Jeden dotyk różgi starczył, by odebrać życie i dorosłemu mężczyźnie.

– Dziecko nie twoje. Zostaw i odejdz – wyszeptał.

Pokręciła głową. Pogłaskała końcami palców dziewczynkę, która wciskała sobie w skupieniu pukiel jej włosów do ust. Zza chałupy odezwały się kroki.

– Idź! – syknął Jan, wykonując gwałtowny gest.

Obrócił się ku nadchodzącemu. Biegł parobek Matuszy.

– Cicha przez dom Spaleników przeszła – wydyszał, przesadzając płot. – Anuśka i Jadźka martwe.

Jan spojrział za siebie – po demonie pozostał tylko szlak obumarłych roślin. Ptaki darły się w dwójnasób, odreagowując strach.

– Wiem – rzucił, choć w tej chwili czuł, że wie jeszcze mniej. – Powiedz Matuszy, że trzeba na dom Gajdów spojrzeć. Tu spokój był, nawet cicha przeszła mimo.

– A ty gdzie?

– Iść muszę.

Wspiął się na grań Dymnego Muru szlakiem, którym z wąwozu uciekali zbójnicy, gdy we wsiach zjawiali się żandarmi. Znajoma droga i dotyk skał pod palcami dawały odrobinę pewności, której tak mu brakowało. Nie pojmował, co się stało. Cicha zabiła starszą siostrę i matkę. Najmłodszą córkę zaś zabrała żywą.

– A może mi się zdało? Może to było truchło? – przekonywał się, ale uparcie szedł dalej.

Wiedział, że nie zdało mu się. Wzrok miał doskonały.

– No nic. Trzeba iść – rzucił do siebie.

Opuszczając Niemirę, Jan nie zamierzał odwiedzać domu Wardów. Nie miał ochoty rozmawiać z Kachną, a należałoby. Pogrążony we wspomnieniach zawędrował jednak przed chałupę. Stanął i próbował wypatrzyć ścieżkę, którą wtedy obrał, ale monumentalna ściana Dymnego Muru tonęła od połowy wysokości w mgłach. Kryła przed wzrokiem swoje przewieszki, żlebiki i poszarpane linie szlaków, z którymi czasem się mierzył. Zbójnik uśmiechnął się z przekąsem. Tamta noc przed osiemnastoma laty wiele zmieniła w nim samym, choć wówczas tego nie

spozrzegli. Poszedł za cichą, bo tak mu się wydało naturalnie. Nie myślał, że to słuszne ani że taki jego obowiązek. Ot, poszedł, bo nogi poniosły... Po latach zrozumiał, że zrobił tak, jak zrobiłby jego ojciec – choćby i u schyłku życia, wiecznie pijany i chory. I tak samo zrobiłby dziad, który nieustannie napominał potomków, by nie lekceważyli krwi wołchwów, która płynęła w ich żyłach. Jan nie lekceważył, ale i nie przykładał do niej wielkiej wagi. Nauk dziadka i ojca słuchał chętnie, bo ułatwiały życie. Cieszył się z przychylności wdzięcznych bożąt i korzystał z zaklęć oddalających choroby czy przywołujących zwierzynę. Okoliczni zbójnicy wiedzieli, że Hajduka z Cierpkówki dobrze mieć przy sobie – zawsze pozna, gdy wzięte na cel zwierzę należy do stada leszego, czy w porę wyczuje, gdy w chmurach czai się wietrzyca. Poza tym jednak niewiele z owej krwi, w ocenie Jana, przychodziło. Dziad przepadł jednej zimy w lawinie, wcześniej odsiedziawszy swoje w Spilberku. Ojciec roztrwoniał kierdel owiec, zapił się, a dzieci, szczęściem już wyrosnięte, zostawił z niczym w chylącej się chałupinie. Ludzie traktowali Wardów z dystansem, przeczuwając, że los im nie sprzyja. Może dlatego Jan i samego siebie z podobnym dystansem traktował. Nie widział się wypasającego owce ani pracującego za parę groszy w Kuźnicach czy w młynie rud. Zbójował i z tym mu było dobrze. Od przeklętych sił, złudnych rusalek czy nieprzewidywalnych leszych trzymał się z daleka jak każdy rozsądny góral. Aż przyszło mu tropić cichą.

W lesie, na halach i w kosówkach nietrudno było ją śledzić. Gdzie postawiła krok, marły rośliny i pierzchała zwierzyna. Jan nadgonił ją, gdy niespiesznie szła Doliną Starej Roboty ku wynoszącym się w niebo masywom, upstrzonym zielenią i czerwienią traw. Powłóczyła nogami w sięgającym kostek błocie rozmokłego od wiosennych deszczów szlaku. Dziecko na jej rękach chwilami kwiliło, a ona zatrzymywała się i z wielką uwagą głaskała je po głowie i twarzy. Jan, to skryty wśród krzaków, to za jakimś głazem, ze zdumieniem patrzył, ile uwagi w to wkładała. Było w tym coś z matczynej troski, jaką Agnieszka otaczała swoje dzieci, gdy były jeszcze małe.

Zawędrowali tak pod ciemne zbocze Starorobociańskiego Wierchu. Stożkowaty, harmonijny szczyt od zawsze pobudzał wyobraźnię. Wszyscy górale wiedzieli, że w jego trzewiach kryły się zarówno wielkie skarby, jak i groźne demony ich strzegące. Cicha z początku meandrowała stromym, szerokim stokiem. W połowie wysokości skręciła jednak ku mniejszemu

masywowi, przytulonemu do królującej nad okolicą góry. Żywy Wierch, choć z pozoru skromny i łagodny, rzadko przyciągał wędrowców. W jego zboczach czas i mrozy wydrążyły setki jaskiń, których kominy otwierały się z zaskoczenia pod nogami. Wiatr wygrywał w nich upiorne melodie i straszył niehumanicznymi wrzaskami. Góralscy, którzy przed laty pracowali w kopalniach na zboczu Starorobociańskiego, zawsze stawiali od strony Żywego Wierchu krzyż – do ochrony przed złymi mocami. I niejedni opowiadali o dziwnych, niespokojnych nocach, gdy ten nagle się łamał, a wycia dochodzące z jaskiń wpędzały ludzi w obłąd.

Jan, pamiętny tych historii, nie postawił nogi na Żywym Wierchu. Obrął szlak wiodący ku pobliskiej przełęczy – wygodną ścieżkę, wijącą się zboczem Ornaku, z której przy świetle pełni mógł swobodnie obserwować cichą. W srebrnej poświacie jej sukienka promieniała blaskiem, a ciemne włosy opalizowały kolorami, których góral nawet sobie nie wyobrażał. Zatrzymała się na szczycie. Ułożyła wygodnie dziecko w ramionach, uwalniając jedną rękę. Chwyliła w dłoń różgę i wzniosła ją, jakby chciała uderzyć w skałę. Zamarła. Żywy Wierch drgnął w posadach, straszliwe dudnienie rozeszło się echem po dolinie i zza grzbietu góry wyłoniła się olbrzymia, demoniczna sylwetka. Jan przypadł do ziemi, nie potrafił jednak oderwać wzroku. Stwór był wysoki jak pięciu ludzi, w połowie przypominał wielkiego capa kozicy, w połowie zaś człowieka o umięśnionym torsie i ramionach. Twarz miał wąską, wykrzywioną w strasliwym grymasie, częściowo ludzką, częściową porośniętą sierścią. Oczy – jedno o poziomej, koziej źrenicy, drugie o pionowej jak u kota – jarzyły się białym ogniem. Trzy pary kozich haków wieńczyły głowę, z której opadały długie, czarne włosy.

– Witysza! – zagrzemiał. – Ludzkie dziecko ludziom przynależy. Nie powrócisz z nim do moich jaskiń.

Cicha przycisnęła mocniej maleństwo do piersi. Kiwała się z nogi na nogę jak zakłopotana dziewczynka.

– Porzuć je lub odejdz.

Demon skrzyżował ramiona na piersi i uderzył olbrzymimi kopytami o ziemię. Odłamki skały wystrzeliły na wszystkie strony. Witysza uniosła odrobinę głowę. Najdziwniejszy głos, jaki przyszło Janowi słyszeć, rozniósł się w powietrzu. Samym swoim brzmieniem zdradzał, że istota, która go używa, nie jest stworzona do mówienia.



– Matoha, strażniku, to zaszczyt u wrót cię ujrzyć. – Dygnęła i choć był w tym szacunek, to także jakaś dziecięca niefrasobliwość. – Ona moja. Moja córka.

– Nie, Witysza. Ona jest żywa. Należy do świata ludzi. Odejdź teraz. Popełniłaś błąd, zabierając ją, ale jeśli wrócisz sama, wybaczę ci.

– Nie rozumiesz. Naszykowano mi ją. Ona już moja z woli ludzi. Szczęśliwa będzie ze mną. Moja... – powtarzała cicha, stawiając maleńkie kroki, jakby chciała niepostrzeżenie minąć demona.

Odłamki skał znów wystrzeliły spod koźlego kopyta. Tym razem opadły kaleczącym deszczem na Wityszę. Ta zakwiliła boleśnie i rzuciła się w bok. Matoha zastąpił jej drogę, uniósł złożone pięści do ciosu. W beznadziejnym odruchu zamachnęła się różgą. Skry strzeliły w miejscu, gdzie żelazo zetknęło się z olbrzymim kopytem demona, lecz magia niosąca dzieciom śmierć to było za mało. Olbrzymie pięści spadły na Wityszę. Jan zerwał się na nogi. Zapadła cisza, przerwana dopiero dziecięcym płaczem. Matoha pochylił się nad sponiewieraną demonicą. Przez chwilę zdawało się, że chce dokończyć dzieła, ale on wziął cichą wraz z dziewczynką w dłonie i ruszył w dół. W kilku susach znalazł się w dolinie. Tam złożył je na skraju strumienia.

– Brzeginy, zbudźcie się! – Jego głos pognał z falami. – Dojrzyjcie dziecka ludzi i Wityszy, póki nie dojdzie do zmysłów. Potem powtórzcie jej, że wrócić może, jeśli uczyni, com kazał.

Jan z daleka dostrzegł ledwie zarys sylwetki, która wyłoniła się z wody, a jednak pewien był, iż ujrzał najpiękniejszą istotę w życiu. Tkwił nieruchomo, póki demon nie zapadł się na powrót w swoich jaskiniach, a potem długo jeszcze walczył ze strachem, który trzymał go w miejscu. Ruszył, dopiero gdy ujrzał, że cicha wstała i odeszła od strumienia. Nie próbowała znów stanąć przeciw Matosze.

Odnalazł ją nad ranem, gdy już ciemna godzina śmierci odeszła, a wiosenne słońce zaczęło kreślić różowe wzory na obłokach. Siedziała w lesie, między zdobionymi rosą głazami. Plecy oparła o jeden z nich, podkuliła nogi i zgięła się w łuk nad złożonym na podolku dzieckiem. Drżała, targana bezdźwięcznym szlochem.

Jan zważył nóż w rękę, ostrożnie szacując swoje szanse. Wyczerpana walką cicha uciekła między święte głazy Wołosa, gdzie mimo upływu wieków wciąż wisiała miła jej aura śmierci. To była zarówno dobra, jak i zła

okoliczność. Magiczne kręgi wciąż kryły w sobie ułamki potęgi, o której opowiadał kiedyś dziad Hajduka. Czasem przychylniej ludziom, czasem gotowej ich pochłonać.

Jeśli jednak kiedyś ryzykować sięgnięcie po nią, to w blasku jutrzenki właśnie. Góral roztarł w palcach zmieszany z pszczelim woskiem mech, namaścił nim usta i pocałował nóż. Wspiął się na głaz naprzeciw Wityszy i wtedy go usłyszała. Zerwała się na nogi i rzuciła się do ucieczki.

– Śmierć nie opuści kręgu śmierci! – krzyknął, krzesząc nożem skrę o głaz.  
– W mocy Wołosa jesteś!

Cicha stanęła w pół kroku i wyprężyła się niczym smagnięta batem. Jan wziął głęboki wdech i starannie cedząc sylaby starej modlitwy, skreślił na skale znak pana podziemnego świata. Podchodził do kolejnych głazów i powtarzał rytuał, aż wrócił do punktu wyjścia. Symbole szerniały, powietrze wypełnił zapach siarki. Witysza przytuliła mocno dziecko i wpatrzyła się trwożliwie w mężczyznę. Powoli wycofała się w sam środek kręgu. Z jej twarzy biła rozpacz i błaganie. Jan ruszył ku niej, trzymając w wyciągniętym ręku nóż.

– Dziecko musi wrócić do ludzi. Rzekłem ci to już we wsi – powiedział tak pewnie, jak tylko był w stanie, choć strach próbował przejąć władzę nad jego głosem. – Oddaj ją. Ona nie twoja. Nie tylko ja ci to mówię.

Dwie wielkie łzy spłynęły po twarzy cichej. Nie walczyła ani nawet nie próbowała grozić. Rozejrzała się bezradnie wokoło, a potem ostrożnie położyła dziecko. Mała bez wątpienia żyła – jej brzusek unosił się i opadał w rytm oddechu – lecz skórę miała posiniałą, a w ciemnych oczach błyskały odbicia czegoś nie z tego świata. Wcisnęła dziecięcym obyczajem palce do ust i bez śladu lęku patrzyła na Hajduka. Podniósł ją. Była ciężka, jakby w jej żyłach płynął ołów.

– Dobrze zrobiłaś, Witysza – oświadczył, obracając się na pięcie.

Gdy mijał głazy, coś jakby szarpnęło go za ręce. Omal nie wypuścił małej. Powietrze zazgrzytało, zewsząd podniosły się skrzekliwe echa i wreszcie głos, którego być nie powinno, dogonił Jana.

– Zrób coś dla mnie... coś ode mnie. Dla niej. Ona taka śliczna. Taka kochana. Nie moja, ale kochana. Błagam, zrób, co poproszę!

Obrócił się powoli, choć instynkt krzyczał, by uciekać.

– Co takiego?

– Imię...

–

– Imię?

– Dajcie jej pierw Maria. A gdy podrośnie, gdy silna będzie, na zapleciny niech dostanie Niemira. Proszę, bardzo cię proszę.

Dziwaczne odwrócenie tradycji brzmiało jak igranie z losem. Starym obyczajem należało najpierw dać dziecku umniejszające, zastępcze imię, by zmylić złe duchy, póki małeństwo było słabe. Później, gdy podrosło, zaczynało się je wołać tym właściwym – czy to sławiącym zalety, czy wziętym od patrona. Niemira mogło być imieniem zastępczym. Ale z takim po świecie chodzić? I to odrzuciwszy tak potężną patronkę, jak sama Gaździna Podhala? Ale im dłużej Jan patrzył na zrozpaczoną Wityszę, tym bardziej był pewny, że nie radzi niczego, co by dziecku miało zrobić krzywdę. Skinął powoli głową.

– Będzie Niemira – oświadczył, a potem w odruchu, którego sam nie rozumiał, cofnął się i zatarł jeden ze znaków Wołosa. – Pierzchaj teraz na Żywy Wierch.

Wracał do wsi z zamiarem oddania ocalałej córeczki Spalenikom. Dopiero na skraju regli, gdzie natrafił przypadkiem na Harcyka, zrozumiał, że tak się nie da. Młody wówczas juhas, zbójujący czasem z Hajdukiem i wielce go poważający, zbladł na widok Marysi i zastąpił drogę przyjacielowi. Próbował go przekonywać, a potem zmusić, by naznaczone śmiercią dziecko zabić. Gdy Jan odmówił, chwycił nawet za ciupagę, ale zaraz cofnął się na widok wymierzonego w swą pierś pistoletu. Hajduk wspominał to jako zrozumiałą kłótnię. Żalu nie miał, a nawet wdzięczny był losowi, że podobna rzecz nie wydarzyła się we wsi. Postawił na swoim. Wiedział, że w Cierpkówce są i tacy, co rozumieją. I co wezmą dziecko pod opiekę.

Agnieszka żyła wówczas z dziećmi w sypiącej się chałupinie, sama siłując się z losem, odkąd choroba zabrała jej męża. Przyjęła jednak Marysię i po pięciu latach nazwała ją Niemirą. Ona i Matusza jako jedyne we wsi wiedziały, skąd się wzięła dziewczynka. I obie ostatniej zimy zabrały tajemnicę do grobu.

Wojciech Spalenik czasem patrzył podejrzliwie na dorastającą w chacie Wardów sierotę. Przeczynał, że patrzy na własną córkę, i Jan delikatnie to potwierdzał. Lecz niczego nie tłumaczył nikomu poza nią samą.

– Ona już nie była twoja, kiedy tu wróciła – rzucił kiedyś, gdy Spalenik po raz kolejny wpatrywał się jak zahipnotyzowany w idącą przez wieś Niemirę.

– Ona w ogóle nie jest nasza – burknął podpity juhas, siedzący na ławie obok.

I jego zdanie można było włożyć w usta niemal każdemu we wsi. Janowi było wszystko jedno, co gadali. Sam przez lata stawał się coraz mniej „swój”. Ludzie wiedzieli, że jego kobietą jest rusałka ze strumienia, że po lesie prowadzają go niekiedy sami borowi. Tamtej nocy upadła jakaś bariera dzieląca go od dawnego świata. Wkroczył w niego, patrząc na duchy wciąż z respektem, ale i z otwartym sercem. Miał dla nich coś więcej ponad rytuały i obyczaje – uczucia od tych złych, po najpiękniejsze.

Niemirze nie było wszystko jedno. Przywykła do obojętności chłopców na Wielką Polewackę, nauczyła się pogardą odpowiadać na nieżyczliwe spojrzenia i trzymać się z dala, gdy przez wsie szły procesje. Zawsze jednak miała swoje miejsce na ziemi. Nie była zależna od tych, którzy mieli ją za odmieńca. Teraz straciła grunt pod nogami. Patrzyła za odchodzącym Janem i lis w jej sercu kulił się coraz mocniej. Za plecami miała ciemne wnętrza kuźni i wyporządkowaną dla siebie komorę ze skromnym krzyżem zawieszonym nad siennikiem. Dom Kowalów był przeraźliwie spokojny. Duchy powynosiły się z niego lub ukryły głęboko z obawy przed niegościnną gaździną. Na ich towarzystwo nie mogła więc liczyć. Pozostałych bliskich miała w lasach i nad strumieniami, lecz los komornicy wiązał ją teraz obowiązkami. Tych nie zaniedbywała nigdy – czy to wobec ludzi, czy demonów.

– Byle do redyku – wymamrotała przez zaciśnięte zęby i weszła w głąb izby.

Rozrzuciła garść ziarna po kątach i zawołała cicho na bożęta.

## ROZDZIAŁ 3

W noc przed dniem świętego Wojciecha Niemira nie spała. Rozłożyła suszone zioła na stole w kuźni, dobierała najwłaściwsze, ucierała i mieszała ze świerkową żywicą i igłami zeszłorocznej połaźniczki. Co jakiś czas wychodziła cicho przed chałupę, wpatrywała się w niebo i wracała z rysunkiem gwiazd pod powiekami i melodią wiatru w uszach. Pod ich dyktando kontynuowała pracę. Poprzedniego ranka odwiedził ją Hajduk i długo rozmawiali o redyku. O tym, przed czym trzeba będzie tego lata chronić owce i kto będzie bacą z Wichrzyków. W Cierpkówce tę rolę od lat pełnił Antoni Gajda Matuszowy. On szykował się tej nocy pod okiem zbójnika i najstarszych gazdów. Niemiry zadaniem było zaś przygotować kadzidła i ofiary dla duchów. Bo choć każdy gospodarz na swój sposób chronił owce, bezpieczeństwo całego kierdła było sprawą na tyle ważną, że do łask wracali wsiowi dziwacy i odmienicy.

Dziewczyna ponownie wyszła przed chatę, odganiając zaciekawione bożatko, które plątało jej się pod nogami. Znała duszka jeszcze z chaty Agnieszki. Kachna przeżywała go Przylepą, bo choć na niewiele się zdawał, trudno było go od siebie odpędzić. Nieustannie potrzebował uwagi. Starczyło wyjść z domu na pół dnia, by witał się wytęskniony jak małe dziecko za matką. On pierwszy zaczął zaglądać do Niemiry, gdy przeprowadziła się do Kowalów. Czasem przyprowadzały go domowe duchy z innych chałup i zostawały na dłużej, skuszone ofiarami. Niemira bała się, że uparta Jadźka im uchybi i będzie z tego więcej kłopotu niż pożytku, niemniej, nie czuła się już tak samotna. Gorycz pierwszych dni po przeprowadzce, zagłuszana pracą, zmieniała się w upór w dążeniu do oswojenia nowego miejsca.

Nagle Przylepa pisnął, wystraszony, i uczepił się spódnicy dziewczyny. Wskazał ku oknu czarnej izby, w której spali gospodarze z rodziną.

– Klimek, syn Kowala – mruknęła uspokajająco Niemira. – Podpatruje od wieczora, co robie.

Miała rację, choć niepełną. Klimek, zwany Kowalikiem, nie pierwszy raz obserwował pomocnicę ojca. Wpierw była dla niego jak uderzenie w twarz.

Potwierdzenie kpin i obelg, którymi obrzucano go we wsi. Słabeusz, cherlawy, ciamajda... Siedemnaście lat! W tym wieku jego brat już pracował przy mieleniu rud w Dolinie Pyszniańskiej i poszedł na swoje, a on...? Jego w przydomowej kuźni zastąpiono dziewczką! Kiedy jednak Niemira na oczach domowników przestawiła kowadło, jakby to był drewniany stołek, złość ustąpiła ciekawości. Klimek dość był bystry, by poznać, że w rywalizacji z demonem może się co najwyżej ośmieszyć. Za Niemirą zaś bez wątpienia musiały stać diabelskie siły. Należało więc ją poznać. Kowalik pożałował, że nigdy wcześniej nie rozmawiał z dziewczyną ani że nie oblał jej chociaż wiadrem wody w Poniedziałek Wielkanocny, gdy szła drogą, ignorowana przez chłopaków. Teraz było mu głupio się odezwać, pozostało więc patrzeć. A nie raz było na co. Niemira poruszała się po domu Kowalów jak wcielenie ducha pracy zmieszane z czarownicą z legend. Nie położyła się, póki wszystko, co Staszek zlecił, nie było zrobione, i póki nie odprawiła wszystkich swoich rytuałów. Wieszala zioła u powały, szykowała ofiary dla duchów i zmawiała modlitwy. Czasem takie, które Klimek znał, czasem zupełnie obce i niepokojące. Niekiedy dołączał do niej jakiś duszek – najczęściej wychudłe dziecko o zbielełej twarzy, które nazywała Przylepą, ale czasem i skrzat o płonącej czuprynie, który oglądał kowalskie palenisko, kręcąc nosem z dezaprobatą.

– Jak chcesz mi pomóc, to chodź. – Dobiegło z podwórza.

Kowalik, skryty za framugą, podskoczył w miejscu. Wyszedł powoli z izby, zostawiając za sobą ciepło dogasającego już paleniska, i przemknął szybko do kuźni. Uderzyły go ostry zapach żywicy i łagodna woń rumianku.

– Nie bój się, nie ma w tym nic świętokradczego – szepnęła Niemira, wskazując mu móżdziej, przy którym pracowała.

– Nie boję się – mruknął.

Patrzyła, jak siada i zaczyna pracę. Był jej wzrostu i podobnie chudy, ale żyłasty. Kiedy ucierał mieszanekę, mięśnie na jego rękach napinały się na moment i zaraz niknęły pod skórą. Koszulę miał rozsznurowaną, z podwiniętymi rękawami, bo w czarnej izbie, gdzie spali w pięć osób z częścią inwentarza, było gorąco. Słomkowe włosy, sięgające ramion, kleiły się do spoconego karku.

– Przywitaj się. – Wcisnęła mu w rękę kilka ziaren i wskazała na tkwiące w kącie bożątko.

Zawahał się, ale przesycona chrapaniem ojca i ciężkimi westchnieniami matki izba wydała mu się nagle tak odległa. Spojrzał przelotnie na pogardliwy uśmiech Niemiry, po czym wstał i wyciągnął do duszka rękę, jakby karmił psa.

– Przylepa, prawda? – rzucił. – Witaj w moim domu. Rozgość się.

– Tak, Przylepa – potwierdziła dziewczyna nieco cieplejszym głosem. – Wysyp na ziemię, boi się ciebie.

– Pewno przez matkę?

– Nie, nie lubi obcych. Tak ma.

Klimek skinął głową i wrócił do pracy. Niemira dosypała kolejnych liści do mieszanki, powąchała, zamruczała coś pod nosem. Nagle odległy łoskot wdarł się przez otwarte drzwi. Dziewczyna błyskawicznie wybiegła na próg, wsłuchiwała się w noc.

– Lawina – rzucił, ale zaprzeczyła ruchem głowy.

– Rób swoje, ja posłucham. To ważne, co wygrywa Matoha przed redykiem.

Górale świętowali. Odziani, jak kto najlepiej mógł – w ozdobione piórami kapelusze, nabijane pasy i odświętne portki haftowane w kolorowe parzenice – wymachiwali przystrojonymi, jodłowymi gałązkami, palili kadzidła i bawili się na całego. Krzyki, wystrzały, gwizdy i śpiewy odstraszały duchy i poganiały zdezorientowane owce ku halom. Ludzie z Dymnego Wąwozu żyli już niemalże w sercu gór, stada swe zwykli więc pędzić wysoko, na strome zbocza zamykające Cierpkową Dolinę. Choć obie wsie miały swoich baców, maszerowano wspólnie i dopiero przy szałasach dzielono kierdle. Z pochodem ciągnęli panowie z miasta. Turyści, jak ich zwano. Z samego Krakowa, a nawet ponoć ze Lwowa. Bogato odziani, choć ubłoceni już od podróży, zaciekawieni widowiskiem, plątali się pod nogami juhasom i parobkom. Nawet najbardziej niecierpliwi gazdowie skłaniali się im i uprzejmie wskazywali dogodne miejsca – za turystami szedł pieniądz, którego pod górami wiecznie brakowało.

Jan wiódł stado z Cierpkówki ramię w ramię z bacą i dwoma najgodniejszymi gospodarzami. W czarnym, okrągłym kapeluszu, zdobnych portkach i czystej koszuli mógłby uchodzić za jednego z nich. Kto lepiej się przyjrzał, dostrzegł jednak pistolety zatknięte za pas, powplatanę we włosy źdźbła traw i bransoletkę z suszonych ziół i jelit omotaną wokół nadgarstka. Kobiety zostały we wsi, jedynie Niemira jak co roku szła na hale. Przez lata

towarzyszyły jej w tym Matusza i Agnieszka – obie otaczane wielkim szacunkiem. Teraz została sama, jeśli nie liczyć dwóch żon turystów (którym jednak przykazano trzymać się z tyłu). I choć wiedziała, że nikt nie waży się jej odegnać, starała się nie rzucać w oczy gazdom.

Matoha wciąż wybijał rytm na Żywym Wierchu – ledwie słyszalny wśród wrzawy, ale wyczuwalny w drzeniu ziemi, tańcu smreków i szumie strumieni. Podawali go z Janem dalej – krzykiem czy gwizdem – rozochoconym juhasom, by owce i ludzi je wiodących uczynić tak bliskim górom, jak to tylko możliwe.

Popołudniem dotarli przed szałas. Promienie słońca ześlizgnęły się już z górującego nad dolinami Błyszczka i otuliły łagodnym ciepłem bacówkę. Antoni Gajda Matuszowy kazał juhasom poukładać narzędzia i wskazał, gdzie postawić koszar dla owiec. Dopilnowawszy wszystkiego, wszedł do środka, a za nim najważniejsi gazdowie i Hajduk. Baca z Wichrzyków czynił to samo, niemalże równocześnie, pod drugim szałasem. Niemira stała w połowie odległości między nimi. Póki watra nie zapłonęła, nie wolno było jej się zbliżać, by nie skalać ciężącym na niej śladem śmierci paleniska. Popatrywała więc to na jednego, to na drugiego mężczyznę, próbując przypomnieć sobie spostrzeżenia, jakie zwykle czyniła w tym czasie Agnieszka. Dobrze oglądało się pewne, płynne ruchy Antoniego – znać w nich było doświadczenie i spokój. Mimo wieku, który przygarbił mu ramiona, przerzedził włosy i kazał jednej ręce wyczyniać niezrozumiałe tańce, baca samą obecnością budował poczucie bezpieczeństwa. Józef z Wichrzyków, choć nie mniej godny i zaufany, zdawał się być nerwowy. Spozierał co i raz ku cierpkówkowemu bacy i ponaglał juhasów, niezadowolony. Wkrótce jednak w obu szałasach zapłonął święty ogień, budząc aplauz turystów i rozjaśniając twarze górali. Niemira poczuła, jak cichnie niepokojona przez Matohę ziemia.

– Mieszać będziemy! – zawołał Antoni.

Juhasi rzucili się spędzać owce w dwie grupy, bacowie zaś stanęli ramię w ramię i ruszyli w stronę Niemiry. Wyjęła z torby skrzyneczkę z naszykowanym kadzidłem, otworzyła ją z namaszczeniem. Poczuła na sobie pełne napięcia spojrzenia – zwłaszcza przyjezdnych – jakby wszyscy spodziewali się zostać świadkami jakiegoś mistycznego wydarzenia. Ręce dziewczyny trzęsły się, gdy bacowie sięgali po kadzidło. Dotąd zawsze tę rolę miała Matusza i choć Niemira wiedziała, że kiedyś stanie na miejscu



staruszki, nie spodziewała się tego tak prędko. Prawie zabrakło jej głosu, gdy przyszło przestrzec Józka:

– Wiatr szarpał tobą, gdyś watrę rozpałał. Będzie i ogniem szarpał. Strzeż go dobrze.

Ta rola wcześniej przypadała Agnieszce, która bezbłędnie czytała ludzi. Stary skinął głową oszczędnie i obaj odeszli do owiec. Spojrzenia ludzi skupiły się teraz na kierdlach – okadzanych i gonionych wokół wbitych w ziemię jodełek. Bacowie modlili się głośno i zamawiali owce, juhasi wyskakiwali ze skóry, by nie dać żadnej wyjść z kręgu. Niemira odetchnęła głęboko.

– Chodź, sprawiłaś się. – Jan położył jej rękę na ramieniu.

– Oby... – westchnęła. – Nie myślałam, że to tak ciężko. Brać za to wszystko odpowiedzialność.

Jan się zaśmiał.

– Nie bierz. Nigdy nie przewidzisz wszystkiego, nie przygotujesz ich na wszystko. Dlatego to ostatecznie siła chłopca, a nie dwoje wołchwów czy jakiś ksiądz pilnuje stad.

Późnym wieczorem, po pierwszym udoju, gdy gazdowie podzielili się już serem, w ruch poszły gajdy, gęśliki i piszczałki. Ze wsi ściągnęli kolejni ludzie, spragnieni zabawy. Juhasi naszykowali szałas dla turystów, rozpalono ogniska, odkorkowano butelki. Jan zniknął, szukać swoich nocnych przyjemności nad brzegiem strumienia, Niemira zaś usiadła z boku, zmęczona emocjami całego dnia. Objęła kolana rękoma i wpatrzyła się w ogień. Najpierw dwóch juhasów poderwało się do tańca. Przykucali, by wyskoczyć w powietrze z lekkością kozic, to znów podrygiwali, drobiąc kroki i wyrzucając nogi to na lewo, to na prawo. Jeden chwycił ciupagę i wygrażał nią niebu. Dołączali następni. Ciupagi zderzyły się raz i nagle taniec zmienił się w podobne walce czy gonitwie widowisko – popis krzepy i sprężystości. Turyści wydawali okrzyki zdumienia, a jeden – pulchny artysta z Krakowa – sam dołączył do zabaw. Nogi się dwoiły i troiły przed oczami Niemiry. Były tylko one i ogień. Roztrącały grudy ziemi, uderzały podszwami o podeszwy, gięły się i prostowały w rytmie okrzyków, uderzeń ciupag, wystrzałów i jazgotliwej melodii gęślików. I tak było dobrze.

Nagle ktoś klepnął zamasyście dziewczynę w plecy.

– Dawaj! Pokażesz panom z miasta, jakaś silna!

Nim się zorientowała, dwóch juhasów postawiło ją na nogi, a spore grono, w którym dostrzegła i Klimka Kowalika, i skwaszonego nieco Antka Wardę – przybranego brata – przekrzykiwało się jeden przez drugiego:

– Pokaż!

– Kłode niech podniesie!

– Ha! Mnie niech spróbuje!

– Tu pan turysta chętny! – Pijany Filip Gajda wskazał na tłustego artystę, co spotkało się z ogólną aprobatą.

– No, już, Niemira, pokaż, co potrafisz!

Z boku ktoś dogadywał jeszcze z przyjezdnymi cenę za taki dodatek do widowiska.

– Nie jestem jakimś tresowanym psem – syknęła Niemira, wyszarpując się juhasom. – Nie będzie popisów! – krzyknęła, rozwścieczona prawie do łez.

Chciała wycofać się z kręgu światła, ale gazda Wojciech z Maciejków zastawił jej drogę.

– Panowie ciekawi, coś za jedna. Pokaż no, nadajże się na coś.

Ktoś znów ją szturchnął, kolejny posłał obraźliwe słowo, ale wtedy Antek Warda zerwał się i doskoczył do niego.

– Szczeknij jeszcze, a porządek z tobą zrobię – huknął. – Rzekła nie, to nie. Dajcie spokój!

Na chwilę zrobiła się cisza.

– Pan dochtór tu zjechał, ciekaw bardzo. Uczyniłabyś mu tę przyjemność – rzucił pojednawczo Matuszowy.

Siedzący obok niego na rozścielonej baranicy dojrzały mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało. Nerwowo przesunął palcami po zdobionych guzikach okrycia przypominającego węgierską czamarę. Twarz miał okrągłą, o przyjemnym, opiekuńczym wyrazie. Wyrazistości dodawał jej równo przystrzyżony wąs i nieco fantazyjna linia szpakowatych włosów. Słuszny wiek doktora zdradzały głębokie zmarszczki na czole i obwisłe nieco policzki. Niemira ukłoniła się sztywno.

– Za pozwoleniem... – podjął, wyraźnie zakłopotany. – Przyznam, że jestem ciekaw, bo już w Zakopanem usłyszałem, że tu taka żyje, co ma nadludzkie siły. Ja się przedstawię, panna pozwoli, Fryderyk Malawski, lekarz. Anatomia ludzką, to jest, badaniem ciała ludzkiego się zajmuję. Stąd ciekawość, czy to prawda, co mówią.

Niemira stała chwilę nieruchomo. Złość jej nie opuszczała, ale jakoś trudno ją było obrócić przeciw temu eleganckiemu, uprzejmemu człowiekowi. Godność i uczoność były z jego gestów, staranności ubioru i zakończonej perłą szpilki wbitej w węzeł krawata. Gorzej jeszcze było uchybić bacy w dzień redyku. Dziewczyna podeszła sztywno do tłustego turysty. Pijany zdążył tylko spojrzeć na nią ze zdziwieniem, gdy bez wysiłku przerzuciła go sobie przez ramię, a potem, poprawiwszy chwyt, wyniosła nad głowę. Szczęściem nie próbował się opierać. Podniosły się okrzyki, ktoś zaklaskał, jedna z miastowych dam zasłoniła oczy. Niemira odstawiła protestującego i śmiejącego się równocześnie mężczyznę na ziemię. Obróciła się na pięcie.

– Koniec widowiska – oświadczyła, ruszając w dół doliny.

## ROZDZIAŁ 4

Zabrana z ogniska żagiew starczyła za pochodnię ledwo przez kilka kroków. Dalej doktor Malawski musiał zdać się na światło wyjątkowo pięknej pełni. Ruszył za dziewczyną prawie natychmiast, ale i tak w lesie zniknęła mu bez trudu. Chwilę błędził, szukając jakiejś przesieki, wreszcie ruszył na przełaj.

Trzask łamanych gałęzi, ciężkie sapanie i tłumione przekleństwa nie dały się już ignorować. Niemira, dotąd udająca, że nie dostrzega podążającego za nią mężczyzny, zatrzymała się.

– Tutaj – rzuciła szorstko. – Zbudzicie, panie, cały las.

W srebrnej poświacie wyglądała jak zjawą. Lniana sukienka zlewała się bielą z kolorem jej skóry. Luźno puszczone włosy tańczyły muskane wiatrem. Obróciła się, gdy stanął tuż za nią. W błyszczących oczach wciąż lśnił gniew, a delikatnie rozwarłe usta drżały. Malawski poglądził ramię dziewczyny.

– Chciałem przeprosić za przykrości, które za moją przyczyną pannę spotkały. Może też zaoferować pomoc. – Przy tym roziskrzyły mu się oczy.

– Przepraszać nie musicie. Nie wasza wina, że ludzie są, jacy są. Pomocy też nie potrzebuję.

– Nie pyta chociaż panna, jaka to byłaby pomoc?

Niemira wzruszyła ramionami. Gestem zachęciła doktora, by szedł za nią.

– Spytać mogę, jeśli to was ucieszy.

– Ludzi się nie zmieni, mądrze panna mówi. Tego, jakim się urodziło, często też nie. Ale zrozumienie pozwala lepiej żyć z ludźmi. Ci tutaj zdają się pannę traktować jak odmieńca.

– Bo to prawda.

Westchnął ciężko.

– Widzi, panna, ja jestem człowiekiem nauki. Już w Zakopanem mi o panie mówiono, że czary i tak dalej. Ja w takie rzeczy nie wierzę.

– Tym gorzej dla was.

Malawski zaśmiał się nerwowo. Zrównał się z dziewczyną, próbował spojrzeć jej w twarz. Fascynowały go rysy góralki – niby podobne do rysów jej krajanek, a jednak w pewien sposób obce, drapieżne.

- Dużo w pannie goryczy.
- Przepraszam – mruknęła machinalnie.
- Nie, mnie to nie gniewa. Powiedzmy tak. Ja wierzę w naukę. Dla ludzi czasem to czary jak każde inne. Ja wierzę w te, panna w inne. Możemy tak mówić?
- Możemy.
- Mógłbym wziąć pannę na badania. Do Krakowa. O! A może do Wiednia! Poznalibyśmy przyczynę tej wyjątkowej siły, wyjaśnienie. Dla mnie to ciekawy temat, przyznam, jest w tym prywatnie. Ale i w szerokim świecie nie byłaby panna już takim odmieńcem.
- Tak czy tak nim będę.
- Wielkie miasta są bardzo różnorodne. Nikt się nie będzie w panny sprawy wtrącał. A gdy rzecz się wyjaśni, może i tu będzie pannie lżej żyć. Naprawdę ta awantura, co tu widziałem... – Zmarszczył czoło w bolesnym wyrazie. – Nielekko tu pannie, widzę.

Westchnęła, ale zmilczała. Skręciła tylko gwałtownie w węższą przesiekę. Malawski dostrzegł, że ramiona dziewczyny lekko drżą. Pogłodził ją delikatnie po plecach.

Witysza, spowita w nieodłączną ciszę, szamotała się wśród gęstych krzewów. Tęsknota przygnała ją na skraj hal i tam zatrzymała barierą pieśni, zaklęć i ziół. Demonica kuliła się za każdym razem, gdy łoskot kopyt Matohy przenikał Tatry, a kiedy na polanie rozniecono ogniska, przynosząc ogień wiatr, uciekła do lasu. I tam dogonił ją zapach kadzideł. Szła za nim, niezdolna ani się zbliżyć, ani zrezygnować z podążania za dziewczyną. Przez chwilę była szczęśliwa. Potem nadszedł ten człowiek i zalał jej myśli śmiertelnym spokojem, który zwykle miły, nie wróżył niczego dobrego. Ilekroć Niemira mu odpowiadała, jej twarz jawiła się Wityszy twarzą małego, naiwnego dziecka. „Uciekaj” – chciała wołać, ale w tę noc las nie był gotów użyczyć jej głosu. Wszędzie wisiały zaklęcia wykrzykiwane w trakcie redyku, modlitwy górali i prośby o ochronę słane do świętego Wojciecha. Nad nimi wszystkimi górował zaś zakaz Matohy. Gdy miastowy objął ramieniem Niemirę, Witysza zadrżała z lubości, a potem w jednej chwili skuliła się w sobie, targnięta rozpaczą. Ostatni raz spróbowała postąpić w stronę ludzi, ale bezskutecznie. Rozdarta i prawie oszalała ze strachu pognęła ku skrajowi lasu. Jej nie wolno było się zbliżyć do dziewczyny, ale byli tacy, którym tego nie zakazano.

Niemira również zadrżała pod dotykiem, ale doktor odwrócił jej uwagę, wyciągając z wewnętrznej kieszeni płaską butelkę.

– Zimno pannie? Nie dziwię się. Noc chłodna. Panna tylko w takiej koszuli. To najlepsza wiśniówka, jaką znam. Pomoże.

Niemira sięgnęła po butelkę.

– Odważny pan doktor – mruknęła.

– Odważny?

– Nie słyszeliście, co mówią o takich, co to na letnisko przyjadą, panny do lasu prowadzają i jeszcze gorzałką częstują?

– Co też panna... Nigdzie nie prowadziłem, sama panna...

– No właśnie. – Wysunęła się spod jego ramienia. – A nie myśleliście, że w tych opowieściach o rusałkach i brzeginach szczypta prawdy siedzi? Że mają, kuszą i prowadzą do zguby? – Pociągnęła duży łyk alkoholu.

Zaśmiała się nerwowo, zabrał jej z dłoni butelkę.

– Że panny można się bać, to już tam na hali było widać. – Rozejrzał się wokoło. – Co też pannie przychodzi do głowy?!

– Nieważne, co mi, ważne, co wam. Jak nic, to bać się czego nie macie, doktorze. – Obróciła się plecami do mężczyzny i ruszyła przed siebie.

Czuła przez chwilę jego wahanie, potem usłyszała, że sam pociągnął łyk z butelki.

– Dokąd idziemy? – Jego głos zabrzmiał zimno.

– Ja do lasu. A doktor? Na was już chyba pora?

W niewielkiej odległości zawył wilk. Niemira zwróciła twarz w tamtą stronę. „Szelest” – pomyślała i ciemna kreska jej ust wygięła się w uśmiechu.

– Zdecydowanie na was pora.

– Nie odprowadzi mnie panna?

– Nie. Starczy, że się obrócić i pójdziecie prosto przed siebie. Potem śpiemy was naprowadzą. Nie jesteśmy daleko, ale jeśli teraz nie zaczniecie iść, to już nie wrócicie.

Powyżej hal i lasów, w zacisznej grocie zasłoniętej kosówkami, Leleja zachłysnęła się nagle trupim odorem. Uniosła się na przedramionach, momentalnie rozbudzona i czujna jak ptak. Jan spał spokojnie, szczelnie otulony baranicą, ze skotłowanymi ubraniami wciśniętymi pod głowę. Niewrażliwa na chłód brzegina wstała naga. Pospiesznie, ale pilnując, by nie zbudzić człowieka, wymknęła się z groty. U jej wejścia potok siłował się z kilkoma głazami, ostatecznie pokonując uskok spienioną kaskadą. Leleja

wciągnęła głęboko powietrze, znów łapiąc woń śmierci. Aura cichej przesiąkała między skałami, brnąc pod prąd strumienia, i znaczyła swój szlak obumierającymi roślinami. Brzegina skoczyła w wodę, rozpadła się w jej cudownym prądzie, tworząc na powierzchni ledwie połyskliwy cień i po chwili stanęła na kamieniach poniżej uskoku. Kilka kroków dalej ujrzała dziecięcą postać w białej sukience, wspierającą się w marszu żelazną różgą.

– Witysza, dokąd?!

Cicha zamachała rękami, jakby chciała odegnać Leleję z drogi. Parła przed siebie, nie bacząc na nic, wstrząsana strachem.

– Stój! Mnie powiedz. – Brzegina próbowała zagrozić jej drogę, ale ta przemknęła obok jak psotne dziecko, nurkując pod wyciągniętą ręką. – Czeka! Zważ na zakaz Matohy! Witysza, co się dzieje? Pomogę ci przecież. Tylko go nie budź, proszę. Nie wolno ci się zbliżać do nikogo z Dymnego Wąwozu, nie pamiętasz?! A Jan na pewno cię spostrzeże. Witysza, złego narobisz. Sobie i im.

Cicha zatrzymała się, obróciła, gestykulując gwałtownie. Leleja popatrzyła w dół na płonące w dolinie ogniska juhasów. Ten dzień i ją wygnał dalej od ludzi, a złym duchom zupełnie związał ręce i wyrwał języki.

– Rozumiem. Chodzi o Niemirę. Potrzebuje pomocy?

Witysza pokiwała gwałtownie głową.

– Spokojnie. Zbudzę Jana, jak odejdziesz. Pójdziemy po nią. Tylko gdzie?

Drobna, dziecięca rączka wskazała na ciemne regle zarastające dolną część Cierpkowej Doliny. Od wieków opierały się ludziom i cofały się niechętnie pod naporem intensywnie wypasanych hal. Tak gęstych i nieprzystępnych lasów nie było wiele po tej stronie Tatr. Z jednej strony wspinały się na łagodny Jaworzynowy Wał oddzielający Cierpkową Dolinę od Pyszniańskiej. Z drugiej podejmowały odważny szturm na masyw Ornaku. Tam jednak słabły, przed wieloma laty wypchnięte przez kopalnie, później zaś pastwiska. Kilka pytań starczyło żytej z tatrzańską dziczą brzeginie, by dokładniej ustalić miejsce, w którym coś się działo. Co? Strach Wityszy udzielił się i jej.

– Idź już. Pomożemy jej. Tylko, błagam, trzymaj się z dala. Nie chcę znów patrzeć, jak Matoha cię karze.

Wspomnienie odbiło się na twarzy Wityszy ponurym cieniem. W oczach malowało się bezsilne błaganie i tęsknota. Leleja ostrożnie starła łzę z jej

zimnego policzka. Tylko ktoś naiwny mógł brać twarz cichej za dziecięcą. Wewnątrz małego ciała tkwiła rozgoryczona, dojrzała w bólu dusza.

– Idź już.

Demonica posłusznie odeszła, brzegina zaś popędziła pod prąd kaskady do groty.

Kilka chwil później Jan biegł na złamanie karku ku lasom. Jej przykazał zostać – ta noc nie sprzyjała dzikim duchom. Siedziała więc na kamieniu, starając się obserwować człowieka tak długo, jak mogła, bo jego widok odganiał sprzed oczu wspomnienie Wityszy. Leleję dręczyło przecucie, że surowy wyrok Matohy nie był dobry, nawet jeśli sprawiedliwy. Cokolwiek przed laty obudziło się w cichej, stało się trwałą częścią jej duszy. Żywiła wobec Niemiry macierzyńskie uczucia. Koślawe może trochę, jak koślawca była każda miłość rodząca się między istotami tak dla siebie obcymi. Leleja jednak z takich nieidealnych więzów uplotła swoje szczęście i rozpacz Wityszy nieraz ją bolała. Strażnik górskich demonów, chcąc zapobiec dalszemu zbliżeniu ludzkiego dziecka ze światem podziemnych duchów i wynagrodzić ludziom krzywdę, zakazał cichej naruszać spokój górali z Dymnego Wąwozu. Ta jednak, gnając ze swym śmiertelnym posłaniem od wsi do wsi, szukała choćby chwili, by spojrzeć ukradkiem na Niemirę. Gdy zaś o samą Niemirę szło, Leleja czuła, że Matoha jedynie utrudnił coś, co i tak nieuchronnie się działo.

Wśród regli, jakby na podkreślenie gróźb góralki, kolejne wilki podjęły wołanie. Doktor Malawski poczuł, że pot spływa mu po karku. Gotów był w tej chwili uwierzyć, że ta pomyłona dziewczyna w istocie jest wilą albo wiedźmą. W duchu wyrzucał sobie pomysł pójścia za nią do lasu. Jak mógł wziąć tę demoniczną istotę za naiwną i zagubioną?!

– Ty nie żartujesz... – rzucił słabo, zapominając o konwenansach. – Pójdę i...

– Pójdziecie, wróćcie do swoich i więcej nie pomyślicie, by za górską rusałką iść w lasy. To wasza ostatnia szansa – odrzekła zimno Niemira, nie obracając się do doktora.

Usłyszała, jak ten rusza przesieką, potem przedziera się przez krzaki. Sięgająca połowy uda czamara nie ułatwiała. Wpierw szedł spokojnie, potem przyspieszył, gnany kolejnym zaśpiewem wilków. Że te były coraz dalej, przerażony człowiek nie poznał.



Niemira wypuściła powietrze i pozwoliła sobie na cichy chichot. W ostatnich zdaniach z trudem zachowała kamienną twarz. Nawet nie dlatego, by śmieszył ją przerażony doktor – ani przez moment nie czuła się w tej grze zupełnie bezpieczna, choć silniejsza niewątpliwie – ale dlatego, że serce rwało się już gdzie indziej, nagle lżejsze. Ruszała już w stronę, skąd nawoływała wataha, gdy zaszleściły pobliskie zarośla, trzasnęły suche gałęzie i przed dziewczyną stanął Kowalik. Ledwo go poznała – ubrany w obszerną cuchę i z ciupagą w ręku wydawał się postawny i starszy. Gdy podszedł blisko, ujrzała, że też się śmiał.

– Ładnieś go postraszyła, Niemira.

– Prosił się – prychnęła. – A ty, Klimek, co tu robisz?

– Zobaczyłem, że poszedł twoim śladem. Wolałem sprawdzić, czy jesteś bezpieczna.

Chłopak musiał powtórzyć odpowiedź, bo zasłuchała się w odległe wycia – ledwo już słyszalne. Podziękowała dość chłodno za troskę, patrzyła przy tym gdzieś w przestrzeń, jakby próbowała wyprzeć jego obecność albo dać do zrozumienia, że jest nieproszonym gościem.

– Wracamy na halę? – spytał.

Pokręciła głową.

– To, dokąd?

– Nie każ mi mówić sobie tego samego, co doktorowi – westchnęła z irytacją. – Ja tu jestem po coś.

– Po co? Poza tym, żeby nastraszyć natręta z miasta? Niemira, nie przyszedłem tu wysłuchiwać obrażonej panny. Mnie nie zmylisz, żeś wiła czy insza brzegina...

– A co? Wesolek dźwigający ciężary, żeby się dutki sypały?!

– Ach, to cię ubodło... – zaczął Klimek, ale z każdym słowem pewność uchodziła z jego głosu.

– To czy nie... Co ty w ogóle wiesz? O mnie? O czymkolwiek tutaj?

Zagotował się na moment. Doskoczył do dziewczyny i chwycił ją za ramię, niepewny, czy chce uderzyć, czy siłą zaciągnąć na halę. Czuł, co zaraz usłyszy, i rozpaczliwie chciał ubiec ten cios. „Na hali nie pracujesz, na wyręby nie jeździsz, dobrze, że chociaż do kuźni zagładasz... A nie! Wszak dziewczkę tam na twoje miejsce wzięli”. Ale nagle zabrakło mu gniewu. Jakby to był płomień, który chwycił suche igliwie i strawił je momentalnie. Tkwiała

w Kowaliku pokora. Ranity go kpiny, lecz kiedy spoglądał w głąb siebie, widział chłopaka, którego opisałby w taki właśnie sposób. Puścił Niemirę.

– No to się pytam, by wiedzieć – rzucił.

Poblądził wzrokiem po ziemi, po czym podniósł głowę i dodał:

– A ty? Wolisz pozostać tym wesółkiem dźwigającym ciężary, niż komukolwiek pozwolić się zrozumieć. Chcesz być tajemniczą wiedźmą, bądź.

Niemira tkwiła nieruchomo jakby wrosnięta w ziemię. Ręce luźno zwiesiła wzdłuż boków, żaden mięsień na jej twarzy nawet nie drgnął.

– Skoroś tu bezpieczna, pójdę. – Kowalik obrócił się na pięcie. – Ostań z Bogiem.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Niemira stała jeszcze chwilę napięta. Byle tylko nie pozwolić drzeć podbródkowi, byle nie rozluźnić zaciśniętych pięści. Czekwała, aż skurcz żalu i wściekłości odejdzie. Ale on nie mijał. Wyrwała więc biegiem jak spłoszony zając. W pędzie, smaganej gałęziami, łatwiej było udawać, że nie czuje łez płynących po policzkach.

Najpierw kierowała się wspomnieniem wilczych wyc, potem znajomymi przesiekami i w końcu blaskiem ognia migającym między zaroślami. Wreszcie przed Niemirą wyłoniła się niewielka polana częściowo zarośnięta młodniakiem. Wśród rzadkich, delikatnych drzewek, na balach, kiedyś chyba będących częścią szałasów czy ambony, rozsiadł się wygodnie Jan. Nogi wyciągnął do ognia, cuchę zarzucił na jedno ramię, a pod ręką ułożył nabity pistolet. Przy nim, na ziemi, siedział leszy. Niski, gładki głos niósł się daleko w las, gubiąc jednak szybko słowa i zmieniając się w tajemniczy pomruk dziczy. Niemira zwolniła. Chciała, by łyzy wyschły, nim stanie przed mężczyznami.

Szelest, nawet na siedząco, odziany w luźne skóry i ze zgarbionymi lekko plecami, sprawiał wrażenie wysokiego i postawnego. Przy tym jego ruchy – czy taniec palców gładzących młode pędy sosenki, czy niezwyklejsze zwrócenie twarzy do rozmówcy – miały w sobie zwiewność babiego lata. Od czoła, przez środek głowy, biegł pas lśniących, kruczych piór, sięgających aż między łopatki. Leszy boki głowy miał łyse, jedynie na czubkach nieco szpiczastych uszu wyrastały pędzelki jak u rysia. Gdy gestykulował, światło wyławiało rzadki meszek młodych, wiosennych liści porastający mu wierzch

dłoni i wspinający się po przedramionach aż do łokci. Z nastaniem jesieni liście te czerwieniały, by zimą ustąpić miejsca zwartemu igliwiu.

– Patrz, kto do nas spieszy – przerwał Jan swojemu rozmówcy.

Po swobodzie bycia i uśmiechu łatwo było poznać, że z Szelestem są zaprzyjaźnieni.

– Słyszę – odparł leszy, obracając się powoli w stronę Niemiry.

Usiedli we troje przy ognisku – ona przy Janie, wpatrzona w Szelesta ponad strzelającym iskrami ogniskiem. Światło płomieni zmieniało jego twarz, wydobywało subtelną fakturę skóry, przypominającą korę leszczyny. Za dnia zdawała się być zupełnie ludzka, poznaczona tylko kilkoma bliznami.

Jan słuchał, jak poważny opiekun regli upomina dziewczynę, niebaczną na jej wyjaśnienia spojrzenie. To on przekazał zbójnikowi, że Niemira poradziła sobie z natrętem i choć cieszyło go rozwiązanie sprawy, dziwił i gniewał go jej przebieg.

– Koniec dyskusji – uciął nagle. – Niezależnie od powodów nigdy, absolutnie nigdy nie przeciągaj sytuacji, w której jesteś zagrożona. Nigdy. To się mogło skończyć tragicznie. Gdyby on cię zaskoczył albo gdyby Witysza lub Jan zainterweniowali. Takie sprawy kończy się, gdy tylko jest okazja. A ty ją miałaś. Hajduk chyba przyzna mi rację.

Zbójnik przechylił głowę w niezobowiązującym potwierdzeniu. Niemira wymamrotała coś pod nosem, szukając wytłumaczenia. Nic jednak, co chciała powiedzieć, nie byłoby prawdą ani nie przekonałoby nikogo. Bezradna, zerwała się na nogi i wyszła poza krąg światła. Jan uśmiechnął się znacząco do przyjaciela. „Od początku mówiłem, że chciała ci zaimponować” – cisnęło mu się na usta. Leszy w swoim niezrozumieniu ludzi zdawał mu się młodzieńczo naiwny, mimo że pamiętał czasy, kiedy całe wsie pod Tatrami czciły starych bogów. Przy tym jednak jak nikt inny potrafił dotrzeć do Niemiry, rozgonić jej smutki i zwyczajnie poukładać w głowie. I lepiej było go zostawić z tym zadaniem samego. Hajduk wstał.

– Pójdę już. Powinienem uspokoić Leleję.

Z daleka obserwował jeszcze, jak Szelest podchodzi do Niemiry i z troską opiera rękę na jej ramieniu. Uderzyło go, że choć dziewczyna wciąż przy postawnym leszym wydawała się maleńka, zniknął naturalny dystans między nimi. Ustaliła się jakaś nowa równowaga, której Jan nie umiał do końca rozszyfrować. Żałował, że nie ma wrażliwości Lelei czy przenikliwości

Agnieszki, choć czasem wątpił, by nawet one były w stanie rozgryźć Szelesta. Sam zaprzyjaźnił się z nim przed blisko dwiema dekadami i wciąż nie zawsze go pojmował. Szczęściem i bez tego mogli na sobie polegać.

Szelest czuł, że Niemira drży od wewnętrznego szlochu, któremu nigdy nie pozwalała przemienić się w łzy, gdy ktoś patrzył.

– Chodź bliżej ognia. Powiesz mi, co się stało.

Sięgnęła do jego dłoni, ścisnęła lekko szorstkie palce. Cofnął je spokojnie, ale zdecydowanie.

– Nie chcę o tym mówić. Chcę być tu i teraz. Po to tu przyszedłam, żeby nie być już tam.

– To „tu” i „tam” jest całością.

– Tak, wiem! – Spojrzała na niego i opuściła bezsilnie ręce. – Szelest, proszę. Nie dziś. Jeśli chcesz mnie uczyć, pójdę teraz. Wrócę jutro. Jutro wysłucham. Ale nie dziś. Dziś chciałam tylko odetchnąć lasem, posiedzieć przy tobie.

– Rozumiem. Zostań. Nie, inaczej... Chodźmy w takim razie. Nie chcę tu dłużej palić ognia.

Była w jego schronieniu już wiele razy, ale nigdy nie zdołała doń dotrzeć samodzielnie. Tym razem nawet nie próbowała zapamiętywać drogi. Weszli w samo serce lasu, gdzie splątane gałęzie, stare smreki, rozłożyste dęby i jodły, wraz z poduchami mchów i bujnymi paprociami tworzyły istny pałac. Sowa, tkwiąca nad wejściem niczym wartownik, powitała leśnego stróża pohukiwaniem. W środku spały przytulone do siebie trzy wilki. Przewodnik watahy zastrzygł tylko uszami, gdy przechodzili obok, ale nawet nie uniósł łba, czując swego pana. Szelest odchylił zasłonę kipiących liśćmi gałęzi i wprowadził Niemirę do niewielkiego szałas, z rozścieloną na ziemi niedźwiedzią skórą i miejscem na palenisko. Rozniecił wątpy ogień. Usiedli. Niemira podkuliła nogi i oparła się o przyjaciela. Przymknęła oczy i zanurzyła się w bijącym od niego zapachu. Silna woń igliwia, wilgotnej ziemi i deszczu, złamana słodką nutą miododajnych kwiatów oszałamiała. Dziewczyna odchyliła się i sięgnęła do rysiwego pędzelka na uchu Szelesta. Zaśmiała się, gdy cofnął głowę, fukając gniewnie. Jeszcze jako dziecko lubiła go tak drażnić. Podobnie reagował zresztą, kiedy próbowała dotknąć lśniacej okrywy piór. Wtuliła się w niego mocniej, palcami błędząc po przedramieniu mężczyzny. Fascynowała ją ta gra szorstkości kory i miękkości młodych liści. Hala, tłusty turysta, chętny do pomocy doktor i

urazony Kowalik pozostali w innym świecie. I nagle leszy uciekł dłonią i odsunął się lekko od dziewczyny.

– Prześpij się, jesteś wyczerpana. Mieszka ci się od tego wszystkiego już w głowie.

Podał jej leżący z boku pled. Spojrzała sennie i naciągnęła go niedbale.

– Wiesz, że nie – wyszeptała bardzo cicho, tuląc policzek do niedźwiedziej skóry.

Szelest usiadł i oparł się o bukowy pień. Nawykiem strażnika czuwał nad zdaną na niego istotą aż do świtu. Wstał tylko na moment, by okryć ją dokładniej pledem. Pochylony spostrzegł długą, świeżą bliznę, która wyłoniła się spod czarnych włosów. Biegła po prawej stronie głowy, równoległe do ucha. Wciąż jeszcze zaogniona, przypominała o beznadziejnej ucieczce od ludzi, podczas której dziewczyna spadła z oblodzonej półki. To było zaraz po śmierci Agnieszki. Szelest przysłonił z powrotem ślad. Powstrzymał odruch pogłaskania Niemiry po włosach. Nie zauważył, kiedy to się stało, ale naturalne niegdyś gesty straciły swą dawną niewinność.

## ROZDZIAŁ 5

W miarę jak niesamowitość redyku bladła w pamięci ludzi, rola Niemiry na powrót nabierała przyziemności. Wiosna rozkwitła, a wraz z nią rozkwitła praca. Dla dziewczyny – ciężka praca w kowalskim warsztacie, dla Jana...

Dla Jana długie, górskie wędrówki, szaleńcze ataki i ucieczki. Niekiedy wracał do wsi wyczerpany, czasem ranny, ale niezmiennie zadowolony i zatopiony w myślach – odmawiał opowieści, chętnie jednak stawiał kolejki w karczmie. Tak zamierzał zakończyć zresztą i ten napad.

Siedzieli w sześciu na skraju jednej z wielu jaskiń otwierających swe okna na Dolinę Kościeliską: dwóch z Dymnego Wąwozu i czterech zza grani, mówiących między sobą po węgiersku. Naprzeciw nich prezentowały się dumne, strzeliste turnie zwane Organami. Poniżej biel i szarość kamieni wzbierała stopniowo zielenią, aż wreszcie przechodziła w łagodne dno doliny, w którym plątały się ze sobą pasma drogi i potoku.

– Nie za bogate te turyści – sarknął Bela, tarmosząc długie, czarne wąsy.

Był zarośnięty diabelnie. Spod krzaczastych brwi wyglądały małe, błyszczące oczy o bladoniebieskiej barwie. Siedzący u boku Jana Harcyk, choć sam doświadczony już zbójnik, odruchowo skulił się pod ich spojrzeniem. Hajduk zaś leniwym ruchem wyciągnął ze stosu łupów zdobną szpilkę do krawata. Obrócił ją w palcach.

– Coś wziął?!

– To zabiorę. Niewiele warte, a komuś sprawi radość – rzucił lekko, wbijając szpilkę w kołnierz złachanej koszuli.

Spotkanie doktora wśród wracających ku Kościelisku turystów wielce go uradowało. Przerażeni miastowi posłusznie oddali, co mieli, ale Malawskiemu Jan posłał na pożegnanie pocisk w kolano. Ot tak, żeby więcej tak chyżo po lasach nie biegał.

– Odłóż – burknął głucho Bela.

– Ujmijcie coś z mojej doli i na swoje wyjdziecie.

Najstarszy w bandzie, którego zwali Gaborem, przerzucił raz jeszcze w skupieniu zdobyte łupy. Pieniądze, biżuteria, zdobne noże, a nawet pięknie intarsjowany pistolet i dużo doskonałej jakości drobniejszych przedmiotów.

Nie było tego mało, ale Jan czuł, że kompani nie są tym razem zadowoleni. Węgierski rozumiał ledwo co, ale z ich rozmów pochwytał, że komuś jeszcze będą musieli się opłacić. Krył ich pewnie jakiś ważny pan i obawiali się, że niezadowolony z łupów, cofnie ochronę.

– Rzuć to tu z powrotem – burknął Gabor.

– Rzekłem...

– Nie będzie twojej doli.

Harcyk sztywnym ruchem zbliżył dłoń do pistoletu. Wiedział, że Hajduk dla zachowania dobrych relacji gotów jest na ustępstwa, nigdy jednak nie wraca z niczym. Dać się ograbić innym zbójnikom – tego jego duma by nie zniosła.

– O nie, nie... Tak nie będzie. – Jan uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Chciałem z wami równo rzecz podzielić, nie brać tego, co za przywództwo mi należne. Ale jak tak mówicie...

Bela dźwignął się na nogi. Hajduk nie czekał. Jednym skokiem znalazł się z Węgrem twarzą w twarz. Pochylił się nieco, bo mężczyzna był od niego niższy, i spojrzał spode łba.

– Na noże czy na toporki wolisz?

Bela zgrzytnął zębami. Znali się i bywało, że gdy za dużo gorzałki popłynęło, próbowali wzajem swoich sił.

– Mów! Już!

Węgier usiadł z powrotem. Jan zrobił to samo, uśmiechając się pod wąsem.

– Dziel, Harcyk. Na siedem części. Trzy dla nas, cztery dla nich. Gabor, wskaż, kto od was dzieli.

Usłuchali. Choć każdy dłoń trzymał blisko broni i spozierał na pozostałych czujnie, dobili wreszcie targu. Atmosfera się rozluźniła. Do zmroku, niechętni schodzić w doliny za dnia, pili wspólnie, rojąc sobie następne rabunki. Hajduk ledwo co tykał gorzałkę i wstrzymywał Harcyka. Wiedział, że więcej napadać z nimi nie będzie.

Opuścili kryjówkę tuż przed zachodem słońca. Młodszy ruszył sprężystym krokiem w górę. Choć zostawili Węgrów podпиты i w dobrym nastroju, nie czuł się pewnie. Kościeliską wciąż przejeżdżały wozy i zbójnicy mogli przyciągnąć uwagę, oczywisty więc był wybór drogi przez szczyt Raptawickiego Muru.

– Harcyk, nie – syknął mu zza pleców Jan. – W dół.

– Nie jesteśmy obładowani, wspinaczka pójdzie szybko. Najwyżej zabiwakujemy na jakiejś płasni i zejdziemy ze świtem.

– W dół, Harcyk, do potoku. Z grani wystrzelają nas jak kaczki.

Wymienili długie spojrzenia. Hajduk tu rządził, a pora nie była dobra na spory. Ruszyli po kruchych skałach ku dnu doliny. Już nad potokiem Jan puścił kompana przodem, pochylił się do wody, wyjął obły kamień, ogrzał go w dłoniach i wyszeptawszy krótką prośbę o wsparcie, rzucił go w nurt.

– Chodźże! Zdaje mi się, że wyszli z jaskini. Wystrzelają nas.

– Stąd nie przycelują. Idź wzdłuż. Potem Rudą Przełęczą do Cierpkowej. Brzegiem strumienia.

Bela nie był z takich, co marnują proch na postrach. Wiedział, że strzelanie się w Kościeliskiej więcej im kłopotów narobi niż pożytku. Znał jednak Hajduka dobrze, a nawet przed laty przyszło mu przepędzić zimę w jakiejś szopie w Cierpkówce. Do wsi nie zamierzał iść – w miejscu tak przyjaznym nie należało sobie robić wrogów – ale znał upodobanie górala do podążania strumieniami. Poderwał kompanów chwilę po tym, jak Hajduk z Harcykiem ruszyli w dół.

– Za nimi? – spytał Gabor.

– Teraz w dolinę. Przejdziemy halę i dalej w las na Jaworzynowym Wale.

– Pod Rude Siodło? – upewnił się stary.

Bela obnażył wypróchniałe zęby w uśmiechu. Pokiwał głową.

– Będziemy tam pierwsi. Zobaczymy, jaki wtedy z Hajduka będzie harnaś.

Jaworzynowy Wał – masyw rozdzielający Pyszniańską i Cierpkową Dolinę, w większości zalesiony i o łagodnych stokach, w pobliżu grani zmieniał się w teatr poszarpanych turniczek i skał. Nawet obeznani w terenie górale niechętnie forsowali tę przeszkodę. Wędrowano i przeprowadzano stada trzema przełęczami – Zieloną, Rudą i Białą – ale tylko z jednej z nich opadał w dół strumień. Rude Siodło, kiedyś porośnięte lasem, po potężnym halnym zmieniło się w szary labirynt wiatrołomów. Wśród niego, nieopodal potoku, postanowili przycząć się zbójnicy. Między smętnymi, okorowanymi pniami łatwo było obserwować szlak, a zarośla dawały dobrą osłonę przed spojrzeniem nadchodzących.

Harcyk forsował tempo, przyświecając sobie okopconą i powyginaną lampą naftową. Noc była bezgwiezdna, pachnące deszczem chmury zeszły nisko między szczyty i objęły je ramionami zimnej mgły. Las nie spał. Gałęzie trzaskały pod kopytami zwierząt, jakieś niespokojne dusze zawodziły i



ciskały kamieniami, a między wierzchołkami tłukły się nocne ptaki. Spokój zasłuchanego w szum wody Hajduka jawił mu się coraz bardziej upiornym. Podobnie jak niechęć do podążania szlakiem, początkowo uzasadniana koniecznością zmylenia potencjalnego pościgu. Harcyk coraz mniej widział w Janie kompana, więcej zaś czarownika, co zaprzedał duszę złym mocom. Wróciły wspomnienia chłodnej, wiosennej nocy przed kilkunastoma laty, gdy przerażony, skryty wśród zarośli, przypatrywał się układom mężczyzny z wionącą trupim odorem istotą. Pamiętał jego intensywne, zafascynowane spojrzenie, gdy dobijali targu. I potem ten moment krótkiego starcia u wejścia do Dymnego Wąwozu. Harcyk uznał wtedy swoją porażkę, próbował nawet odbudować w sobie zaufanie do Jana, ale bezskutecznie. Obraz mężczyzny tulącego czule w ramionach pomiot cichej pozostał w nim na zawsze i wracał. Wracał ze strachem, ze skrupulatnie chowaną nieufnością, z obawami o własną duszę. Wracał za każdym razem, gdy Jan mówił z duchami i przewidywał ścieżki strzyg, gdy układał się z leszymi, czy pijany rozwodził się nad cudownością brzezin. I gdy wiódł kompanów strumieniami... Harcyk poczuł, że pot spływa mu po plecach. Gorączkowo zaczął rozglądać się dookoła. Coś poruszyło się nieopodal. Wyrwał zza pasa pistolet, ale nie zdążył wymierzyć.

We mgle obok nich zamajaczyły dwie sylwetki, padł strzał. Mężczyzna poczuł szarpnięcie za ramię, upadł, lampa uderzyła o kamienie i zgasła. Nad jego głową huknęło i zapachniało prochem. To Hajduk, przyduszając kompana do ziemi, odwzajemnił się rechoczącemu Beli. W mroku nie wiedział nawet, czy trafił.

– Cały?

– Tak.

Harcyk sam nie dowierzał. Przez krótką chwilę był pewien, że dostał.

– Wstawaj!

Zgięci w pół pognali brzegiem strumienia, ślizgając się i potykając w ciemnościach. Kolejny pocisk przeciął powietrze. Kula uderzyła między kamienie i rykoszetem drasnęła łydkę młodszego zbójnika. Upadł w wodę, ale zaraz podźwignął się, szarpnięty przez Jana za kołnierz. Obrócił się i pociągnął bez większych nadziei za spust. Zamoczony pistolet nie wystrzelił.

– Zaraz wyżej jest staw. Uciekaj na lewy brzeg i nie oglądaj się za siebie! – warknął Jan.

Sam stanął, wyciągnął pierwszy pistolet i wystrzelił między drzewa. Drugi – tym razem odpowiedział mu krzyk bólu i na chwilę kroki ścigających ucichły. Trzeci – znów na oślep i jedynie na postrach. Nie było czasu na przeładowanie. Hajduk ruszył biegiem, pewien, że dawni kompani nie odpuszczą. Ześlizgnął się z kamieni i biegł teraz korytem, potykając się i zataczając. Dotarł do ujścia stawu. Chwycił się wystających głazów i walczył z nurtem, wydzwignął się ponad niewielki uskok. Dostrzegł ciemną postać Harcyka, który brodził już w wodzie, kulejąc i klnąc. W jego stronę zbliżał się potężny mężczyzna. Na kamiennym brzegu zaś, ledwo kilka kroków od Hajduka, czekali jeszcze dwaj. Jan ruszył najszybciej, jak mógł. Rozbrzmiały kolejne strzały, siejąc mu za plecami bryzgi wody. Gnający w poprzek stawu Węgier, ważąc w ręku ni to ciupagę, ni to toporek, był już o krok od Harcyka. I nagle zamarł. Opuścił broń.

Mgła przerzedziła się, odsłaniając gwiazdy i ukazując delikatną, smukłą postać, przytuloną miłośnie do ramienia mężczyzny. Od brzegu nadpłynęły kobiece śmiechy i słodkie głosy. Jan poczuł gorąco rozlewające się w ciele. Wzrok wpił w plecy Harcyka, jakby chciał siłą wypchnąć go ze stawu. „Nie patrz za siebie” – prosił w myślach, sam walcząc z pokusą.

– Chodźcie tu do nas. Zbudziliście taflę jeziora, teraz ukołyszcie nas do snu – śmiała się Leleja i Jan czuł, jak na przemian zalewają go fale pragnienia i zazdrości. – Zaśpiewacie nam, zagracie nam do tańca. My zaś się odwdzięczymy – kusila brzegina, a jej siostry wtórowały.

Harcyk dotarł na brzeg, wydzwignął się na kamienie i usiadł, przyciskając dłonie do ranionej nogi. Widząc to, Jan poczuł, jak opuszcza go determinacja. Głos Lelei mieszający się z rechotem rozochoczonego Beli i ciężkie, pełne ulgi sapanie Gabora stały się nagle treścią nocy. Zapragnął zawrócić, znaleźć się w ramionach brzeginy, kąpać się wśród mgły i gwiazd, kradnąc jej pocałunki i pieszcząc gładkie ciało. I nagle jego spojrzenie padło na skąpanego w bladym świetle trzeciego z bandy – Lajosa. Wciąż z toporkiem w ręku płasał, objęty przez dwie brzeginy. Śpiewał im swym ochryplym głosem, gładził nagie plecy i pośladki. Kręcąc się w niemrawych podskokach, powoli, ale nieuchronnie wchodził coraz głębiej. Gdy zacharczał pierwszy raz, Jan oprzytomniał i rzucił się jak najszybciej do brzegu.

„Dureń! Ile razy Leleja cię ostrzegała?!” – warczał na siebie w myślach. Spojrzał na Harcyka. Ten siedział nieruchomo na kamieniach i pochyliwszy

głowę, zasłaniał uszy dłońmi.

Do świtu przeczekali w jamie nieopodal. Rozpalili niewielkie ognisko i rzucili przemoczone rzeczy na kamienie, by wyschły. Sami poukładali się jeden przy drugim, drżąc z zimna i zmęczenia. Harcyk przespał noc twardo, choć po wielokroć chciał się wybudzić. Śnił, że się dusi pod wodą w objęciach rusałki albo że tańczy na dnie stawu ze wzdętym trupem Beli. Dopiero poranny wiatr, który uwolnił słońce z okowów chmur i przyniósł późnowiosenne ciepło, zdołał strząsnąć majaki z powiek zbójnika. Harcyk wdział mokre wciąż ubrania, jedynie cuchę zostawił koło ogniska. Przepasał się, nabił pistolety i zostawiwszy uspiętego Jana, powlókł się w stronę stawu. Raniona noga spuchła i szarpała bólem przy każdym kroku, a ciało chwyciły gorączkowe dreszcze. Jedyne, co chodziło mu po głowie, to napić się i zanurzyć rozpaloną nogę w stawie. Omal nie ześlizgnął się doń po kamieniach, siadając na skraju. Zaczerpnął dłońmi wody, pociągnął jeden łyk, potem kolejny i zamarł, zgięty w pół. Tafla zadrgała i o kilka kroków od zbójnika wyłoniła się brzegina. Chwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się niepewnie.

– Nic wam nie jest? Gdzie Hajduk?

Harcyk wstał chwiejnie.

– Odejdź.

– Nie bój się. Jestem Leleja, Hajduk musiał o mnie...

– Tak, mówił. A teraz precz.

Jej piękne oczy barwy krokusów rozszerzyły się w zdumieniu, ale zaraz twarz ściągnęła się w wyrazie troski.

– Ranny jesteś! Gorączkujesz. – Wskazała na zakrwawioną nogawkę Harcyka. – Tu ziół dobrych trzeba. Zaraz... Czy Jan...? – Ruszyła szybko do brzegu, nie wzbudzając nawet najmniejszej fali.

Harcyk wyrwał pistolet i wymierzył w nią.

– Uważaj!

Syknęła jak podrażniony kot i zdało mu się, że zaraz zaatakuje. Zamiast uciekać, skoczył jednak naprzód, w płytką wodę.

– Uważaj, mówię! Kule poświęcone!

Leleja znieruchomiała. Zadrżała, gdy wolną ręką pochwycił ciupagę i z zamachu uderzył w przybrzeżny kamień. Coś w jego spojrzeniu mówiło, że jest w tej chwili gotów strzelać z byle powodu. A nawet, że gotów jest swój strach obrócić przeciwko Janowi.

– Przecież ratowałyśmy was w nocy – poczęła przekonywać. – Nie lękaj się. Rzeknij tylko, czy z Hajdukiem wszystko dobrze, i daj mi odejść.

Harcyk kręcił głową, sam już niepewny, czy chce ją przegnać, czy właśnie pragnie zatrzymać tak niewidzialnie uwiązaną, rozżłoszczoną i przestraszoną zarazem, zasłaniającą pierś wyciągniętymi w obronnym geście dłońmi. Coś w głowie podpowiadało mu: „nie daj jej odejść”, choć celu w tym nie było żadnego. Milczał więc, wbijając w brzęginę rozgorączkowane spojrzenie. Ręka z pistoletem drżała z wysiłku, ale nie opuszczał jej ani na moment. Wtem usłyszał kroki za plecami, a potem lodowaty głos Jana:

– Odłóż to, bo łeb ci zaraz na dwoje rozbiję.

Harcyk zgrzytnął zębami i spojrzał przez ramię. Hajduk, z ciupagą w garści, zaszedł go blisko i zdawał się faktycznie gotów roztrzaskać mu głowę. Poczerwieniał z gniewu, usta ściągnął w wąską kreskę, a jego pierś unosiła się w gwałtownych wdechach. „Może to dobrze, że przyszedł” – pomyślał z dziwną ulgą zbójnik. – „Pon Bucek jeden wie, co by z tego dalej przyszło”. Opuścił broń. Hajduk trzasnął go obuszkim toporka w dłoń i podniósł upuszczony pistolet.

– A byś ją skrzywdził... – zasyczał, szarpnięciem wyciągając kompana na brzeg.

– Ranny jest. Może to z gorączki... – rzuciła brzęgina, zbliżając się ostrożnie. – Widzisz? Ta noga. Tyś cały?

– Cały. Uciekaj teraz. Już ja się nim zajmę.

– Hajduk, tylko spokojnie... Nic złego się nie stało.

– To wiem. Idźże, bo on przy tobie jak pijany jakiś.

Usłuchała. Jan obserwował przez chwilę kręgi rozchodzące się po wodzie w miejscu, w którym zniknęła, a gdy już wygasły, obrócił się do Harcyka. Wciąż był wściekły, ale patrząc na zaczerwienione policzki i błyszczące oczy mężczyzny przekonywał się, iż Leleja miała rację.

– Żeby cię...! – Splunął.

– O nie. – Harcyk roześmiał się nieprzyjemnie. – To ciebie diabli pierw wezmą.

– Obaj my nie święci.

– Ja się z wiłami nie zadaję. Czarów nie odprawiam.

– A ja tak. I wiesz to nie od dziś. Siadaj, pokażże tę nogę, a gębę zewrzyj, bo...

– Nie dotykaj! Noga ledwo draśnięta. Sam sobie dam radę.

– Posłuchaj, Harcyk. Uspokójże się, bo uznam, że to nie od gorączki ci się we łbie pomieszało.

– I co wtedy?

– A wtedy to zobaczymy obaj. Nie jątrź już. Starczy sporów. Nie ma wielu pewnych ludzi, z którymi na zbója można iść, a wczoraj o czterech mniej się zrobiło. Nie chcę kłótni. Rozumiem, żeś nie nawykł, ale żeby nie Leleja i jej siostry, już by się kruki na nas żywiły.

– Pewnie i tak. Ale ty naiwny jesteś, jeśli wierzysz, że one to dla nas zrobiły. Żeś chyba nie patrzył, jak ta twoja Leleja zabawiała się z Gaborem.

– Poruszył sugestywnie biodrami. – Nie, nie patrzyłeś, co?

Hajduk poczuł, że gardło zaciska mu się z wściekłości.

– Nie. I ty też nie powinieneś był patrzeć – wydukał.

– A ty może tak. Może byś otrzeźwiał, Hajduk. Zobaczył, co ona ma w naturze. Byś tak nie ufał i na przyjaciół z bronią się nie zamierzał. Kiedyś mogłem cię uratować... Inny byłeś, zanim się zacząłeś z cichą układać. Inny. Pamiętasz? Mogłeś to przerwać. Ale nie... Pistoletem mnie odgoniłeś. I masz, co chciałeś!

– Dość! Nie rozumiem, co mówisz, i nie zamierzam się nad tym głowić. Przeciw mnie coś będziesz miał, to się we wsi policzymy. Rannego nie będę lał, ile byś się nie prosił. A teraz dość!

– Mówisz: dość. Dobrze. – Harcyk wyciągnął rękę po swój pistolet.

Hajduk z wahaniem oddał mu broń. W tej chwili nie był pewny, czy mężczyzna w niego nie strzeli, ale ten klepnął go tylko w ramię i ruszył w dół zbocza.

– Tylko pamiętaj, że teraz już we wsi będę gotów. Nie będę musiał kłamać, że broń poświęcona – krzyknął za siebie.

Hajduk zacisnął z całych sił pięści, z trudem wyparł z myśli złorzeczenia. Chciał wierzyć, że to strach tak pomieszał Harcykowi w głowie, choć w powodzi gniewu, obawy o ukochaną i mimowolnej zazdrości, nie przychodziło mu to łatwo. Ale przecież sam tej koszmarnej nocy czuł przez chwilę, że balansuje na skraju utraty zmysłów, która niezawodnie prowadzi do śmierci. Czyżby dla młodego było tego za dużo? „Młodego!” – zaśmiał się z siebie. – „Trzeci krzyżyk! Młody to on był, jak Niemira była w powijakach...”. Zatrzymał się nad tą myślą, nagle nieprzyjemnie olśniony.

– Byś się na przyjaciół z bronią nie zamierzał... – powtórzył pod nosem. – Inny byłeś, zanim się zacząłeś z cichą układać...

Z trudem przywołał obrazy tamtego dnia. Nie wiedział, że ktoś obserwował go wówczas rozmawiającego z Wityszą. Spór z Harcykiem wydawał się tylko niepozornym zakończeniem szaleńczych wydarzeń. A przecież szczególnym. Nigdy wcześniej ani nigdy później Jan nie sięgnął po pistolet przeciw przyjacielowi.

Dziwnie się poczuł na myśl o tym, że ktoś, kogo uważał za swojego zbójnickiego wychowanka, miałby być mu przez te wszystkie lata wiele dalszy, niż sądził. Otrząsnął się prędko. Melancholia i zwątpienie na nic tu były. Zawrócił do jamy, ale kompana tam nie zastał, choć jego rzeczy zniknęły. Jedynie cucha wciąż leżała na kamieniach. Schował ją, by nie przemokła w deszczach i ruszył ku Rudej Przełęczy. Palcami pogładził wpiętą w kołnierz ozdobną szpilkę i poczuł, jak wraca mu humor.

## ROZDZIAŁ 6

Droga wiodąca z Kościeliska do Zakopanego rozmiękła od deszczów. Harcyk, obolały i rozgorączkowany, ledwo szedł, podpierając się ciupagą, by nie upaść w błoto. Chwilami musiał się zatrzymywać, zamroczony bólem ranionej nogi.

– Hej, dokąd wy?!

– Do kościoła – burknął, nie patrząc nawet na wołającego.

– Do kościoła! Na własny pogrzeb chyba. Zatrzymajcie się, człowieku, pomogę wam.

Zbójnik powiódł umęczonym spojrzeniem dookoła. Mężczyzna stał w cieniu okapu chylącej się karczmy, od patrona pobliskiego kościoła zwanej Klemensówką. Miejsce ginęło u boku wystawnego, bogatego domu Józefa Krzeptowskiego, w którym życie tętniło nieustannie, nawet w środku letniego dnia, kiedy wszystkich powinna pochłaniać praca. Zdawało się, że pobutwiałe ściany złożą się zaraz, zawstydzone swą biedą. Cepry z rzadka bywali w tym miejscu, nawet jeśli zawędrowali w okolicę. Klemensówka miała ponurą sławę, odartą z romantyzmu, który przyciągał przyjezdnych do Cierpkówki czy na zbójnickie popisy.

Harcyk stanął, wyteżył wzrok, ale obraz rozmywał mu się lekko. Człowiek ubrany był na ciemno – ni to żałobnie, ni to kościelnie – rysów jego twarzy zaś nie szło wyłowić z półcienia.

– A wy kto? Dochtór?

Zbójnik pomacał się po kieszeniach i mocniej przytulił tobołek z łupem. Nakłąć już na siebie zdołał za zapomnianą cuchę, szczęściem do pieniędzy łba mu starczyło.

– Nie doktor, ale pomogę. Ból umiem uśmierzać. A może i coś więcej zdołam dla was zrobić. Chodźcie, człowieku, przecież nie żandarm jestem.

Harcyk skrzywił powoli w stronę Klemensówki. Postawił pierwszy krok i upadł. Ciupażka pękła mu wpół.

Obcy usadził go na ławie w kącie przestronnej izby, opartego plecami o drewnianą ścianę. Jego nogę położył sobie na kolanach, nożem rozciął nogawkę portek i począł oglądać ranę. Harcyk przyglądał mu się nieufnie.

Człowiek nie przypominał nikogo, z kim góral wcześniej miał do czynienia. Po prawdzie nie wiedział, co dziwi go bardziej: tatuaże drobnych znaków pokrywające przedramiona i dłonie mężczyzny, długie, czarne włosy, spadające mu na plecy pajęczyną łączących się warkoczy, czy wreszcie sama twarz przywodząca na myśl przyjeżdżających czasem z Krakowa uczonych. Mówił gwarą płynnie, ale z wyraźnym akcentem nietutejszego, zresztą mówił niewiele. To, co obiecał zrobić, zrobił jednak sprawnie. Harcyk wpięrow poczuł ostre pieczenie, gdy mężczyzna nacierał mu ranę maścią, potem jednak wraz z ciepłem rozlało się błogie odrętwienie.

– Gospodarzu, gorącej wody dajcie!

– I gorzałki – mruknął Harcyk. – Dla was, człeku, za pomoc – zwrócił się do obcego. – Jak was wołają?

– Dalegor.

„Nie po bożemu jakoś” – błysnęła myśl góralowi, a obcy ułapił ją w lot.

– Stare imię, jeszcze z czasów, gdy Światowidy i Wołosy nad tymi ziemiami rządzili. Właściwie drugie imię. Od chrztu mam Piotr. Ale tak mi częściej mówią; ot, jak zawołają Dalegor, to wiadomo, o kogo chodzi.

Harcykowi, który swoje właściwe imię prawie zdołał zapomnieć, starczyło to za wyjaśnienie. Wypił podany napar, jak mu powiedziano, na spędzenie gorączki, a potem obaj sięgnęli po gorzałkę. Dalegor zakrzyknął jeszcze na gospodarza i na stole stanęła pieczona baranina i kawał sera. Zbójnik dawno tak dobrze nie jadł. Nie był nawet pewien, czy kiedykolwiek w Klemensówce podawano tak doskonałe wyroby – zwykle ograniczał się do gorzałki albo piwa, czasem przegryzając słoniną albo kluskami na wodzie. Posiłek i ognisty trunek rozwiązały mu język, ale i otrzeźwiły. Plótf trzy po trzy, wypytywany przez obcego o góry i okoliczne wsie, ale coraz baczniej mu się przyglądał. Niepokoiły go tatuaże. Nie to nawet, że w gęstej mozaice symboli poznawał i te, które rysował czasem Jan. Odrzucało go – choć sam nie rozumiał dlaczego – że na dłoniach ich monotonna symetria była rozerwana na pojedyncze znaki i litery.

– No miałem dziś jeszcze do księdza zajść – rzucił, nim Dalegor zdołał zadać kolejne pytanie.

– A, tak. Ani myślę zatrzymywać. Ranę obmywajcie codziennie wodą. Dam wam też maść do smarowania.

– Nie mam dutków.



– Nie szkodzi. – Dalegor nachylił się do Harcyka, uśmiechnął się porozumiewawczo. – Wy zbójnik. Jak chcecie się odwdzięczyć, to sami wiecie... Człowiek mało co ceni równie mocno, jak swoją całą skórę.

Podali sobie ręce na znak zgody.

– Ostańcie z Bogiem, Dalegorze.

– I was niech bogi strzegą. – Mężczyzna rzucił karczmarzowi pieniądze i podszedł z Harcykiem do wyjścia. – Bo strzec was muszą – dodał ciszej. – Ktoś wam źle życzy, zbójniku. Rana jątrzyła się od złego spojrzenia. Przeklął ktoś was. I to nie byle przekupa na targu, co klątwami sypie na prawo i lewo.

Mężczyzna drgnął, zacisnął i rozluźnił pięści. Obraz Jana, który opuścił go przez kilka ostatnich godzin, wrócił nagle wyrazisty i złowróżbny. Tłumiony latami strach i gotująca się w trzewiach odraza, napały znów potężną falą.

– Skąd wiecie? – syknął zbójnik.

Dalegor zmrużył oczy jak człowiek wypatrujący czegoś w dali. Uśmiechnął się kąciakiem ust.

– Bo sam się na tym znam – przyznał. – Lecz jestem wam życzliwy. Za wiedzą tu wędruję, nie za ludzką krzywdą. Za zrozumieniem. A jak przy tym pomóc mogę... – Rozłożył ręce. – Tu ludzi w potrzebie nie brak. Otwartych, gościnnych. Po miastach za szarlatana mnie mają.

– A za kogo mieć powinni? – Harcyk rzucił okiem na swoją nogę.

– Za żercę. Lecz to niewiele mówi w czasach, gdy starzy bogowie już śpią. Chodźcie, wypijcie ze mną jeszcze butelkę. Teraz ja coś opowiem. Co wam do kościoła? Ksiądz stary, a tu już się ściemniło. Śpi pewnie.

Wokoło faktycznie zdążyło poszarzeć i podejrzenia Dalegora zapewne były słuszne. Harcyk spojrział za siebie. Noga wprawdzie już nie bolała, a otumanienie gorączki roztopiło się w przyjemnym oszołomieniu wódką, ale zbójnikowi nie uśmiechało się wracać teraz w góry czy szukać kąta w Kościelisku. Klemensówka kusila zapachem strawy, ciepłym paleniska. I schronieniem... Przede wszystkim schronieniem.

– Macie rację. Zostanę jeszcze na jednego.

Dalegor uśmiechnął się serdecznie i klepnął górala po plecach. Zawrócił pierwszy do izby i krzyknął na karczmarza. Harcyk ruszył za nim. W progu omal nie upadł, potykając się o swoją połamaną ciupagę. Kopnął ją wściekle i wmaszerował do środka, gdzie człowiek nazywający siebie żercą pochylał się już nad dwoma kubkami.

Dalegor, wcześniej milczący, ochoczo rozpoczął opowieść. Głos miał niski, przyjemny dla ucha, wręcz hipnotyzujący. Błyskał od czasu do czasu w uśmiechu równymi, zdrowymi zębami albo chmurzył się i wtedy z jego oczu zdawały się sypać błyskawice. Miał już swoje lata – Harcykowi wyszło, że co najmniej szósty krzyżyk na karku – ale nie wyglądał na starca. Gdy zbójnik o tym wspomniał, zasłonił się wielowiekową wiedzą medyczną, której na uniwersytetach nie uczono.

O prawdziwych przyczynach nie zamierzał wspominać. Jeszcze... Ostrożnie dawkował informacje i czujnie badał drgnięcia mięśni na twarzy rozmówcy. Ten człowiek, nazywający siebie Harcykiem i tak uparcie ciągnący do kościoła, wiedział o sprawach Pon Buckowi dalekich lepiej, niż chciał przyznać. Budziły w nim jednak lęk – nie pobożny strach naiwnych dewotów, lecz prostą, praktyczną obawę o przetrwanie. Ostatnie lata wędrówek Dalegora były nieustanną nauką czytania innych. Poznawania bez słów ich intencji, obaw i pragnień. Tak przygotowywał się do powrotu w Tatry – do swojej największej obsesji, porażki i nadziei.

Nie kłamał, gdy żalił się na niewdzięczną rolę żercy w świecie, w którym starzy bogowie oddali władzę obojętnemu bytowi, wyposażonemu w potęgę, do której nie szło sięgnąć. Urodzony w Warszawie, więcej się ze swymi darami męczył, niż z nich korzystał. Szukał po mazowieckich puszczech starych kręgów, ruin chramów i pobudowanych na ich zgliszczach kościołów, gdzie miał nadzieję poczuć, że w żyłach nowej potęgi płynie dawna krew. Ale wszystkie jego wysiłki prowadziły wciąż i wciąż do tych samych wniosków – był kapłanem pozbawionym bogów. Sierotą podrzuconą ludziom niezdolnym pojąć jego zmysłów. Widział i słyszał więcej. Na studiach próbował temu zaprzeczać – żyć jak inni, odrzucać stare obyczaje. Ale coś zatrzymywało mu rękę, gdy chciał ściąć włosy, więc plół je w dziesiątki warkoczyków, które same układały się w niepojmowalne znaki. Coś nie pozwalało mu usnąć, póki nie rzucił ofiar domownikom i nie zabezpieczył domu przed lichem. Żył na uboczu, coraz bardziej wypierany z warszawskich salonów, wsiąkający w biblioteki. Odnajdywał skrawki kronik, odsłaniające stare zaklęcia, i wędrował za ich wskazówkami. Zaniedbywał przy tym naukę, zagniewany krótkowzrocznością profesorów. A jednak to ona mu pomogła. Leczenie chorób płucnych nie było bliskie jego zainteresowaniom, ale przypadek (a może już wtedy bies?) zawiódł go na wykład na temat uzdrowiskowego klimatu małej miejscowości pod górami.

Ta opowieść, czy raczej następująca po niej wymiana anegdot otworzyła mu oczy. Góry! Zawsze przez bogów zaniedbywane – zarówno starych, którzy oddali je w ręce pomniejszych demonów, jak i nowego, który ledwo co ponowił swój szturm na serca żyjących tam ludzi – nie ucierpiały tak znacząco na ich uśnięciu.

– Pierwsza wyprawa w Tatry była, przyznam, omyłką – mówił Dalegor, pocierając nerwowo przedramiona. – Nie rozumiałem tutejszych, nie miałem doświadczenia i sił na wędrówki, nie wiedziałem, gdzie i kogo pytać. Poszedłem na Rysy, wierząc, że zobaczę z nich coś więcej, ale tyle mi z tego przyszło, że schodząc, omal nie zginąłem w lawinie. Wyjechałem rozgoryczony, bardziej zagubiony niż przedtem.

Już nie sam... Biesy znalazły sobie miejsce u boku Pana Boga czy raczej diabła, w którego chrześcijanie mieli obowiązek wierzyć. Miały się dobrze wszędzie, lecz nigdzie tak dobrze, jak w Bieszczadach, dokąd odszedł. To jednemu z nich zawdzięczał witalność, to jego słowa odcisnęły mu się na rękach tatużami. Wreszcie to on wskazał mu, gdzie szukać tajemnicy Tatr. Co wcale nie uczyniło sprawy prostą, a wręcz przeciwnie – prawie kosztowało Dalegora życie. Teraz przyszła trzecia próba. Przemysłana, powolna, pełna pokory.

– Gotów jestem spędzić tu tyle czasu, ile będzie trzeba, by zrozumieć. I przyznam, że jesteście dla mnie znakiem, że warto.

– Ja? – Harcyk ziewnął nad kubkiem.

– Wy, zbójniku, lub ten, który was przeklął.

– A! Nie mówmy o tym.

– Wiecie, kto to?

Harcyk machnął ręką. Nic o sobie nie chciał mówić, a historia Jana i cichej zdawała mu się teraz tak głęboko zakorzeniona w umyśle i sercu, że niemal intymna. Niepostrzeżenie przerosła go jak grzybnia murszejące drewno. Starczył wstrząs, by zewnętrzna powłoka, która utrzymywała wszystko we względnym porządku, posypała się, zostawiając tylko ten dawny strach i obrzydzenie. Nie chciał się z nimi przed nikim zdradzać. Próbował odwrócić nurt rozmowy, znów pytać, i Dalegor nawet temu uległ. Pozwolił góralowi dominować w rozmowie, a potem z następnym kubkiem siwuchy wrócił do tematu. Zataczali kolejne kręgi, aż góral zasnął z głową na stole. Żerca wstał, z izby, którą tu wynajął, przyniósł grubą pelerynę i okrył uśpionego rozmówcę. Spodziewał się czego innego, ale nie był

rozczarowany. Upór Harcyka w chronieniu sekretów górali upewniał go, że ma do czynienia z właściwym człowiekiem. Głupi chętnie się dzielą niestworzonymi historiami. Ten, kto poznał prawdziwe tajemnice, uczył się powściągliwości.

## ROZDZIAŁ 7

Lato rozgościło się na dobre w początkach lipca – akurat na wesele Terezji z Halków Kowalówny, córki Staszka Kowala. Niemirę oderwano od miecha i kowadła, do których zdołała się przywiązać, i poczęto ganiać za przygotowaniami. Jeździła z Halkową po materiał, pomagała Kowalowi drewno wozić do tartaku, kury biła i skubała, chatę stroiła, zwoziła piwo i gorzałkę. Terezja szła za bogatego chłopca, co dobrze żył z właścicielami zakopiańskich kuźni, więc na wyprawianym w Zakopanem weselu niczego nie mogło zabraknąć.

Poza Niemirą. Od rana wysłuchiwała śmiechu drухen – wśród nich i swojej siostry – później wypytowin i błogosławieństw. Zerknęła dyskretnie, gdy pan młody przywdziewał w domu swojej przyszłej żony uszykowaną przez nią koszulę. Kiedy jednak młodzi i biesiadnicy ruszyli do kościoła, Niemira została. Cierpkówka wyludniła się – Halkowie sprosili niemal całą wieś, a ci, do których pytacy nie posłano, i tak siedzieli na halach lub zbójowali. Dziewczyna odprowadziła weselników wzrokiem i wróciła do chałupy. Zamiotła, odstawiła kolorowe naczynia na jedną z belek i skierowała się do kuźni. Choć czekały tam na naprawę lemiesze, a zamówienia na zawiasy, okucia, noże i narzędzia zdawały się mnożyć co dzień, weszła do komory. Zatrzęsnęła drzwi i rzuciła się na siennik. Chciała jak najdłużej zachować w uszach muzykę kapeli, która towarzyszyła przyszłym nowożeńcom od rana i wywędrowała teraz wraz z nimi do kościoła. Naciągnęła na głowę koc, odgoniła Przylepę i zamknęła oczy.

– Piecuchu, piecuchu... Jak rozpalisz na palenisku i ognia przypilnujesz, jadła ci przyniosę i noc całą w kowalskim żarze spędzisz – zawołała jeszcze na pomocnego ducha.

Gdy muzyka na dobre zgasła, wzięła się do pracy.

Nad robotą właśnie zastała ją Jadzka Kowalowa, gdy zmęczona, ale rozbawiona i wzruszona na trzeci dzień zjechała do domu. Szumiało jej jeszcze w głowie od śmiechów, muzyki i gorzałki, a równe, dźwięczne uderzenia młota o kowadło przyprowadzały o ból. Wpadła do kuźni, chcąc przerwać dziewczynie, ale coś zatrzymało ją w progu. Niemira, złana

potem, pracowała z hipnotyzującą regularnością. Narzędzia chodziły w jej dłoniach nadspodziewanie lekko i precyzyjnie, a na wysokim czole malowały się bruzdy skupienia.

– Do czegoś mnie potrzebujecie? – spytała, nie odrywając się od zajęcia.

– Nie... Nie, kochana. – Jadźka odeszła pospiesznie, pocierając powieki, które zaczęły piec od dymu i duchoty.

Wróciła jednak zaraz.

– Zostaw tę robotę.

Niemira posłusznie odłożyła narzędzia. Spojrzała na gospodynię. Kowalowa pochylała się lekko, oparta plecami o futrynę. W rękę trzymała białą, pięknie haftowaną chustę. Czerwień, zieleń i żółć tworzyły na niej zawily, kwiatowy wzór.

– Chodźże tu, Niemira. Wieczorem družbiarsko gościna w karczmie u Raptusa będzie. Drużby się sprawiły, należy im się zabawa. Pójdźże tam. Potańczysz trochę i muzyki posłuchasz. Urobiłaś się przy tym weselisku po łokcie.

Gaździna spodziewała się wybuchu radości i całowania po rękach, ale odpowiedzią było tylko ciche podziękowanie. Niemira, skołowana i wyczerpana, zdawała się nie ufać w to, co słyszy. Jadźka podjęła zdecydowanie:

– Idźże się umyć, włosy schludnie zapleć. Weźmiesz tę chustę. Ładnie ci w niej będzie. Może się komu nawet spodobać?

Ciemnie oczy Niemiry rozblęły. Jadźka zadrżała, spostrzegłszy, że mienia się dziesiątkami uwięzionych spojrzeń. Jakby tkwiły w nich pokutujące dusze.

– Wy mówicie poważnie? Dla mnie?

– Dla ciebie. Zasłużyłaś, dziewczyno, zasłużyłaś.

– Dziękuję wam. – Niemira bezwiednie wyciągnęła umorusaną dłoń po chustę.

– A gdzie?! Najpierw się umyć, dopiero stroić. No przecież upaprasz – rugała dziewczynę Jadźka i się śmiała.

Zrobiło jej się ciepło na sercu. Może to pustka po wypuszczeniu córki w świat tak się goiła?

– No, już. – Wyprostowała się i wzięła pod boki. – Zostawię ci to w komorze. A ty się szykuj. Z wieczora kapela będzie, śpiewy, tańce...

— — — — —

Tańce. Nic tak nie hipnotyzowało Niemiry, jak ruch nóg wybijających rytm, uginających się i prostujących w odpowiedzi na zawołania gęślików. Osamotniona wśród rozbawionej gawiedzi, usiadła na ziemi, obok ławy, by mieć jak najlepszy widok. Czasem podnosiła wzrok, chcąc uchwycić asymetryczną harmonię łydek i wzniesionych ramion albo zwyczajnie popędzić wzrokiem za wirującą spódnicą. Kachna brylowała – nie było mężczyzny, który nie chciałby z nią zatańczyć. Rumieńce prawie zakryły sine ślady zbyt ciężkiej ręki męża i Niemira chwilami ulegała wrażeniu, że wróciły z siostrą do czasów, gdy Agnieszka jeszcze żyła, w chacie Wardów było dla wszystkich miejsce, a Szymek nie ważył się podnieść ręki na żonę.

Nagle ktoś tupnął tuż koło niej i trzasnął ciupagą o podłogę.

– Niemira! Do tańca!

Kowalik stał nad nią z wyciągniętą ręką. Kapelusz gdzieś zgubił, ale z szerokim, nabijanym mosiężnymi guzami pasem i piękną, kutą spinką u koszuli, prezentował się nie gorzej niż inni biesiadnicy. Gorzałka dodała mu animuszu, pozwoliła zapomnieć o niskim wzroście, a nawet o dawnych zadrażnieniach. Od nocy po redyku mało ze sobą mówili. Niemira wróciła do krycia swych sekretów, a Klimek do dyskretnej obserwacji. Czasem tylko, wbrew sobie, wędrował za nią, gdy szła w las. Przekonywał się wtedy kłamliwie, że to z obawy o jej bezpieczeństwo. Teraz, bawiąc się kolejną noc, sam przed sobą przyznał się do zazdrości – złości na ten niezrozumiały mu świat, który ją pociągał.

Niemira wstała, unikając spojrzenia chłopaka. Chciała tańczyć, pragnęła być częścią tego transu drgających, podskakujących i sunących po deskach nóg, i właśnie to, nie Kowalik, przekonało ją do zabawy. Gdy ją objął, nie czuła nic poza pulsującą w żyłach muzyką. Nie dała się porwać do tańca – sama poprowadziła w dzikie obroty i podskoki, zatopiona w zaśpiewie gęślików i fujarek. Kowalik zagwizdał jej przeciągle tuż nad uchem, wywołując dziwne drżenie. Lekki i sprawny, bez trudu nadażał za rozpaloną partnerką. Przycisnął ją mocniej do siebie. Była tu całą sobą, doświadczając wszystkiego tak mocno jak nigdy, a przy tym czuła się odległa, jakby utkwiona w innym świecie. Chusta sfrunęła jej z ramion i zaplątała im się pod nogami. Kowalik puścił dziewczynę, przy wtórze mocnej, krzesanej nuty wyskoczył w górę, opadł do przysiadu i zgarnął materiał z ziemi. Zrzucił chustę na ramiona partnerce i przyciągnął ją znów do siebie, ignorując przeręcaca, któremu zbrakło refleksu, by go zastąpić. Chciał

skraść dziewczynie całusa albo chociaż szepnąć komplement wprost do ucha, ale gdy się zbliżył, otrzeźwiała nagle i pokazała mu język. Niezniechęcony, złapał ją mocno za ramiona i począł się kręcić szybciej i szybciej. Przycisnął czoło do jej czoła. Śmiali się oboje.

Gromkie „hej!” huknęło nagle w karczmie i muzyka się urwała. Zdyszani odeszli na bok, odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami. Starszych bawiło się mało, więc niejedna breweria już odchodziła, ale i mimo tego przyciągnęli uwagę. Spojrzenie Niemiry przygasło, lecz uśmiech wciąż zdobił jej twarz, gdy wiązała chustę.

– Inna jesteś, gdy taka rozbawiona – rzucił Kowalik.

Wiedziała, że mówił, by nie pozwolić ciszy stać się niezręczną, ale też nie wątpiła, że był szczery. Sama czuła, że jest inna. Wesoła i jednocześnie obca sobie w tej radości – jakby wtłoczona w cudze ciało. Z ulgą przyjęła pojawienie się Antka Wardy, który czujnym spojrzeniem spłoszył Kowalika. Inne dziewczki po wesołym tańcu wracały do towarzystwa kobiet, ale Niemira nie widziała dla siebie miejsca u boku Kachny.

Starsza siostra siedziała teraz na ławie, otoczona przez przyjaciółki. Gdy opadło z niej podniecenie tańca, na wierzch wyszedł smutek. Czoło oparła na smukłej dłoni, drugą ręką mechanicznie rozprasowywała fałdy kwiecisto haftowanej spódnicy. Niemira dostrzegła siniaki na jej nadgarstku, wyglądające spod białych mankietów koszuli.

– Antek, zróbże coś, żeby ona taka nie chodziła – rzuciła mimowolnie, podchodząc do brata.

Kachna była z nich najstarsza, ale ledwo cztery lata starsza od Niemiry. Zawsze najbardziej samodzielna, pomagała matce i w sposób naturalny zajęła jej miejsce w rodzinnej hierarchii. Antek, choć tylko rok młodszy, przyjął odruchowo podrzędną rolę, choć przyczyniał się chyba najbardziej do stopniowego wzbogacania się Wardów. Szymkowi, po jakiejś awanturze, własny ojciec zabronił wstępu do domu i wydziedziczył. Zamiast pomóc Kachnie wyjść z biedy, mąż spadł jej więc na kark kolejnym ciężarem.

– Jaka? – Brat spojrzał nieprzytomnie na Niemirę.

Mało rozmawiali, odkąd odeszła z domu, a już na pewno nie na temat rodziny.

– Smutna i potłuczona.

– A co to moja rzecz? Męża ma, niech on się...

– Przecież to on ją bije! – warknęła Niemira.



- A cóż tobie do tego? Cóż mi? Nie moja sprawa.
- To twoja siostra. Mieszkacie pod jednym dachem. Ba! W jednej izbie...
- O, to już niedługo. Na przyszły rok rozbuduję chałupę.
- Ja nie o tym!
- Niemira, nie wiem, Jan może będzie chciał się wtrącać. Ja tam w sprawy między babą a chłopem się nie wcinam.

Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę.

- Jan rzeknie to, co ty – skapitulowała.
- No i mądrze rzeknie. Słuchaj, to nie może być tak, że jak mąż z żoną żyje, to cała wieś im w to życie zagląda. Nie po to kobieta ślubuje, żeby dalej pod opieką brata czy ojca siedzieć. – Spojrzał na Niemirę i zaśmiał się nerwowo. – Cóż, może siostrzana opieka pozostaje w mocy – rzucił lekko.

Odpowiedziało mu grobowe:

– Może...

Zamilkli na chwilę. Antek myślał spytać jeszcze o Kowalika, ale ton rozmowy wywiał mu lekkie tematy z głowy. Szczęściem ktoś kapeli nakazał grać zbójnickiego. Mężczyźni stanęli kołem, ciupagi uniosły się pod powałę. Antek dołączył do nich, Niemira zaś ponownie usiadła na ziemi. Pan młody z początku nadawał ton. Na jego okrzyk górale przysiadali i gwałtownie wyskakiwali w górę, bili się po kostkach, uderzali podszwami o siebie, czy zderzali ciupagi. A wszystko to pędząc w koło coraz szybciej i szybciej. Aż krąg się załamał. Każdy pognał za własnym instynktem, to tłukąc z siłą nogami o podłogę, to niemalże podfruwając pod powałę w coraz trudniejszych figurach. Ściany karczmy dygotały, na stołach przewracały się kubki. Niemira mięła w rękach chustę. Miała ochotę wyrwać do tańca, oddać się tej dzikiej, surowej jak same góry zabawie. Chciała... coś zmienić. Coś naprawić. Fascynacja mieszała się z dojmującym uczuciem jakiejś strasznej niedoskonałości, której zmysły dziewczyny nie umiały wskazać, ale serce wyczuwało. Od migających przed oczami łydek obciążonych portkami z jasnej wełny zawiroowało jej w głowie. Dźwignęła się na nogi i poczuła, jakby ktoś szarpnął ją za koszulę. Ledwo powstrzymała się przed wyrwaniem między mężczyzn i pochwyceniem ciupagi. Wybiegła z karczmy, by uciec niestosownej pokusie. Serce uparcie jednak podpowiadało, że tam właśnie byłaby na swoim miejscu.

- Tylko nikt poza mną by tak nie uważał – stwierdziła ponuro, gdy siedzieli już z Szelestem przy ognisku.

Odnalazła go nadzwyczaj łatwo, jakby coś przeczuwał i chciał być znaleziony. Nie odeszli nawet daleko od wiodącej do wąwozu drogi. Na rozkaz leszego okoliczne krzewy i drzewa splotły się gałęziami, chroniąc ich przed ludzkimi spojrzeniami.

– Obchodzi cię, co uważają?

– Chyba musi. Sam powiedziałeś, że to wszystko jest jeden świat.

– Wszystko – podkreślił. – Znaczy, że to, co siedzi w tobie, też.

– A co siedzi? Ty wiesz, co mnie w tym tak drażniło? Co tam było nie tak?

– Możesz zatańczyć z nimi, Niemira, i sama poczuć.

– Nie, nie mogę.

Leszy oparł brodę na złożonych dłoniach. Kątem oka wpatrywał się w otuloną pięknie haftowaną chustą dziewczynę.

– Na wiosnę nie byłaś gotowa im ustępować. Ani na krok.

– Bo tak naprawdę nic by mi z tego wtedy nie przyszło. Teraz z uporu nie przyjdzie. Wiesz, zrobiło się inaczej. Powoli dogaduję się z Kowalami. – Spłonila się lekko, gdy wskazał na chustę. – Tak, to od Jadźki. Klimek ze mną zatańczył, ludzi się nie wstydził. Myślę, że warto tego nie stracić.

– To na pewno. Chłopak zresztą zdawał się o ciebie troszczyć już wcześniej.

– Aj, nie gadaj. Nie mówię tak konkretnie o nim. Chodzi o to, że ja wśród tych ludzi będę dalej żyła. W lesie przecież nie zamieszkać. Teraz okazali mi trochę serca. Jadźka, wyobraź sobie, najbardziej bogobojna we wsi, przystała na piecucha. Żebyś widział jak teraz lżej. Prawie zapomniałam, po co w kuźni miech. A Klimek karmi Przylepę... I tak, chyba go do mnie ciągnie, ale to inna rzecz. Ta przychylność ma granice. I czuję, że są blisko. Nie chcę ich odstraszyć, będąc w pełni sobą, skoro chociaż część mnie zaakceptowali. Rozumiesz?

Szelest siedział nieruchomo. Kącik ust drgał mu lekko – ni to w płuśmiechu, ni to w nerwach.

– Rozumiem. I cieszę się, że znajdujesz sobie przy nich miejsce.

– Właśnie nie... – Zwiesiła głowę. – Właśnie ciągle jestem nie na miejscu. Tak w środku. Kiedy tańczyłam z Kowalikiem, coś było w tym świetnego i szczęśliwego. I tak nieswojo się z tym szczęściem czułam. O! Nieswoja. Może tak mi powinna była dać Witysza, zamiast tej Niemiry.

– To by było złe imię. Brak spokoju gna przynajmniej naprzód. Bycie poza sobą to najgorsze, co można sobie zrobić.

– Więc co? Odrzucić ludzi? I co dalej?

Leszy zasepił się. Na jego oblaną światłem płomieni twarz wypłynęła melancholia. Oczy, zwykle ciemne jak pochmurne niebo, nabrały wyrazu wzburzonego strumienia.

– Nie. Pewnie to jest czas, kiedy powinnaś iść do ludzi. Ale nie za wszelką cenę. Nie wiem, czy powinienem ci to radzić, bo może zarówno zniweczyć twoje plany, jak i w nich pomóc. Ale wierzę, że to ważne. Niedługo Sobótka. Tym razem idź świętować z młodymi ze wsi. Nie z brzeginami. Idź świętować z ludźmi.

– I... co się stanie? – spytała ostrożnie.

Odpowiedział jej wymuszonym, podszytym smutkiem uśmiechem.

– Mam nadzieję... – urwał. – Dostaniesz odpowiedzi. Na pewno. Jakies – dodał po chwili.

Wstyd mu było, że próbował skłamać. „Mam nadzieję... Nie. Chcę mieć nadzieję, że odnajdziesz swoje miejsce wśród ludzi”. Ale jeszcze bardziej wstyd mu było wypowiedzieć prawdę na głos. Niezmiennie od lat pragnął jej dobra. Pierwszy raz jednak ich wizje tego „dobra” się różniły i to jej mogła być właściwa.

Obserwował, jak Niemira kiwa w zamyśleniu głową, gładząc palcami frędzle chusty. Uśmiechała się lekko do własnych myśli, co rzadko widywał.

– Pójdę już. Wolalabym przed końcem zabawy wrócić do Cierpkówki. – Wstała powoli, ujęła go za rękę. – Dziękuję ci bardzo. Zrobię, jak radzisz.

Pogładził ją po dłoni. Jeszcze rzadziej się zdarzało, by sama z siebie, nieponaglana, chciała wracać między ludzi.

## ROZDZIAŁ 8

– W okna trzeba wstawić gałęzie. – Niemira wskazała Kowalikowi zielony stos. – Bydło przez ogień będziecie pędzić? – spytała Jadźki.

Kobieta pokręciła głową, ale nie skomentowała nic więcej. Od dnia ślubu Terezji wiele się między nią a Niemirą zmieniło. Dziewczyna zaczęła chodzić po chacie, jakby była u siebie. Doradzała i pomagała przy wszystkim, nie zaniedbując pracy w kuźni. Czasem wręcz zaczynała dyrygować. Klimek często wyręczał ją w obowiązkach, za co się odwdzięczyła, zabierając go na wyręby. Od tego momentu coraz częściej widywano ich przy wspólnej pracy. I choć w głębi duszy Jadźka martwiła się tą rosnącą zażyłością, czasem jedynie miną się z tym zdradzała.

Sobótkowe stosy stały już na halach, szczyt Gubałówki i Sarniej Skały. Światy żywych i martwych miały się tej nocy oddać wspólnemu tańcowi i każdy gospodarz w Dymnym Wąwozie, choćby najbardziej lojalny Podhalańskiemu Gaździe, wiedział, że trzeba obejście zabezpieczyć przed złymi duchami. Niemira znów, na krótką chwilę, stała się miłym gościem niemal w każdym domu. Radzono się jej tak, jak kiedyś Agnieszki i Matuszy.

Gdy zaszła pod dom Spaleników, zastała tylko starą Hankę, która nie mogła już chodzić i całe dni przesiadywała na stołku, szyjąc czy haftując. Widziała słabo, ale jej palce znały swoje ścieżki i nic nie mogło ich oderwać od pracy. Tym razem jednak kobieta tkwiła nieruchomo, ze zmiętą robótką w dłoniach. Usłyszawszy, że ktoś łązi po izbie, rzuciła:

– Znalezliście?

– Co takiego? Scyńście bogi. To ja, Niemira. W przygotowaniach przysłałam pomóc.

– To idźcie im pomóc. Niemojka zniknęła.

– Niemojka? Kiedy? Co się stało?

– A! Z południem się spostrzegli, że dziecka nie ma.

– Ale podmieniona?

– Nie. Syn mówi, że przepadła jak kamień w wodę. Ślady jeno, że z podwórza poszła.

– Czyli nie dziwożony. – Niemira się zamyśliła.

Żwawa pięciolatka – jedyne dziecko Wojtka Spalenika, które przyszło na świat po tragedii przed osiemnastoma laty – pilnowana była przez rodzinę jak oczko w głowie. Nawet na podwórze rzadko wychodziła bez ojca, który od czasu jej narodzin przestał przy wypasie i w polu pracować, a zaczął się trudnić drobnymi robotami we wsi. Zdawało się niemożliwym, by wyszła niepostrzeżenie i to w tak niebezpiecznym momencie.

Całe góry – od regli po granie – w podnieceniu wyczekiwały Sobótki. Tego dnia nawet Jan opuszczał dla własnego bezpieczeństwa Leleję, choć pokusa spędzenia z nią zmysłowej nocy była wielka. Brzeginy, zwykle życzliwe ludziom, pogrążone w transie pożądania mogły w jednej chwili wciągnąć upatrzonego mężczyznę pod wodę lub rozerwać go w szaleńczym tańcu. W rzekach i stawach czaiły się topielice i utopce, a przy szlakach grasowały strzygi. Słońce tego jednego dnia nie zrażało upiorów – każdy chciał pochwycić sobie ofiarę do nocnej zabawy. Dopiero zmierzch i żywy ogień sobótkowych stosów oczyszczały emocje i prawdziwie zbliżały ludzi i duchy.

Niemira wyszła przed chałupę. Rozważając, co dalej zrobić, odruchowo sypnęła soli do studni i przejrzała zrzucone na podwórzu jodłowe i jaworowe gałęzie.

– Szukają od rana... Albo za późno, albo las już wie – rzuciła do siebie.

Czekano na nią jeszcze w trzech obejściach w Cierpkówce i w większości wicherzykowych domów. Machinalnie chwyciła gałęzie i poczęła je mocować w oknach, ignorując oburzenie starej Hanki.

– Tyle mogę zrobić.

Las rzeczywiście wiedział, że górale szukają dziecka. Szelest usłyszał to od Jana, który z kolei, zabijając czas wędrówkami, spotkał zrozpaczonego Spalenika. Leszy posłał swoją watahę, ostrzegł ptaki i jelenie. Sam ruszył ramię w ramię ze zbójnikiem. Hajduk szybko zauważył, że nie jest w tym towarzystwie jedyną niespokojną, wyczekującą nocy duszą. Zwykle poważny i dostoyny Szelest, zdawał się rozedrgany. W jego oczach odbijały się fale myśli, z dłoni i przedramion wypadały liście, co nieomylnie wskazywało, że coś go trapi. I na pewno nie było to ludzkie dziecko, kompletnie mu obojętne.

– Coś złego idzie? – spytał nagle Jan.

– Nie. Skąd ten pomysł?

– Ach.

Zbójnik zaśmiał się do siebie. „Czyli Niemira” – stwierdził z rozbawieniem.

– Sam jej kazałeś na Sobótkę iść do ludzi.

– Co? Czemu teraz o tym mówisz?

– Bo się tym martwisz. Szelest, nie próbuj robić ze mnie głupca.

Spojrzeli po sobie długo, ze zrozumieniem.

– Właśnie dlatego, że jej kazałem, martwię się teraz. Jeśli coś złego z tego wyjdzie, to będzie moja wina.

– Doradziłeś najlepiej, jak umiałeś. Co się stanie, zależy już od niej. Czy nie?

Leszy spojrzał ze znużeniem na przyjaciela.

– Skoro wszystko wiesz, po co pytasz? – odparł trochę flegmatycznie.

– Próbuję cię zrozumieć. – Jan wzruszył ramionami i otarł pot spod kapelusza. – Gdybyś był chłopakiem ze wsi, obrugałbym cię, że najpierw powinieneś się zdecydować, czy ją chcesz, czy nie, a potem kombinować. Ale wiem, że z wami to bardziej skomplikowane. Kazałeś jej sprawdzić siebie i ludzi. Nic w tym złego.

– Tak, ale wiesz, że się domyślam rezultatu. Ona ma tak wiele z Agnieszki czy Urszuli...

Jan poklepał leszego po ramieniu. Ukucnął nad stawem, do którego właśnie dotarli, i począł przeczesywać wzrokiem sitowie. Spostrzegł kołtun włosów zaczajonej topielicy.

– Spłoszysz ją? Płytko tu, sprawdziłbym dno.

Szelest chwycił garść runa, roztarł je w dłoniach i rzucił w wodę. Poszły kręgi, jakby cisnął co najmniej duży kamień. Woda zakipiała. Jan zobaczył jeszcze wzdętą twarz topielicy umykającej w głąb.

– Możesz sprawdzić.

Z przyjemnością wszedł do wody – dzień był nieznośnie upalny – i zaczął przeczesywać dno. Wyszedł szybko, kręcąc głową.

– Nie ma. Chodźmy – zarządził, przypasując z powrotem pistolety. – Jeśli zaś chodzi o Niemirę. Nic w tym złego, że żał ci ją stracić, oddać ludziom. Szkoda, żeś się tak późno spostrzegł, bo ona już od dwóch lat oczu od ciebie oderwać nie mogła. Ale! – Zaśmiał się złośliwie. – Niczego innego się po tobie nie spodziewałem. A że podejrzewasz, jak to się skończy... I tak kiedyś musiałaby to sprawdzić. Nawet gdybyś ją ostrzegł. Nie. Tym

bardziej, gdybyś ją ostrzegł. Lepiej teraz, niż gdyby się przed ołtarz z Kowalikiem szykowała.

Spojrzenie Szelesta ściemniało trochę. Hajduk zaszedł mu drogę i oparł dłonie na ramionach.

– Znam cię za dobrze, by uwierzyć, że wpędzasz ją w kłopoty, by coś dla siebie ugrać. Nawet jeśli sam zacząłeś w to wierzyć. Rozumiesz?

W oddali zawył wilk, ale mężczyźni przez chwilę go ignorowali. Wreszcie leszy skinął głową. Uścisnął rękę Jana i ruszył płynnym krokiem w stronę, skąd dochodziły zawołania watahy.

– Znaleźli?

– Tak. Przewodnik stada mnie woła. Może ranna.

Była ranna – na kostce odcisnęły się ślady szponów topielicy, a na karku wilczych zębów, gdy basior wyciągał ją za koszulę z wody. Ale żyła, i to było najważniejsze.

Jan rzadko wracał do wsi jako bohater. Ale tym razem, z dziewczynką na rękach i opowieścią o walce stoczonej z topielicą i wilkami naraz, mógł się takim poczuć. Cóż, lato było w pełni – należało zacząć szykować sobie ciepły kąt na późną jesień i zimę.

Góry zadudniły tętentem Matohy.

– Dajcie ogień pod stosy – szepnął juhasom Hajduk.

Na Gubałówce i Giewoncie płonęło już od zmierzchu, ale lud Dymnego Wąwozu zawsze czekał na sygnał z Żywego Wierchu. Rozjarzyły się sobótkowe ogniska, podsycane śpiewem i muzyką.

Niemira oderwała wzrok od rzeczno nurtu, z którym spływały kolorowe wianki, gnane przyśpiewkami i okrzykami poruszonych panien. Wyprostowała się i ruszyła za dalekim rytmem.

– Hej! Niemira! Wianek swój puść – zawołała za nią Anka z Porębów.

– Ja za mąż nie pójdę. Szkoda ziół marnować – odparła obojętnie.

– No nie wiem. Jak tak dalej pójdzie, to nową Kowalową będziesz!

Ale Niemira już nie słuchała. Ciągnął ją żywy ogień gorejący na stosach i odgłosy dalekich zabaw chłopaków. Panny też zamierzały do nich dołączyć. Kryć się w zaroślach, wabić śpiewem, niczym rusalki, tańczyć przy ogniu jak wiły. Tej nocy nawet najcnotliwszym uchodziły najdziksze harce.

– Kowal z niej prędzej będzie – zakpiła któraś. – Niech idzie.

Ogniskami obrębiono halę – zwłaszcza od strony, gdzie spotykała się z lasem – największe zaś rozpalono w pobliżu bacowskich szałasów. Niemira

nadeszła w chwili, gdy Jan przesadzał z rozpędu olbrzymi stos. Przemknął przez potężny płomień jak sam diabeł, wzbudzając okrzyki podziwu. Marek zwany Zawieją, dziesięć lat od Hajduka młodszy, ale ambitny zając jego miejsce w zbójckiej hierarchii, rozpędził się zaraz za nim, ale tuż przed stosem uskoczył w bok niczym spłoszony koń. Niemira weszła między nich, zaciągnęła się dymem. Z węzełka wyjęła zebrany po drodze oset i cząber. Cisnęła w ogień.

– Więcej kłujących roślin trzeba – rzuciła do Jana.

– Jeszcze – nakazała, gdy chłopcy wrzucili splątane gałęzie tarniny. – I dużo, dużo ziół. Piołunu, pokrzywy.

– Jeszcze.

Hajduk wychwycił zaniepokojone spojrzenia parobków, którzy układali stosy.

– Jeszcze.

– Skąd wziąć?

– Czekaście. – Podszedł do Niemiry. – Co robisz? Zaraz wszyscy pomyślą, że sobótki źle przygotowane i przyjdzie nieszczęście.

Spojrzał dziewczynie w rozpalone oczy. Na bladym czole perlił się pot.

– Nie... Nie są złe. Ale ten ogień można jeszcze ożywić.

– Wystarczy. Nie mają już ziół. Zabrano z szałas, co Antoni Matuszowy nazbierał. Wystarczy.

Niemira wciągnęła głęboko w płuca przesycone dymem powietrze. Wstrzymała oddech, rozkoszując się bolesnym uciskiem w gardle i brzuchu. Gorącym rozplywającym się w żyłach.

– Dobrze. Niech się bawią.

Nieco zamroczone, usiadła na trawie. Wpierw nieśmiało, potem coraz zwawiej zabrano się do tańca. Jakiś chłopak przeskoczył ognisko z tryumfalnym okrzykiem, omal nie wpadając na Niemirę. Inny wziął dobry rozpęd i przesadził drobną dziewczynę razem z sobótką. Odpowiedziały mu dzikie krzyki i śmiechy, a zaraz za nimi ozwały się dziewczęce śpiewy. To młodziutka Tosia z Gajdów prowadziła panny do zabawy. Towarzyszyło im kilka zamężnych kobiet, wystrojonych odświętnie i z kolorowymi wstążkami wplecionymi w warkocze. Niemira nawet nie drgnęła, gdy wokół ogniska poszły w podskokach pary.

– Z drogi! – Juhas z Wichrzyków nie zdołał zahamować i wraz z partnerką przeleciał jej przez plecy.



Omali nie runęli do ogniska. Niemira, która tylko na moment zasłoniła głowę ramionami, popatrzyła na nich rozmigotanym wzrokiem, zdziwiona złością chłopaka.

– Nie tańczysz, to odsuń się – warknęła na nią Anka Porębianka.

– Tańczę – odparła sennie, wstając.

Cofnęła się jednak dalej od ogniska. Wolne, ciężkie uderzenia kopyt Matochy nie współgrały z harcami młodzieży i drobnymi podrygami starszych. To poza kręgiem światła bawiono się, jak należy. Strzygi, dziwożony i najróżniejsze mary podeszły na granice hali, ogrzać potępione dusze w pobliżu sobótek. Kiwały się w powolnym tańcu jak potężne drzewa głęboko wrosnięte w ziemię. Pożądliwie wpatrywały się w odległe, ludzkie sylwetki, lecz przesycone wonią jodły, jawora i ziół dymy nie dawały im podejść.

Odległy łomot kopyt przyspieszył. Zmienił się w rwany rytm, jakby ktoś próbował w krzesane nuty zbójnickiego wpleść uderzenia błyskawic i jęk giętych wiatrem świerków. Ścichły trochę śpiewy i gwizdy. Panny odsunęły się od ognisk, ale wciąż nie podchodziły do lasu. Jakby zaś któraś chciała się pospieszyć, Jan z gazdami pilnowali. W oddali trzaskały gałęzie, szeleściły trawy i krzewy, chrobotą darta pazurami kora. To duchy i czarty oddawały się ekstatycznym płasom. Chwilami ich czarne sylwetki odcinały się na tle ognia. Anna Porębianka uderzyła w krzyk i rzuciła się do dziadka, spostrzegłszy w białym w sobie dzikie spojrzenie dziwożony. Stary Poręba odepchnął ją jednak. Kazał juhasom złapać żagwie z ogniska i obiegać halę, niosąc więcej dymu w zarośla. Hajduk sam ruszył z płonąca, jodłową gałęzią. Nie zatrzymał się jednak na skraju lasu.

Ciarki przebiegły mu po plecach, gdy mijał ostatnie sobótki i z dogasającą jedliną wchodził między poczwary. Strzygi obnażały długie zęby w uśmiechach, dziwożony zacierały ręce. Zmory kobiet, które nie poszły się bawić w tę noc, wyciągały ręce do jego szyi. Żadna jednak nie poważyła się go dotknąć.

– Ogrzałyście się w ciepłe żywego ognia. Przynoszę wam jego ślad, niech was powiedzie z powrotem na Żywy Wierch. – Jan czuł, że głos mu drży, a ręce się pocą. – Żywym w drogę nie wchodzić, z dala od obejść się trzymajcie i owiec ni krów nie tykajcie.

Czuł ich wrogość. Zwabione zabawą, nie chciały odejść do swoich siedlisk, tym bardziej przepędzane przez śmiertelnika. Strzygoń o gorejących oczach

wyszedł naprzeciw Janowi. Rozwarł najeżoną ostrymi zębami paszczę i powoli oblizał mięsiste wargi. Hajduk odwrócił wzrok, ale się nie cofnął. Kolejne poczwary ciągnęły z okolic, zwabione obecnością człowieka. Gdyby w tej chwili sobótkowe drewno zawiodło, rozszarpałyby go momentalnie. Coraz bardziej zdenerwowany przeczesywał wzrokiem ciemności, poszukując przychyłnej duszy. Zwykle któryś z leszych przejmował wreszcie od niego gałąź i narzucał swe przewodnictwo upiorom. Lecz na to musiał nadejść właściwy moment, do którego trzeba było dotrzeć. Jan zrobił krok naprzód i strzygoń, choć z protestem, ustąpił. Zmory rozchichotały się na ten widok, a zgarbiona, obrośnięta brodawkami dziwożona splunęła na człowieka.

Rytm gór się zmienił. Znów zwolnił, niósł teraz naraz siłę i groźbę. Hajduk przełknął z trudem ślinę. Przyszła pora. Poczwary przygięły się do ziemi, jakby ktoś pochwytał je za karki. Na hali rozbrzmiały kolejne okrzyki, mężczyzna jednak nie ważył się obrócić. „Szelest, gdzie jesteś?” – pytał gorączkowo w myślach. Strzygoń wyciągnął przed siebie szponiaste ręce. On jeden nie kulił się pod naciskiem muzyki płynącej z grani.

– Daj mi sobótkowe drewno. Zabiorę je i do stóp Matosze złożę, a on uspi złe duchy w tę noc – wychrypiał.

Hajduk skinął powoli głową. Upiór wyszarpnął mu gałąź, kalecząc szponami dłoni, i odwrócił się od bezbronnego teraz człowieka. Na nim i zwęglonej jedlinie skupiła się cała uwaga poczwary. Pochód ruszył w las i momentalnie przepadł w nim bez śladu. Później miał dać o sobie jeszcze znać szaleńczymi zabawami na szerokim grzbiecie Ornaku. To już jednak nie był problem Jana. Mężczyzna pospieszenie zawrócił. Krew spływała mu po ranionej dłoni, palce przenikał chłód, a koszula na plecach była mokra od potu. Chciał znaleźć się jak najszybciej w świetle sobótek. Mimo dziwnej słabości wypełniającej członki puścił się biegiem. Zrobił kilka szaleńczych podskoków, by strząsnąć strach i trupią aurę, które go otoczyły. Wzrok wbił w ludzkie sylwetki skupione wokół ognia, uszami próbował łowić muzykę gęślików, fujarek i bębenków. I nagle zdał sobie sprawę z tego, że okrzyki mieszające się z muzyką nie są zwykłym Sobótcie entuzjazmem ani ekstazą nadchodzącej północy. Biło z nich oburzenie i gniew. Góral wysilił wzrok, po czym pognał, ile sił w nogach. Tańczyła tylko Niemira.

Kiedy weszła między popisujących się sprawnością chłopaków, nie przeskakując, lecz przechodząc przez wyższe od siebie płomienie, wzbudziła

tylko powszechne zdumienie. Kowalik spróbował pociągnąć ją do tańca, ale wyrwała się z jego rąk. Zawirowała wokół własnej osi, wsparta pod boki, jak zwykły to robić inne dziewczęta. Coś jednak ją w tym ruchu krępowało. Wiązało. Wzniosła ręce nad głowę i zakołysała zmysłowo biodrami. Juhasi wymienili spojrzenia. Posypały się śmiechy i gwizdy. Krąg przyspieszył. Ciupagi pruły powietrze i zderzały się z trzaskiem pierw wokoło, a potem i nad głową dziewczyny. Panny pozazdrościły i również skoczyły do tańca. Anna Porębianka – przez swe miodowe włosy i oczy uważana za najładniejszą we wsi – wypchnęła Niemirę. Kowalik skorzystał z okazji i złapał czarnowłosą dziewczynę w pól. Miał nadzieję zatrzymać ją w tej zabawie dla siebie, ale ona jakby nagle wrosła w ziemię. Bez słowa wyciągnęła rękę po ciupagę. Nim zdał sobie sprawę z tego, co robi, posłusznie ją oddał. Czuł, że powinien powstrzymać Niemirę, gdy podchodziła do ognia, ale zbyt był skołowany, by pojąć, jak i właściwie dlaczego.

Podwinęła spódnicę, skraj jej podwiązała chustą od Kowalowej i pokłoniła się płomieniom. Ostrze ciupagi zanurzyła w ogniu. Gaździna z Halków Słomicznych chciała ją skrzyczeć, oburzona, ale od tego, co nastąpiło dalej, zabrakło jej języka w gębie.

Niemira odpowiedziała na groźne wezwanie Matohy. Drobiąc kroki, powoli wzniosła ciupagę nad głowę. Chwyliła ją w dwie, wyprostowane ręce i wtem puściła się w obroty, to przykucając, to wybijając się i przeskakując w powietrzu nad styliskiem. Chłopaki pierw zaczęły wiwatować, lecz gdy Niemira pogubiła buty, spódnicę podarła, a włosy zupełnie luźno spadły jej na plecy, sami wycofali się zdezorientowani. Nie zwracała już na nic uwagi. Przebiegała przez ogień, ciupagą wzbijając skry, padała do ziemi, wpijając w nią palce i w coraz wyższych podskokach próbowała sięgać nieba. Pot spływał jej po czole, a twarz wykrzywiła się w mieszaninie ekstazy i bólu.

– Dość! Dosyć!

– Hańba! Dziewka, a jak chłopak się zachowuje.

– Czary!

– Nie patrzcie na to! Panienki, nie patrzcie.

– Nie grać! Nie grać!

– Niemira! – krzyczał bezradnie Kowalik, pewien, że zaraz stanie się coś złego.

– Pogonić ją! Pogonić ją stąd.

– Zabrać ją stąd – huknął Antoni Matuszowy.

Rzuciło się czterech juhasów. Pochwycili dziewczynę za ręce. Dwóm się wyszarpnęła, trzeci upadł, czwarty zaś wpadł w obroty, uczepiony śmiesznie jej ramienia. Kowalik zerwał się do pomocy. Znał siłę Niemiry, której oni nie docenili. Skoczył dziewczynie na plecy i chwycił za szyję. Zachwiała się. Zaraz ktoś obuszkim toporka uderzył ją w kolano, inni uwiesili się jej ramion. Drgała jeszcze, targana gotującym się w trzewiach tańcem. Klimek widział, że jest w jakimś transie – półprzytomna i nieszczęśliwa w bezruchu.

– Nic złego nie robi przecie. Puśćmy – jęknął.

Szczęściem dla niego nikt nie słuchał. Nadszedł Antoni Matuszowy z jesionową laską. Uderzył raz – w brzuch. Niemira się skuliła. Ból odbił się w jej oczach głównie zdumieniem.

– Licho z ciebie zaraz wygonimy – oświadczył poważnie, bez gniewu, bacia. Zamierzył się znów kijem. – Bezceństwa z ciebie wybijemy, dziewczko.

Niemira targnęła się, przytrzymywana przez chłopaków.

– Odsuń się, Kowalik, przeszkadzasz.

Klimek powoli puścił dziewczynę, ale bał się odsłonić jej plecy.

– Może nie trzeba już – zaoponował słabo. – Uspokoila się.

– Nie trzeba?! – Staszek Kowal chwycił syna za kołnierz. – Rozum żeś postradał. Bacy słuchaj, on się na czarach zna.

Antoni Matuszowy znał się. Jesionowa laska, poświęcona ukradkiem w kościele, odganiała zło, gdy już inne sposoby zawodziły. Stary góral nie lubił Pon Buckowi zawracać głowy, ale w tej sprawie nie było wyjścia. Chwycił oburącz kij i począł bić dziewczynę po plecach. Przy trzecim ciosie upadła, puszczone przez juhasów. Józef z Wichrzyków dołączył. Ciosy spadały coraz gęściej. Klimek z przerażeniem patrzył na czerwieniejącą koszulę Niemiry.

– Ostawcie! – Wśród bolesnego szlochu i podnieconych krzyków gawiedzi przedarł się głos Jana. – Ostawcie!

Dziewczyna zawyla, uderzona w głowę. Twarz wciskała w trawę, ramionami próbowała się osłaniać. Od lasu zaś poniósł się straszliwy, niedźwiedzi ryk.

– Ostawcie! – Jan dopadł do Antoniego i wyrwał mu laskę.

Zablokował kolejne uderzenie drugiego bacy. Niemira wykorzystwała tę chwilę spokoju. Wywinęła się jak żmija i wyrwała biegiem w stronę lasu.

– Tam niedźwiedź! – krzyknął Klimek.

Chciał skoczyć za nią, ale ułapił go Hajduk.

– Jak niedźwiedź, to tam nie idź. A o nią się nie lękaj, głupi – syknął mu nad uchem, patrząc za dziewczyną.

– Demon w niej siedzi czy co? – burknęła pobladła Danusia, żona Spalenika. – Gnaty wszystkie musieli jej połamać.

Jan kręcił głową. Że kości Niemira ma jak z dobywanego w górach żelaza, wiedział nie od dziś. Że w środku zaś jest krucha, widział coraz wyraźniej i bał się tego, co ciosy mogły zostawić w jej duszy.

Niemira uciekała prawie na oślep, ogłuszona bólem i upokorzeniem. Przedarła się przez niskie krzewy, potknęła się o jakiś korzeń i nagle wpadła w czyjeś ramiona. Poczowała mocny, opiekuńczy uścisk i łagodny dotyk na włosach.

– Spokojnie, bezpieczna jesteś. Spokojnie.

Szelest mówił z troską, ale w gardle gotował mu się jeszcze niedźwiedzi ryk. Przesunął palcami po brzegach rany na głowie Niemiry. Czaszka była nienaruszona, ale krew wciąż wartko płynęła po karku. Zerwał kilka liści porastających mu przedramiona, roztarł w palcach jednej dłoni, drugą ręką cały czas tuląc roztrzęsioną dziewczynę do siebie. Delikatnie wmasował powstałą papkę w ranę, niebaczny na ciche protesty.

– Szybciej się zagoi – wyjaśnił. – Chodź, zabiorę cię stąd. Zaraz północ, za kwiatem paproci ruszą i za rozkoszami. A nie ręczę za siebie, jak któregoś spotkam. Mnie może dym i popiół z sobótki zatrzymają, ale wilków nie.

W tej chwili zdała sobie sprawę, że nigdy nie słyszała Szelesta tak groźnie brzmiącego. Odsunęła się ostrożnie, opanowując szloch.

– Daj im spokój.

– Skrzywdzili cię.

– Wiedziałaś przecież, że tak się stanie.

– Obawiałem się, że może...

– Więc będziesz ich karał za to, że mnie im wydałeś? Po co to zrobiłeś, skoro wiedziałaś? – jęknęła żałośnie. – Żeby zobaczyć, jak bardzo tam nie pasuję? Żeby nie miała do czego wracać?!

– Przestań! – huknął.

Skuliła się, bo głos miał straszliwszy niż warkot dzikiej bestii. Zamilkła.

– Wybacz... – dodał już ciszej. – Mówiłem od początku, że to może być dla ciebie trudne. Ale nigdy nie chciałem źle. Nigdy, Niemira, przysięgam.

– Ale jest źle! Nie będę mogła pokazać się we wsi. A najgorsze... Najgorsze jest to, że to nadal nie było to. Nie było pełne. I nie byłoby, nawet gdyby mnie nie zatrzymali. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Nie umiem być częścią niczego, co jest wokół.

– Nieprawdę mówisz. Chodź ze mną, wyjaśnię ci tyle, ile rozumiem.

Zawahała się. Szelest patrzył, jak dziewczyna sięga tęsknym wzrokiem ku przeświecającym za drzewami ogniskom.

– Wrócisz tam, obiecuję.

Ciężko mu było na sercu. Czuł się jak zdrajca i jednocześnie czuł się zdradzony. Niemira powoli obróciła się, oparła o niego ramieniem. Ruszyli wolnym krokiem. Przed leżym rozstępowała się gęstwina i chowały korzenie, a świetliki chmarami oświetlały drogę.

## ROZDZIAŁ 9

Siedzieli we trzech przy wotrze – Hajduk, Józef, baca z Wichrzyków, i Antoni, baca z Cierpkówki. Trzy wyrzeczane czasem i surowością Tatr twarze, dwie zagniewane i jedna przesycona starczą powagą. Wiatr wdzierał się do szałasu i próbował strącić płomień powoli liżące drwa złożone na nalepie.

– Szaleństw młodzieży nie zabraniam. Ale gdy kogo złe duchy posiadają... – tłumaczył Antoni Matuszowy, ale Jan nie dał mu skończyć.

– Gdyby faktycznie złe duchy ją posiadały, poświęcony jesion by wam wiele nie pomógł!

– Jej rytuały są obrazą dla Podhalańskiego Gazdy.

– Gadacie jak ksiądz, który na całą Sobótkę grzmi.

– E tam, ksiądz. – Antoni machnął ręką, po czym sięgnął po fajeczkę. – Ksiądz gada, a my prawdę znamy. Pan Bucek życzliwy, jak człek o swój spokój dba i łba mu nie zawraca. Nie świętować Sobótki, to się diabłu pod nóż pchać. Ale gdy kobieta jak chłop...!

– Jej sprawa, nie wasza. Pomnijcie Agnieszkę, moją siostrę. Też wam jej rytuały miłe nie były, ale co wsi dobrego dała, to wiecie. Niemirze dajecie swe owce okadzać, a jak łydką błysnie, toście przerażeni?

Antoni westchnął, zamyślił się. Nabił fajeczkę, zapalił.

– Agnieszka nie szła z tym między ludzi – wtrącił Józef.

– Niemira też już pewno więcej nie przyjdzie. A to niedobrze być może – odparł ponuro Jan. – Zwłaszcza gdy jesień niedaleko i stada trzeba będzie spędzać. Dobrze, że wiosenny redyk i Sobótką za nami. Obeszliśmy jak trza, kierdle bezpieczne być powinny, wody czyste, ludzie zdrowi...

Do szałasów wpadł przerażony parobek z Wichrzyków. Skudlony i przemoczony, nawet nie powitał gazdów, jak należy.

– Watra w szałasie zgasła. Płanetnik chmurę przywłócił wielką, nad sam dach ściągnął. Starczył moment. Deszcz, wietrzysko! Dach się zapadł, nalepę zalało. Zgasło!

Baca Józef pobladł. Wprawdzie północ minęła, więc można było rzec, że ogień do Świętego Jana dotrwał, ale i tak znak był zatrważający. Złe siły

drzemiące w Tatrach nie zajmowały się buchalterią, lecz wykorzystywały każdą słabość. Dlatego o watrę dbano zawsze aż do jesiennego reedyku.

– No i masz. – Jan rozłożył ręce i wstał.

Zerknął na Antoniego i w spokojnym spojrzeniu rzuconym znad cybucha poznał, że będzie między nimi zgoda.

Krótką noc zbliżała się ku końcowi. Niemira przez większość wędrówki nie patrzyła, dokąd idą, zwieszona na ramieniu Szelesta. Ledwo przestawiała nogi. Powalone drzewa, śliskie głazy, piarżyska i zarośnięte ścieżki migają jej tylko przed oczami. Nie zauważyła nawet, jak przemknęli stromymi ścianami Dudowych Spadów, którymi normalnie nie poważylałyby się schodzić w ciemnościach. Góry zdawały się układać drogę podług woli rozgniewanego leszego. Wszystko miało w sobie niedookreśloność snu, który wahał się między bajką a koszmarem. Dopiero gdy dolina, którą szli, zwężyła się, a po bokach wyrosły ukośne, poznaczone skałami zbocza wąwozu Między Ściany, dziewczyna się otrząsnęła.

– Dlaczego tutaj?

– Wiesz, co tu było?

– Cmentarz, prawda?

Szelest zwolnił kroku, wpatrzył się przed siebie, jakby próbował sięgnąć wzrokiem czegoś bardzo dawnego i wreszcie podjął:

– Tak. Później tak.

– Później?

– Przed wiekami, kiedy ludzie posłuszni byli starym obyczajom, tu palono całopalne stosy. Oddawano Wołosowi oczyszczone dusze zmarłych.

Niemira drgnęła na dźwięk imienia starego boga. W pamięci zawirowały obrazy zimowej pełni oblewającej światłem pionowy głaz kształtem przypominający byczą głowę z ułamanym jednym rogiem. Szelest zaś kontynuował:

– Potem zaczęto kłaść ludzi do ziemi. Tych, w których wciąż drzemała magia, grzebano tutaj. W zasłoniętych głazami niszach jaskiń, pod kopcami kamieni. Gdy się dało, w płytkich grobach. By oddać Wołosowi to, co jego.

– Tu jest jego święty głaz, prawda?

Szelest skinął głową.

– Pamiętam...

– Co pamiętasz?

– Byłam tu kiedyś. Zimą. Z Agnieszką pewnie. Albo z Janem.



– Z Agnieszką – poprawił ją cierpliwie. – Co pamiętasz?

Zamilkła. Szli teraz powoli, ostrożnie przestępując wilgotne od porannej rosy kamienie. W siwym świetle budzącego się poranka wszystko wyglądało dla Niemiry obco. Dopiero gdy pośrodku wąwozu wyrósł pionowy, jasny głaz, wspomnienia wróciły.

Musiała być jeszcze wtedy mała – śnieg, który Agnieszce sięgał do kolan, dla Niemiry był niemal po pachy. Pamiętała swój niepokój psotnego dziecka. Czyżby poszła za matką wbrew zakazom? Chyba tak. Pamiętała jej zatroskane spojrzenie i przykazanie, by czekała o tu... Gdzie? Niemira rozejrzała się bezradnie. Agnieszka i święty głaz wydawały jej się wtedy tak odległe, ale przecież dla dziecka czasem przejście przez drogę do sąsiadów zdaje się być wyprawą. Więc siedziała na jakimś głazie, opatulona w barani kożuszek, grube spodnie wciągnięte pod sukienkę, naciśniętą na uszy czapkę i jeszcze... Tak! Jeszcze kurtę Agnieszki. Pamiętała, jak matka ją zdjęła. Zzula też buty. Została w prostej, lnianej sukience sznurowanej na piersi. Nie miała rękawów. Igrające w śniegu światło pełni ślizgało się po gładkich, umięśnionych ramionach. Agnieszka stanęła boso przed głazem, pokłoniła się bogu, w dłoni trzymała...

– Miecz? – Niemira spojrzała ze zdumieniem na Szelesta. – Czy to możliwe, żeby Agnieszka miała wtedy ze sobą miecz?

– Nawet pewne – odparł leszy.

– Ale skąd?

W dziecięcych wspomnieniach wyszczerbiona, toporna broń, kuta z jednego kawałka stali, po prostu była w ręku kobiety. W sposób tak oczywisty i naturalny, jak to, co działo się dalej. Agnieszka tańczyła z mieczem. Piękniejsza w tym niż jakakolwiek góralka i groźniejsza niż wszyscy legendarni zbójnicy razem wzięci. Jej płynne ruchy stawały się coraz bardziej zwierzęce. Już nie tylko miecz był jej bronią, lecz całe ciało, przekształcone w nieokiełznaną siłę i zręczność. Płynęła w śniegu, czerpiąc siłę z głazów pod stopami.

– Przyniosła ze sobą. Ukryty pewnie, by we wsi nie widzieli. To broń jej pradziadów.

Niemira ledwo słuchała. Patrzyła na święty głaz Wołosa i widziała przemykający po nim cień Agnieszki. Jej ruch był doskonały. Ciężki, a przy tym sprężysty. Męski, ale równocześnie kobieco zmysłowy. Miał wszystko to, czego Niemira nie odnalazła w transie przy sobótkowym ognisku.

– Co się wtedy działo? Co ona tańczyła?

Szelest objął delikatnie Niemirę i usiadł z nią na olbrzymim głazie pod ścianą wąwozu.

– Nikt ci tego tańca nie nazwie. On po prostu jest. Taki, jak powinien być taniec tej ziemi. Wyrosły z jej magii, z jej tradycji.

– Tyle innych tradycyjnych tańców znam. A zbójnicki? Przecież to sól tej ziemi. Jak popatrzysz na ludzi, którzy go tańczą...

– To zobaczysz mężczyzn popisujących się sprawnością – wciął się Szelest. – I to też jest miłe Tatrom. Ale nie ma w sobie wszystkiego. Czy też raczej miesza wszystko. Kiedyś kobieta w tańcu orężnym nie budziła zgorszenia. Nie na ziemiach władanych przez Światowida, Mokosz czy Wołosa. Ta tradycja była tu pierwsza i to jej hołdowała Agnieszka. Lecz w to, co teraz jest tradycją Tatr, weszły cudze „nie należy” i „nie wypada”. Przyszły obyczaje piękne, które podziwiasz, ale i te, które cię blokują. Zbójnicki przynieśli tu Wołosi. Godny lud, lecz mający swoich bogów i swoją ziemię, w której żyłach co innego płynęło. Tu, nad Tatrami, wymieszało się wszystko. Dla większości ludzi to dobrze. Górskie tradycje są podobne, bo służą wspólnemu celowi. Wzajem się wzmacniały. Dzięki temu coraz skuteczniej chroniono się od upiorów i nie zapomniano, co trzeba zrobić, gdy przyszedł nowy bóg. Ale dla tych, w których żyłach płynie krew żerców i wołchwów to za mało. Woła ich przeszłość.

Niemira kiwała w zamyśleniu głową. Nie była z tej samej krwi co Jan i Agnieszka, ale dotyk Wityszy sprawił, że nie miało to znaczenia. Należała do świata, dla którego zbójnicki był nowoczesnym dziwem przyniesionym przez obcych. Dziurawą kładką, na której się potykała, dążąc do ukrytego we mgle brzegu.

– Agnieszki już nie ma. Do tego Kachna i Antek przy kościele kazali ją złożyć.

– Jan z gazdami przeniósł tu siostrę.

– Naprawdę?

– Tak. Nie byłem przy tym, ale Wiż mi mówił.

– Wiż?

– Jeden z podobnych mi, lecz stary bardzo i dostojny. Prawdziwy borowy. – W głosie leszego pobrzmiwał zachwyt.

– Borowy? Hajduk czasem tak o tobie mówi.

– Och, nie. Chyba miły chce być. Albo zwyczajnie niefrasobliwy. Ja jestem zwykłym strażnikiem. Do ludzi nawykłem, pilnuję, by nie wchodzili sobie w drogę z lasem. A co borowy to borowy. Takiej mądrości się w kilka wieków nie zdobywa.

Nigdy nie słyszała, by o kimś poza sobą samym mówił z podobnym szacunkiem. Uśmiech zaplątał jej się na chwilę na usta, ale zaraz zniknął, zmieciony lawiną myśli. Nie pytała o więcej. Przynajmniej nie na głos. Układała na powrót wydarzenia ostatniej nocy, teraz oświetlone pełnią sprzed kilkunastu lat. Poczuała, że Szelest okrywa ją ciężką, niegarbowaną skórą. Rzeczywiście drżała w chłodzie ostatnich godzin przedświt, który jeszcze tkwił wśród ścian wąwozu. Dzień zapowiadał się zresztą rześki, jakby szaleństwa Sobótki wycisnęły siły nawet ze słońca. Przysunęła się blisko do leszego, choć żadne z nich nie mogło dać drugiemu ciepła. W niej tkwił chłód śmierci, w jego żyłach zaś nie płynęła niosąca gorąc serca krew, lecz żywica. Siedzieli tak, póki poziome jeszcze promienie słońca nie wślizgnęły się między ściany. Gdy poczęły muskać ich twarze, Niemira zdecydowała, że pora wracać.

Szelest podniósł się, pomógł jej wstać. Zastałe rany szarpnęły znów bólem, ale jedynie się skrzywiła. Skłoniła głowę przed Wołosem i obróciła się do przyjaciela.

– Przepraszam za wszystkie wymówki. Za tę kłótnię.

– Zapomnij. Też nie jestem bez winy. Ale nie zrobiłem tego dla siebie.

– Wiem. Zresztą... zrozumiałabym, nawet gdybyś zrobił. Szelest, ja nie zostawię zupełnie lasu. Ale muszę go pogodzić z codziennością. Sam mi to radziłeś.

– Tak, tak... – mruknął bez przekonania.

Ruszyli w milczeniu ramię w ramię. Niemira czuła, że tak jak teraz jest jej najlepiej... Lecz to były tylko okrawki chwil. Nie chciała płacić za nie całą ludzką życzliwością, która mogła ją spotkać.

Przez Wichrzyki prawie przebiegła, unikając badawczych spojrzeń rzuconych zza osmolonych szyb. W Cierpkówce zatrzymały ją krzyki niosące się od Wardów. Pognała w ich stronę. Kilkoro górali wystawiło zaspane twarze z domostw i dyskretnie spozierało w stronę obejścia. Kachna, krzycząc i płacząc, próbowała wywijać się spod ręki męża. Szymek chwiał się na nogach tak, że zdawało się, iż byle podmuch wiatru go przewróci, ale do bicia pewności mu nie brakowało. Od tyłu, za portki

ciągnęło go kilka lojalnych Kachnie bożąt i domownik. Niewiele jednak mogli poradzić. Szymek, choć niezbyt postawny, był żylasty i silny, a w szale nie do powstrzymania. Wokoło biegał przerażony Przylepa, załamując chude ręce i niemo chlipiąc. Niemira omal go nie zdeptała, przedzierając się do siostry.

– Zostaw ją – rzuciła niskim, schrypniętym głosem.

Nie krzyczała, nie obchodziło jej, czy Szymon usłyszy. Tłukł w zapamiętaniu Kachnę pięściami po głowie, zaczerwieniony z wysiłku. Niemira chwyciła go za koszulę na plecach i szarpnięciem odciągnęła. Drugą ręką ucapiła gęste, sięgające podbródka włosy, obróciła się gwałtownie i rzuciła mężczyznę z impetem o ziemię, jakby to był słomiany chochoł.

– Wara – syknęła. – Wara od mojej siostry, bo wszystkie gnaty połamię.

Gapie się cofnęli, Przylepa zaś przywarł do nóg zapłakanej gospodyni. Kachna rozszerzonymi oczami wpatrywała się w pokrwawione plecy siostry. Ze skudlonymi włosami, bladą twarzą i rozmigotanymi oczami dziewczyna wyglądała jak upioryca.

Szymon dzwignął się, bełkocząc groźby. Sięgnął za pas po pistolet. Niemira przyskoczyła do niego, uderzyła w zęby i popchnęła z całej siły, aż poleciał na płot. Spojrzała przez ramię na otoczoną duchami Kachnę i wtedy huknęło. Poczowała, jakby ktoś wyszarpnął jej powietrze. Potem przyszedł ból i pełna zdziwienia konstatacja, że leży na ziemi, krok od siostry. Dwóch sąsiadów trzymało szarpiącego się i klnącego Szymka. Zośka, żona Antka, obejmując rękoma ciężowy brzuch, jazgotliwie błagała, by ktoś wezwał jej męża albo Jana. A Niemira nie rozumiała. Wstała powoli, wciąż nie mogąc wyrównać oddechu. Serce biło jej jakimś zadziwiającym, szarpanym rytmem, a na brzuch spływało coś ciepłego. Opuściła spojrzenie i ujrzała czerwoną plamę krwi między piersiami. Dotknęła z niedowierzaniem rany, w której tkwiła zgnieciona siłą uderzenia kula. Pocisk trafił w mostek, utkwiał w kości, ale jej nie przebił. Niemira chwiejnie postąpiła naprzód. Trzymający Szymona mężczyźni rozbiegli się, a on sam znieruchomiał zdjęty grozą.

Nie była w stanie mówić. Wciąż brakło jej powietrza. Ale nie musiała. Chwyciła górala zakrwawioną ręką za koszulę i zmusiła, by się do niej pochylił. Oparła swoje czoło o jego i wpatrzyła mu się głęboko w oczy. Czowała drżenie, które szarpało jego ciałem, widziała, jak walczy z

mdłościami. Chwyliła go za kark i odepchnęła. Idąc w stronę chałupy Wardów, obojętna na pełne strachu podziękowania Kachny, słyszała tylko, jak mężczyzna przesadza płot i biegnie przed siebie. Pierwszy raz od miesięcy przekroczyła próg znajomej izby. W środku było duszno i ciemno, ale Kachna dbała o porządek. Wszystko zamiecione, równo poustawiane, pozamykane w skrzyniach.

– Rzeczy Agnieszki? – wydyszała, słysząc za sobą kroki siostry.

Kobieta otworzyła pospiesznie rzeźbioną skrzynię załadowaną bielizną i pościelą. Większość ubrań i osobistych drobiazgów zmarłej rozsprzedano lub używano na co dzień. Inne wyrzucono. Ostało się tylko kilka pamiątek. Rzeźbione amulety, haftowana kamizelka, zasuszony wianek, w którym chodziła tuż przed śmiercią, i ulubione korale z drewna sosny, świerka i jodły leżały wciśnięte w kąt skrzyni. Niemira przez chwilę oglądała przedmioty. Nie tego szukała, ale na ich widok opuściła ją determinacja. Usiadła na podłodze i obracała w rękach korale. Domownik, którego znała od dziecka, wyjrzał zza paleniska. Jego wielkie, wylupiaste oczy rozszerzyły się w zrozumieniu. Zniknął w głębi chałupy i zaraz wrócił, niosąc w dłoniach miecz, który Niemira widziała we wspomnieniach.

– Tego szukałaś – zaskrzeczał.

Wzięła ostrożnie broń. Klinga była pokąsana czasem – światło wpadające przez przydymione szyby igrało z chropowatą fakturą i podkreślało wyszczerbienia na ostrzu. Skórzany opłot rękojeści sypał się w dłoniach, a znaki wybite na głowicy stały się zupełnie nieczytelne. Niemira powoli, kawałek po kawałku oglądała miecz. Tuż poniżej obłamanego jelca znalazła swargę – ośmioramienny kołowrót życia, słońca i ciemności – po drugiej stronie zaś znak Wołosa.

– Zabiorę go – wymamrotała.

Kachna cicho przytaknęła. Kiedy Niemira ruszyła do wyjścia, poczuła na ramieniu jej dotyk.

– Weź jeszcze to.

Nim zdołała odpowiedzieć, przed oczami mignęły jej ręce siostry i na szyi zawisły korale Agnieszki. Żywiczny zapach, który wciąż nosiły, uderzył przyjemnie w nozdrza, przywołując ciepłe wspomnienia.

– Zawsze mówiła, że są znakiem żywotności. Jej nie pomogły, pewnie dlatego, że były dla ciebie.

Niemira pogładziła drewno. Skinęła głową.

– I jakbyś chciała kiedyś wrócić...

– Nie. Mam swój kąt – odparła z godnością, choć tak naprawdę nie była tego taka pewna.

Chałupa Halków stała pusta, cicha. Młodzi nie wrócili jeszcze z hal, a Jadźka zmusiła męża, by zawiózł ją do kościoła i wraz z nią przeprosił Pan Bucka za obchodzenie Sobótki. Jak co roku zresztą. Zniknęły rozwieszone w oknach gałęzie, chroniące przed złem. Zastąpiły je suszące się pęki dziewanny, rosiczki i bylicy, zebrane nocą. I tylko przed drzwiami kuźni czekały ostrewki do suszenia siana. Znak złego prowadzenia się mieszkającej w chałupie panny, pozostawiony przez parobków czy juhasów. Niemira oparła miecz o ścianę, wyciągnęła z szopy siekierę, chwyciła drewniany stojak, oskarżycielsko celujący na wszystkie strony ostrymi kołkami, i poczęła go rąbać. Ciemniało jej w oczach z bólu i gniewu, chwilami brakło oddechu, ale nie przerywała. Tak znalazł ją Kowalik, wracający z siostrami z hali. Wszedł ostrożnie na podwórze, ostrzeżony o tym, co stało się w domu Wardów. Niemira wyglądała jednocześnie żałośnie i przerażająco, z determinacją wymachując siekierą. Pokrwawiona i zataczająca się z bólu, nie przypominała już tej dziewczyny szalejącej przy ogniu, onieśmielającej mężczyzn i kobiety dzikim tańcem. A jednak Klimek nie mógł oderwać od niej spojrzenia – zupełnie jak wtedy. Jakby to był kolejny akord tego samego rytuału. Zatrzymał się kilka kroków od dziewczyny, niepewny, co chce zrobić. Korciło go, by złapać toporek czy młot kowalski i przyłączyć się do Niemiry, ale oburzone spojrzenia sióstr go paraliżowały. Nim zdecydował, skończyła. Dysząc, poskładała porąbane drewno na stosik i opadła przy nim na ziemię. Spojrzała przez ramię.

– Przyniesiesz mi wodę ze studni? Muszę się obmyć, nim twoi rodziciele wrócą.

Poczuł ulgę. Na chwilę chociaż zdecydowano za niego.

## ROZDZIAŁ 10

Pierwsze noce po Sobótce były dla Kowalika bezsenne. Nie tłumacząc się rodzinie, krążył od drzwi do okien, obchodził gospodarstwo, przystawał pod drzwiami kuźni i nasłuchiwał. Wstyd było mu się przyznać, że strzeże Niemiry, która w dzień pracowała zaciekle, a wieczorem zasypiała kamiennym snem, zmożona gorączką. Czasem nocą zaglądała do niej Jadźka Kowalowa i kładła na rozpalonym czole okłady. Udawali wtedy z synem, że się nie widzą. W ciągu dnia kobieta raz tylko dała wyraz swojej trosce o komornicę – gdy wzbroniła jej wyprawy na halę z juhasami. Wysłał ich sam bacia Antoni, ponoć szukając u dziewczyny rady.

– Wydobrzeje, to pójdzie – oświadczyła wtedy gaździna, zastawiając wejście do kuźni.

Niemira miała na ten temat jednak inne zdanie.

Szło na północ, gdy Kowalik spostrzegł ją na podwórzu. Nim się zorientował, była już przy płocie.

– Dokąd? – Dogonił ją.

– Na halę. Nie przeszkadzaj.

– Matka...

– Śpi. Wróć przed świtem. Muszę porozmawiać z bacami.

– Teraz? Koniecznie?

– Naprawdę pytasz? Watra jak zgasła, tak rozpalić się nie daje.

– Jest tam masa doświadczonego chłopca. Poradzą jednemu ognisku.

Spojrzała pobłażliwie na chłopaka. Mimo gorącej nocy przez ramię przewieszoną miał cuche, a pod nią nieco niezdarnie ukryty pistolet.

– Od pięciu dni nie poradzili.

– Dlatego Antoni po ciebie słał?

– Zapewne.

– Dobrze, ale idę z tobą – Skapitulował Klimek. – Szymek jak poszedł, tak nie wrócił. Jeszcze cię gdzieś w lesie zdybie.

– Nie chciałby – mruknęła, ale gestem zachęciła chłopaka, by jej towarzyszył.

Przez ostatnie dni pokazywała mu na przemian dwie twarze – w domu smutna i pokorna, stając przed wsią, przypominała sobie o swojej sile. Odkąd na halach dostrzeżono wilki, a z wichrzykowego kierdła przepadło dziewięć owiec, ludzie poczęli odwiedzać Kowalów pod dziwnymi pretekstami i przynosić drobne podarki. Dwie twarze Niemiry zderzały się wtedy. Schyłona nad pracą słuchała, jak goście żalą się Jadźce. Nie reagowała, udając, że sprawa jej nie dotyczy. Czasem tylko zerknęła spode łba, gdy na koniec wręczali gaździnie pęto przedniej kiełbasy, pięknie wypieczony chleb czy haftowaną chustę. Zgodziły się, że lepiej nie pozwolić, by ludzie pokładali w tych ofiarach zbyt wielką nadzieję. Nie trafiały one więc nigdy w ręce komornicy. W tych chwilach jednak jej obecność stawała się tak wyrazista i nieznośna, że Kowalik mimowolnie upatrywał w tym wiedźnich czarów.

Teraz, zagłębiając się w regle, poczuł to samo. Jakby obecność Niemiry rozciągnęła się i na niego. Oznaczyła go w jakiś szczególny sposób. Szli w ciemnościach, prowadzeni koleinami wyrobionymi w leśnej drodze. Kowalik szybko wyczuł, że nie idą sami – coś przedzierało się gęstwiną równoległe do nich.

– Demony za tobą ciągną?

– Raczej wilki – odparła spokojnie. – Nie bój się, póki jesteś przy mnie, nic ci nie zrobią.

– To prawda, że przychodzą na halę karać ludzi? Za to, że przerwano twój taniec?

Zamyśliła się.

– Nie sądzę. Wilki ciągną do owiec, to normalne. Jedna watra nie płonie, bacowie niepewni. Zrobiło się groźniej, ale to nie moja wina. Jeden, co mógłby się za moją krzywdę mścić, nie zrobi tego. Ułagodziłam go.

– Kto to jest? Do kogo tak uciekasz w lasy?

– Po co ci wiedzieć?

Klimek zaśmiał się gorzko.

– Mieliliśmy już tę rozmowę. Po redyku, gdy byłaś zła na ludzi. Teraz jest po Sobótce, a ty znowu pokaleczona. Chcę wiedzieć z ciekawości, nie powiem. Ale i dla ciebie. Żeby ktoś cię rozumiał.

– Daj spokój.

– Teraz nie dam. Nie dam, bo jeśli się nie zmienisz, ludzie cię w końcu pogonią. I jeszcze jakbyś z tego miała być szczęśliwa, to co tam! Ale jak



rąbałaś te ostrewki pod domem, to na szczęśliwą nie wyglądałaś. Przede mną nie masz co udawać.

– Niczego przed nikim nie udaję. – Zaśmiała się. – Ty byś właśnie chciał, żebym zaczęła.

Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale ku jego zaskoczeniu dodała:

– I wierz mi, czasem próbuję.

– Na opak chyba. Zostaw te wszystkie demony i upiory w lasach.

– Nie w nich problem, lecz we mnie. – Zmilkła na chwilę. – To by było szaleństwo, Kowalik. Pogodzić to wszystko, czego ludzie ode mnie chcą to szaleństwo. Nie da się jednego dnia słuchać Żywego Wierchu i podług niego pędzić owce na halę, a drugiego być normalną panną i uganiać się wraz z twoimi siostrami za kawalerami. Naprawdę się nie da. Jak? Jednego dnia przyjmuję zamówienie na gwoździe i na złamanie przekleństwa, które opadło wiatrę. Myślisz, że nie pogoniliby mnie ze wsi, gdybym powiedziała teraz, że nic mi do magii żywego ognia, niech nie płonie?

– Matusza i Agnieszka robiły to co i ty, a żyły ze wsią dobrze.

– Tak. Choć też musiały się najpierw tego nauczyć. Brakuje ich ledwo od zimy. Oczekujesz ode mnie za dużo, Kowalik.

– Masz ludzi za swoich wrogów, a czarcie siły za przyjaciół. Oczekuję tylko, że dasz ludziom szansę.

– Wśród tych „czarcich sił”, jak je głupio nazywasz, mam swoich przyjaciół! – odparła stanowczo. – Mam tych, którzy mnie rozumieją i pomagają pogodzić to, kim jestem, ze wsią. Bo próbuję, naprawdę! Choć czasem ta próba pokazuje mi, że jestem od was dalej, niż myślałam, to próbuję. Żadna z tych „czarcich” sił mnie od was nie oddała. Wręcz przeciwnie. To, że jest obok, sprawia, że ja muszę być z wami. Pilnować obyczajów, radzić, zbierać zioła. A w zamian ludzie uparcie każą mi wybierać. Ale ja nie wybiorę, Kowalik.

– Zrobisz, co uznasz – odparł z wahaniem.

– Nie wierzysz, że dam radę, co?

– Po tym, co widziałem w wigilię Świętego Jana...? Chyba nie.

Westchnęła i skuliła się w sobie. Poczuł, że jej obecność stała się niewyczuwalna, ledwie zauważalna. Złapał dziewczynę za rękę, ale szybko ją cofnęła.

– Zobaczysz coś, Kowalik...

W milczeniu dotarli na halę. Antoni Matuszowy wyszedł im naprzeciw i powiódł obojga do pogrążonego w ciemnościach szałas Józka z Wichrzyków. Dach już naprawiono, ale nalepa wciąż pozostawała zimna i ciemna.

– Pokażcie, jak rozpalacie – zakomenderowała Niemira.

Bacowie zakrzętnęli się we dwóch. Sprawnie ułożyli stos drewna, dołożyli drzazg na rozpałkę, skrzesali ogień i szepcząc zaklęcia, przyłożyli do opału. Iskra skoczyła na hubkę, z niej na drzazgi i sięgnawszy drewnianych polan, zasyczała wściekle i zgasła.

– Tak za każdym razem – wyjaśnił Antoni.

– Podajcie mi te drwa, co się nie zapaliły.

Niemira nie przekroczyła progu szałas – przyglądała się wszystkiemu z dala. Przez chustę chwyciła polano. Cicho zawezwała dobrych duchów i paznokciem wskrobała ledwie widoczną swarzycę.

– Spróbujcie teraz.

Efekt był ten sam.

Kowalik z ciekawością patrzył na dziewczynę, gdy przekraczała próg szałas. Obeszła wszystkie kąty, obejrzała rozrzucone ofiary, zajrzała do koszar, w którym spały owce.

– Kiedyście rzucali domownikom ziarno?

– Wczoraj.

– I nietknięte?

– Nietknięte – potwierdził Józef.

– Przynieście jesionowe laski, coście święcili na świętej Agaty.

– Czyli jednak obraziliśmy duchy – westchnął Antoni.

– Nic, czego nie dałoby się naprawić – odparła.

Kowalik ze zdumieniem przyjął pogodę w jej głosie. Bacowie przynieśli drewniane kije, których ciosy kilka nocy wcześniej spadły na Niemirę.

– Połamcie wpół i podłóżcie na dno. I rozpalcie.

Tym razem Antoni Matuszowy pozostawił wszystko Józefowi. Baca z Wichrzyków w skupieniu powtórzył cały rytuał. Układał drewno długo i starannie, jakby bał się, że stoi przed ostatnią szansą. Nim skrzesał ogień, Niemira wyszła znów z szałas. Kiedy ponownie spojrzała w głąb, płomienie wesoło strzelały pod powalę.

– Rozumiesz teraz? – Kowalik gestykulował żywo, wykładając dziewczynie swoje pomysły.

– Ani trochę. – Niemira pokręciła głową.

Dniało już, kiedy wyszli na szeroki, porośnięty trawą grzbiet Ornaku i prędkim krokiem, by umknąć porannym chłodom, ruszyli to opadającą, to wznoszącą się drogą ku Siwym Skałom. Na tle jaśniejącego nieba odcinały się ciemno wybitne szczyty głównej grani – po lewej Bystra, po prawej Starorobociański Wierch. Gdzieś w dole kulił się garbaty Żywy Wierch, ale Niemira starała się omijać go spojrzeniem. Chciwie sięgała zaś wzrokiem ku Cierpkowej Dolinie – tak harmonijnej i tajemniczej w swej oprawie gęstych regli.

Całą drogę gawędzili – ogień watry i ich rozświetlił, rozpogodził nastroje.

– To wszystko, co mówiłaś, ma sens – kontynuował pobudzony Kowalik. – Tylko inaczej. Zawsze, jak coś dobrego zrobisz, to wycofujesz się, skryta i groźna. Za to jak między ludzi wyjdiesz, to albo z siłą niedźwiedzia, albo z kulą w piersi. A tu trzeba na odwrót. Z kulą w piersi prosić o pomoc, a z dobrym uczynkiem iść do karczmy i opowiedzieć. Wiesz, jak Hajduk, gdy przyniósł Niemojkę.

– Bajek naopowiadał.

– Może.

– Na pewno! Wilki, co ją znalazły, Szelesta były, nie musiał z nimi walczyć.

– Ale każdy ci powie, że Hajduk to „swoj chłop” i zbójnik, co dzieci ratuje, jak trzeba, nie?

– Bo tak jest.

Skręciła na piarżyska Siwych Skał. Wyszukała spiętrzenia, z którego pięknie było widać nagi wierzchołek Błyszczca, rozjaśniający się stopniowo. Kowalik nadgonił za nią, złapał się pod boki i chwycił kilka głębokich wdechów.

– No owszem – podjął. – Ale mniej od niego robisz? Więcej nawet. Tylko on wie, że jak nie dopilnuje, by go we wsi szanowano, to mu zimą tyłek odmarznie. A ty o to nie dbasz.

– Kowalik! Mam iść do wsi i ludziom wmawiać, jaka to im potrzebna jestem? Przecież wiedzą! Przychodzą po prośbie co chwila! Twoja matka lada moment nie będzie miała komu tych wszystkich darów rozdawać.

– Ale to ze strachu. Bo gdy komuś pomagasz, to pogardliwa i wyniosła jesteś.

– Poważna, Kowalik. To nie to samo.

– I przemądrzała – burknął, zrezygnowany nieco. – Spróbowałabyś chociaż i wtedy się kłócić. Wiesz, przyjść do wsi, zejść do gazdów i powiedzieć: „kłopot był, ale watra już płonie. O owce się nie troskajcie, zrobiłam, co było trzeba”.

Niemira skuliła się ze śmiechu, próbując wyobrazić sobie siebie w tej roli. Kowalik spojrział na nią z teatralnym gniewem.

– Sama mówiłaś, że teraz wiesz będzie ci przychylniejsza! Zresztą faktycznie powinna. To ważne, że kije, którymi cię bito, musiały pójść do ognia. Ale ludziom to trzeba powiedzieć wprost. Sami przekreślą. Uznają, że z zemsty watrę zagasiał czy co.

Zamyśliła się. Odchodząc z hali, czuła się dumna. Dusze zgromadzone na Sobótce w oczywisty sposób się za nią wstawiły! Dla każdego powinno stać się jasne, że nie uczyniła swym tańcem nic złego. Ale mogło też być, jak rzekł Kowalik...

– Czyli co?

– Czyli spróbuj powiedzieć w Dymnym Wąwozie, jak było. Tak, jak mnie wyjaśniłaś. Więcej nie musisz.

Zobaczył w jej oczach strach. Myśl o wyjściu przed ludzi ją paraliżowała. Choć przecież nie byłoby to niczym dziwnym. Matusza nieraz zwoływała gaździny i prawiła im o obyczajach, obowiązkach i karach za ich niedopełnienie. Gazdów pouczał zwykle Jan, czasem Agnieszka w jego imieniu. Była skryta, podobna Niemirze. Wciąż jednak nie tak dzika i obca w swej odmienności, jak jej następczyni.

– Chcesz, to ci pomogę.

– Jak? Wykpią cię.

– A bo to pierwszy raz? Na mnie spożytkują kpiny, to ciebie może posłuchają. Chodź. Pora wracać. Gazdowie po oscypka pewnie już posłali, to wieść się rozniosła. Trzeba z niej zrobić dobry użytek. No? Idziemy? Niemira?

Dziewczyna siedziała spięta, wpatrzona w widowiskowe turnie Wysokiego Grzbietu, jakby oczekiwała stamtąd ratunku. Kowalik przysunął się, objął ją ramieniem.

– Nie bądź głupia. Wolisz, żeby odwracali od ciebie wzrok albo bili?

– Nie, nie wolę.

Cieszyła się, że Szelest tego nie słyszy. Wstyd jej było, że tak się boi. Przecież to właśnie jemu chciała udowodnić, że może znaleźć sobie miejsce

wśród ludzi. Ze nie tylko las będzie jej schronieniem. Wstała, zmusiła się do uśmiechu. Podskoczyła z obrotem, rozkładając ręce do nieba. Pochyliła się zaraz, chwyciła zielonkawy kamień i cisnęła nim na oślep – byle dalej. Byle wyrzucić wraz z nim złe myśli.

– Dobrze, chodźmy.

Gdy schodzili, Żywy Wierch zahuczał kamienną lawiną. Niemira poczuła, jakby razem z nią spadł jej ciężar z serca.

Hajduk czekał u wejścia do Dymnego Wąwozu. Rozsiadł się na skraju drogi i pykał fajeczkę, obróciwszy twarz do słońca. Zdawał się rozkoszować pogodnym dniem, jednak gdy podeszli bliżej, Niemira dostrzegła w jego ciemnych oczach napięcie.

– Co się stało na hali? – spytał bez ogródek.

– W nocy rozpalono na powrót wicherzykowską wiatrę – odparła powoli Niemira. – A co się stało?

Jan westchnął ciężko, zaciągnął się znów dymem.

– Antoni Gajda umarł. Juhasi znaleźli go rano.

– Wilki?

– Nie. W spokoju. Zasnął i już się nie zbudził.

Niemira pochyliła głowę. Przez ostatnie dni wołała nie przypominać sobie bacy, zawsze bowiem wracał do niej z kijem w ręku. Lecz teraz, gdy laska spłonęła, znów był dla niej tym godnym, rozumnym człowiekiem, któremu nie strach było powierzyć dobytku całej wsi.

– Niedobrze – mruknął Kowalik. – Wiadomo, kto kierdlem się zaopiekuje?

Hajduk machnął niecierpliwie ręką. Mało go to obchodziło.

– We wsi zawrzało. Kolejny zły znak – podjął.

– Starzy ludzie umierają – odparła Niemira. – Żaden znak.

– Ty to wiesz, ale w karczmie usadowili się teraz gazdowie i diabli wiedzą, co im do łba przyjdzie. Rozmawiałem ze starym Gajdą i z Porębą. Rozumni to i z dystansem podeszli, ale wiesz, jak może być. Nie wracaj na razie tam lepiej. Możesz pójść ze mną do Lelei. Nie wiem, gdzie Szelest teraz.

Niemira spojrzała z ukosa na Kowalika. Czekał, obserwując ją badawczo.

– Zostanę – stwierdziła. – Od karczmy i gazdów będę się trzymać z daleka. Ale jak ludzie się boją, to muszą mieć kogo się poradzić. Zabić mnie nie zabiją.

– Nie zabiją, to prawda...

– A jak wygonią, to wyjdzie na jedno – przerwała mu. – Zostanę.

Hajduk nie oponował. Nie pierwszy raz we wężozie wrzało i nie ostatni. Jego dziada mieli ze wsi gnać, ojca palić, jemu samemu niejednego się odgrażał. Ale jak trwoga przychodziła, wracali. Dymny Wężóz szanował swoich wołchwów i dziwadła. Janowi w ogóle nie przyszłoby do głowy zabierać Niemiry z Cierpkówki, gdyby nie widok Harcyka. Siedzący w karczmie zbójnik wzbudził w nim niewyjaśniony lęk.

U Raptusa rzadko było jednocześnie tłoczno i cicho. Mężczyźni z Cierpkówki i Wichrzyków zbili się wokół zestawionych ław, pili i rozmawiali półgłosem, jakby w obawie, że treść dyskusji dotrze do niewłaściwych uszu. Z boku nieco trzymali się najstarsi gazdowie z obu wsi, kilka powsinóg i zbójników. Marek Zawieja, choć też zbój, wiódł prym wśród rozmów. Trzeci krzyżyk na karku, awanturnicze życie i legendy o bogactwach, które zgromadził i poukrywał w górach pod opieką dziwożon i brzeżin, zjednywały mu słuchaczy. Zwłaszcza odkąd Hajduk wyszedł. Zakrzyczano go, gdy próbował uspokajać nastroje. Ledwo co watra na hali zgasła, teraz umarł baca. Jeśli to nie był zły znak, to co było? Jan twierdził, że Antoni Matuszowy dożył zwyczajnie swoich lat i spokojna śmierć we śnie, na ukochanych halach, była dla niego darem za lata dobrej pracy. Juhasi jednak dolewali oliwy do ognia, przypominając, że ledwo kilka godzin przed śmiercią zmuszony był wołać do pomocy nie dość, że dziewczkę, to i odmienicę.

– Kowale ją trzymają, bo złe moce im zjednuje! – gardłował Zawieja. – U Wardów też bogato. Szymek poszedł w lasy i pewien jestem, że już nie wróci, a Kachnie i tak wieść się będzie.

– Gadają, że Szymka pewnie już wilki rozszarpały za to, że Niemirę postrzelił – wtrącił Tymek Bańdzioch z Wichrzyków.

Wywołał kilka pogardliwych uśmieszków, bo ze swym wysokim głosem zabrzmiał aż nadto histerycznie, ale Zawieja zaraz podchwycił jego słowa.

– To jest akurat pewne. Wilki przyszły przecie też na halę, karać ludzi za to, co w Sobótkę zaszło. Aż bacowie musieli dziewczkę przebłagiwać.

– Bzdura – warknął stary Gajda. – Antoni Matuszowy nikogo nie błagał, jeno dobrej rady szukał.

– Ale sam widziałem, jak łaskę swoją łamał! – wtrącił jeden z parobków, co bacy drewno znosili.

– Widocznie tak trza było – odparł gazda.

– Ale przyznasz, że niebezpiecznie się dzieje – wtrącił półgłosem Wojciech Spalenik.

Siedział na samym rogu ławy, głównie wpatrzony w swój kubek. Posiwiące, sięgające podbródka włosy opadały mu na ściągnięte napięciem policzki, a w bladoniebieskich oczach lśnił strach.

– Dużo złych znaków, to prawda. Ale i pamiętajcie, co Antoni mówił. Każdego roku wilki na owce polują. Każdego też ulewy coś niszczą, czy wiatr zrywa dachy. Nie żyjemy w mieście, żeby się przeciwnościom dziwić.

– Prawda – podchwycił Spalenik, biorąc głębszy oddech. – Jak rozmawiałem z Antonim, to mówił, że bywały lata, że od wiosny samej ciężko było. A teraz owce zdrowe...

– Na razie – burknął Józek Raptus, stawiając kolejne butelki gościom. – Diabli wiedzą, co to dziwadło jeszcze na nas ściągnie.

– Jan Hajduk uspokajał...

– Bo on też Warda. A Wardowie mają z piekielnymi mocami pakt.

– I dobrze zawsze na tych paktach wychodziliśmy – wtrącił stary Poręba.

– Oj nie. Wszystko do czasu, panowie gazda. Wszystko do czasu... – zaszemrał za plecami ludzi Harcyk.

Podejrzliwe spojrzenia opadły go ze wszystkich stron. Niegdyś nieodłączny kompan Jana, od dawna nie był widziany we wsi.

– Jak ktoś zaprzeda się złym siłom, to może o swój interes zdoła zadbać, ale wierzcie mi, o niczym więcej. Nawet choćby chciał.

– Co się stało, Harcyk? – rzucił Zawieja. – Czemu ty z Hajdukiem już nie zbójujesz? He?

Mężczyzna pokręcił głową, dłonie uniósł, jakby odpychał od siebie pytanie.

– Nic, o czym warto mówić. Wierzcie mi. Starczyło, by wiele zrozumieć.

– Widzicie! Tych Wardów to pognać trzeba!

– Raczej z ofiarami do nich. Jak bacowie pogonili, to... – tonował Spalenik.

– Żle, że we wsi pozwoliliśmy ostać! – przekrzykiwał go Zawieja.

– Dość! – huknął gazda z Porębów. – Ty tu ostatni, żeby kogoś ze wsi gnać. Niemira może dziwadło, ale bez Matuszy i Agnieszki ktoś obyczajów musi pilnować. A Hajduk to Hajduk. Koniec.

Marek się skulił. Wiedział, że pyskować staremu Porębie to proszenie się o cios ciupagą. Szybko przeczesał wzrokiem towarzystwo. Pod kapeluszami

marszczyły się czoła, przygryzano i oblizywano wargi. Ten i ów tarosił wąsy albo pocierał zmęczone oczy. Chłopi byli pogubieni. Harcyk siedział pod ścianą pochylony, z czołem opartym na pięści. Spalenik brał łyk za łykiem, ale gorzałka jakby go nie tykała. W oczach miał strach. Zawieja nachylił się nad ławą, wbił w niego spojrzenie.

– Widzę, jak się boisz. Sam Wardów we wszystkim się radzisz. Jak Agnieszka kazała, córkę nazwałeś. Jak tylko chory ktoś, po Niemirę ślecie.

Wojciech wyprostował się, ale sztywność ruchów wskazywała, że raczej szuka, jak się obronić, niż dumnie staje przeciw jątrzącemu. Zawieja poczuł, jak do jego oskarżycielskiego spojrzenia kleją się kolejne. Jak mierzą w Spalenika.

– Przez takich jak ty ona tak wyrosła. Wieś jej się musi opłacać! Dobrze! Żeby się poważne, góralskie rody bały przybłądy i chowających ją chłopów, co ledwo skrawek ziemi i kilka owiec mają.

Ten i ów rozejrzał się niespokojnie, czy Antek Warda słów Marka nie posłyszał, ale ten swoje obowiązki twardo wypełniał i do karczmy nie zaszedł. Może nawet jeszcze o śmierci Matuszowego nie wiedział. Spalenik skulił się w sobie. Nawet krzyknąć „przecie to nie moja wina!” się nie ważył, bo w istocie czuł inaczej.

– Pojmijcie, że ja już wytraciłem rodzinę raz... – podjął cicho. – Drugi raz nie zniosę. Chronić żonę i córkę muszę.

– Kosztem nas wszystkich wokół? – wybuchnął ktoś. – Złe sprowadziła na kierdle, na samego Antka Matuszowego.

– Kto to widział, żeby się górale upiorom podporządkowywali! – wykrzykiwał Zawieja.

Harcyk zapatrzył się na Spalenika. Chwycił jego rozbiegany wzrok i uśmiechnął się łagodnie. Pamiętał rozpacz górala po stracie żony i córek. Znalaziono go po wielu dniach, blakającego się w rejonie Mylnej. Bronił się, szarpał. Twierdził, że jemu już tylko ciemność niezgłębionej jaskini została. Opowiadał potem w majakach o dziwach, które w niej widział.

– Wszędzie górale muszą ze strasznymi potęgami igrać – wciął się zbójnik.

Wstał, spojrzał na Zawieję z góry.

– Gdym uciekał przed Hajdukiem, znalazł się człowiek, który mi pomógł. I do zdrowia dojść i wiele zrozumieć.

Marek chciał mu przerwać. Wyczuł, że w miejsce Jana urasta znów ktoś gotów go przyćmić. Ale zanim zdołał się odezwać, ciężka ręka gazdy z



Porębów opadła mu na ramię. Znakiem uspokajającym i groźnym jednocześnie.

– Każda wieś ma swoje Matusze, swoich Wardów, mądrych gazdów, swoje demony i duchy pomocne. Żeby od tego uciec, trzeba by uciec od Tatr. Nie wina Niemiry ani Hajduka, że są jacy są. Sami chcieliśmy, żeby byli. Nie wina Spalenika, że działa w ramach narzuconych przez bogów reguł. Nie ma co rozsierdzać duchów samosądami. Możemy najść dom Kowali, pognać Niemirę, a dom Wardów podpalić i czekać, aż Hajduk wróci z zemstą i strzygami. Ale po co? I nam i jemu to zgubę przyniesie. On sam, żeby nie musiał, z upiorami by się nie wiązał. Ale lata temu już wszedł w to bagno i teraz go wciąga. Jedyne sposobem to szukać ochrony innych sił.

– O czym ty mówisz? – spytał podejrzliwie Zawieja. – Demony demonami płoszyć?

– Tak i nie. Człowiek, o którym mówię, jest uczony. Z samej Warszawy. Tłumaczył mi, że gdy demony z ludźmi się wiążą, rosną w siłę. Dają ją ludziom, ale i same z tego czerpią. Tak wyhodowaliśmy sobie nad Cierpkową Doliną potężne demony. One teraz posiadły zupełnie Wardów, bo sami kazaliśmy im z tymi siłami obcować. Niemira ludziom dobrze by chciała robić, ale już nie może. Nie kary, lecz naszej pomocy potrzebuje.

– Potrzebujemy żyć mimo niej – rzucił Marek.

– Starczy żyć jak dotąd – podsumował stary Gajda. – Przecie to nie od wczoraj raz słońce, raz burza.

Zdawał się znudzony nieco. Od początku mina jego zdradzała, że spodziewa się kłótni, po której wszystko zostanie po staremu.

– To, co Harcyk gada, może mieć sens, może nie. Pamiętać musimy, że Niemira nie tylko złe siły uładza, lecz także dobre zjednuje. A Hajduk od lat bacom radził i nigdy nie zawiódł.

Spalenik z ulgą dołączył się do potwierdzających pomruków.

– A ci, którzy nie chcą żyć, jak dotąd, mogą pójść ze mną – podjął Harcyk. – Ten człowiek wie, jak pomóc. Ale sam tego nie robi. Spalenik, ty musisz się uwolnić od tego, co było. Jak ja musiałem, by nie nienawidzić Jana. – Wpatrzył się głęboko w oczy zmordowanego górala. – Zawieja, ty nie wierzysz. Ja nie uczony, żeby składnie mówić. Może zechcesz z tym człekiem porozmawiać?

– Kolejny jakiś czarownik – sarknął zbójnik.

– A co, boisz się? – zakpił Raptus. – Najgłośniej żeś krzyczał, żeby upiorzycę naszą gonić, a rozmawiać z czarownikiem z jakiejś Warszawy się lękasz?

– Nie lękam się. Niech będzie, pójdę. Ale więcej nas nie trza do tego. Chcecie dalej mieć Hajduka i Niemirę, to chociaż nie bierzcie sobie kolejnego na kark.

Gazdowie pokiwali w milczeniu głowami, Harcyk więc usiadł. Już nie pod ścianą, a u boku Spalenika.

# ROZDZIAŁ 11

Śmiech Lelei oblepiony ciężkimi, męskimi głosami chlasnął Jana jak bicz. Nad brzegiem potoku spodziewał się znaleźć ukojenie – ujście dla złości na ludzi z Dymnego Wąwozu. Zamiast tego dostał widok dwóch pastuchów czarujących brzeginę żartami wypluwanymi połamaną mieszanką słowackiego i podhalańskiej gwary. Jeden rozsznurował koszulę, drugi zdołał już ją ściągnąć i napinał teraz niby przypadkowo mięśnie torsu. Więcej niż dwudziestu lat nie mieli – zaprawieni pracą i słońcem prezentowali się jak dwa leśne duchy, które czasem uwodziły góralki. Brzegina siedziała na kamieniu kilka kroków od nich. Stopy zanurzyła w wodzie. Śmiała się, wpatrzona roziskrzonym wzrokiem w pastuchów, bezwiednie wodząc palcami po odkrytym udzie. Jan aż za dobrze znał zahipnotyzowane spojrzenia mężczyzn. Leleja o każdej porze roku jawiła mu się przepiękną, ale lato dodawało jej smaku dojrzałego owocu, zachęcało gorącym i oszałamiającym zapachem.

Nie krył się nawet, podchodząc. Brzegina, drocząc się z młodzieńcami, zatraciła całą swą czujność. Oni poza nią nie widzieli świata. Jeden, udając dzikie zwierzę, skoczył nagle do potoku i potykając się na śliskich kamieniach, padł jej do stóp. Zbliżył usta do kolan, więc ze śmiechem chlapnęła mu wodą w twarz. Niezrażony wdrapał się na głaz obok niej. Jan poczuł w ręku chłód pistoletu. Skoczył naprzód z wściekłym krzykiem. Strzał poszedł w niebo, a w ręku górala zaraz pojawiła się ciupaga.

– Won, sucze syny!

Leleja krzyknęła i w jednej chwili rozpadła się na tysiące migotliwych kropeł. Zniknęła w bystrym nurcie. Mężczyźni, zaskoczeni, nawet nie próbowali walczyć. Rzucili się do ucieczki. Przez potok i dalej, w dolinę. Po chwili została po nich tylko porzucona koszula i zgubiony w pośpiechu nóż.

– Co wyprawiasz?! – Leleja wyłoniła się przy brzegu o kilka kroków od Jana.

Drżała wciąż z przestrawu, ale oczy roziskrzył jej gniew.

– Mogli ci coś zrobić – burknął Jan.

– Bzdura. – Na grzbiecie fali podpłynęła bliżej. – Mogłeś im coś zrobić. Co to za pomysły?! Oni tylko...

– Nigdy nie wiesz.

– Och, przestań. Co jak co, ale o takich to ja wiem.

– A to się domyślam! – zasyczał. – Co, popsulem ci zabawę? Mało takich na Sobótkę miałaś?!

– Uspokój się! Nic złego nie zrobiłam. Oni też. Młodzi, głupi. Ja żadnego nie tknęłam.

– Bo przyszedłem. – Splunął.

– Jak możesz! Przyszedłem? Wpadłeś jak rozjuszony byk, strzelając z tego, tego...

– By mi nie szkoda było amunicji, to bym wystrzelał!

– A spróbowałbyś... – zasyczała.

Skoczyła i wyrwała mu zza pasa pistolet – drugi, wciąż nabity. Cisnęła nim o ziemię. Huknęło, kula trzasnęła o rzeczny gład. Leleja pisnęła i z pluskiem zniknęła w wodzie. Jan sam podskoczył przestraszony. Podniósł broń.

– Ech... Głupia... – Powiódł wzrokiem po powierzchni strumienia.

Razem z przypadkowym wystrzałem jakby i z niego uszedł gniew. Przecież wiedział, jaka była. Świętej by nie kochał.

– Leleja! Leleja! Nie bój się. Leleja! Chodź, to był przypadek.

Wystawiła ostrożnie głowę nad wodę.

– Tak?

– Tak. Nic się nie stało. Wypaliło, jak uderzyło o ziemię.

– I tobie nic nie jest?

– Nic. Gdzieś w ziemię poszło.

Rozpłynęła się w falach i zaraz wyłoniła się tuż przed nim. W panice zahaczyła cieniutką sukienką o jakiś kamień i jedno ramięczko zwisało rozdarte, odsłaniając dekolt i kawałek piersi.

– Nie bądź zły... Mówiłam, żebyś przy mnie tego nie używał. Nienawidzę tej twojej broni.

– A ja ją lubię. Żeby nie ona, już dawno bym tu nie przychodził.

– Wiem...

– Co, może lepiej by tak było? – Nie mógł się powstrzymać przed złośliwością, ale zaraz pożałował.

Usta wykrzywiły jej się w podkówkę, oczy zaszły smutkiem.

– Nie no, Leleja, przestań. Już! Wiem przecież...

– Sam czasem każesz tego czy owego na dno pociągnąć, a potem wymawiasz. A tych? Nawet bym nie ruszyła. Co mi po takim małolacie? Ciebie chcę.

– No już, nie wymawiaj, nie kokietuj. – Pogładził ją po policzku, po czym pozwolił dłoni ześlizgnąć się po wilgotnej szyi na odsłoniętą pierś.

Leleja przysunęła się bliżej. Dłonią zawadziła o pistolet, który wciąż trzymał i odskoczyła jak diabeł od święconej wody.

– Odłóżysz to gdzieś? – poprosiła.

Skinął głową. Popatrzył na broń, upewnił się, że nie uszkodził jej upadek. Była pięknie intarsjowana.

– Ech... Drugi taki miałem. Od zestawu. Zdobyczne. Dobra broń.

– I co?

– Zgubiłem wtedy na wiosnę, jak przed żandarmami uciekałem. Szukałem potem, ale, wiesz, diabeł ogonem nakrył. Ech... Szkoda. – Odłożył pistolety do jamy nieopodal, zabezpieczył dobrze. – No nieważne.

Leleja siedziała już na brzegu, uśmiechnięta i promieniejąca. Przygryzała delikatnie wargę. Gdy tylko usiadł obok niej, drobne dłonie zawędrowały pod jego koszulę. Zaraz za nimi poczuł chłodny oddech na skórze. Złapał kobietę za włosy i przyciągnął jej usta do swoich. Wpił się w nie mocno, niecierpliwie. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przycisnęła się całym ciałem.

– No już, spokojnie – wyszeptała, odrywając wargi. – Wiem, że zewsząd złe wieści. Ale tu nic przykrego cię nie spotka. Spokojnie. Zapomnij o wszystkim.

Wstyd mu było przyznać, jak bardzo tych słów potrzebował.

Dalegor obserwował trzy postacie wspinające się niezmordowanie stromą ścieżką na Przełęcz Krzyżne. Widział je już z dala, gdy przemierzały usiane głazami dno Doliny Pańszczyca, tak surowej w porównaniu z rozciągającą się po drugiej stronie Doliną Roztoki i wyniesioną ponad nią Doliną Pięciu Stawów. Z jednej strony szarość piarżysk, z drugiej rozbuchana zieloność otulająca rozmigotaną wodę i próbująca unieść ją do nieba. Dumna grań rozdzielała dwa światy.

Choć górale zdawali się iść niespiesznie, ziemia umykała im spod nóg. Chwila i już skręcali ku łagodnemu stokowi Wielkiego Wołoszyna. Harcyk wiódł kompanów sprężystym krokiem. Za nim szedł Spalenik – z pochyloną siwą głową i kapeluszem w ręku wyglądał jak pokutnik. Pochód

zamykał Marek Zawieja z wyrazem znużenia na twarzy, podkreślający co chwilę wąsa.

Dalegor poprawił płaszcz i ruszył im naprzeciw. Gdy wyłonili się zza głazów, pochwycił wzrok Harcyka i niemo wskazał idącego za nim górala. „To on?” – spytał spojrzeniem. Zbójnik nieznacznie skinął głową i czarownik poczuł, jak przyjemne ciepło rozchodzi mu się od stóp aż po czubek głowy. Przez chwilę wyobraził sobie, że to ogień budzącego się Żmija, ale odepchnął zaraz tę przedwczesną złudę. Rozprasząc się teraz, mógł wszystkie swoje marzenia pogrzebać.

Powiódł przybyłych dalej, grzbietem podciętego z jednej stron masywu zamykającego groźne, postrzępione granie Orlej Perci. Pod osłoną baszty wybitnych skał miał rozpalone ognisko i rozłożone niedźwiedzie skóry. Usiadł, Harcyk po jego prawej stronie, obcy zaś naprzeciwko. Podczas gdy zbójnik tłumaczył mu problem, z jakim przyszli górale, on wpatrywał się w twarz Spalenika. Z każdą chwilą upewniał się, że widzi człowieka, którego szukał. Przedwcześnie posiwiąłego od doświadczeń, których nie powinien mieć, o żalonym spojrzeniu, które widziało za wiele. Beznadziejnie zgubionego w przeczuciach, których nie umiał obrócić w fakty i wspomnienia. Targanego bólem, tęsknotą i strachem. To do niego mówił, gdy, patrząc gdzieś w niebo, podjął:

– To jest to, czego się obawiałem. Ludzie będący waszą podporą, stają się zagrożeniem. Zaczynają niszczyć się wzajem.

– Wzajem? – wtrącił idealnie Harcyk.

– Wzajem. Sami wiecie, że baca to też czarownik. Wiedzą i instynktem obdarzony. Siła stojąca za Hajdukiem pozbyła się kolejnego wiążącego ją ogniwa łańcucha. Czuję coś potężnego na zachód stąd. Coś bardzo starego tkwi w pobliżu waszych domostw i hal. Bywa przychylny, ale żąda ofiar.

– Zawsze żądało – wtrącił Zawieja.

– Oczywiście. – Dalegor wpił spojrzenie w smutne oczy Spalenika. – Ale różna jest waga tych ofiar, czyż nie? Teraz sięga po więcej. Każe zginać karki. Wystarczyła chwila waszego gniewu na dziewczkę, którą sobie wybrała, byście ponieśli srogie straty.

– Hajduk, wierzcie mi, też już nie ten sam. Opętany urokami brzezin, wsłuchany tylko w to, co dochodzi z Żywego Wierchu – dodał Harcyk.

Zawieja spostrzegł, że dziwny człowiek, przypominający prędeż beskidzkiego samotnika niż uczonego z Warszawy, obdarza zbójnika

spojrzeniem, jakim matka obdarza posłuszne dziecko. Skrzywił się.

– Mówiłeś, Harcyk, że nie trzeba Niemiry ani Hajduka krzywdzić. Ale to, co mówicie...? – podjął słabo Spalenik.

– Brońcie bogi – odparł ciężko Dalegor. – Nakręcanie wzajemnych krzywd tylko żywi czarty. Ludzie zmarli nagłą śmiercią, wyklęci czy pokrzywdzeni powracają jako przeklęte dusze i wzmacniają złe szeregi.

– Więc do księży iść? Podhalańskiego Gazdę o łaskę prosić?

– Podhalański Gazda dba o tych, co o siebie dbają – burknął Marek.

– Za prosto powiedziane, ale sens dobrze podsumowuje – podchwycił Dalegor.

Dorzucił szczap do ognia, bo tymczasem z Roztoki wspięła się na granie chmura i objęła mężczyzn chłodem. Podniósł się duszący, gęsty dym, czarownik zaś mówił dalej.

– Ani samosąd, ani obca ręka. Tatry to cudowny, stary twór. Wieki stał nietknięty i stać może kolejne. Lecz każda przedwieczna siła potrzebuje równowagi. Gdy dla jednej potęgi nie ma przeciwwagi, wykoślawia się. Tak się stało z tym, co trwa w Zachodnich Tatrach. Katolicyzm, kult jednego boga, czy jak u was mówicie Gazdy Podhalańskiego, uspił wiele starych sił. I tu w Tatrach też.

– Czekać, aż ta usnie? – wtrącił Spalenik, ale nie było w jego głosie grama wiary.

– Znaleźć przeciwwagę. Studiowałem Tatry latami. Nigdy jednak nie poważylem się wtrącić w tutejszy ład. Póki nie poznałem Harcyka, nie wiedziałem, jak to potrzebne. Podwójnie! By ratować ludzi i by, przyznam to wam szczerze, ratować siły, które sam ukochałem.

Zawieja skrzywił się. Dalegor spostrzegł jego pogardliwy wzrok i wstał z ciężkim westchnieniem.

– Tak, mam i swoje słabości. Harcyk wam mówił. Świat bez starych bogów jest dla mnie trudny. Gdy widzę, jak zmierzają do swojego upadku, cierpię.

– I co chcesz zrobić? – spytał Marek.

– W Mylnej drzemie coś, co mogłoby zrównoważyć demona Żywego Wierchu. Siła, która wzięłaby was w obronę. Lecz dotrzeć do niej... Długo szukałem przewodnika.

– Harcyk przecież nieraz się tam krył.

Zbójnik pochylił pokornie głowę.

– Niestety... Tu więcej trzeba niż moje umiejętności – odparł.

– Tu trzeba kogoś, kto zaszedł w najgłębsze trzewia, widział wszystko, co w ciemności tkwi i wrócił, bo sam w ciemności głębszej był.

Spalenik zadrżał na słowa czarownika. Wymienili długie spojrzenia.

– Trudno mi cię o to prosić, bo jest w tym, jak rzekłem, moja prywata... – mówił dalej Dalegor.

Odszedł kilka kroków zgarbiony, jakby ciężar go przytłaczał.

– Ale może być w tym nasze ocalenie – podchwycił Harcyk. – Inaczej nic nie zatrzyma Niemiry i Hajduka. Może tylko śmierć.

Siwowłosey góral ukrył twarz w dłoniach. Nie był w stanie zapanować nad dreszczami szarpiącymi ciałem. W siarkowym dymie ogniska wracały do niego obrazy, które wyparł z pamięci, nim wrócił do zmysłów. Wstyd mu było, że wyciskają mu łzy z oczu, że ma ochotę krzyczeć, choć nie wie dlaczego. Pomyślał o Hajduku, który tyle razy wsparł go od tamtych wydarzeń. O Niemirze, która, choć przeklęta, była z jego krwi.

– Co dokładnie muszę zrobić? – wydukał.

– Nie ty. Nie sam. – Harcyk podszedł i położył mu rękę na ramieniu.

– Każdy, kto chce pomóc mi przebudzić duchy Mylnej, przysiąc dziś będzie musiał. Wówczas zaczniemy przygotowania. Musimy wykadzić co złe z dusz, odbyć pokutę i post. Nikogo z was nie ważę się zmuszać, nie wiem bowiem, czy żyw wróci.

Gdy przysięgali, wodził po nich ojcowskim spojrzeniem – pełnym dumy i troski. Ani na moment nie odrywał go od drgnień ich twarzy, wyrazu oczu. Miał teraz trzech synów – tego najlojalniejszego, bezwzględnie oddanego Harcyka; wdzięcznego, zbolełego Spalenika i wreszcie Marka marnotrawnego... który wrócić w ojcowskie progi nie zamierzał.

Wypili wspólnie, nim się rozeszli w mgłę. Spalenik z Harcykiem w stronę Zakopanego, Zawieja zaś ku Roztoce. Jemu jednemu nogi poplątały się, gdy schodził stromym żlebem, rozmyślając, gdzie znajdzie Hajduka, by ostrzec go o tych szaleństwach. Potknął się, głową naprzód poleciał. Kamienna lawina chwyciła jego ciało w szpony i szarpiąc, pociągnęła w dół.

Witysza pędziła przez góry, by zagasić wesołość nad termalnymi basenami Jaszczurówki. Przemknęłaby i przez Wołoszyn, gdyby lawina nie ściągnęła jej uwagi. Cicha lubiła patrzeć, jak duch uchodzi z człowieka – nieważne, czy z dziecka, czy z dorosłego – zwłaszcza gdy ginął gwałtowną śmiercią. Cieszyła ją dezorientacja, gniew i bezradność ofiary. Niezrozumienie, że to już, że tak nagle, że starczyłoby lepiej postawić stopę, ale już się tego nie



zdoła uczynić... Tym razem jednak było inaczej. Duch górala jedynie mignął jej przed oczami i jak szarpnięty za obrożę pofrunął nad Wołoszyn. Witysza wspięła się za nim.

Na grzbiecie masywu ujrzała pochylonego nad ogniskiem czarownika. Z jego palców spływały zaklęcia splatające skomplikowaną sieć nad ciśniętym w ogień kamieniem. Wiązały do niego przepalaną płomieniami ludzką duszę. Zawieja szarpał się i bronił, żądny zemsty, ale zaklęcia były potężne. Dalegor nie zamierzał pozostawić nic przypadkowi.

Witysza nie zbliżała się, choć widowisko było hipnotyzujące i fascynujące. Coś w tym człowieku zdało się jej znajome. Innych, którzy nosili płaszcze splecionych w znaki włosów, tatuowali swoje ciała potężnymi zaklęciami i drżeli w rytm głębokich oddechów uszpionych bogów, widywała daleko stąd, przed wiekami... I raz jeden, w czasie dla demona całkiem niedalekim – przed laty może piętnastu, może dwudziestu – w Tatrach właśnie... Ostrożnie podchodziła, trzymając się kurczowo płaszcza gęstniejącej mgły. Czyżby to był ten pyszałkowaty człowiek, z którym wzajem się oszukali?

Podskoczyła w miejscu jak dziecko przyłapanie na psikusie. Poznała go. Choć twarz mężczyzny nosiła ślady muśnięć czasu, a znaczące ją bruzdy szaleństwa pogłębiły się, to bez wątpienia był on. Żal i gniew zapłonęły w sercu Wityszy, ale ponad nimi rozrósł się strach. Dalegor stał się czarownikiem, z którym nie chciałyby igrac. Znaki na jego rękach nie były już naiwnymi czarami przepisanyymi z ksiąg. Były kluczami do świata. Ktoś pokazał mu, jak pruć rzeczywistość i przesywać ją na nowo. Ten człowiek na barkach biesów wydzwignął się ponad obyczaje i rytuały, które wcześniej mogły dawać mu może przewagę nad ludźmi i chwilowe schronienie przed demonami, ale nic, co mogłoby naprawdę im zagrozić.

„Ostrzec Matochę” – pomyślała Witysza.

Uciekła z Wołoszyna, nim czarownik skończył skuwać duszę górala z kamieniem. Ze strachu starała się podążać bezszelestnie, choć przecież jej natura nie pozwalała na nic innego.

Już w dolinie oczy zaszyły jej łzami. Wraz z tym człowiekiem wróciło wspomnienie krótkich chwil pełnych nadziei. Gdy niosła w ramionach dziecko, pewna jeszcze, że jest i będzie jej. Dalegor wówczas ją oszukał. Poznał tęskny ból, którym zaraziła się od pozostawianych w żałobie matek. Spostrzegł, że zakochała się w śmiechu i niewinności zabijanych istot. Że pragnie jednej takiej dla siebie. Dla niego był to kaprys demona, ale mógł

uczynić mu zadość w zamian za pomoc. Ona miała jego pragnienia za śmieszny sen o wielkości.

Ułożyli się. Dalegor w swoich poszukiwaniach starej magii zapragnął obudzić ducha Wołosowego Żmija. Chciał poznać ścieżkę wiodącą do jego serca. Próbował związać Wityszę przysięgą lojalności, bo nie był aż tak głupi, żeby ufać cichej. Zabrakło mu jednak mądrości, by poznać, że stary demon z łatwością wymknął się zastawionym sidłom. Witysza opowiedziała mu o drogach w trzewia Wołoszyna – wiedzona podejrzliwością, nie zdradziła jednak ani słowem ich prawdziwej natury i drzemiących tam niebezpieczeństw. W zamian Dalegor zaklął jeden ze stawów w Cierpkowej Dolinie. Dotąd pamiętała, jak tkwiła ukryta wśród martwych krzewów kosówki i wyczekując tej cudownej chwili, powtarzała sobie jego słowa:

– Patrz na kobiety. Dziecko, które pierwsze matka wykąpie w tej wodzie, będzie twoje. Pójdiesz i je weźmiesz. W noc Sobótki woda oczyści się z zaklęć, wtedy już będzie za późno.

Witysza nie musiała jednak długo czekać. Kobiety z Cierpkówki przyszły nad staw rozbawione, pogrążone w plotkach. Dwie niosły maleńkie dzieci w ramionach, Któraś dla zabawy zanurzyła stopę w stawie, wzdrygnęła się na chłód wody. Inne śmiały się, ostrzegały przed topielicami, więc ochlapała je i weszła głębiej. Zachęczone tym, kolejne ściągały kierzce i wchodziły do wody. Aż nagle Jadźka Spalenikowa pochyliła się i poczęła obmywać córeczkę, którą ze sobą przyniosła. Z każdy chluśnięciem dziecko opływała martwa woda, przygotowując je dla Wityszy.

Cicha prawie biegła do domostwa Spaleników. Niecierpliwosc i radość popędzały ją tak, że innych dzieci na drodze nie dostrzegała. Dopiero przy samym łóżeczku maleńkiej zauważyła jej starszą siostrę – Anuškę. Tknęła ją mimochodem różgą, a gdy dziewczynka osunęła się na ziemię, chwyciła w ramiona cichutką Niemirę. Wiedziała już, że tak nazwie córeczkę. Jadźka, siedząca przy krosnach w białej izbie, usłyszała, jak urywa się paplanina Anuški. Tknęta niepokojem, pobiegła do córek.

Ciche nie zwykły zabijać dorosłych... Ale ona przecież wyjść musiała, a kobieta stanęła jej na drodze i gotowa była narobić krzyku. Jedno dotknięcie różgi, ostatni, gwałtowny wydech i słodki spokój. Odchodząc, Witysza była pewna, że wszystko zakończyło się tak, jak powinno. Dopiero na Żywym Wierchu przekonała się, że obietnice Dalegora były czcze, a jego czary niepełne.

Przykucnęła w Starorobociańskiej Dolinie, u stóp miejsca, które było jej domem i najgorszym wspomnieniem. Przycisnęła dłonie do twarzy i się skuliła. Chlipała prawie do świtu. Wreszcie wstała, otarła nadgarstkiem nos, poprawiła zwiędły wianek. Czuła się winna strażnikowi tatrzańskich demonów lojalność... w każdej innej sprawie.

„Wszyscyśmy siebie warci” – pomyślała, gładząc w palcach różgę. Dzieci na Jaszczurówce czekały już zbyt długo.

## ROZDZIAŁ 12

Chłód początków września wywiał z głów górali awantury. Pielgrzymki z podarkami do Kowali stały się rzadsze, Niemira coraz częściej zaś wystawiała nos z kuźni. Odkąd miejsce Antoniego Matuszowego zajął sam stary Poręba, sytuacja na halach się uspokoiła. Siły kierowano więc przeciw wyczuwalnej już w powietrzu zimie.

– Nie dadzą zgody i już! – Staszek Halka wparował do izby, rozsierdzony.

Na podwórzu stał jeszcze wóz i dwóch odświętnie wystrojonych górali, z którymi pojechał do włodarzy.

– Na co? – Niemira przerwała ostrzenie siekiery.

– A na to właśnie. Na zrywkę drewna. Kara za ukrywanie zbójników.

Kowalowa westchnęła.

– Pewnie ich Nowy Targ przycisnął. Dyćkowa mówiła mi w kościele, że nowych jakichś komendantów tam ustanowili.

– Może. Mało kogo to tu obchodzi.

– I co dalej?

Kowal wzruszył ramionami. Wymienił spojrzenia z synem.

– No, a co ma być? Nielegalnie gdzieś trzeba będzie rąbać.

– Tymek Bańdzioch już poprzedniej niedzieli mówił, że pójdą na Jaworzynowy ciąg. Ciężko trochę stamtąd zwozić, za to sami swoi w okolicy. Nikt nie doniesie, a żandarmi się tam niechętnie fatygują. Z siedmiu chłopów już zmówionych, to szybko się uwiniemy. Chyba pójdę z nimi.

– Pójdziecie – zgodził się Staszek, wskazując spojrzeniem Niemirę. – Władza władzą, a zima zimą. – Kowalik z trudem powstrzymał parsknięcie na dźwięk filozofii ojca. – Nie będziemy łajnem palić ani marznąć. Poza tym szopę trzeba wzmocnić po ostatnich wichurach. Pogadam z Tymkiem Bańdziochem, jak rzecz dobrze między wsie podzielić.

Niemira ramię w ramię z mężczyznami dźwigała siekiery, piły, liny i patrzyła, jak marsz wyciska z nich siły. Czasem zabierała któremuś – nigdy Kowalikowi – część ładunku, gdy zostawał w tyle. Na Jaworzynowym Wale czekała ich ciężka robota, więc każdy chętnie korzystał z pomocy. Konie wzięto, ale prowadzono na lekko, wozy zaś miały zajechać później – żeby

nikt zawczasu nie zoczył, że górale znów piłują tam, gdzie im zgody nie dano.

Niemira, choć lubiła tę robotę, czuła się niepewnie. Odkąd wkroczyli w porastające łagodne zbocze regle, zniknęło magiczne uczucie jedności z ludźmi. Tymek Bańdziuch, najstarszy w tej grupie, szedł na czele z Kowalikiem. Obaj trzymali pistolety w pogotowiu. Jędrak z Raptusów, dumny skrytostrzelec, przeczesywał czujnym spojrzeniem gęstwinię. Palec prawie cały czas trzymał na cynglu i co chwila uciszał dwóch górali idących za nim i gawędzących w marszu.

– Tu lepiej nie polować – rzuciła półgłosem Niemira.

– Ta, wiem, zakazy... – mruknął z przekąsem Raptus i błysnął zaraz szerokim uśmiechem. – Ale niejedno już tu ustrzeliłem.

Pokręciła głową. Zakazy władzy i ją mało obchodziły. Lecz włodarze utrzymywali w mocy w istocie starszą tradycję, której źródeł nie pamiętano. Ona wiedziała, że to na tych terenach leszy urządzili kilka ostoi dla chorych jeleni i kozic, a podobno nawet i niedźwiedzi. Las przez wieki akceptował polowania. Jednak naruszania miru takich miejsc jak to na pewno nie zamierzał.

– Teraz nie strzelaj. Samotny myśliwy mógł ujść uwadze borowych, cała grupa już nie ujdzie – mruknęła dziewczyna.

Wdrapali się wyżej, zbaczając z szerokiej przesieki. Dwa konie zamykające pochód zaczęły wesoło parskać, jeden nawet przyspieszył kroku, mimo że teren zrobił się trudniejszy.

– Tutaj – rzucił Tymek Bańdziuch. – Niemira, pomożesz chłopakom rąbać, bo masz krzepę. Kowalik, weź Raptusa, ze dwóch jeszcze i zaczniecie okorowywać. Gazdowie mówili, że tutaj...

– Okorowywać? – zdziwił się Kowalik.

– Ano. Z Wichrzyków wysłano tu tego roku koziarza, ale nie wiadomo, co się z nim stało. Ani widu, ani słyhu. Późno już, wiele nie zdziałamy, ale chociaż największe drzewa trza wycierchlić przed zimą, to na wiosnę się zwali.

– Pastwisko tu będzie? – Niemira poczuła nieprzyjemne ukłucie. – To nie jest dobre miejsce.

– Gazdowie dogadali – wtrącił Raptus.

Jako bratanek karczmarza miał zawsze najświeższe wieści i lubił się tym popisować, gdy nie opowiadał akurat o swoich polowaniach.

– Podobno władza chce zakazać wypasu na stokach Ornaku, Starorobociańskiego i w głębi Pyszniańskiej. W Kościelisku rozważają, co by część naszych hal wykupić. Trzeba myśleć o nowych, bo jak ich władarze poprą, to za rok, dwa...

– Dobra, nie mędrkuj, Raptus. No już, do roboty wszyscy!

Niemira z wahaniem wzięła w ręce siekiere. Kątem oka widziała, jak Klimek zabiera się za swoją robotę. Darli korę z wiekowych drzew, aż furczało. Na wiosnę pod wyschnięte pnie podłożyć zamierzano ogień i czekać, aż od środka się wypalą. Mniejsze świerki i sosny poczęto zrąbywać i składać na równe stosy. Co cięższe odciągano końmi. Kiedy zamachiwała się pierwszy raz, miała ochotę przywalić w któryś z pochyłonych łbów pozostałych drwali. Kowalikowy najchętniej. Była zła, że dała się w to wciągnąć. Rozumiała argumenty wichrzykowych gazdów, ale kaleczenie Jaworzynowego Wału wzbudzało w niej obrzydzenie. Klimek musiał to zauważyć, bo odszedł na moment od roboty, oparł jej rękę na ramieniu i odprowadził na bok.

– Nie wiedziałem, że tu cierchlić będziemy. Nie złość się.

– Nie moją złością się martw. – Rozbieganym wzrokiem omiotła szepczące między sobą liście i igły. – Nic tu już nie poradzę. Pójdę nocą, spróbuję ugłaskać leszych...

Kowalik zmełł w ustach sprzeciw. Od śmierci Matuszowego Niemira unikała lasów. Raz tylko poszła, krótko po odnalezieniu zwłok zagryzionego Szymka, by odwieść od wsi wilki. Poza tym zamknęła się w kuźni, czasem chodziła do innych prac i powoli wtapiała się na powrót w wieś. Gasła aura obcości, która spowiła ją po Sobótce. Powrót guseł i nocnych wypraw zdawał się Kowalikowi porażką. Wiedział jednak, że Niemiry nie przekona. Nie miał zresztą argumentów – on znał leszych z legend i opowieści, ona miała ich za przyjaciół.

– Dobrze. Ale chociaż zrobmy szybko, co do nas należy – skapitulował.

Ledwo zdołała znów unieść siekiere, gdy zza gęstych krzewów wypadła spłoszona łania z dwoma cielakami u boku. Pognała na przełaj między ludźmi. Po prawej zadrzały zarośla i zagrały ciężko kopyta – reszta spanikowanego stada gnała w drugą stronę. Niemira obróciła się w chwili, gdy Raptus już mierzył.

– Patrzcie!

– Głupi! – Krzyk dziewczyny zlał się z wystrzałem.

Łania zarzuciła zadem i poleciała pyskiem w zarośla. Jedno młode pognało spanikowane na oślep, drugie jednak się zatrzymało, jakby zdziwione sytuacją. Samica jeszcze żyła. Darła przednimi kopytami runo i wytrzeszczała oczy w przerażeniu. Raptus krzyknął tryumfalnie i wyjął drugi pistolet. Nie spieszył się. Ogłupiały cielak szturchał matkę nosem i zadawał się zupełnie nie pamiętać o ludziach wokoło.

– Ani się waż!

Niemira, rozsierzona do nieprzytomności, rzuciła się na myśliwego. Ucapiała go za ramię, wyrwała pistolet z dłoni.

– Durniu! Tu kłusować?! Łanię, co ma młode do odchowania...!

Mężczyzna odepchnął ją nie bez trudu. Tymek Bańdzioch doskoczył do pary, wpadł między nich.

– Dość.

– Dość. – Kowalik przysunął się do Niemiry. – Stało się, trudno. Dobić trza.

– Jak spróbujesz... – Dziewczyna nie spuszczała wzroku, który teraz zdawał się być spojrzeniem dziesiątek osób, z Jędrka Raptusa. – Jak spróbujesz strzelić w młode, to oczy ci wydrapię i zaniosę Mokoszy na przebłaganie. Przysięgam.

Kowalik wziął siekierę i ruszył w stronę dogorywającej łani. Młode cofnęło się, gdy podchodził. Samica zaś uniosła łeb, raz jeszcze targnęła się gwałtownie, próbując wstać i charcząc żałośnie.

Odpowiedziała jej straszliwa muzyka splatającego się wilczego wycia i ryku rozjuszonego niedźwiedzia. Las ożył. Zadrżały drzewa, trzasnęły łamane gałęzie i krzaki. Kowalik zamarł z uniesioną siekierą. Konie, zamiast uciekać na głos drapieźników, strzygły wesoło uszami, potwierdzając tylko przeczucia Niemiry. Dziewczyna wypuściła pistolet i rzuciła się w stronę Klimka.

– Nie!

Tak wielkiego niedźwiedzia nikt z Dymnego Wąwozu nigdy nie widział. Zakończone długimi szponami łapy z łatwością obalały drzewa, kły w rozwartej paszczy zdawały się ludziom wielkie jak szable. Kowalik czuł tylko, że nie może się ruszyć. Trzy wilki towarzyszące bestii, równie rozsierzone, poszły na boki, a niedźwiedź gnał wprost na niego. Chłopak wypuścił siekierę i uniosł w bezradnym, obronnym geście dłoń. Nie słyszał

biegnącej Niemiry ani wrzasków uciekających kolegów. Chciał się modlić, ale w głowie miał pustkę.

– Szelest, nie! – Niemira wpadła między nich w ostatniej chwili, odpychając Kowalika na bok.

Niedźwiedź obalił ją jak suchą brzoźkę i pognał dalej.

– Stój, błagam! Odpłacimy za wszystko! – Zerwała się błyskawicznie z ziemi. – Nie strzelaj! – wrzasnęła, widząc, że Raptus obraca się z nabitą bronią i mierzy.

Ale było za późno. Wystrzelił. Niedźwiedź zachwiał się, raniony w pierś, ale nie padł. Stał na dwóch łapach, rycząc straszliwie. Las mu odpowiedział. Drzewa wokół Jędrka zadrżały potężnie – czy to z przerażenia, czy z gniewu. Ciężkie konary odłamały się i runęły na ziemię, uciszając brutalnie wrzask człowieka. Tymek rzucił się ratować Raptusa. Za nim dwóch chłopaków już mierzyło z kapiszonowców, chcąc dać chwilę kompanowi.

Niemira wypadła przed Szelesta w ostatniej chwili. Jeden z górali zdążył wstrzymać rękę, drugi jedynie targnął nią w bok, by dziewczyny nie ranić. Pistolet huknął i splunął dymem. Przewodnik wilków – stary basior, którego Szelest kochał całym sercem – zwinął się w skoku, skowycząc boleśnie. Niemira spojrzała struchlała na lepszego. Znieruchomiał. W jednolitych, połyskliwych oczach bestii ujrzała bezdenną rozpacz.

Kowalik dopadł do pozostałych.

– Chodu! Teraz!

Pomógł Tymkowi wywlec połamanego Raptusa spod konarów. Jędrak był cały zalany krwią, a ręce i nogi miał zupełnie wiotkie, ale nie mieli czasu zastanawiać się, czy wyżyje. Bańdzioch przerzucił go sobie przez ramię.

– Uciekać! Już! Niemira!

Pokręciła głową. Szelest powoli obrócił się w stronę wilka i malejąc z każdym krokiem, powlókł się ku niemu. Po chwili niedźwiedzia skóra znów była tylko ciężkim okryciem na jego ludzkim ciele. Opadł na kolana przy basiorze, ale nic już nie mógł zrobić. Kula strzaskała czaszkę.

– Niemira! – Kowalik pociągnął dziewczynę za ramię. – Teraz! Chodź!

– Nie mogę – jęknęła. – Szelest...

– Zostaw go. To demon. Widziałaś, co...?

– Puść! Idź, Kowalik. Won! – Wyszarpnęła się chłopakowi. – Szelest!



Ponaglany przez górali, pobiegł za nimi. Ona dopadła do lepszego. Skulił się nad martwym wilkiem, dłonie zatopiwszy głęboko w futrze. Po twarzy spływały wolno żywiczne łzy. Niemira dotknęła wiszących na szyi koralików z surowego drewna. Też płakały.

– Szelest...

– Odejdź.

– Szelest... Przepraszam... Nie wiedziałam, że tak to się skończy.

Spróbowała go dotknąć, ale odepchnął ją rozjuszony.

– Won! Won z mojego lasu! – Ryk wciąż miał niedźwiedzi. –  
Przychodźcie tu cierchlić, przychodźcie kłusować!

– Nie wiedziałam!

– Zabijacie zwierzęta w ich ostoi, szykujecie drzewa na powolną śmierć w mrozie. Mordujecie mojego przyjaciela...

Szelest cedził powoli sylaby. W każdej kolejnej wzbierała coraz potężniejsza nienawiść.

– I ty! Ty z nimi... Wychowana przez ten las, przez góry...

– Przysięgam ci, nie wiedziałam, że to kłusownicy. Szelest, nigdy bym...  
Błagam, zrozum. Też was kocham!

– Może kochałaś... Odejdź już. Ostrzeż tych ludzi, do których tak bardzo chciałaś należeć... Tych myśliwych i drwali, którzy własnej ziemi nie szanują. Ostrzeż ich, że jeśli postawią stopę w moich lasach, każde jedno żywe stworzenie będzie przeciw nim. Każda ścieżka ich zwiedzie. Każdy owoc, który zbiorą, będzie trujący... I ty też nigdy więcej do moich regli nie zachodź. Zdradziłaś je. I strzeż się każdego lasu, bo na wrogość odpowiada wrogością. Won stąd!

Niemira odsunęła się kilka kroków. Drżała na całym ciele, czując, jak ciskane przez Szelesta klątwy przenikają gdzieś głęboko pod skórę. Widziała, jak cierpiał. Dźwignął się na nogi i zgięty w pół, chwiejnym krokiem podszedł do łani. Lśniącą od żywicy dłoń położył na ranie, drugą wyciągnął w stronę spłoszonego cielaka. Odchylił głowę i recytował zaklęcia, a drzewa i wiatr odpowiadały mu cicho. Przerwał nagle, jakby opadł z sił. Pochylił głowę i zadrżał, szarpnięty szlochem. Jego twarz postarzała się w jednej chwili – blizny pogłębiły się – wyglądały teraz jak pęknięcia w zeschniętym drewnie.

– Nie chcę cię tak zostawiać. Szelest, proszę. Jest coś, co mogę dla was zrobić? Nie zadośćuczynić nawet, ale pomóc?

– Odejdź, bo jeszcze gorzej się to skończy! Wynoś się z mojego lasu, bo nie ręczę za siebie, rozumiesz?!

– Rozumiem... – odpowiedziała cicho. – Ale ja wrócę. Wiesz o tym... Będę, gdybyś mnie potrzebował.

Odwróciła się szybko, świadoma, że kolejne słowa znów będą ciosem. Najgorszym pozostał jednak rozpaczliwy skowyt Szelesta, który ścigał ją jeszcze długo po lesie.

Przez kilka dni nie wróciła do wsi. Przez Jana posłała ostrzeżenia chłopcom z Dymnego Wąwozu i bezwzględnie wzbroniła Kowalikowi poszukiwań. Nie odeszła z lasów, ale też nie szukała leszego. Nocami nasłuchiwała w wyciu wiatru jego rozpacz. I tęskniła. O wiele bardziej, niż się tego spodziewała, gdy w upalne, sierpniowe noce powoli pruła wiążącą ich, pokomplikowaną sieć uczuć. Zanim się zorientowała, stworzyła wielką dziurę w sercu, której nie umiała zapełnić wsią. A teraz też nie miała jak zapełnić jej lasem. Choć ten, wbrew słowom Szelesta, pozostał jej życzliwy. Tak, jak spodziewał się Hajduk, który wysłuchawszy płaczliwej spowiedzi dziewczyny, ruszył wesprzeć przyjaciela w jego żałobie.

## ROZDZIAŁ 13

W czasie gdy mieszkańcy Dymnego Wąwozu chowali do ziemi zmarłego Jędrka Raptusa, w Jaskini Mylnej Wojtek Spalenik czuł, jakby zstępował do własnego grobu. Wszystkie przygotowania, którym poddał go Dalegor, straciły sens w chwili, gdy minęli pierwszą komnatę i zostawili w niskim tunelu ostatnie promienie słońca. Żadne znaki wymalowane sadzą na ciele, żadne amulety ani tkwiący wciąż we włosach zapach kadzideł nie mogły odgonić pierwotnego strachu, który dopadł mężczyznę. Spalenik zatrzymał się na moment. Wąskie przejście przy podłodze wiodło na prosty szlak idący na przestrzał przez jaskinię. W bok można było przecisnąć się ku komorom, które coraz bardziej pokrętną siecią drążyły Raptawicką Turnię. Dotyk wilgotnych kamieni, lodowata woda stojąca w korytarzach, wąskie chodniki, którymi musiał pełzać... Mrok i jeszcze bardziej przerażające światło majaczące czasem gdzieś w oddali. Duszny koszmar chwytający za gardło zimnymi palcami. Mozaika potrzaskanych wspomnień przetaczała się mężczyźnie przed oczami.

– Idź, Spalenik. Teraz wszystko zależy od ciebie – powtórzył mu za plecami Dalegor. – Pamiętaj, robisz to dla rodziny. Dla córki.

Harcyk, zamykający pochód, zatrzymał się, by przywiązać do skalnego występu kawałek podartej szmaty – oznaczyć drogę powrotną. Czarownik chwycił go za ramię i ojcowskim gestem położył dłoń na włosach.

– Nie. W tej podróży decyduje instynkt.

– Poblądzimy.

– Musimy poblądzić. Prowadź, Spalenik.

W chybottliwym świetle górniczych karbidówek ze ścian wyłaniały się najdziwniejsze kształty. Wykrzywione twarze, jakby zatopione w kamieniu, o oczodołach ziejących pustką lub wypełnionych plamami nacieków. Półzwierzęce sylwetki, które zależnie od kąta patrzenia zdawały się to spać, to znów czaić, odsłaniając rzędy zębów. Im głębiej, tym cisza bardziej dudniła w uszach. Spalenik szedł jak pijany. Potykał się, wpadał w szczeliny, tulił się do skalnych filarów i leciał z nóg, rzucając się od przejścia do przejścia. Głęboki puls jaskini to przytłaczał go i zmuszał do pełzania nawet

w wysokich korytarzach, to czynił lekkim, ciągnął pod górę wyslizganych przez wodę ścian. Coś, co drzemało w samej głębi mylnych korytarzy, wtlaczało mu swój oddech do płuc, użyczało wzroku, który nie potrzebował światła, oraz siły i gibkości niezbędnej do pokonywania kolejnych przeszkód.

Dalegor szedł niezmordowanie, dręczony uderzeniami gorąca. Swarzyca i krzyż, które zawieszono miał pod koszulą na piersi, paliły skórę, rozgrzane niemalże do czerwoności. Czarownik czuł, że są coraz bliżej. Pomagając sobie czekaniem i nierzadko liną, zrzucaną mu przez sprawnego Harcyka, parł naprzód świadom, że najcięższa próba czeka go na końcu. I że w niej górale nie będą mogli mu pomóc. Siwowłosa przewodnik postradał już zmysły. Szeptał do siebie, łkał chwilami, po kilka razy wracał w to samo miejsce, by pokonać je, to pełzając, to skacząc na jednej nodze albo kręcąc się wokół własnej osi niczym derwisz. Dalegor widział część tych rytuałów w formie niejasnych wskazówek zostawionych w legendach czy na starych rycinach. Widok Spalenika upewniał go, że decyzja o poszukiwaniu przewodnika była słuszna. By zmierzyć się z Mylną, nie starczyło wiedzy, trzeba było instynktu.

Wojciech wcisnął się w wąską szczelinę, wyciągając przed siebie rękę z lampą. Uderzenie gorącego, wilgotnego powietrza zgasiło płomień, lecz nie zapadła ciemność. Za skalnym zaciskiem pulsowało rdzawe światło jakby przesączające się przez brudną kotarę. W rytm tańca bezkształtnych cieni wirowały w nim strzępy pary i dymu. Góral poczuł, jakby coś chwyciło go za nadgarstek i pociągnęło. Wrzasnął nieludzko i targnął się w tył. Harcyk przyskoczył do zaklinowanego człowieka i wyciągnął go.

– Nie krzycz. Nic ci nie jest – Próbował uspokajać, ale oczy Spalenika błyszczały absolutną zgrozą.

– Uciekajmy... – dyszał. – Uciekajmy... Tam coś jest.

– Właśnie. – Dalegor odepchnął Harcyka na bok. – Jest, ale wciąż śpi. Prowadź.

– Skoro już wiemy, dokąd... – zasugerował ostrożnie zbójnik.

– Wiemy dokąd, ale on wie jak. To ostatnie kroki, Spalenik. Ostatnie. Dla twojej rodziny.

– Nie...

– Idź!

Głos Dalegora obił się dziwnym pogłosem po ścianach. Jakby wolniejszy, syczący, wypelzał ze szczelin i dziur. Oblepiał i wciskał się do uszu.

– Idź... – rozkazywała Mylna.

Stanęli pod ścianą nieregularnej, skalnej komnaty o pofałdowanym, pociętym szczelinami dnie. Od zatechłego powietrza, przesyconego odorem siarki, kręciło się im w głowach. Obrazy, lęki i majaki zlały się w jedno. Karbidówki upadły na kamienie. Jedynie Harcyk uczepił zgaszoną lampę do pasa. Przed nimi, spowita czerwonym światłem, wrosnięta w skalną ścianę i osnuta mchami i naciekami, tkwiła olbrzymia, kościana istota. Dwie pary szponiastych rąk skrzyżowane miała na piersi, trzecią zaś wzniesioną nad głowę, jakby w przerwanej modlitwie. Wyrastające z jej ramion, obleczone połyskliwym kwarcem kolce wbijały się w sklepienie jaskini, a powykręcane dziwacznie nogi niknęły w mroku szczelin.

– Kościeju... – Dalegor zadrżał z podniecenia.

Istota żyła. Z zarośniętych skałą ust wyrывały się nierówne oddechy, zawisając w świetle ciężkim całunem dymu i pary.

– Kościeju, opiekunie wiedźm i duchów... – podjął czarownik.

Górale stali oniemiałi, on sam zaś ledwo składał słowa, przytłoczony potęgą demona.

– Na wieki uwięziony w Mylnej Jaskini, ograbiony z potęgi i należnej ci władzy. Wzywany przez upiory i żerców, czczony przez biesy... Na próżno.

– Nie rób tego... – wyszeptał nagle Spalenik, lecz tylko Harcyk go usłyszał.

Dalegor postąpił już krok naprzód. Potknął się, omal nie wpadł do szczeliny i dalej na kolanach brnął w stronę demona.

– Błagam, nie...

– Po to tu jesteśmy – Harcyk ucapił z całych sił górala, pewien, że ten zaraz uczyni coś głupiego.

Cokolwiek sam myślał, wiedział, że już za późno, by się wycofać. Dalegor był przy uwięzionym potworze. Czoło oparł o pulsującą gorącym ścianę. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie, jaka siła gotowała się tam w głębi.

– Kościeju... Matocha związał cię okowami światła starych bogów.

Wyjął spod koszuli rozjarzoną swarzycę.

– Niech zgasną!

Wyjąc z bólu, złamał symbol. W powietrzu rozeszła się woń palonej ludzkiej skóry.

– Matoha uspił cię wiarą górali w Podhalańskiego Gazdę – wydyszał, sięgając po krzyż. – Niech jej modlitwy będą twoim pokarmem.

Prosty, stalowy symbol poleciał w dół szczeliny, połamany.

– Matoha odciął cię skalnymi ścianami od podziemnej magii Wołosa.

Dalegor wstał, podtrzymując się o skałę. Kościej był olbrzymi – nawet skulony i poskręcany, górował nad ludźmi. Czarownik wyciągnął rękę. Wokół dłoni omotany miał rzemień z wyszczerbioną, tłoczoną blaszką. Symboliczna głowa byka – znak boga magii – jarzyła się na nim bladoniebieskim światłem umarłych.

– Niech ten znak skruszy ściany. Niech będzie początkiem twojej władzy! Niech będzie pierwszym krokiem naszego rytuału. Zwrócimy ci Tatry, a Tatrom Zmija. Pójdź za mną, Kościeju!

Sięgnął znakiem opartej na piersi dłoni demona. Trzasnęły pękające kamienie. Spod skalnej skorupy wyrwały się szpony i przekłuły rękę czarownika. Powietrze zgęstniało od tryumfalnego ryku Kościeja, gdy zrzucał okowy. Dalegor wrzeszczał w ekstazie bólu, strachu i tryumfu. Zdało mu się, że ogłuchnie od własnego krzyku. Za nim Spalenik skomlał w panice, popychany przez Harcyka ku szczelinie. Spojrzenia mężczyzn spotkały się i wszystko stało się dla zbójnika jasne. Ich przeżycie zależało teraz od niego.

– Wojciech! Uciekaj! Uciekaj, jak tylko potrafisz!

Pilnując, by nie spojrzeć na Kościeja, przebrnął przez gęste powietrze. Dalegor tkwił na kolanach, tuląc miłośnie poharataną rękę do piersi.

– Udało się – wyrzęził.

– Połowa się udała. Teraz wrócić. Nie możemy zgubić Spalenika!

Haryk podźwignął mężczyznę. Tańcząc jak szalencie wśród spadających skał i poszerzających się szczelin, dobrnął do wyjścia z komnaty. Wcisnął się w ciemność zacisku, ciągnąc za sobą Dalegora. Za ich plecami wciąż huczała wałaca się komnata. Dopiero w korytarzu rozpałił karbidówkę. Po Spaleniku pozostały tylko połamana ciupaga i rozdarta kamizela.

– Dobrze... Teraz wrócić. – Sam był zdziwiony własnym spokojem.

Dalegor oparł mu rękę na ramieniu.

– Teraz wszyscy widzieliśmy wszystko, co Mylna mogła pokazać. Ja już nie mam sił... Kościej jeszcze ich nie ma. Ale ty dasz radę nas wyprowadzić. Ty masz wolę życia. Udowodnij ją tym, którzy chcieli cię zniszczyć.

Harcyk machnął niecierpliwie ręką. To nie była pora na przemowy. Ruszył, ale przeprowadził ich ledwo kilka komór dalej, do miejsca, gdzie na dnie nie stała woda i gdzie nie roznosił się odór Kościeja. Usiadł na ziemi, zrobił kilka głębokich wydechów.

– Chcemy przeżyć, więc musimy jeść i pić.

Wyjął z chlebaka kawałek sera i soloną słoninę. Wcisnął je do ręki Dalegorowi.

– Teraz idziemy po mojemu.

Nie miał obłądu Spalenika ani błyskotliwego instynktu, z którego wśród zbójników słynął Hajduk. Miał jednak konsekwencję i wytrwałość. Tam, gdzie poprzedni przewodnik podążał za wewnętrznym chaosem, on powielał jego pętle, by zbadać teren i wybrać najlepszą drogę. Znajdował przyczynę tam, gdzie wcześniej gnało ich przecucie. Nasłuchiwał też cały czas. Miał nadzieję dosłyszeć skądś wołanie oszalałego górala.

– Nie bój się o niego – oświadczył w pewnym momencie Dalegor, choć Harcyk słowem nie zdradził swych zmartwień. – Jego przeznaczeniem jest tułaczka, ale wyjdzie żyw.

Zbójnik zmilczał. Coś wstrętnego wkradło się do mowy czarownika. Jego słowa nie były już tak kojące i celne jak wcześniej. Do głowy wracały wątpliwości wyrażane przez Zawieję, którego zwłoki znaleźli na Wołoszynowym zboczu. Nie dzielił się jednak nimi i nie pozwalał sobie na dłuższe chwile rozproszenia. Mylna wymagała czujności i starannej obserwacji. Odtworzenie chaotycznej drogi wśród niemalże jednakowych komnat i korytarzy graniczyło z cudem, ale Harcyk był zdeterminowany dokonać tego cudu. Udowodnić sobie, że da radę, że stanięcie do tej walki nie było stracenią drogą.

Sukces miał już na wyciągnięcie ręki. Rozpoznał szlak, którym nieraz umykali żandarmom czy konkurencyjnym bandom, gdy w odchodzącym w bok wąskim korytarzu coś zachrobotać. Zatrzymał się, wyteżył słuch. Dźwięk powtórzył się, pomieszany z sykiem i charkotem.

– Co, do czorta?

Dalegor, który ledwo skończył pokonywać skalny zacisk, nie zdążył odpowiedzieć. Harcyk pochylił się w stronę szczeliny. Ciemny kształt wypadł z niej jak ryś w ataku i uderzył całym ciężarem ciała w człowieka. Obalił go. Zbójnik ujrzał nad sobą płonące potępieńczo oczy strzygi. Jej oblepione ziemią i szlamem włosy opadły mu na twarz, gdy próbowała

sięgnąć zębami jego szyi. Jedną ręką rozpaczliwie osłaniał gardło, drugą zaś, niebaczny na szpony kaleczące mu twarz i pierś, wyrwał pistolet zza pasa. Dalegor cofnął się pod ścianę. Druga strzyga powoli wyczołgała się z otworu. Była wyższa i postawniejsza. Ręce o długich palcach zwieszały jej się do połowy łydek.

– W domenie Kościeja jesteście, ja jego sługą. Rozkazuję wam, przepadnijcie... – wyszeptał czarownik.

Ostatnie słowa utonęły w wystrzale. Harcyk zepchnął rzucającą się w konwulsjach strzygę. Trafił w brzuch, a poświęcona kula dokańczała dzieła, paląc upióra od środka. Zerwał się na nogi, by ujrzyć drugiego potwora zmierzającego wprost na niego. Nie miał czasu przeładować broni.

– Ktokolwiek was posłał, mocy tu nie ma – wysyczał Dalegor.

Paznokcie wpił w rozoraną przez Kościeja rękę. Z kropel krwi kształtował w myślach zaklęcia, zamykał w nich duchotę jaskini, odór śmierci i bijące pod skałami demoniczne gorąco. Wyszedł między cofającego się na przygiętych nogach Harcyka, a pewnie zmierzającą po zdobycz strzygę. Ukląkł, skreślił umazanym we krwi palcem prosty symbol – trzy pary krzyżujących się linii, ujęte w sklepiony u góry półokrąg. Upiór rzucił się naprzód. Harcyk chwycił Dalegora za ramiona i szarpnięciem odciągnął w bok. Krew tworząca znak zawrzała, w górę strzeliły płomienie, ogarniając strzygę i zalewając wszystko brudnym światłem. Szpony cięły ze świstem powietrze w miejscu, gdzie przed chwilą klęczał czarownik. Rozpędzony upiór jeszcze walczył, wyjąc i rzucając się po ścianach, nim rozsypał się wreszcie w popiół.

Dalegor oddychał ciężko, wciąż objęty ramieniem przez Harcyka. Ścisnął mocno jego dłoń.

– Życie mi ocaliliście... Wzrosnąć musi jeszcze Kościej w siłę – mówił zszokowany. – Jeszcze wzrosnąć...

Wyszli na światło świtu. Wyczerpany góral opadł na głaz u wylotu jaskini. Czarownik jednak nie zamierzał dać mu odpocząć.

– Idź do wsi. Teraz będzie tu niebezpiecznie. Kościej jest słabszy, niż się spodziewałem, a będzie musiał stanąć do ciężkiego boju. Gdy wygra, nikt więcej nie pośle przeciw tobie strzyg... Nikt więcej nie odważy się ciebie przekląć. Teraz jednak idź. Bądź wśród ludzi. Tam będziesz bezpieczny.

– Pójdę, jak rany się zasklepią. Inaczej za dużo pytań będzie. A ty?

– Ja pomogę Kościejowi stoczyć jego boje. Nie zdołasz mi w tym pomóc.



Spojrzeni sobie w oczy i Dalegor poznał, że wspólną walką odzyskał Harcyka. Wróciła podsycana miesiącami przez czarownika obawa i poczucie wspólnoty.

– Nikomu nie mów, o tym, co tutaj...

– Nie jestem głupcem – odparł z mocą zbójnik.

Stracił tę pewność, gdy pięć dni później znalazł się w Cierpkówce. Wieś, pogrążona w żałobie po śmierci zdolnego myśliwego, ciężko przyjęła zaginięcie Spalenika. Wojciech nie wrócił, wcześniej zaś, od spotkania z uczonym z Warszawy, był nieswój i chodził jak w malignie. Od Harcyka oczekiwano więc wyjaśnień lub tropów. Przyciśnięty, kłamał pogrążonej w rozpacz rodziny i unikał przenikliwych spojrzeń starszych. Ślady starcia ze strzygą nie zniknęły jeszcze, ale najgorsze rany zdołał zakryć, zadrapania na twarzy łatwo zaś zrzucił na niespokojne, zbójnicze życie. Hajduk i Niemira, którzy rozpoznaliby bluff, zapowiedzieli się dopiero na jesienny redyk, więc spotkania z nimi były mu oszczędzone. Leżąc bezsennie nocami, dławiony poczuciem winy, Harcyk wyobrażał sobie odpieranie zarzutów, które nie padły. Przyjęto go dobrze i to może bardziej jeszcze budziło w nim rozpacz i strach. Łatwiej byłoby trzymać się raz obranej ścieżki, widząc wokół samych wrogów. Teraz musiał sam siebie przekonywać, że robił to też dla tych ludzi. Wydarzenia w Mylnej, choć jemu zdawały się wówczas trząść Tatrami w posadach, w Dymnym Wąwozie nie zostały spostrzeżone.

## ROZDZIAŁ 14

– Dlaczego dopiero na redyk?

Kowalik dogonił Niemirę u stóp Dymnego Muru. Przeczesała wzrokiem żleb omijający jedną z widowiskowych, skalnych przewieszek. Było tuż po pogrzebie Raptusa i wydarzenia z Jaworzynowego Wału wciąż siedziały w niej głęboko. Unikała więc lasów, na ile mogła. Zwłaszcza tych w Dolinie Cierpkowej. Nie ze strachu przed Szelestem – raczej z szacunku dla jego woli.

– Przy redyku będę potrzebna – odparła.

– Teraz też jesteś. Ojciec...

– Najwyżej mnie wyrzuci! Trudno.

Klimek potarł z rezygnacją twarz.

– Dobrze... Chciałbym, żebyś wróciła. Po prostu. Przykro mi za to, co się stało.

– Tyle że to nie twoja wina! – Niemira spojrzała wreszcie na niego. – Naprawdę potrzebuję czasu z dala od wsi.

– Znów obraziłaś się na ludzi?

– Co najwyżej na siebie. Siebie zawiodłam. Powinnam była to zatrzymać...

– Jak? Siedmiu chłopu z jasnym zadaniem. Nawet ty byś nie poradziła.

– Tak, na Jaworzynowym Wale było już za późno. Wcześniej powinnam była dopilnować, by gazdowie nie łamali starych zakazów. Uprzedzając pytanie, jak...? Nie wiem. Ale Agnieszka to robiła. Matusza też. A ja zawiodłam. Zginął człowiek, wieś poróżniła się z lasem, i to na samą jesień... A ja straciłam kogoś bardzo, bardzo bliskiego...

Kowalik westchnął. Ściągnął kapelusz i przeczesał palcami jasne włosy. Widziała, że szukał dobrej odpowiedzi, po chwili jednak rozłożył po prostu ręce. Spojrzeli sobie w oczy odrobinę pogodniej.

– Czyli na jesienny redyk? Obiecujesz?

– Obiecuję. Pomożesz mi z ziołami przed redykiem. Sobótkowe są już dobrze ususzone – rzuciła. – A tymczasem...

Wykonała gest, jakby pytała Kowalika o zgodę. Skinął głową i tak się rozstali.

Obietnicy jednak nie dotrzymała. Późne dni października przyniosły nie tylko fantastyczną mozaikę jesiennych kolorów, lecz także gnane wichrami lawiny chmur. Górale gasili paleniska, kryli się w chatach i cierpliwie czekali na poprawę. W Dymnym Wąwozie spoglądano niepewnie ku drzewom tańczącym szaleńczo na graniach. W taką pogodę budziły się złośliwe duchy i ciskały w ludzi i domostwa potężnymi pniami. Wszyscy pamiętali jeszcze, jak poprzedniego roku obalony smrek zabił starego Raptusa – budowniczego karczmy – i dwóch jego wnuków.

Kiedy wreszcie na dwa dni przed planowanym redykiem wichura ustała, oczom ludzi ukazał się budzący grozę widok. Wał białosinych chmur czekał skryty za graniami. Rósł cierpliwie w siłę i tylko spoglądał łapczywie ku halom Cierpkowej Doliny. Dumne, tatrzańskie szczyty rysowały się na jego tle większe jeszcze i groźniejsze. Jakby zamierzały, razem z gotującym się w trzewiach chmur halnym, stratować wszystko, co w dole.

– Wietrzyca – orzekł Jan, a bacowie mu przytaknęli. – Ruszycie z redykiem, a ja i Niemira wyjdziemy jej naprzeciw.

– Pewnyś? – Józek z Wichrzyków zdawał się nieprzekonany.

– Inaczej uderzy, gdy będziecie iść.

– Nie może czekać wiecznie.

– My też nie – odparł Poręba. – Jeśli Hajduk mówi, że ją zatrzyma, to zatrzyma.

Jan nie podzielał pewności starego gazdy, gdy w naznaczonym dniu stanął z Niemirą na Błyszczu, uzbrojony jedynie w poświęcone ostrze i ochronne znaki. Dziewczyna trzymała w garści miecz Agnieszki – złapany nieporadnie wpół za tępe ostrze. Za nimi zbocze opadało stromo ku szcerwieniałym jesiennie dolinom, poznaczonym białymi wyspami kierdli. Po drugiej stronie grani, osnuta ciężką szatą skłębionych chmur, ciągnęła wietrzyca, wzniesając tumany kurzu, wyszarpując z ziemi krzewy i puszczając w dół lawiny kamieni. Jej wrzask wwiercał się w czaszkę, przywoływał przed oczy najgorsze wizje i wspomnienia. Hajduk tonął w przesycającej wszystko pustce jakiejś okropnej, niezrozumiałej straty. Jego myśli odpłynęły daleko od walki. Szamotały się w sieci rezygnacji i wątpliwości. Na ramieniu poczuł dotyk Niemiry.

– Co z Szelestem? Nie przybędzie? – Jej głos przypląnął z wyciem wiatru.

Jan się wzdrygnął. W pozornie oczywistym pytaniu było to samo poczucie straty, które sparaliżowało jego. Otrzeźwiał momentalnie. Wspomnienie leszego, bez zawahania wypełniającego swoje powinności, przywróciło myślom właściwy tok.

– Przygotowuje lasy na uderzenie – odparł, choć Niemira nie miała szans go usłyszeć.

Przycisnął ją do swojego boku.

– Skup się! To już za chwilę! – wykrzyczał, ile sił w płucach.

Suknia i targane wiatrem włosy wietrzycy sięgały od Jamnickiej aż po Cichą Dolinę. Sama postać, spowita całunem chmur, zawisała zaś nad kamienistym wierzchołkiem Bystrej. Chwilę trwała tak, jednocześnie piękna i groźna. Nagle rozwarła szeroko usta, w których kłębił się żywioł, i ruszyła naprzód, uwalniając go z oddechem. Potoczyła się opadającą granią, łączącą Bystrą i Błyszcz. Góry zadrżały, tysiące głazów, szczelin, turniczek i żlebów przyłączyło się do potępieńczego wycia łomotem i świstem.

Jan poczuł, jak jego serce przyspiesza. Złapał na moment nóż za ostrze, wytarł spoconą dłoń w portki i chwycił pewniej broń. Nie spuszczał wzroku z miejsca, gdzie przed chwilą widział kobiecą postać wietrzycy. Celny rzut poświęconą bronią – tylko tyle starczyło, by zabić demona. I aż tyle. Trafić w serce burzy, samemu przyjmując jej uderzenia, zwykle okazywało się niemożliwością. A jednak Hajduk za każdym razem stawał do tej próby z wiarą.

Nadleciała. Spadła im na karki, dusząc swym oddechem i siekąc porwanymi kamieniami. Hajduk skulił się przy ziemi i osłonił ciałem nóż. Czuł, że próbowała mu go wyłuskać z dłoni. Bezskutecznie. Rozsierdzona tym, skierowała swą furię przeciw znieruchomiałej Niemirze. Szarpała spódnice i czarne warkocze, ale dziewczyna była jak wrośnięta w ziemię. Jan wykorzystał chwilę oddechu. Poderwał się na nogi i cisnął bronią. Nóż zawirował, zatańczył na wietrze i przepadł wśród chmur wraz z wyrrywającą w górę wietrzycą. Zbójnik powstrzymał cisnące się na usta przekleństwo. Ponowne uderzenie wcielonej wichury przyjął zaparty mocno i wychylony do przodu jak zapaśnik w klinchu. Z rykiem wściekłości, walcząc, by nie stracić pozycji, postąpił krok naprzód. Potem kolejny. Wyjął zza pazuchy drugi nóż, który świecił przez kolejne pełnie po Sobótkowej nocy, ale wstrzymał rękę. Wietrzyca musiała być przygotowana na ten atak.

Niemira ledwie widziała Jana. Halny zwałił jej na głowę chmurne niebo, sypał w oczy piachem, igliwem i drobnymi kamieniami. Myślała gorączkowo. Zaskoczyła wietrzycę siłą i ciężarem niezwykłym u dziewczyny takiej postury. Cóż z tego, skoro nie umiała obrócić tych cech w realną przewagę? Stała wrosnięta w ziemię, spięta, skulona gdzieś głęboko w sobie. Zawodzenie wietrzycy brzmiało jej w uszach jednocześnie śpiewami na pogrzebie Agnieszki, rykiem bólu Szelesta i własnym szlochem samotności. Krótkie chwile, gdy zdawało jej się, że wypływa na powierzchnię tego bagna rozpaczy, skutkowały tylko nieskoordynowanymi ruchami. Niemira była w stanie utrzymać się w miejscu, ale najmniejsze rozluźnienie mięśni popychało ją na skraj kontroli. Wietrzyca wyczuwała najmniejszą słabość, uderzała celnie, wytrącała z równowagi, szukała okazji, by przechwycić broń. Jan zaś zwlekał. Zacisnął powieki, by dać odpocząć łzawiącym oczom, i walczył z palącym bólem mięśni. Porażka pierwszego rzutu zgasiała w nim euforię starcia. Drugi musiał się powieść, bo na trzecią próbę mogło nie być już szansy.

„Działaj! Agnieszka by go wsparła... Działaj!” – powtarzała w myślach Niemira, próbując przekrzyczeć żalobne zawodzenia w głowie.

Wietrzyca od niej odstąpiła. Jednym zaskakującym zwrotem podcięła Janowi kolana. Mężczyzna upadł na plecy, zaczął się toczyć ku stromej, północnej ścianie Błyszczka. Niemira wyrwała za nim. Wiatr ją przewrócił, ale nie był w stanie chwycić w swoje szpony. To biegnąc, to padając na kolana, dopadła do zdezorientowanego Hajduka i przyduśiła go własnym ciałem do ziemi. Spojrzała krótko w twarz górala. Był wyczerpany. Na szyi i skroniach pulsowały mu żyły, skóra zrobiła się sino-czerwona. W przytulonej do piersi dłoni wciąż ścisnął nóż, ale spojrzenie miał błędne, jakby nie wiedział, co się właśnie stało.

Niemira zaś wiedziała za dobrze. Prawie straciła kolejnego bliskiego...

„Drętwo stojąc. Użalając się nad sobą. Ofiara. Łamaga...” – obrzucała się w myślach obelgami. Już wiedziała, że źle uzbroiła się do tej walki – w sztuczki Jana, do których brakło jej wytrwałości. Ale miała przecież swoje.

– Zbierz siły, dam ci czas – krzyknęła do ucha mężczyźnie, chwytając miecz za rękojeść.

Nie zerwała się na nogi. Dała się zerwać. Porwać do tańca. Wietrzyca chwyciła ją, obróciła w powietrzu, zajrzała ciekawie w oczy i rozwarła szeroko usta, uwalniając kolejne uderzenie wiatru. Niemira zawirowała w

powietrzu i wplątała się we włosy wichury. Zakręciła w nich piruet, nie dając się wypchnąć poza grań. Uderzyła z impetem o ziemię, ale w euforii nawet nie poczuła bólu. To miało coś z tańca, którego szukała. Który czuła. Znowu wyrwała w górę. Zamknęła oczy i pozwoliła pociągnąć się wiatrowi ku dolinom. Tryumfalny śmiech wietrzycy potoczył się w dół najeżonych skałami zboczy. Wichura bawiła się swą ofiarą, nieświadoma, że i ona cieszy się tym szaleńczym lotem. Niemira koziółkowała w powietrzu, dawała się obracać, podrzucać w górę i w dół. Potem otworzyła oczy. Pewnie spojrzała w dolinę, z której gnano w pośpiechu owce. Od wysokości zawirowało jej w głowie, ale zaraz cały świat zawirował wraz z nią. Ułapiła się sukienki wietrzycy i pozwoliła się pociągnąć zawracającemu wiatrowi. Demon przyjął wyzwanie i wyciągnął ku niej rozwarłe ramiona. Widziała oczami wyobraźni, jak ją chwytają i ciskają w dół, na wyszczerzone zęby skał. Uśmiechnęła się w myślach do swojego sponiewieranego ciała.

– Jeszcze nie teraz – syknęła.

W ostatniej chwili rozłożyła szeroko ramiona i wywinęła się żywiolowi, uciekając z powrotem ponad wierzchołek Błyszczca. Tępe ostrze starego miecza zaskrobało o wyciągniętą rękę wietrzycy. Nie starczyło, by ją ranić. Niemira spojrzała szybko w dół. Jan znowu stał na nogach, mocno zaparty o kamienie. Wpatrywał się bez śladu emocji w obłąkańcze pląsy człowieka i halnego. Jeszcze jeden obrót pod wyciągniętą ręką! Jeszcze jeden przeskok nad głową wraz z pasmem skłębionych włosów chmur. Niemira czuła, że musi to skończyć... ale nie chciała! Między rozjuszonym niebem a piekłem skał, które czekały na jej upadek, była nagle we właściwym miejscu. Rozpalona tańcem, rzuciła się w objęcia rozszerzonej wietrzycy. Giętkie ramiona wiatru oplątały ją chciwie, ale Niemira chciała bliżej. Jeszcze bliżej! Pragnęła objąć halny, zatańczyć z nim na swoich warunkach, w swoim rytmie. Zacisnęła mocniej dłoń na mieczu, chwyciła wiatr w plecy i pognąła wprost na wyłaniającą się z chaosu chmur kobiecą postać. Wbiła sztych w jej brzuch. Odpowiedzią było uderzenie wiatru nasyconego bolesnym krzykiem. Niemira uderzyła o skały, ale nie straciła rytmu. Ledwie kontrolując sytuację, wyrwała w górę i ponowiła pchnięcie. I znowu! Taniec zmienił się w polowanie. Wietrzyca szamotała się, rozdarta między pragnieniem zemsty a ucieczki. Kiedy ostrze rozorało jej gardło, pojęła nagle, że przegrywa.

Wiatr nad Błyszczem ucichł momentalnie. Chmury pierzchły na boki. Została tylko kobieca postać o komicznie długich, chudych rękach i nogach. Niemira runęła z wysokości. Uderzyła o kamienie na szczycie i znieruchomiała. Jan powstrzymał cisnący się na usta krzyk. Nie mógł stracić tej szansy. Pokonana własną bronią wietrzyca spojrzała w dół, jakby w obawie, że jakąś wiedźmią sztuką Niemira wzleci znów nad szczyty. Hajduk przeskoczył nad bezwładną dziewczyną, przymierzył i rzucił. Widział jeszcze, jak poświęcony nóż wiruje w powietrzu, nim pochłonęły go wracające chmury. Ale hałny nie odzyskał wcześniejszej siły. W powietrzu rozległo się potępięcze wycie, a pod nogi Jana spadło ostrze. Zakrwawione – znak dobrze wykonanego zadania. Wietrzyca konała, śląc ostatnie, pełne furii oddechy. Coraz słabsze. Gasła. Hajduk nie spuszczał z niej wzroku, póki nie rozwiała się zupełnie. Potem przypadł do Niemiry.

Leżała nieprzytomna, wokół niej, w zagłębieniach kamieni zbierała się krew.

– Nie, nie, nie, nie, nie... Mała, nie rób tego – wymamrotał, pochylając się do jej ust.

Oddychała. Żelazne kości wytrzymały upadek, ale Jan bał się szkód, jakie siła uderzenia mogła wyrządzić wewnątrz drobnego ciała. Przytroczył miecz do pasa, po czym dźwignął nieprzytomną na barki. Uchwycił jedną ręką jej bezwładne nadgarstki, drugą przycisnął potłuczone kolana do swojego boku i ruszył wolno w stronę doliny. Chwilę się wahał, czy wybrać potok, czy głębię lasów Jaworzynowego Wału, ale patrząc na połamane drzewa w dolinach, nabrał przekonania, że Szelest ma teraz dość dużo na głowie.

Leleja otoczyła Niemirę troską i najlepszą opieką, jaką potrafiła. Jan znał jej nadludzkie umiejętności, tym bardziej martwiło go, ile pracy musiała włożyć w przywrócenie dziewczyny do przytomności.

– Czasem jest zupełnie jak martwa. Zapomina nawet oddychać. Wtedy najtrudniej jej pomóc. Ani żywa woda, ani sobótkowe zioła... – tłumaczyła brzegina.

– Wiem. Jak była mała, częściej zapominała dawać znaki życia. Nie raz Agnieszkę nastraszyła. – Hajduk zapatrzył się na potłuczoną twarz dziewczyny. – Zaskakuje na każdym kroku. Ale nie jest niezniszczalna.

– Nikt nie jest. Ale tym razem z tego wyjdzie. Moja w tym głowa. – Leleja się zawahała. – Ach! Szelest posłał kruka z pytaniem, czy potrzebujemy jego

pomocy. I... w zasadzie nie... – Spojrzała znacząco na Jana i uśmiechnęła się figlarnie. – Ale mogę przekazać mu inną odpowiedź. Będzie tu do rana.

Góral roześmiał się serdecznie. Przez chwilę zabawa w swata zdała mu się nawet kuszącą, ale szybko wróciło opamiętanie.

– Nie. Widać, żeś baba. Babskie pomysły jakies. Szelest chce, to zawsze zjawić się może.

Skinęła głową.

– Nielojalny przyjaciel z ciebie. – Pogroziła teatralnie palcem.

I choć mówiła żartem, Jan poczuł się naprawdę głupio. Przed laty to Szelest właśnie pomógł mu odnaleźć brzeginę, której przelotny widok tak zawrócił góralowi w głowie. Więcej jeszcze, wiele tłumaczył mu o jej naturze, gdy wzajemne niezrozumienie stawało im na drodze. Teraz Hajduk miał okazję się odwdzięczyć i z niej nie korzystał. Potrząsnął głową i wyszedł na skraj strumienia. Przemył twarz lodowatą wodą.

– Też masz pomysły – prychnął, tym razem bardziej do siebie niż do Lelei.

Ani tego dnia, ani żadnego z następnych, gdy ranna już się ocknęła, nie wracali do tematu.

Czarna dziura nieprzytomności początkowo wypłuła Niemirę pustą. Rozkosznie daleką od walki, najświeższych wspomnień, bieżących wydarzeń, tęsknot i rozczarowań. Oderwana od codzienności, chłoneła całą sobą troskę, ciepło i miłość, które ją otaczały. Nie dlatego nawet, że spotykała się z nimi tak rzadko. Raczej dlatego, że w malignie nie podszywała wszystkiego zwykłą sobie goryczą. Ale trzeźwość stopniowo wracała, a wraz z nią świadomość, że to tylko chwila. Że za kilka dni przyjdzie jej wrócić do spowitej trudami wsi. Pewnie za radą Kowalika opowie ludziom w karczmie o walce z wietrzycą. Może przed zimą ruszy jeszcze na poszukiwania Spalenika. Między jednym a drugim stanie znów przy kowadle, a sąsiedzi ponownie zaczną przychodzić ze swoimi zmartwieniami.

– Chwilami myślę, że wolałabym nie zdrowieć – szepnęła, gdy Jan wyszedł przed jaskinię narąbać drewna. Spojrzała uważnie w oczy Lelei, która zmieniała jej właśnie opatrunki. – Rozumiesz, co mam na myśli, prawda? – dodała trochę gorączkowo.

Brzegina pogładziła rozpalony wciąż policzek Niemiry.

– Chyba rozumiem – szepnęła. – Ale nie musisz być chora, żeby mieć nas.



– Wiem... Ale żeby czuć to, co teraz czuję i tak jak teraz czuję, chyba muszę być w gorączce.

– O! I to jest przypadłość, którą akurat powinnaś wyleczyć. Ale nie martw się, ta choroba przejdzie. Masz za sobą ciężki czas.

– Przed sobą pewnie też. – Dziewczyna zerknęła przelotnie na leżący pod ścianą jaskini miecz.

Leleja się zamyśliła.

– Na swój sposób każdy czas jest ciężki. W tej próbie prawie znalazłaś siebie i prawie straciłaś życie. Dlatego mówienie, że jesteś blisko, brzmi jak jakaś makabryczna przepowiednia. Ale to nie tak. Teraz jesteś w innym miejscu. Znalazłaś się na swojej drodze. Rzuciłaś się na nią po omacku i potłukłaś, ale wreszcie na niej jesteś.

Niemira przytaknęła cicho.

Kiedy Jan wrócił do jaskini, siedziały przytulone, okryte szczelnie pledami.

– Zimno wam?

– Zamarzam – prychnęła brzegina.

Zakochana w chłodzie górskich strumieni unikała okryć nawet zimą. Najwyraźniej jednak uznała, że Niemira tego potrzebuje. Podniosły się obie, dołożyły do paleniska i powiesiły nad ogniem mięso kozicy, którą ustrzelił dwa dni wcześniej na pobliskich skałach.

– To niedobrze. Zima jak usiadła na graniach, tak nie chce zejść. Na wyższych szczytach biało.

Leleja wzruszyła ramionami i spojrzała przelotnie na Niemirę, której zadrżały ręce. Żadnemu z nich powitanie zimy nie przychodziło łatwo. Dla górala i brzeginy oznaczało to długie rozstania. Śniegi i mróz ograniczały wolność skuteczniej niż dowolny żandarm. Leleję rzucały ku tym potokom, których akurat nie skuwał lód, Hajduka zmuszały do ciężkiej pracy u boku innych ludzi z Cierpkówki, walczących o przetrwanie. Niemira zaś czuła, że lada moment zostawi coś straszliwie niedokończone. Zimą las zamierał. I choć leszy nie usypiali razem z nim, zaszywali się w swoich kryjówkach. W miejscach, do których Niemira nigdy nie ważyłaby się przyjść nieproszona. Docierało do niej, że nie zdąży zobaczyć jedynej osoby, której w sielankowym obrazku ostatnich dni jej brakowało. A śnieg przypieczętuje nowy porządek między nimi...

– Daj to, słaba jeszcze jesteś. – Leleja wyjęła jej z ręki ruszt, który ta próbowała poprawić. – Jan, wyjdź z nią na zewnątrz. Niech złapie

powietrza.

– Co się dzieje? Taka słaba już nie jesteś – podjął, gdy usiedli na wilgotnym gładzie kilka kroków od jaskini.

Niemira spojrzała na niego spode łba i tylko uśmiechnęła się kącikiem ust. Potem, jak gdyby nigdy nic, zanurzyła stopy w lodowatej wodzie i odchyliła się, wpatrzona w monumentalną turnię ponad nimi. Pobielone śniegami Organy nabierały mistycznego uroku. Zdawało się, że lada moment skały rozbrzmia tryumfalną muzyką na cześć przybywających na Dziady dusz przodków.

– No dobrze, wiem – skapitulował.

Wyprostowała się, spoważniała.

– Brakuje mi go. Bardzo. Chciałabym móc do niego pójść, opowiedzieć o tej walce, poradzić się...

– Możesz.

– Nie. Po tym, co się stało na Jaworzynowym Wale... – Pokręciła głową. – Sam wiesz. Najgorsze jest to, że czuję, że jak teraz tego nie naprawię, to na wiosnę będzie już za późno.

Jan podrapał się po karku. Oczy mu się śmiały.

– Po kolei, nieszczęśnico. Iść do niego zawsze możesz. Najwyżej cię pogoni. Krzywdy nie robi, chyba że po drodze wnyki zaczniesz rozkładać. Natomiast o walce wie. Doniosły mu ptaki. Zaraz zresztą chciał tu gnać ci na ratunek.

– Naprawdę?

– No chyba nie myślisz inaczej! – Zaśmiał się. – Szelest jak to Szelest. Przeklął cię wtedy na Jaworzynowym Wale, a potem zaraz sklął żmije, które chciały cię pokąsać. Rozgniewać go łatwo, ale stracić tak na dobre to trudno. Wierz mi, nie raz myślałem, że przez głupotę mi się to udało, i nie raz się zdziwiłem. Leszy są zmienni, kapryśni. Ot, dzikość w nich siedzi. Sama wiesz. Ale on ma w sobie jakąś konsekwencję. Jak już do kogoś się zbliży, to na amen. Tak sędzę.

– Tylko teraz przeze mnie kogoś bliskiego stracił.

– Wiem. Więc też nie oczekuj, że sprawę łatwo zapomni. Poza tym... Nie może, a przynajmniej nie powinien przedkładać relacji z ludźmi nad zobowiązania wobec lasu. Jemu nawet nie wolno ci wybaczyć ot tak. Ale ostateczności w tym raczej nie ma. Za bliscy sobie jesteście. Zresztą! – Hajduk pisał się dłonią w czoło. – Co ja w ogóle o takich głupotach

strzępię język. Skomplikowaliście sobie sprawy proste, to teraz sobie je rozwiążcie. Nic mi do tego.

Niemira się zaśmiała, słusznie podejrzewając w ostatnich słowach zbójnika dość rozpaczliwy odwrót. Nie zamierzała go zmuszać, by mówił więcej. Tęsknota wciąż tkwiła jej w sercu, ale chwilowo dała się ugłaskać zapewnieniom Jana i nie gryzła już tak wściekle.

– No, wracajmy. Leleja nie lubi krzątać się przy ogniu – rzucił Hajduk.

Niemira nie drgnęła. Biła się z myślami, ale ostatecznie pragnienie okazało się silniejsze od wstydu.

– Poczekaj... Pozwolisz mi zostać z wami do zimy? – Spojrzała błagalnie.

– Wiem, że Leleja mi teraz nie odmówi, dlatego pytam ciebie. Chciałabym zostać obok. Potańczyć z dala od spojrzeń ludzi. Nie będę wam siedziała na głowie, wyręcę cię w robocie...

– Dobrze, dobrze! – Jan machnął niecierpliwie ręką. – Zostań. Tyle słów na tak błahą sprawę. Ech, baby.

## ROZDZIAŁ 15

Hajduk co roku z trudem wracał pod dachy Cierpkówki. Kachna, która pozbyła się tego lata dwóch problemów z domu, chętnie przyjęła go do siebie, ale mimo wygodnej gościny, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nawet szczęśliwe rozwiązanie ciąży Zośki od Antka nie podniosło go na duchu. Z nawyku jednak dbał o bezpieczeństwo niemowlaka. Niececha przyszła na świat w czasie, gdy wsie wspominały zmarłych, Hajduk więc powierzył ją ochronie ojca i dziada. Bacznie też sam patrzył po odwiedzających Dymny Wąwóz duchach i, gdy trzeba było, okadzał małą i wiązał przy kołysce czerwone sznurki. Wszystko to jednak robił jakby mimochodem, sam siebie ledwo w tym poznając. Czasem, przechodząc obok kuźni, śmiał się z odwrócenia ról między nim a Niemirą. Dziewczyna wróciła silniejsza i pogodzona ze swoją rolą. Wsiąkła w wieś ze swobodą, jakiej nigdy wcześniej nie miała, radując tym wielu mieszkańców, a najbardziej chyba Kowalika. Dla odmiany zaś on sam – pewny siebie zbójnik – łąził wśród zasypanych śniegiem chałup jak zgoniony pies, szukając sobie zajęcia. Najczęściej znajdował je w końcu w karczmie, gdzie konsekwentnie przepijał zrabowane pieniądze.

Przyszedł jednak dzień, gdy nawet ognisty trunek nie pomagał wypełnić pustki. Świt nastał ciemny. Chmury, choć wysokie, zbiły się w jednolitą masę o barwie żelaza. Choć wyglądało to, jakby po mroźnych, pogodnych dniach, słońce nagle obraziło się na całe Podhale, Jan czuł, że ponura, sina twarz nieba zwraca się właśnie ku niemu. Wypił kolejkę, ale świdrujące uczucie zamiast przejść, pogłębiło się jeszcze. Pustka w sercu, jakby wydarto mu kawałek jego samego, nie dawała spokoju.

Południe zastało go więc w drodze. Listopadowe śniegi miejscami sięgały po pas, ale brnął przez nie bez zawahania, pewien, że jeśli szybko nie zagłuszy czymś niepokoju, to zwariuje. Upewnił się, że jesienne mrozy skuły lodem wątle strumyczki przecinające Cierpkową Dolinę, i przedostał się przez Jaworzynowy Wał ku Pysznińskiej. Nie bacząc na telepiące się w oddali sanie, ruszył w dół strumienia, który ukochała sobie Leleja. Czuł, jakby chmury siadły mu na karku i poganiały, szarpiąc niewidzialne cugle.

Nim się spostrzegł, zadyszał się i spocił. Zajrzał do jamy, w której zwykł przesiadywać z brzeginą, ale nie znalazł jej śladu. Dalej, wzdłuż brzegu biegły nierówne, ośnieżone głązy. To na jednym z nich ujrzał czerwone wykwitły krwi. Zmartwiało. Ślad ciągnął się z lewej strony, od piarżyska i dalej wzdłuż strumienia, ginąc chwilami w wodzie. Nie było wątpliwości, żaden ranny człowiek nie obrałby sobie takiej drogi, a gdyby na nią zboczył, nie uszedłby daleko.

– Leleja! – ryknął Jan. – Leleja! – W tym nieludzkim niemalże krzyku wyrzucił paraliżujący strach.

Pognał po kamieniach, potykając się i ślizgając. Przemoczył buty i portki, mało zębów nie wybił, ale biegł jak opętany.

Siedziała w strumieniu, przytulona do przybrzeżnego głązu. Ręce wyciągnęła przed siebie, jakby próbowała się nań wspiąć, ale zabrakło jej sił. Krew ściekała z kamienia, rzeźbiąc zawiłe ścieżki w śniegu.

– Nie! – Jan dopadł do brzeginy, obrócił ją, oparł o siebie. – Leleja, słyszysz? Kochana moja? Co tobie? Błagam... Co tobie?

Wiotką szyję przecinała ukośna, głęboka rana. Krew płynęła z niej powoli, ale z upiorną konsekwencją. Kropla za kroplą uciekało życie. Kobieta wczepiła się palcami w cuchnącą Jana. W zmatowiałych oczach błysnęła na powrót wiosenna iskra.

– Jesteś... Próbowałam cię znaleźć. Ale już nie miałam czasu. Sił.

– Czasu? Co mówisz?! Będzie wszystko dobrze. Co się stało, co mogę...?

Pokręciła głową.

– Dla mnie już nic.

– Nie. Niemożliwe.

– Słuchaj, błagam – zaskomlała. – Czarownik... On prowadzi Kościeja na Żywy Wierch. Poszłam... Poszłam szukać... – Spojrzała bezradnie na pistolet Jana leżący w płytkiej wodzie. Nagle stało się jasne, czemu ślad krwi wiódł aż na piarżyska. – Chciałam ci przynieść. Tam mnie dopadł. Nie było strumieni. Nie miałam jak umknąć. I ta straszna śmierć, która za nim ciągnie... – Brzegina drżała coraz mocniej. – Czuć go Wołosowym Żmijem.

– Ale przecież to można jakoś zagoić. Wodnego ducha nie starczy tak po prostu...! Leleja!

– Miał szpon Kościeja. Takiej rany nic nie zagoi. Ja i siostry moje... Wszystkie nas odszukał. Wszystkie zabił. Żebyśmy nie zaśpiewały Matosze

do walki. Zebyśmy nie pomogły mu obudzić Żywogórca.

– Leleja, spokojnie...

Targnęła się gwałtownie. Uklękła naprzeciw mężczyzny, jego twarz ujmując w dłonie.

– Słuchaj! Słuchaj, co mówię! Bacznie. Nie o mnie już rzecz. O Tatry, o was. On tam już idzie. Wyprowadził z Mylnej Kościeja i wiedzie go przeciw Matosze. Kościej i Matoha starli się już przed wiekami o władzę nad duchami Tatr. Wówczas Matoha obudził Żywy Wierch, zwyciężył i wygnał Kościeja do jaskiń w Raptawickiej Turni. Ścigać go potem biesy i borowi próbowali, ale nikt nie powrócił. Gubili się, zwiedzeni jego czarami. Dlatego jaskinię Mylną nazwano. Matoha ją zaklął, zapieczętował. Kościej miał tam pozostać już na zawsze, ale teraz – mówiła śpiesznie, aż brakło jej chwilami oddechu. Ale nie przerywała. – Dalegor go uwolnił. Znów będą walczyć. Tylko tym razem Matoha będzie sam! Nie starczy rytm jego kopyt, by porwać Żywogórca do walki. Trzeba śpiewu. My już nie zaśpiewamy. Ja bez sił... siostry me martwe... Kościej zwycięży. Rozumiesz?

O tym, że nazwa Żywego Wierchu nie od ludzi, lecz od starszych bytów się wzięła i więcej znaczy, niż górale myślą, ostrzegął Jana kiedyś dziad. Sam całe życie zresztą szczyt Żywogórcem nazywał. Jeśli nawet niewiele więcej jego tajemnic zdradził, wystarczyło, by Jan pojął powagę sytuacji. Lecz zrozumienie tonęło w strumieniu paniki, gdy patrzył na gasnącą brzeginę. Przez lata żadna kobieta nie mogła go zatrzymać choćby na jedną wiosnę. Dla Lelei zaś bez zawahania rzucił kłusownictwo, choć skrytostrzelcem był doskonałym, a i więcej by poświęcił, gdyby kazała. Ona przez całe lata była jego nagrodą za każdy wysiłek. A teraz... przez broń, którą sama gardziła, a którą chciała go ucieszyć... Patrzył z odrazą na pistolet, w głowie szukając jakiegokolwiek nadziei. Starego zaklęcia, przepisu na dekokał czy choćby modlitwy, która mogłaby ocalić brzeginę.

– Leszy! Może oni znają sposób. Lub borowy, o którym opowiadał Szelest.

– Nie! – krzyknęła Leleja i opadła z sił.

– Proszę... Błagam, to niemożliwe. Zrobię wszystko, tylko powiedz co! Nie pozwolę...

– Jan... Czuję, jak to mnie pożera. Ja odejdę. Pogódź się z tym. Nie walcz, nie ma na to czasu. Musisz już iść. Błagam, idź na Żywy Wierch i ratuj, co jeszcze można uratować.

Pokręcił głową.

– Zrób to. Zostaw mnie. Nie trać czasu. Proszę. – Poczęła go od siebie odpychać. – Idź, idź, proszę.

Jan ucałował przypominające sitowie włosy, wstał powoli. Wciąż kręcił głową, ale determinacja Lelei nie pozostawiała mu wyboru.

– Nie mogę... – wyszeptał, robiąc jednak krok wzdłuż brzegu. – Nie chcę.

– To ostatnie, o co proszę. – Twarz brzeginy ostatni raz rozświetlił uśmiech. – Wolę cię takiego zapamiętać niż zrozpaczonego. Idź.

– Kocham cię. I wrócę. Znajdź siły...

– Idź! – Opadła na kamień, gładkie czoło opierając na złożonych przedramionach.

Ruszył. Z piersi wyrwał mu się straszliwy krzyk ranionego zwierzęcia, ale biegł, jak kazała. Spojrzenie wpił w nieskazitelną biel wiodących ku Pyszniańskiej Przełęczy upłazów, odcinających się na tle pociemniałego już nieba. Z niej zamierzał ruszyć w stronę gładkiej piramidy Starorobociańskiego Wierchu, w którego cieniu kryła się tajemnica żywych gór.

Przewracał się i potykał na zasypanym szlaku. Nie patrzył na to, że w każdej chwili może podciąć lawinę. Momentami grzął po pas albo walczył, by nie zsunąć się po śliskich zboczach znów w dolinę. Na czworaka szukał pod śniegiem pewnych skał i wpijał paznokcie w chropowaty lód, kalecząc palce. Oszołomiony rozpaczą zapomniał nawet o zatkniętej za pas ciupadze i wiszącym u boku toporku. A jednak gdyby ktoś obserwował go z daleka, zadziwiony byłby tempem, z jakim niepozorny, czarny punkcik przemieszczał się po zboczach.

Huk kopyt Matohy – dźwięk, który czasem budził Hajduka ze snu albo pobrzmiwał w szumie krwi w uszach – przyparł go nagle do ziemi. Było już blisko – jeszcze tylko Gaborowa Przełęcz i zaraz ukaże się skromny Żywy Wierch, przytulony do potężniejszego brata i otulony szczelnie kołdrą śniegu. Ale jak iść, gdy panika paraliżuje ciało i wyrzywa oddech? Ponad grań wypełzły błyskawice, skąpane w czerwonej, ognistej łunie. W dół zbocza, na oślepe, gnały stada spłoszonych kozic, a zbudzone ptaki trzepotały się zdezorientowane w ciemnościach. Góral krzykiem wyrzucił z siebie strach. Podskoczył w miejscu, uderzył rękami o uda i roztarł dłonie, by przywrócić sobie czucie. Sięgnął po pistolet. Jednocześnie bał się i pragnął znów ujrzeć stróża demonów. Zacisnął z całych sił dłoń na kolbie broni.

– W drogę, Hajduk. Ruszaj się!

Łomot kopyt narastał. Jan wybiegł na przełęcz i widok, na który myślał, że jest przygotowany, przerósł go po stokroć.

Żywy Wierch gorzał. Płomienie wgryzły się kręgiem w skały, otaczając ścierające się demony. Stokami biły kaskady stopionego śniegu, ciągnąc za sobą kamienne lawiny. Olbrzymie kopyta Matohy zapierały się, to znów tłukły o skałę, krusząc ją przy każdym ruchu. Kakofoniczny łoskot w niewyjaśniony sposób hipnotyzował i urzekał. Jan z napięciem patrzył, jak demon opuszcza zwieńczoną sześcioma kozimi hakami głowę o na poły zwierzęcej, na poły ludzkiej twarzy i uniósłszy się pierw na dwie nogi, bodzie przeciwnika. Kościej skrzyżował trzy pary ramion na piersi i przyjął uderzenie. Był wyższy od Matohy – rosły jak stara sosna. Wzdłuż kręgosłupa, na łokciach i barkach wyrastały mu dwa rzędy kościstych grzebieni, gdzieniegdzie ustrojonych kwarcowym pancerzem. Wokół sylwetki błędziły cienie i dymy, to skrywając, to obnażając kotłującą się w trzewiach siną burzę i płonące szpony, którymi zakończone były długie palce. Gwałtownym ruchem rozwarł ramiona. Pazury skrzesały iskry na skalnym pancerzu strażnika Żywego Wierchu, a uwolniona burza spowiła demony czarnymi chmurami i feerią rozbłysków. Pioruny wgryzły się w ciało Matohy. Ruszył w dzikie podskoki, od których trzęsła się grań, ale nie zdołał ich strącić. Wydał więc tylko ostrzegawczy, kozi gwizd i ponownie zaatakował. Burza też zdwoiła swoje wysiłki, ramię w ramię z Kościejem.

Jan nie był gotów na to, co przyszło mu ujrzeć, ale nie wyobrażał sobie, by cokolwiek, kiedykolwiek miało sprawić, że stanie się gotów. Duma nie pozwalała mu się cofnąć. Wyjął z kieszeni talizman swojego dziada – kawałek zasuszonego serca niedźwiedzia, naciągnięty na ramię – zawiesił go sobie na szyi i postąpił na sztywnych nogach naprzód. I wtedy go spostrzegł. Mężczyzna stał na otoczonym przez kaskady skalnym występie, tak śmiesznie mały w porównaniu ze ścierającymi się nad nim demonami. Dłonie skrzyżował nad głową i kiwając się w transie, wykrzykiwał zaklęcia. Sine błyskawice plątały mu się we włosach i wpełzały spod stóp skalnymi żyłami.

Wspomnienie konającej Lelei było niczym najstraszliwsze zaklęcie. Talizman na szyi górala rozgrzał się, jakby niedźwiedzie serce znów poczęło tłoczyć krew. Hajduk ruszył w dół zboczem, instynktownie obierając drogę. Patrzył tylko na tego człowieka, który ośmielił się dotknąć jego kobiety. Gdy, wbrew strumieniom wody, parł w poprzek Żywego Wierchu, huk i



ryki nad jego głową potężniały z każdą chwilą. Demony ścierały się jak oszalałe. Na ziemię runęły strącone piorunami kruki, lawina porwała ku przepaści przerażone kozice. Nagle góra jęknęła. Na chwilę całe Tatry struchlały. Nawet wiatr wstrzymał oddech. Kościej uniósł Matochę z ziemi i obalił na plecy. Ostrymi jak szable szponami uciął mu nogę i cisnął ją w dolinę. I to nie starczyło! Góry znów ogarnął chaos. Strażnik demonów ubódł rogami brzuch wroga i uwolnił spętaną burzę. Za późno jednak. Opadał z sił. Pioruny skruszyły jego pancerz, a kolejne ciosy rozrywały umęczone ciało. Nie był w stanie dźwignąć się kolejny raz na nogi ani nawet się bronić. Spojrzał wprost w rozjarzone nienawiścią oczy Kościeja, zawołał ostatni raz do podległych sobie sił i przyjął godnie decydujący cios. Żywy Wierch przyjął go łaskawie. Ciało demona wrosło w skały, choć rozsierdzony zwycięzca próbował dźwignąć je i zrzucić w dolinę. Matocha wieki sprawował rządy nad tym miejscem i tu miał na wieki pozostać.

W dolinie, nad strumieniem, Leleja wydała ostatnie tchnienie. Jej delikatne ciało zespoliło się z nadrzecznymi głazami, a włosy chciwie splątały się z wystającymi spomiędzy kamieni, zeschniętymi roślinami. I tylko leżący wciąż w wodzie pistolet zdradzał, że zaszło tu coś szczególnego.

Jan zrozumiał, co się stało, gdy na krzyk Matochy odpowiedziało wycie demonów i duchów w całych Tatrach. Przywarł do zbocza i ujrzał, jak z jaskiń pierzchają planetniki, dziwożony i spanikowane latawce. Uwolniona burza rzuciła się gonić te ostatnie. Przy akompaniamencie tryumfalnego ryku Kościeja rozpętało się piekło. Pioruny siekły, gdzie popadło. Półprzejrzyste sylwetki gnanych wiatrem pokutników wiły się w powietrzu, uciekając zniszczeniu. Tuż przed Janem trafiona skała rozpadła się na kawałki, raniąc go w twarz. Zaraz potem kolejny słup ognia uderzył tuż obok, budząc lawinę. Góral zerwał się na nogi i rzucił biegiem w dół. Był już w dolinie, kiedy półprzejrzysty duch przeciął mu drogę. Piorun pochłonął go o krok od Jana... Sięgnął i po górala.

Błyskawice rozerwały stalowe niebo niczym wybuch. Burza, jakiej nigdy nie widziano, gnała przez Tatry, aż góry trzęsły się w posadach. Ludzie w Cierpkówce, dotąd niespokojnie nasłuchujący odległego huku, pierw rzucili się do okien, nie pojmując, co tak nagle rozjaśniło niebo, potem zaś pokryli w głębi chałup, szepcząc modlitwy do Podhalańskiej Gaździny przeplatane zaklęciami wzywającymi Peruna.

Niemira chwyciła kozuch, naftową lampę i dopadła do drzwi.

– Co robisz?! – krzyknęła Kowalowa.

Klimek chwycił dziewczynę za ramię.

– Stój!

– Muszę tam iść. – Wyrwała mu się bez trudu.

Jej pierś falowała gwałtownie, a zimne oczy znów lśniły obłędem dziesiątek dusz.

– Tam jest Jan.

– Jan sobie poradzi – przekonywał Kowalik, nagle pobladły.

Wiedział, że dziewczyna go nie posłucha. Patrzył tylko bezradnie, jak wybiega na śnieg i rusza naprzeciw błyskawicom. Stanął na progu.

– Klimek...

Spojrzał przez ramię na matkę. Wpatrywała się w niego błagalnie.

– Niech idzie, jak chce. Sama. To odmienica. Nic ci, synek, nie wypominam nigdy. Ale proszę, nie idź teraz.

Zatrzasnął drzwi chałupy. Usiadł obok matki, przy gromnicy, w duchu jednocześnie klnąc dziewczynę i wyprasząc dla niej boskiej ochrony.

Uspokoiło się, gdy wyszła z regli. Latawce umknęły na południe i na wschód, pozostawiając za sobą ślady kataklizmu. W dolinie zrobiło się ciemno, chmury zmęczone pogonią rozparły się nisko na szczytach. Do później nocy Niemira błędziła szlakami strumieni, nawołując Jana. Z każdą chwilą bardziej niespokojna. Ledwie wspólnie odganiali od hał wietrzyce – jakże parszywą złośliwością losu by było, gdyby teraz legł od pioruna. Nagle spostrzegła rosłą postać, pewnym krokiem torującą sobie drogę w śniegu zalegającym upłaz. Poznała ją w lot. Tylko jedna znana jej istota potrafiła łączyć w swych ruchach stateczność smreka i delikatność młodej brzozy. Szelest dźwigał kogoś w ramionach.

– Jan! – Przypadła do nieprzytomnego mężczyzny.

Twarz miał zakrwawioną, ubranie rozdarte i przypalone, a plecy i prawą rękę poparzone. Nabrzmiałe żyły tworzyły na całym ciele dziwną mozaikę. Niemira przysunęła twarz do jego ust, dłoń zacisnęła na nadgarstku.

– Żyw – wyszeptał Szelest. – I żyw będzie. – Wcisnął dziewczynie do rąk zwęglony, bezkształtny talizman. – Niedźwiedzie zdrowie w nim było.

– Trzeba go do Lelei. Ona go potrafi uzdrowić.

– Nie ma już Lelei.

Niemira zachłysnęła się powietrzem. Pokręciła głową w wyrazie niezrozumienia.

– Nie wiem w ogóle, co jeszcze jest – dodał melancholijnie leszy.

Dopiero teraz spostrzegła, że jest strwożony. Delikatnym gestem wskazał jej drogę.

– Poniosę go. Powiem, co zaszło. Tyle, ile rozumiem, bo lękam się, że jeszcze nie wszystko. Nie mówiłem z borowymi, nie miałem kiedy. To wszystko pobudziło niedźwiedzie w gawrach, ptaki... Musiałem je uspokoić, musiałem zaleźć Jana...

Opowiedział o morderstwach czarownika, którego wzbraniał się nazywać zercą, i o walce na Żywym Wierchu. Kościej, biorąc górę w posiadanie, stał się nowym strażnikiem tatrzańskich demonów. Lecz to nie zmiana władzy najbardziej trwożyła Szelesta. O przychylności lub okrucieństwie gór decydowały starsze jeszcze siły. Matoha dbał o sen Żywogórcza, by nie był zbyt głęboki ani zbyt płytki. By nie męczyły go koszmary. Słuchał tętna żywiołaka i przekazywał je ludziom przy świętach. To był jego obowiązek. Leszy nie wyobrażał sobie, by Kościej poważał się od niego uchylać. Czy jednak droga, jaką przebył, i krew, która ją znaczyła, pozostały bez wpływu? Czy nowy strażnik mógł wykoślawić chroniącą Tatry muzykę? O tym Szelest wzdragał się mówić, ale podszyta lękiem niepewność dręczyła go straszliwie. Niemira miała wrażenie, że był tej nocy zadziwiająco słaby, jakby śmierć opiekuna i z niego wyrwała kawałek życia. Nic jednak nie potrafiła uczynić, by dodać mu sił. Słów pocieszenia zwyczajnie nie było.

U wejścia do Dymnego Wąwozu przekazał jej nieprzytomnego Jana. Pomógł wygodnie ułożyć go w ramionach i pożegnał się cicho.

– Dziękuję. – Próbowała spojrzeć w oczy przyjaciela, ale nafta dawno już się wypaliła i jego twarz w ciemnościach była tylko niewyraźnym kształtem.

– Gdybym mogła się odwdzięczyć...

– Dbaj o niego.

Skinęła głową.

– I uważaj na siebie – dodał. – Bardzo uważaj. Natura od wieków znosiła kolejne nowe porządki. Lękam się o ludzi...

– Nie wiemy, jakie prawa zaprowadzi Kościej ani do czego zmierza ten czarownik. Ty też na siebie uważaj. Proszę.

Rozchodzili się już, kiedy dobiegł ją szelest świerkowych gałęzi, układający się w niski, kojący głos:

– Jeśli będziesz chciała przyjść do lasu, przyjdź.

## ROZDZIAŁ 16

Jadźka nie była zachwycona, gdy Niemira sprowadziła Jana do swojej komory. Póki jednak nie przeszkadzał, nie objadał gospodarzy, a i pieniądza mu nie brakowało, mógł zostać. Pierw znalazł się w domu Wardów, ale Kachna nie dawała rady z opieką, a Antek z Zoską dość mieli zachodu z Niecechą. Na dwa tygodnie przed Wigilią Niemira przeniosła się więc z siennika na klepisko, a codzienne spacery do Wardów zamieniła na nieustanną, matczyną niemalże czujność. Poparzenia goiły się powoli i wymagały ciągłej uwagi. Hajduk za dnia walczył z bólem, nocami zaś rzucał się w malignie, zapadając coraz głębiej w pustkę. I choć Niemira знаła metody, by go uratować, nabierała coraz większego przekonania, że nie zdoła. Jan patrzył całymi dniami w ścianę albo w powałę, obojętny na wszystko. Zapominał jeść i pić, czasem zaś wprost odmawiał. Któregoś dnia zatrzymał rękę Niemiry, gdy podawała mu wywar z brzozy, spojrzał jej głęboko w oczy i przyznał, że się poddał.

– Może ty, ja nie – rzuciła wtedy oschle, ale w duchu się przestraszyła.

Z rozpalonymi gorączką oczami wyglądał jak skazaniec proszący o łaskę.

Uciekała od niego do kuźni. Bliskość Wigilii odmieniła i jej pracę. Od tygodnia zasiadała co rano ze Staszkiem Kowalem i pod jego czujnym okiem tworzyła zamówione przez Gajdów odświętne parzenice, które zamierzali przypiąć do koszul na powitanie Paniezusa. Precyzyjna robota szła powoli, ale to ją cieszyło. Przy pracy myśli o Janie i śmierci Lelei zmieniały swój ciężar. Niemira czuła, że wreszcie może oddać się własnej żalobie i tęsknocie. Pozwalała sobie czasem na kilka skrytych łez, częściej jednak przysięgała w duchu zemstę mordercy.

W dźwięczny taniec kuźniczych narzędzi wdarły się krzyki córek Staszka. Zaraz zawtórował im ostry głos wyraźnie przestraszonej Jadźki. Kowal rzucił rylce i zerwał się na nogi, Niemira za nim, zabierając jednak solidny młot kowalski.

– Czego wy? – pytał w głębi czarnej izby Kowalik.

– Nie do was, nie bójta się. Do Hajduka – zabuczał ktoś w odpowiedzi.

Dziewczyna przeskoczyła próg i z trudem przepchnęła się między postawnymi mężczyznami, ledwo mieszczącymi się w izbie. Przyszli w sześciu. Rozczochrani wiatrem, okryci skórami i dumnie prezentujący broń, w każdym rozsądnym człowieku budzili postrach.

– Hajduk tu w gościnie, chory, ze mną mówcie – rzuciła.

Kątem oka ujrzała ulgę na twarzy Jadźki. Dziewczęta wycofały się w głąb izby, między inwentarz, Klimek zaś, który dotąd odważnie zastawiał zbójnikom drogę, podszedł do chmurnego ojca i odciągnął go nieco na bok.

– My tu coś dla Hajduka mamy. Dla zdrowia właśnie.

Mężczyzna o niedźwiedziej posturze, do której swoje dodawała wysoka czapa, skinął na stojącego za nim drobnego, posiwiąłego już zbójnika. Ten z przewieszzonego przez ramię tobołka wydobyl dwa ubite świstaki. Kowalowej zaświeciły się oczy. Świstaczy tłuszcz pomagał na wiele przypadłości, a o tej porze roku był niemalże nie do zdobycia. Zwierzęta zapadły w sen zimowy, a ich nory skrywały głębokie śniegi. Niemira pokiwała z podziwem głową.

– Gdzieście znaleźli?

– Na Wołoszynie.

Przyjęła podarek, przyjrzała się uważnie zmiażdżonym łebkom zwierząt.

– Nie biliście o kamienie? – upewniła się.

Ostatnie, czego chciała, to przyjąć dar, za którym ciągnęłaby się złość jakiegoś leszego.

– Niii... – Stary puścił do niej oko. – Spały ślicznie. Kolbą raz a celnie i po sprawie.

Dopiero teraz poznała w nim Heńka Matuszowego, brata Antoniego, któremu nie w głowie była uczciwa praca bacy. Uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję. Wiem, jak trudno zimą...

– Ach tam – przerwał jej niedźwiedziowaty, który najwyraźniej przewodził bandzie. – O dobrych harnasiów też niełatwo.

– Od kogo podarek? Nie wszystkich was znam.

– Powiedz, że od tych znad Stawów. Hajduk będzie wiedział.

– Ostaniecie zjeść co z nami?

Przystali na to chętnie. Niemira młot odstawiła w kąt, świstaki rzuciła w chłodnej, białej izbie i zabrała się do roboty.

– Czego im byśmy nie dali, sami by sobie wzięli – strofowała oburzoną córkę Jadźka. – Niemira dobrze zrobiła. Kowalik! Zobacz, czy gorzałkę

jakąś jeszcze mamy. Jak nie, obróć, od sąsiadów pożycz albo do karczmy biegnij!

Kilka godzin później lekko pijana i rozweselona Niemira weszła do komory, w której odpoczywał Jan. Po jednym w każdej dłoni trzymała przyniesione przez zbójników świstaki.

– Chłopaki znad Stawów podarek ci przynieśli. Patrz, zimą! Weźmie się sadła. Pomoże na rany.

Jan obrócił poszarzałą twarz w jej stronę. Spojrzenie ciemnych oczu prześlizgnęło się obojętnie po prezentach. Niemira opuściła powoli ręce, rozluźniła dłonie. Tłuste, świstacze ciała upadły głucho na klepisko.

– No powiedz coś... – jęknęła, widząc, że odwraca głowę. – Jan! Nie możesz tak! Siła chłopca się o ciebie stara, sam widzisz. A ja, Kachna, Jadźka...? Nie możesz sam odpuszczać.

– Niemira... Dajcie mi wreszcie spokój Ty, Kachna, Jadźka... I zbójnicy. Dajcie mi wreszcie święty spokój! – zachrypiał.

– Nie... Dość. Nie chcę o tym słyszeć! Ja cię z tego wyciągnę, rozumiesz?! Choćby na złość tej gnidzie, która skrzywdziła Leleję. – Niemira zacisnęła mocno pięści. – Nie obchodzi mnie, czy tego chcesz, czy nie. Leleja nie była tylko twoja! Nie tylko ty cierpisz, nie tylko ty tęsknisz. Ja tego tak nie zostawię...

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła mur obojętności. Przez chwilę miała ochotę chwycić kowalski młot i zmiażdżyć głowę, w której to wszystko się uroiło. Wybiegła z komory, przewróciła zydeł, na którym rozłożone miała kleszcze, rożki i rylce do wykańczania roboty.

– Pozbieram, jak wrócę. Jak odetchnę. Bo się uduszę, przysięgam! – rzuciła do nieobecnego Staszka Halkowego i wypadła z kuźni.

Nie słyszała wołającego za nią Jana, nie dostrzegła Kowalika, który próbował ją dogonić. Wybiegł, jak stał, nie wzięwszy nawet cuchy, szybko więc poddał się w pościgu. Gdy zawrócił, ujrzał Hajduka, w mokrej od potu koszuli, chwiejącego się w progu komory.

Szałasy tonęły w śniegu. Cała hala i otaczające ją góry odcinały się bielą od sinoniebieskiego nieba, tworząc obraz z pozoru bajkowy, lecz spowity aurą niepokoju. W miarę jak Niemira brnęła przez śniegi, słońce staczało się za zachodnie szczyty, a chłód narastał. Pierw chciała biec do wąwozu Między Ściany, pożalić się tańczącemu tam widmu Agnieszki. W drodze na Iwaniacką Przełęcz natrafiła jednak na potok, który nie dał się zatrzymać

mrozom. Długo stała nad nim, muskając palcami lodowatą wodę i puszczając z jej nurtem zeschnięte liście. Jan nauczył ją kiedyś, jak słać Lelei wieści, chwyciła więc kamień leżący przy szlaku, poczęła go rozcierać w rękach i ogrzewać oddechem. Słów, które chciała zanieść brzeginie, było za wiele. Szeptem prosiła o ukojenie bólu Hajduka, wypłakiwała swój żal, zapewniała o pamięci, prosiła o wstawiennictwo. Mówiła coraz więcej i szybciej, coraz bardziej gorączkowo. Gdy ciskała kamień w wodę, przez chwilę czuła, jakby naprawdę ogrzewała ją obecność Lelei. Gdy jednak ruszyła dalej, uczucie osamotnienia i bezsilności uderzyło podwójnie. W jednej chwili wysała siły. Przeszukała wzrokiem zbocze. Stare sztolnie, w których niegdyś wydobywano rudy żelaza i miedzi były niekiedy dobrym schronieniem, tym razem jednak same skryły się w śniegu. Zawróciła ku dolinie.

Dotarła do juhaskiego szałas. Dobrą godzinę szarpała się, odkopując gołymi rękami wejście. Wreszcie drzwi ustąpiły i powitało ją ciemne, zimne wnętrze. Usiadła na ziemi, spocona i zziębnięta, objęła ramionami kolana i oparła na nich brodę. Nie zamknęła nawet za sobą drzwi, tylko wbiła wzrok w styk bieli i podszytego szarością błękitu.

Nie zdążyło się jeszcze ściemnić, gdy śnieg u wejścia rozstał się falami na boki. Niemira otrząsnęła się momentalnie z półsnu, w który nieświadomie zapadła. Znała tylko jedną istotę, wobec której natura czyniłaby takie ukłony. Leszy schylił się w niskich drzwiach i wszedł do środka. Zaraz za nim śnieg na powrót zasypał ścieżkę i wtargnął odważnie do szałas.

– Szelest!

Niemira spróbowała się podnieść, ale nogi zupełnie jej ścierpły. Teraz dopiero zdała sobie sprawę z tego, że cała trzęsie się z zimna, a palców u rąk i stóp nie czuje. Leszy przypadł do niej.

– Co ty wyprawiasz, Niemira? Zamarzniesz tu. – Ściągnął z ramion niedźwiedzią skórę i okrył nią starannie dziewczynę.

Zaciągnęła się głęboko intensywnym zapachem mchu i igliwia, gdy na moment ją objął.

– Słyszysz, co mówię? Co to za głupoty? Mało nam tragedii ostatnimi czasy?

– Po prostu dziś nie wytrzymałam – wymamrotała. – Jan...

– To nie powód, żeby śmierci szukać.

– Nie szukałam! Naprawdę już nie mogłam. Nie wytrzymałabym tam ani chwili dłużej. – Podniosła głowę. – On się zupełnie poddał. Jestem bezsilna. To obrzydliwe uczucie, wiesz? Bezsilna! Zupełnie.

– Wiem – odparł ciężko.

Usiadł naprzeciw ze skrzyżowanymi nogami i zaczął delikatnie rozcierać dłonie dziewczyny.

– Czasem i to trzeba znieść – dodał.

– Wszyscy robią, co mogą. Zbójnicy zdołali świstaki wykopać, wiesz? Przyleźli dziś, Jadźka z córkami mało nie padła, a oni z podarkiem. Ja wiem, że on ją strasznie kochał. Ja nie proszę, żeby mnie po rękach całował. Ale ani słowa podziękowania. Ani błysku nadziei. Nadziei! Bogowie, tak bym chciała zobaczyć, że w niego jakieś życie wraca.

– Wróci, Niemira, daj mu czas... Sam pewnie nie wyobrażał sobie, że tak mu jej zbraknie. Sam pewnie nie wiedział, że tak ją kochał.

– Ale nie tylko on! Jest tak, jakby myślał, że tylko jego to dotknęło. Cały ból jest jego i tylko jego. Ja się nie żalę, wspieram, jak mogę... Ale już nie mogę.

– Nie wątpię. On też to wie. Kiedy strata tak strasznie boli, nie sposób mówić o czymś innym. Nie sposób o niczym więcej myśleć. To jest trudne, ale szczerze. Coś za coś. Mógłby udawać, że jest silniejszy, niż jest, ale takie kłamstwa zwykle tylko pogłębiają gorycz.

Niemira pokiwała głową bez przekonania. Czuła, że sama udaje, czy też raczej, że w tym udawaniu doszła do jakiejś granicy.

– Czasem uczucia zaskakują nas samych. Po fakcie dopiero poznajemy, jak były silne. Albo... jakie w ogóle. Daj Hajdukowi przeżyć tę śmierć tak, jak tego potrzebuje. To go oczyści.

– Ja mu niczego nie odbieram. Czasem tylko chciałabym...

Nawet nie umiała tego sprecyzować. Wszystko wewnątrz niej skomlało najbardziej oczywistą prośbę: „żeby Leleja żyła”. Ale to nie było możliwe. Czy tę dziurę mogło zapełnić zrozumienie? Ciepłe słowo? Szelest przygarnął ją do siebie.

– Wypłacz się. Wyżał. Przychodź do mnie, jeśli potrzebujesz. Jan też, gdy będzie już w stanie, niech przyjdzie. Spróbuję wam pomóc.

Podziękowała cicho. Szelest był kimś, kto mógł wypełnić tę pustkę. Kto, chciałaby, żeby tę pustkę wypełnił. Ale równocześnie, gdy podnosiła wzrok, natrafiała na bolesne bruzdy na jego twarzy, za które wciąż czuła się winna.



Wiedziała, że jest tak, jak mówił Jan – Szelest, choćby sponiewierany i zagniewany nie potrafił zostawić przyjaciół w potrzebie. I choć był w swej trosce absolutnie naturalny, Niemira czuła, że jest w tym coś z poświęcenia. Sama chowała uczucia bardzo głęboko, by nie kaleczyć bardziej Jana. Szelest robił to samo dla niej.

– A ty? Jak po tym wszystkim jest z tobą?

Wzruszył ramionami.

– Mówiłem już. Ostatnio był ciężki czas – odparł wymijająco, a ona nagle zrozumiała, jak wiele o nim samym usłyszała, gdy tłumaczył zachowanie Jana.

Wróciła do domu późną nocą, gdy wszyscy poza Kowalikiem już spali. Chłopak siedział na progu szopy i rozpaliwszy na podwórzu niewielkie ognisko, uprawiał świstaki.

– Pomyślałem, że jak wrócisz, to będą ci potrzebne – rzucił, gdy Niemira podeszła.

Udawał, że nie zauważył ciężkiej, niedźwiedziej skóry, której Szelest nie pozwolił sobie zwrócić.

– Będą. Muszę uszykować maść dla Jana na rano.

Kowalik spojrzał krytycznie.

– Ja uszykuję, tylko powiesz jak. Ty idź spać. Ojciec jest zły, jutro cię do roboty zagoni. Musisz mieć siły.

Chciała odmówić, ale gdy otworzyła usta, zobaczyła, że patrzy na nią tak, jak ona na Hajduka. Usiadła na progu obok niego. Cicho wyjaśniła, jak rzecz przyrządzić.

– Skórę i mięso zostawcie sobie. Daj ojcu, powiedz, że z przeprosinami ode mnie – zakończyła. – A! I to... – Zsunęła okrycie z ramion. – Będę musiała kiedyś odnieść, ale na razie ci się przyda.

– To jest tego...?

– Szelesta, tak.

Kowalik pokręcił głową.

– Nie chcę. Też by nie chciał, żebyś...

Niemira tupnęła nogą.

– A w nosie to mam.

Zarzuciła chłopakowi futro na ramiona i zwała do izby. Odłożył robotę, wytarł ręce w portki i chcąc nie chcąc przyjrzał się skórze. Nie tylko niedźwiedzia była zdjęta. Od wewnętrznej strony jakby podszyta (choć

szwów znaleźć nie umiał) jelenią, a u kołnierza zrosnięta z wilczym futrem. Westchnął i okrył się nią szczerzej.

Maść ze świstaczego sadła działała cuda i na kilka dni przed Wigilią Hajduk odzyskał siły. Wciąż milczący i ponury, podziękował Kowalom za gościnę, opłacił się suto i wrócił pod dach Wardów, wspomóc Kachnę przed świętami.

W Wigilię rozpętała się śnieżycyca. Wielkie, białe płatki spadały z nieba, wirując w tańcu i otulając szczerze domy. Ciężkie nawisy ustroiły granie wąwozu tak bogato, że zdawało się, iż zaraz się zetkną i skryją Cierpkówkę przed światem. Niemira kazała wystawić lampę przed próg, by dusze zmarłych nie pomyliły drogi do domu. Nakrycie dla nich czekało już na stole. Kowalik z ojcem mocowali się jeszcze z łańcuchem. Stół trzeba było dobrze opasać, by kolejny rok rodzina trzymała się razem, a inwentarz się nie wygubił. Niemira cicho się zastanawiała, kogo czar ten obejmie, kogo nie. Kowalowie poprosili ją do stołu, lecz czuła się przy nim obco. Inna to była Wigilia niż u Agnieszki. Domowe duchy rozpierzchły się przed modlitwami recytowanymi przez Jadźkę. Jedyne Przylepa, chyba wyczuwając chwiejny nastrój Niemiry, został w jej komorze, schowany pod kocem. Piecuch długo pałętał się przy rozgrzanym palenisku, nad którym gotowała się kłuta. Próbował znaleźć sobie miejsce, ale Kowalowa kazała komornicy go wygonić. W kuźni tego dnia panowały cisza i chłód, powędrował więc do Gajdów, gdzie chętnie powitano go przy ogniu. W domu Agnieszki najwierniejsze bożęta i najbardziej pracownicy domownicy trzymali się stołu. Jeść im wolno było tylko z talerza pozostawionego dla dusz, ale nikt ich nie wyganiał.

– Strawy trzeba dużo. Boję się, że piecuch się pogniewał i bidę nam w gości sprowadzi – rzuciła Niemira.

Wygłodniały, wymizerowany demon w Wigilię wprawdzie krzywdy nikomu nie robił, ale gdy przyszedł, trzeba go było odkarmić. A apetyt miał olbrzymi. Jadźka wzruszyła ramionami.

– Nie pierwszy rok, jak do nas bida przyjdzie.

– Bo o duchy za mało zabiegacie.

– Wystarczy nam twoich pouczeń – sarknęła gaździna. – Do naszego stołu siadasz, na obyczaje nie wyrzekaj.

Niemira skinęła głową i zniknęła w kuźni. Przyniosła z niej naostrzoną siekierę i starannie wyklepany lemiesz. Ułożyła je pod stołem i z

westchnieniem usunęła się w kąt. Nie była to tylko wina gospodarzy, że czuła się tak obco. Wbrew nadziejom Szelesta Kościej nie posłał ludziom rytmu Żywego Wierchu na Wigilię. Góry milczały i ta cisza, choć schowana pod wyciem wiatru, była dla Niemiry przytłaczająca. Tymczasem siostry Klimka, uśmiechnięte, znosiły już miski i łyżki, a Kował z wielkim szacunkiem postawił piętękę chleba z pokruszonym nieco opłatkiem.

Zasiedli do stołu. Każdy zżuł po jednym bucie i bosą stopę położył na lemieszu. Jedynie Niemira się wstrzymała. Jej siły żelaza więcej nie trzeba było. Musnęła jednak palcami siekierę. Spokoju, który symbolizowała, bardzo jej brakowało. Poczęli jeść, w miarę zaś posiłku, na twarze występowały uśmiechy i kolory. Niemira ukradkiem oderwała kawałek kołacza i podała pod stołem Przylepie, który wemknął się do izby i usiadł jej pod spódnicą.

– Ktoś do drzwi puka – rzucił nagle Kowalik.

– No, to ciekawe... – Staszek uniósł się od stołu.

W jednym kierpcu wyjrzał do sieni.

– Wchodźcie, wchodźcie – zawołał.

– Niek będzie pokwolony.

– A! Na wieki wieków. Hajduk?! Dobra wróżba, jak w Wigilię chłop w gości przychodzi. Pozwólcie, pozwólcie.

Niemira patrzyła zdumiona. Wszedł, wystrojony odświętnie, ale zaśnięzony, jakby z Nowego Targu piechotą przyszedł. Jego spojrzeniu daleko było do wesołości, zagościł w nim jednak pewien spokój. Przemoczone buty i portki zdradzały, że odnalazł go nie przy stole, lecz gdzieś nad potokami.

– Siadajcie. Niemira, podaj no łyżkę. Nie może być, żeby brakło, bo kogoś na nowy rok śmierć zabierze.

Jan machnął ręką.

– Jeść nie muszę. Siostrzenicę zobaczyć tylko chciałem. A po drodze bidę pogoniłem. Niech idzie do Kościeliska, tam bogaciej.

– Och! To musicie, musicie coś zjeść – zaoponowała Jadźka.

Niemira przygotowała szybko nakrycie tuż obok siebie. Domyślała się, że historię o bidzie Jan zmyślił na poczekaniu, by być miłszym gościem. I sam ten fakt bardzo podniósł ją na duchu. Pogratulowała sobie w myślach dobrze wykonanej roboty.

Kolacja trwała w najlepsze, gdy rozszczękały się we wsi psy. Siostry Klimka skoczyły zaraz do okien. Próbowaly dosłyszeć, skąd szczekają, wyśmiewały się przy tym z siebie wzajem.

– Mój chłop to chyba od Gajdów będzie.

– A gdzie tam! Od Raptusowej karczmy chyba szczeka. Opoja będziesz miała.

Hałasu narobiły, jakby było ich pięć, nie dwie. Pomne Sobótki nie próbowaly włączać w te wróżby Niemiry. Hałas zaś robił się coraz większy. Inwentarz Kowalów zaczął się niepokoić, a pies począł drapać w drzwi. Zaniepokojona Niemira sięgnęła po łyżkę grochu, położyła ją na oknie i zawołała cicho:

– Wilku, wilku, chodź do grochu. Jak nie przyjdiesz...

Ale przyszedł.

Pazury zachrobotaly o parapet i w oknie pojawił się wielki, ciemny łeb. Niemira odruchowo odskoczyła. Coś trzasnęło o szybę raz i drugi. Dziewczęta uderzyły w krzyk, Staszek chwycił spod stołu siekiere. Szyba pękła, siejąc na podłogę odłamki szkła i śnieg. Hajduk chwycił za ramiona Kowala, który gotów już był biec na drapieznika. Stara wilczyca, oparta łapami o parapet, kręciła zaś komicznie głową, próbując zmieścić w oknie swój łeb i dwa cienkie, podłużne kawałki żelaza, które trzymała w pysku.

Niemira podeszła ostrożnie.

– Nie przejdiesz tak. Chodź, chodź do drzwi.

Zwierzę usłuchało.

– Nie otwieraj! – jęknęła Jadzka, ale dziewczyna złapała tylko garść wigilijnej stawy i wyszła na dwór.

– Czego chcesz? – spytała, sypiąc kaszę z grochem.

Wilczyca się zbliżyła. Wciąż spięta i czujna, położyła u stóp Niemiry żelastwo. Spojrzała na nią spode łba. Żółte, pobłyskujące w świetle lampy ślepiec zdały się badawcze. Hajduk, z drugą lampą w ręku, pochylił się, oświetlił przedmiot. Przed nimi leżała żelazna laska, przełamana w pół. Pozornie jednolita, nosiła jednak ślady zawiłych grawerunków.

Niemira spojrzała na Jana. Na zmarszczone czoło i zaciśnięte mocno usta.

– Czy to jest...?

– Różga Wityszy – odpowiedział cicho.

Mimo protestu Hajduka sięgnęła po nią. Poczula tylko chłód metalu w dłoni. Wzdłuż kręgosłupa wilczyca przeszedł dreszcz. Potrząsnęła łbem i

rzuciła się na wigilijne jadło. Potem zawarczała głucho, jakby chciała ostrzec obserwujących ją ludzi, i puściła się biegiem w ciemność wąwozu.

– Co się stało? – Niemira oglądała uważnie różgę.

– Trzeba iść do Szelesta. – Hajduk rozłożył ręce w geście bezradności. –  
Chodźmy za nią.

## ROZDZIAŁ 17

– Dlaczego aż tutaj? – spytała Niemira, gdy po męczącym marszu wśród wciąż syjącego śniegu wkroczyli w Między Sciany.

Szelest, jeśli chciał rozmawiać, zwykle zjawiał się w pobliżu Dymnego Wąwozu lub u podnóża Jaworzynowego Wału. Wigilijna noc nie powinna zaś go odstraszać.

– Jakby się bał... – mruknął Jan.

Leszy czekał w bezruchu obok figury Wołosa, sam podobny starodawnej rzeźbie. W świetle lampy dostrzegli, że przed świętym kamieniem złożył ofiarę z kruczych piór, żywicy i wiecznie zielonych gałęzi kosówki. Niemirze się zdało, że czuje zadowolenie dawnego boga, wypełniające cmentarny wąwóz spokojem.

Usiedli na przyrzuconych niedźwiedzią skórą głazach nieopodal figury. Leszy wziął z rąk Niemiry różgę Wityszy, obrócił ją w zamyśleniu w dłoniach.

– Czarownik ją też zabił? – spytał Jan. – Czy to robota Kościeja?

– Kościej... I nie, nie zabił. Stało się chyba gorzej. – Szelest spojrział przelotnie na Niemirę. – Zeszłej nocy czuliśmy, że coś się dzieje na Żywym Wierchu. Borowi obawiali się, że znów zło jakieś zawitało w Tatry, więc kilku z nas za dnia miało rzecz sprawdzić. Dwóch innych leszych zatrzymały dziwożony jeszcze w reglach. Mnie udało się przejść. Znalazłem tylko połamaną różgę. Dziś pochwyciłem nocnicę. Widziała, co zaszło.

Rozgniewana demonica próbowała wykręcać się pierw siłą, potem kłamstwami, wreszcie jednak uległa. Opowiadała nieskładnie, ale Szelestowi to wystarczyło, by pojąć całość. Cicha wróciła na Żywy Wierch. Miała za sobą wiele dni długich wędrówek – w Poroninie niejednen dom zostawiła w żałobie na święta. Kiedy jednak chciała zstąpić do podziemi, sam Kościej stanął jej na drodze. Zażądał, by szła dalej. By do domów, które nie ugościły dusz swych zmarłych krewnych, zaniósł śmierć. Zdjął z niej przekleństwo Matohy i pozwolił, by szła do Dymnego Wąwozu.

Niemira się spięła. Przed oczami stanęły jej duchy domowe Halków Kowali. Rozgniewane, mogły odwieść przodków od wizyty pod niegościnną

strzechą. Nim jednak zdołała wyrazić obawy, historia przybrała nieoczekiwany obrót.

Szczególnie nieoczekiwany dla Kościeja.

– Witysza odparła, że wciąż uznaje władzę Matohy i progu żadnego cierpkówkowego domu nie przekroczy – kontynuował Szelest.

– Jak to? Dlaczego? – Jan pokręcił głową. – Przecież nie z litości.

– Też nie pojmuję. Wiele razy musieliśmy ją powstrzymywać, by nie złamała rozkazów Matohy. To pragnęła zobaczyć Niemirę, to rozmawiać z tobą. A zabrać kilka żyć po drodze, to dla niej nic. Nawet by nie spostrzegła. Nie wiem, nie rozumiem, czemu nagle stanęła przeciw niemu.

– Za to ją ukarał?

– Za coś więcej.

Demon się rozgniewał. Nawet nocnicę może zdjąć strach i na widok szału gotującego się burzą w trzewiach Kościeja, rzuciła się do ucieczki. Widziała jeszcze, jak cicha, miast paść na kolana i błagać o wybaczenie, z tupnięciem wychodzi naprzód, bierze się ludzką manierą pod boki i wypowiada demonowi posłuszeństwo.

– Odwołała się do woli Żywogórcza. To on wyznaczał jej od wieków rytm pracy i za tym rytmem będzie szła. Tak ponoć rzekła. Takich słów żaden demon w Tatrach nie puści mimo uszu.

Kościej zachwiał się i cofnął, jakby ziemia zadrżała mu pod nogami. Wzdętym, czarnym językiem oblizwał szponiaste palce. Ruszył na cichą. Kucnęła, zastawiając się różgą, ale mizerna to była ochrona. Pazury zazgrzytały o metal i laska pękła na dwoje. Witysza rzuciła się na kolana za kawałkiem, który odpadł. Gdy go chwyciła, Kościej wisiał już nad nią, wsparty na sześciu ramionach.

– Nocnica nie słyszała przekleństw, którymi ją obłożył. Ale widziała jeszcze, jak Witysza porzuca swą potrząskaną laskę. I wstaje. Smuklejsza, roślejsza, starsza...

– Co to znaczy?

– Zniszczył jej atrybut jako cichej. A potem dał urosnąć darowi śmierci, który w sobie ma. Cicha, która jakimś straszliwym zrzędzeniem losu straci swą dziecięcość, przemienia się w zarazę dla ciał i umysłów.

– Morową dziewczicę...? – szepnęła Niemira.

Szelest pokiwał głową. Jan splunął, roztarł ręce, które nagle mu zgrabiały. Żył już, gdy morowa dziewczica zawitała pod Giewont, niosąc cholere. Z

ojcem chodził pomagać, jak mógł, ale często pozostawało mu tylko kopanie grobów w niepoświęconej ziemi. W końcu sam zachorował i cudem wymknął się kostusze. Pamiętał dobrze szaleństwo ogarniające ludzi z dnia na dzień. Niejeden góral własnego syna czy ojca z chałupy wywlókł, gdy pojawiały się pierwsze oznaki słabości. Niektórzy byli gotowi skrócić cierpienia bliskich siekierą, byleby samemu nie podzielić ich losu. Gdy nadchodziła morowa dziewczica, pierw rwały się więzy krwi i przysięg, a zaraz za tym, po osamotnionych i cierpiących przychodziła śmierć.

– Ruszy do Cierpkówki? – zachrypiał Jan przez ściśnięte gardło. Odchrząknął. – Kościej ją pośle?

– Tego nie wiem. W głębi czuję, że nie. Dymny Wąwóz jest ostoją starych obyczajów. Musiałby straszliwie Kościejowi zawinić, by zasłużyć na taki los. Bardziej się boję, że – Szelest zawiesił spojrzenie na różdze – Witysza przyjdzie po to, co ma za swoje. Po Niemirę.

– Po mnie?

– Po ciebie czy do ciebie... Zakaz Matohy nie jest już w mocy. Tego jestem pewien. Jego potęga przepadła razem z nim. Witysza zaś jest teraz tworem Kościeja. Nie będzie wciąż słuchała się poległego strażnika.

– Jeśli już nie jest sobą...

– Jest. Podporządkowaną innym regułom, bardziej śmiercionośną, jeszcze bardziej nielitościwą. Ale jest. Myślę, że tęsknota za tobą w niej nie zgasła.

Niemira wstała. Obeszła nerwowo figurę Wołosa, szukając tego spokoju, który na początku czuła. Spojrzała na Jana, ale on wbijał wzrok w śnieg. Wyglądał, jakby chciał zniknąć, uciec od wszystkiego.

– Czyli nie mogę wrócić, prawda? – wydukała wreszcie. – Jeśli przyjdzie za mną, ściągnie na ludzi mór.

Nie zdołała zapanować nad głosem. Nie minął rok, odkąd opuściła dom, który nazywała rodzinnym. Myśl, że teraz przyjdzie jej przyjąć los wygnańca, obezwładniała. „Nie umiem być zupełnie sama!” – skamlała w myślach, kuląc się wewnątrz. – „Nie chcę zostać jeszcze bardziej samotna, niż jestem”. Szelest poderwał się z miejsca. Brzdęknęła metalicznie upuszczona różga, wytrącając też Jana z marazmu. Leszy oparł Niemirze dłonie na ramionach, zbliżył twarz.

– Nic takiego nie powiedziałem. Musisz uważać, być czujna. Wszyscy musimy. Tylko tyle. Kiedy nadchodzi morowa, niewiele jest w stanie ją zatrzymać, to prawda. Ale to się może skończyć tragedią niezależnie od



tego, czy będziesz na miejscu, czy nie. Jeśli postanowi cię znaleźć, zawita w końcu do Cierpkówki.

Niemira odetchnęła głębiej. Jan zauważył, że sięgnęła do dłoni leszego, ale ledwo musnęła ją palcami, cofnęła rękę.

– Powinnam ją po prostu spotkać. Dać jej to, czego chce.

– Nie.

Głos Szelesta zabrzmiał nadspodziewanie twardo. Dłonie zacisnęły się odrobinę mocniej na ramionach dziewczyny.

– Mogłaby cię zabić. Nawet gdyby nie chciała.

– Jeśli to uchroniłoby ludzi we wsi, warto zaryzykować...

– Nie – wtrącił spokojnie Jan. – Nie zaryzykujemy tego. To, że umrzesz, nie uchroni wsi przed innymi kataklizmami. Przed samą Wityszą też nie musi... Zresztą! Co za bzdura. Nie i już. Może nie było ze mną ostatnio dobrze, ale nie na tyle żem pogłupiał, żeby dać ci się poświęcać! I tak trzeba będzie ludzi pilnować, żeby jakiej baby żywcem nie próbowali gdzieś zakopać, jak się wieść o morowej rozniesie. Nie trzeba nam więcej tragedii. Po traktach też się sama szwendać nie będziesz. Po moim trupie.

– Coś trzeba zrobić... – mruknęła Niemira.

Wymknęła się Szelestowi w obawie, że ten wyczuje ulgę, jaka ją ogarnęła, gdy obaj tak twardo stanęli po jej stronie. Wstydziła się. Zawiesiła wzrok na leżącej w śniegu różdze. Słowa Jana, który odgrzebywał w pamięci rady ojca, płynęły gdzieś obok.

– Zimą niewiele zdziałamy. Ale na przednówku trzeba będzie pług za bliźniaczymi wołami pociągnąć. Granice wsi zakreślić. W Chochołowie, u Siekierów żyją bliźniacy, najmie się ich.

Niemira uklękła przy połamanej różdze.

– Powiedziałeś, że to jej atrybut...

– Tak. – Leszy przytaknął z wahaniem.

– Więc może zwróci nam Wityszę? Wityszę cichą, nie morową dziewczkę. – Niemira podniosła ułomki. – Mogłabym odtworzyć to, co zniszczył Kościej.

Poczuła, że z posągu Wołosa znów promieniuje spokój. Jan zbliżył lampę do grawerunków. Nic nie mówił, zaskoczony. Dziewczyna spojrzała na Szelesta. Coś w jego postawie i ruchach powiedziało jej, że poczuł to samo.

– Pomysł z jednej strony zdaje się za prosty. Z drugiej zaś za trudny. Dwa powody, dla których mógłby pozostać nieodkryty – podjął. – Wykuć taką laskę to niełatwa sprawa, ale...

– A bo ty się na kowalstwie znasz – burknęła.

– Niemira! – huknął groźnie, aż podskoczyła.

Nie tolerował lekceważenia. Nawet w czasach, gdy byli ze sobą blisko.

– Wybacz...

– Chciałem tylko rzec, że choć sprawa niełatwa, to jest w tym rozwiązaniu jakaś harmonia. Warta próby. Cóż... Rzeczy niełatwe w końcu już robiłaś.

„Zrobię. I wtedy będę mogła ją spotkać” – przemknęło przez myśl Niemirze, ale nie ważyła się przyznać, dlatego w jednej chwili tak zapaliła się do własnego pomysłu.

We troje pochylili się nad laską. Runy, które ją znaczyły, były ludziom zupełnie obce. Dziwnie koślawe i często jakby urwane czy wybrakowane, kojarzyły się Janowi z dziecięcymi bazgrołami. Szelestowi jednak mówiły wiele. Były odbiciami młodych, nieukształtowanych jeszcze dusz. Słowami, którymi można je było wywabić z dziecięcych ciał. Tłumaczył je ostrożnie, w obawie, że uwolnione w mowie lub nakreślone na śniegu skrzywdzą jego przyjaciół. Jako leszy popełniał zbrodnię. Żywił tylko nadzieję, że wobec okoliczności borowi wybaczą mu kolejne odstępstwo od reguł i zdradę tajemnic.

Hajduk i Niemira ruszyli w drogę powrotną jeszcze przed świtem, choć Jan zastanawiał się, czy nie zostawić jeszcze dziewczyny samej z Szelestem. Coś między tą dwójką odżyło, nawet jeśli nieśmiało i znów grubo ukryte pod płaszczem lojalnej przyjaźni. Zrezygnował jednak z pomysłu, przekonany, że leszy w którymś momencie uniesie się dumą czy źle pojętą odpowiedzialnością albo że Niemira przypomni sobie o wyrzutach sumienia i rozdarciu między wsią a lasem. Tym razem postanowił pomóc im nie komplikować spraw. Obserwowanie, jak mimowolnie zmniejszają dystans, koło poszarpane serce. Odwracało myśli od bólu lepiej nawet niż paląca potrzeba działania.

Byli jeszcze daleko od wąwozu, na Iwaniackiej Przełęczy, gdy drogę przecięły im ślady, których gęsto padający śnieg nie zdążył zasypać. Meandrowały, jakby wędrowiec nie mógł się zdecydować, czy ruszać na zbocze Ornaku, czy wracać na górujący nad okolicznymi halami grzbiet Kominiarskiego Wierchu. Potężny masyw narośniętych jedna na drugą turni i stromych ścian, pocięty lawiniastymi żlebami, zdawał się groźny i niedostępny o tej porze roku. A jednak nie było wątpliwości – ktoś z niego nadszedł. Potem, po długim wahaniu, ruszył wreszcie w dół. Jan i Niemira

przyspieszyli. Nie musieli długo iść, by dojrzeć na tle białego dna doliny chwiejącą się pod uderzeniami wiatru postać. Człowiek brnął przed siebie, niebaczny na nic. Gdy upadał, włókł się dalej na czworaka. Kierunek zdawał się obierać zupełnie przypadkowo. Nie miał cuchy ani kamizeli. Plecy okrywała mu tylko podarta koszula. Hajduk zawołał za nim, ale nie było reakcji. Ruszyli biegiem. Im bliżej byli, tym bardziej nie mogli uwierzyć w to, co widzą.

– Spalenik... – wyrwało się wreszcie Janowi.

– Pójdę przodem. Może być nieżyw – mruknęła Niemira. – Albo przez jakieś moce pochwycony.

– Wręcz musi, jeśli jeszcze się rusza – odparł zbójnik. – Idziemy razem.

Twarz Spalenika zniknęła pod skorupą ropnych ran i splątanych, siwych włosów. Gdzieś wśród nich błyskały podbiegłe szaleństwem oczy i napuchnięte, przekrwione wargi. Był wychudzony, a dłonie zakończone miał szerniałymi, zeszywniałymi palcami. Bez wątpienia jednak żył.

Gdy Jan i Niemira zaszli mu drogę, stanął, opadł powoli na kolana i zanurzył ręce w śniegu.

– Litości... Zawiniłem. Litości. Śmierci. Błagam – powtarzał niewyraźnie.

– Wojtek, co wam? – Jan potrząsnął mężczyzną.

– Skończcie to. Skończcie. Litości. Co ja narobiłem? Przepadłem. Litości.

Okryli go, czym mogli, i postawili na nogi. Biernie ulegał ich dłoniom, nieustannie mamrocząc błagania i modlitwy do wszelkich bogów, diabłów i aniołów, o których kiedykolwiek słyszeli. Ujęli go pod ramiona i poczęli prowadzić do wsi. Długo nie reagował na ich uspokajające słowa ani pytania. Dopiero gdy wkroczyli na leśną drogę wślizgującą się do Dymnego Wąwozu, począł się gorączkowo rozglądać.

– Poznajesz? – spytała cicho Niemira.

– Nie, nie mogę wrócić... Nie zasłużyłem. Mnie już tylko śmierć...

– Musisz wrócić. Pamiętasz żonę? Córkę? Niemojka czeka...

– Nie! Błagam, nie! – wybuchnął, po czym nagle ścichł. – Niemoja?

Oczy mu się rozszerzyły, zabłysła w nich tęsknota. Wpił spojrzenie w twarz Niemiry.

– Jest tam...?

– Tak. Chodź.

– Nie mogę. Nie zasłużyłem. Złe ściągnę na rodzinę.

Począł się szarpać, ale był zbyt słaby. Nogi się pod nim ugięły, ręce złożył jak do modlitwy.

– Zostawcie je w spokoju! – zawył. – Zabijcie mnie, a je zostawcie! Ja zasłużyłem. One niewinne. Błagam. Błagam... Co ja zrobiłem...? Błagam... Niemoja... Niemoja...

Jan chwycił go za podbródek, zmusił, by spojrzał mu w oczy.

– Wojciech, co zrobiliście? Powiedzcie mi, co zrobiliście?

– Mylna... Ty sobie nie wyobrażasz!

– Jak to Mylna?!

– Mylna... – powtórzył Spalenik. – Co myśmy zrobili! – Łzy popłynęły mu z oczu i wsiąkły w splątaną brodę. – Takie zło. Demon...

Jan poczuł jakby uderzenie w głowę. Chwycił mężczyznę za koszulę na piersi i przyciągnął do siebie.

– Wy?! Jacy wy?! Wy wyzwoliliście to bydle? Pomogliście tej gnidzie?!

– Czarownik prosił. Prowadziłem. W ciemność. Paniezusie! Jaka ciemność. Bogowie...

– Mów!

– Jan!

Niemira rozdzieliła mężczyznę. Spalenik upadł w śnieg, pochylił nisko głowę.

– Obudziliśmy coś strasznego. Dalegor go obudził. Demona, do którego go zaprowadziłem.

– Ty... gnido... Brzeginy też mu pomogłeś wymordować?!

Hajduk wyrwał nóż z pochwy i zamierzył się jak do pchnięcia. Niemira złapała go za kurtę i bezceremonialnie odciągnęła.

– Opanuj się! Daj mu mówić.

– Zarżnę jak prosiaka.

– Zdążysz! Opanuj się.

– Ja... nie chciałem nikogo mordować. Nie chciałem budzić demona. Harcyk mówił, że złe we wsi... Że moja rodzina, że Niemojka w niebezpieczeństwie! Czarownik miał nas uchronić. Bo złe... Bo nieszczęścia... A teraz my sprowadziliśmy... Nie, ja już przebaczenia nie błagam. Tylko żeby Niemojka...

– Harcyk? Dalegor to ten człowiek z Warszawy, do którego zabrał ciebie i Zawieję Harcyk?

Wojciech wydukał jakieś potwierdzenie.

– To czarnoksiężnik, który obudził Kościeja? – uzupełniła Niemira.

Odpowiedziało jej skomlenie, jakby samo imię demona sprawiało Spalenikowi ból. Jan podszedł do drzewa, oparł czoło o szorstką korę i oddychał ciężko. Poróżnili się z Harcykiem, ale już samo podłoże sporu sprawiało, że nie łączył go z czarownikiem. Słyszał opowieści o „uczonym z Warszawy”, ale wszak niewiele poza kłótniami w karczmie z tego wynikło. Zawieja zginął w lawinie, Spalenik wrócił, ludziom rzekł, że nie ma o czym gadać, trochę ponoć zmarkotniał i tyle. Gdy zginęła Leleja, ostatnie, do czego Hajduk był zdolny, to łączenie faktów i szukanie winnych. Spojrzał z odrazą na sponiewieranego, na wpół oszalałego człowieka.

– Zabierz go do wsi, bo zabiję – wycedził. – I spotkajmy się u Raptusa... Skrzyknę paru chłopą. Trzeba z Harcykiem pogadać.

– Gdzie go wziąć? W takim stanie Spalenikom go przyprowadzić? Jeszcze większa żałoba będzie.

– Jak dla mnie możesz go wprost na cmentarz. Po prostu zabierz go sprzed moich oczu!

Niemira siłą dźwignęła Wojciecha na nogi. Wiedziała, że Hajduk nie grozi po próżnicy. Ledwo nad sobą panował.

Spalenik ścichł, gdy dotarli do wsi. Kiedy mijali jego chałupę, powiódł w jej stronę wzrokiem straceńca, ale widziała, że poczuł ulgę, gdy przeszli dalej. Śnieg wciąż padał, mało kto więc wystawiał nos na zewnątrz. Nie dbała zresztą o to. Zaciągnęła mężczyznę do Wardów i bezceremonialnie nakazała siostrze i bratu go pilnować. Sama zaszła jeszcze do domu Kowalów, gdzie wyczekiwano jej powrotu. Bez wyjaśnień zawięła w chustę połamaną laskę Wityszy i schowała w komorze pod siennikiem. W drzwiach wpadła na Kowalika.

– Powiesz, co zaszło?

– Za dużo by tłumaczyć, a czasu mało – odparła. – Muszę iść do Raptusa.

– Dobrze. – Ustąpił jej z drogi i sięgnął po cuchę. – Idę z tobą.

## ROZDZIAŁ 18

O zmierzchu z obsadzonego rzadko chałupami zbocza Antałówki rozciągał się czarowny widok. Chmurom zbrakło wreszcie śniegu i wzniosły się, pozwalając czerwonym promieniom słońca muskać pokryte bielą szczyty Tatr. Olka z Bylinów wyszła przed chałupę, odgarnęła ze śniegu ławę i wpatrzyła się w góry. Spracowanymi dłońmi przetarła oczy i poprawiła krótki, cienki warkocz.

– Chodź, popatrzysz, jak pięknie.

Harcyk wyszedł z szopy, gdzie ostrzył narzędzia. Wzdrygnął się od szczypiącego mrozu, który momentalnie wkradł mu się pod koszulę. Dziewczyna siedziała rozmarzona, obojętna na chłód. Choć i jemu otwarte niebo nad Antałówką dało wytchnienie po dusznej atmosferze mrocznego Dymnego Wąwozu, daleki był od tracenia czasu i spędzania wieczorów ze wzrokiem wbitym w linię gór. Czasem zastanawiał się, jak Olka radzi sobie z życiem, gdy go nie ma. Wiecznie z głową w chmurach, zapominała czasem o całym świecie, by zachwycać się kolorami nieba albo rytmem kropel deszczu. Przemieszkował u niej zimy, a i to nie zawsze. Czasem zaglądał, gdy sprzykrzyły mu się górskie bieganiny, także i o innych porach roku, ale to rzadko. Dziewczyna zaś, nie nazbyt może urodziwa, ale młoda i pełna życia, z pokorą przyjmowała swój poszarpany los zbójniczej dziewczki – jak mawiali górale – „frajerki”. Chałupę miała malutką, ale dzięki podarkom, które znosił jej Harcyk, dostatnio urządzoną. W przeciwieństwie do większości swych kompanów nie lubił karczemnych szaleństw i trwonienia pieniędzy na byle co. Oszczędzał. Na co? Na nic chyba. Inwestować w gospodarstwo mu się nie widziało. Cieszyło go, gdy Olka pokazywała się w Olczy albo Kościelisku w nowej chuście czy sukience. Wiedział też, że nie żałowała dobrego jadła i błyskotek na ofiary dla dwójki bożąt, które mieszkały w chałupie, a przyszły za nią – jak tłumaczyła – „z poprzedniego życia”. Nieustannie kręciły się po obejściu i drażniły nieliczny inwentarz. Gospodyni pozwalała im na wszystko.

– Chodź do środka, zmarzniesz.

– Pięknie, co?

– Słyszałaś, com powiedział? – warknął.

– A tyś słyszał? – Brązowe oczy błysnęły butnie.

Harcyk postąpił gwałtownie naprzód. Olka zerwała się z ławy i zniknęła szybko w drzwiach izby. Podążył za nią. Stała przy szybie, wpatrzona w góry. Przygryzła wargi i mrugała, zaciekle walcząc ze łzami.

– No pięknie, pięknie – mruknął pojednawczo.

Spojrzała na niego ze znużeniem. Tej zimy nie układało się im. Olka ciągle wyrzekała, że nie jest taki jak kiedyś, a i on był pewien, że poprzednimi laty nie trzeba było tak często wbijać jej rozumu do głowy.

– Pięknie to bywało, jak ci się chciało zatrzymać i spojrzeć, a nie jeno warczeć. Nie wiem, czym dobrze zrobiła, dając ci jeść przy Wigilii. Psów się przecież na przyjście Paniezusa nie karmi.

– No już. – Podszedł i objął ją w pasie. – Co z tego, że nie chce mi się na góry patrzeć, jak na ciebie zawsze chętnie popatrzę. – Pocałował ją w szyję, choć próbowała się wywinąć. – A Wigilią się nie martw. Psów się nie karmi, ale wilki woła do stołu.

Parsknęła śmiechem, a on pociągnął ją w stronę łóżka.

– Nie, nie, nie. Jeszcze do krosen usiąść muszę – protestowała, ale nie opierała się zbyt, przedzielając słowa śmiechem.

Zwalili się na siennik. Harcyk szybko uporał się z koszulą dziewczyny, odsłaniając krągłe piersi.

– I ty mi tu o górach – rzucił i przywarł do nich ustami.

Jęknęły drzwi izby, coś zachrobotło w progu. Olka uniosła głowę.

– Bożęta...

– Ostaw. Wiedzą, żeby nie włązić – mruknął Harcyk, przesuwając ustami po szyi dziewczyny.

– Nie, czekaj. – Odepchnęła go delikatnie. – Coś się stało.

Anielka i Paweł – jak mówiła na bożęta gospodyni – stali milczkiem w progu. Dziewczynka skubała skraj poszarpanej koszuliny, chłopiec zaś skrobał przerośniętym paznokciem o futrynę, domagając się uwagi. Spojrzenia wielkich, wybałuszonych jak u wisielców oczu wbiły w Harcyka. Gdy wstał, poczęły gestykulować jedno przez drugie, popiskiwać i charczeć. Anielka wypluła z ust garść pierza, ale to nie pomogło jej mówić wyraźniej.

– Czego chcecie? Olka, o czym one?

Dziewczyna skończyła poprawiać koszulę. Wpatrzyła się z napięciem w małe istotki.

– Ktoś idzie. Boją się. Ktoś z bronią pewnikiem.

– Dużo ich idzie?

Bożęta poczęły pokazywać sobie coś na palcach, wyraźnie zdezorientowane.

– Nie umieją liczyć. Za małe.

– Duchy jakież z nimi? Demony? Dziewka taka, co śmiercią dotknięta?

Pokryte liszajami i rzadkimi włosami główki skłoniły się w potwierdzeniu.

– Do czorta.

– Harcyk!

– Niemira. Ludzie z Cierpkówki idą...

– Przecie to swojacy.

Zbójnik tylko pokręcił głową. Rzucił się po broń, ciupagę, cuchę. Nawykły do szybkiego uchodzenia z kryjówek i wymykania się zasadzkom w kilka chwil był gotów do działania. Dopadł jeszcze do skrzyni, w której Olka trzymała co cenniejsze rzeczy. Otworzył małą skrytkę w wieku, wyjął i odwinął z płótna ostrze z obrośniętej kwarcem kości.

– Co to?

– Nieważne. Muszę wiać. Wrócę, jak się zrobi spokojnie. Nic im nie mów. Nic.

Skoczył ku drzwiom i tam znieruchomiał. Wchodzili właśnie na podwórze. Niemira, Kowalik i najstarszy syn starego Poręby – rosły drwał, zawsze skory do bijatyki, ale otaczany szacunkiem. To dziwne towarzystwo powiedziało mu wszystko. Była Niemira, więc zapewne i Jan w sprawę się włączył. Obecność Dawida z Porębów wskazywała zaś na zaangażowanie co ważniejszych gazdów. Czyli ta trójka była tylko forpoczta. Harcyk cofnął się do sieni, szybko począł kalkulować szanse. Przed paroma laty poszerzył okno w białej izbie i osadził szybę w wyjmowanej ramie, by mieć drugą drogę ucieczki. Hajduk jednak o niej wiedział. Skoro nie było go u drzwi – musiał tam czekać. Zbójnik zacisnął mocniej ostrze Kościeja w dłoni. Nie był gotów zmierzyć się z Janem, który z każdym miesiącem potworniał w jego wspomnieniach. Pozostawała jedna droga. Wyszedł przed chałupę.

– Czego tu szukacie? – spytał, przelotnie tylko zerkając na Porębę, z którym wypadało mu gadać.

W istocie śledził każdy ruch Niemiry. To ona zresztą odpowiedziała.

– Wyjaśnień. O tobie, Dalegorze, morderstwie Lelei i Żywym Wierchu. Znaleźliśmy Spalenika.



Przez krótki moment Harcyk poczuł ulgę. Ale zaraz ta myśl utonęła w ryku strachu i wściekłości zalewającym umysł.

Zbójnik skoczył naprzód. Dziewczyna bez zawahania wystąpiła mu naprzeciw. Ucapiała go za koszulę, drugą ręką próbując chwycić uzbrojone ramię. Nie zdążyła. Wywinął się z lisią gracją i ciał na oślep. Kościane ostrze rozdarło jej ubranie na ramieniu i wgryzło się w skórę, zostawiając długą, płytką ranę. Niemira poczuła, jakby ktoś oblał ją ukropem, a gardło zasypał żarem z paleniska. Siła opuściła ją w jednej chwili, z ust i nosa buchnęła ciemna krew. Harcyk sam nie wierzył w to, co się działo. Mimo zapewnień Dalegora nie spodziewał się, że broń będzie tak przerażająco skuteczna. Kiedy dziewczyna padła mu do stóp, skowycząc nieludzko, na chwilę wrósł w ziemię. Oszołomiony Poręba począł się cofać. Drżącą ręką sięgnął po pistolet, drugą żegnając się zamasyście. Tylko Kowalik nie zwlekał. Wpadł między Niemirę a Harcyka, wycelował pistolet w pierś mężczyzny i zamarł... W jego jasnych oczach błysnęła wątpliwość. Nie potrafił ot tak strzelić do człowieka stojącego z nim twarzą w twarz.

Zbójnik nie miał takich wątpliwości. Ciał kościanym nożem rękę chłopaka, równocześnie wyrywając zza pasa nabity pistolet. Huknęło. Kowalik wrzasnął i upadł w śnieg. Poręba na dźwięk wystrzału się otrząsnął. Również pociągnął za spust, ale chybił. Zza chałupy nadbiegał już Jan z dwoma Gajdami. Szczęknął jakiś niewypał, potem kolejna kula minęła Harcyka o włos. Wiedział, że lada chwila wyczerpie się jego diabelskie szczęście. Szarpnął Niemirę za włosy i z trudem podźwignął na tyle, by się nią częściowo zasłonić.

– Wara! Bo zarżnę! – wrzasnął, przysuwając ostrze do jej szyi. – Opuśćcie pistolety! Opuśćcie!

Cofnął się o krok.

– Zarżnę, przysięgam. A ty wiesz, co to ostrze potrafi – zasyczał do Hajduka.

Gajdowie nie rwali się do strzelania, to samo Poręba. Chociaż każdy z nich nawykł do broni, rzeź, która się rozegrała miast przesłuchania, wstrząsnęła nimi. Jan zastygł w bezruchu, z nienawiścią wypisaną na twarzy. Nie opuścił pistoletu. Przez moment Harcyk był przekonany, że szantaż na nic. Że zbójnik jest gotów poświęcić Niemirę dla zemsty.

I Jan też przez chwilę był tego pewien. Potem uchwycił rozpaczliwe spojrzenie dziewczyny i poczuł, że coś w nim mięknie. Jej błada zwykle

twarz stała się teraz mozaiką szarości i czerwonych wypieków. Sukienka upstrzona była plamami krwi płynącej z ust i nosa, a ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała, zakończone dziwacznie powyginanymi palcami.

– Dajcie mi odejść. Inaczej dobiję, nim mnie dopadniecie – groził Harcyk.

– Dawajcie tu Olkę! – warknął Poręba, który z coraz większym przerażeniem obserwował rosnącą plamę krwi wokół Kowalika.

Gajdowie skoczyli ku drzwiom, ale Hajduk wstrzymał ich gestem.

– Ostawcie. Harcyk nie z takich, co swoją frajerkę bardziej od własnej skóry będzie cenił. Szkoda dziewczki. – Splunął. – Puszczaj ją i idź do diabła. Jeszcze zapłacisz.

– Czekajcie tu. Niech tylko ktoś spróbuje drgnąć. Zarżnę. Dajcie mi iść. Zostawię ją przy drodze.

Jan skinął głową. Słowa nie mógł wydusić, rozsierdzony i napięty do granic. Harcyk począł wlec dziewczynę, wciąż trzymając nóż na jej gardle. Dopiero w dystansie, w pobliżu rosnących przy drodze drzew, poczuł się bezpieczniej. Rzucił zakładniczkę, skoczył za świerki i pognął pędem w dół Antałówki.

Poręba z Gajdami rzucili się ku Kowalikowi, klnąc na poły jego głupotę, na poły podłość Harcyka. Kula przeszła na wylot w okolicy obojczyka. Chłopak z bólu stracił przytomność, ale oddychał równo, spokojnie.

– Krwawi jak przekłuty wieprz. Hajduk, trza go opatrzyć.

Zbójnik klęczał przy Niemirze. Kiedy podnosił ją z ziemi, wydała się lekka jak dziecko. Powykręcanyimi palcami wczepiła mu się w cuchę, a czoło przycisnęła do piersi. Z podłużnej rany na ramieniu krew sączyła się powoli, dużymi, lepкими kroplami. Niechętnie wsiąkała w odzież. Jan zobaczył pod powiekami poderżnięte gardło Lelei i cierpienie w jej oczach. Przycisnął mocno dziewczynę do piersi.

– To draśnięcie, Niemira. Musisz wytrzymać – wyszeptał jej nad uchem.

– Dam radę... – wydukała. – Tylko... boli. Strasznie.

– Hajduk, szybciej! Trzeba Klimka stąd wziąć.

– Bierzcie. Ja jeszcze z tą frajerką pogadam. Niemirą się zajmę.

Olka, gdy już uwierzyła, że Hajduk nie zamierza jej ani zabić, ani zgwałcić, ani nawet zrabować tego, co zbójnik jej znosił, chętnie zaczęła mówić. Niewiele jednak z jej żalów szło wywnioskować. Że Harcyk się zmienił? To Jan wiedział równie dobrze, jak ona. Sprawdził skrytkę w

skrzyni, którą mu wskazała, ale niczego w niej nie znalazł. Pokręcił się jeszcze trochę po domu, bardziej rozmyślając, niż przepatrując kąty.

Niemira w międzyczasie leżała na sienniku, doglądana przez wystraszone bożęta. Siła powoli wracała w jej ciało i tylko ręka jeszcze paliła bólem. Rana miała osmalone brzegi, jakby ktoś wyciął ją rozżarzonym żelazem. Dziewczyna dała ją sobie przemyć wodą i ciasno obwiązać. Wypiła odrobinę żyntyicy i zapadła w odrętwienie. W miarę jak ból ustępował, przed oczy wracały obrazy konfrontacji. Huk wystrzału i wykrzywiona bólem twarz Kowalika. Jego bezwładne ciało w śniegu. Wzdrygnęła się.

– Przeżył? – spytała, wpadając w zdanie Olce.

Jan rozłożył ręce na znak niewiedzy.

– Pojedziemy do Szelesta w drodze do Cierpkówki.

– Jadżka będzie wołała doktora z Zakopanego do niego wołać.

Niemira wzruszyła ramionami. Gdy chodziło o przyjaciół, mało ją obchodziło zdanie Kowalowej.

Góry postanowiły poukładać jednak sprawy po swojemu. Śnieżyce, które nadeszły po zmierzchu, zamknęły ludzi w domach i odcięły wsie od siebie. Niemira z Janem zdołali dogonić wóz, na którym ciągnięto Kowalika. Od Kościeliska nie było mowy, by przejechał, i górale nieśli chłopaka na zmiany. Ledwie zdołali przedrzeć się do Dymnego Wąwozu. W szalejącym żywiole o wyprawach w las czy słaniu po doktora nie było mowy.

Następne dni Jan i Niemira spędzili, rzucając się po obejściach jak dzikie zwierzęta zamknięte w klatkach. Dziewczyna wyczekiwała choćby kilku godzin lepszej pogody, by pognać do leszego. Mimo modlitw, zaklęć, ziół, leków i niedźwiedziego sadła Klimek gorączkował. Jego rana rozjątrzyła się i ropiała. Hajduk czuł, że każdy dzień oddala go od zemsty. Ogień, który rozpały w nim opowieści Spalenika i starcie z Harcykiem, gasł, tłamszony zwykłym rozsądkiem. Zima nie była porą na łowy. Ani na doświadczonego zbójnika, ani tym bardziej na czarownika czy jego demony. Zimę trzeba było przetrwać, nawet jeśli zmieniała serce na powrót w szary, zimny popiół.

„Przetrwać z jak najmniejszymi stratami” – powtarzał sobie Jan, szukając choćby iskry motywacji. Kiedy więc wreszcie, tydzień później, świt powitał ich słońcem i bezchmurnym niebem, miast szukać śladów w Klemensówce czy na Antałówce, obudził Niemirę w jej komorze.

– Zbieraj się. Bez ciebie nie przekonam Szelesta, że Klimkowi warto pomóc. Pamięta go z Jaworzynowego Wału. Na pewno.

I Niemirze niełatwo było wyprosić pomoc. Szelest pierw odmówił, potem, usłyszawszy, w jakich okolicznościach chłopak został raniony, wzbraniał się wprawdzie słabiej, ale długo. Hajduk wycofał się z dyskusji. Obserwując leszego, próbował bezskutecznie zrozumieć źródła jego uporu. Wpierw zdawał mu się zwyczajnie urażony prośbą czy wręcz zazdrosny o troskę Niemiry wobec Kowalika. Potem jednak w jego głosie zaczęły przeplatać się nici strachu i wyrzutów sumienia. Aż do nagłego zwrotu.

– Dobrze, już dobrze! – wybuchnął nagle i w jednej chwili wszelkie emocje odpłynęły z jego twarzy. Jakby ta decyzja przyniosła mu ulgę. – Ten jeden raz, Niemira. Nie mogę ratować ludzi, którzy niszczą oddany mi w opiekę las! Jeden raz, bo prosisz. Ale nie nadużywaj tego.

Dziewczyna uściśnęła mu dłonie w podzięcie. Ich spojrzenia się spotkały i najwyraźniej powiedzieli nimi sobie dość, bo leszy podjął po prostu:

– Opowiedz raz jeszcze, co mu dokładnie jest.

Siedząc godzinami przy Kowaliku i powtarzając rytuały powierzone jej przez Szelesta, Niemira często wracała do tej prostej wymiany spojrzeń. Powiedzieli sobie nimi wiele. I nie było w tym nic o walce na Antałówce, leczeniu Kowalika, czy jej własnej ranie, która wciąż szarpała bólem. Było po prostu dużo więcej zrozumienia, niż umieli powiedzieć.

## ROZDZIAŁ 19

Szelest zatrzymał się przy rozłożystym świerku o poszarzałych, ogołoconych z igieł gałęziach. Przyłożył dłonie do pnia, oparł o niego czoło. Zima zrobiła swoje i odarte przy ziemi z kory drzewo uschło. Drugie, rosnące obok, wciąż walczyło. Osłabione, z przeredzonymi gałęziami, zieleniło się jeszcze na wierzchołku, kiedy jednak dotknął jego kory, poczuł cierpienie. Dużo je kosztowała ta bezwarunkowa walka o życie, którą natura narzucała każdemu swemu dziecku. Kilka kroków dalej wilcze zebra wystawały spod cofającego się śniegu. Z rozwleczonego przez dzikie zwierzęta ciała łani zostały tylko tu i ówdzie kości. Szelest całym sobą czuł krew, która wsiąkała w ziemię tamtego jesiennego dnia.

– Lato da ci trochę wytchnienia – szepnął do poranionego świerka. – Zima dokończy dzieła. Już niedługo, przyjacielu.

Obrócił się i miał odejść, kiedy runo wokół niego wybuchło wiosenną zielenią, gałęzie krzewów splątały się i zwały, a drzewa nachyliły korony w niemej groźbie. Zrobiło się ciemno, jak w najgłębszym borze, wiatr ustał, ale liście nie przestały między sobą szeptać. Szelest skłonił głęboko głowę. Szedł dziad borowy.

– Przepraszasz teraz drzewa za to, że naruszono ich spokój w świętej ostoi. Gdzie będziesz, kiedy znów przyjdą tu ludzie? – Na świerkowej gałęzi wylądował kruk.

Leszy odruchowo przeczesał palcami lśniące, czarne pióra porastające mu głowę i kark. Milczał, nauczony doświadczeniem. Połajanka bynajmniej nie miała się ku końcowi.

– Gnasz za ludźmi, prawie już nie bywasz wśród nas. Więcej na turniach czy nagich upłazach można cię zobaczyć niż w lasach. Ludziom zdradzasz sekrety, do których sam dochodziłeś wiekami. Czy pamiętasz jeszcze, kim jesteś?

Zapadła dłuższa cisza. Szelest uniósł powoli głowę.

– Wiżu, pokaż twarz. Z tobą wolę mówić niż z twoim posłańcem.

Drzewa zadrżały jakby z oburzenia czy strachu. Krzewy rozstały się przed poskręcaną niczym kosodrzewina, a przy tym rosła postać. Jej skórę

porastały sęki i drewniane guzy, a głowa tonęła w plątaninie gałęzi wypuszczających pierwsze, wiosenne listki. Pod krzaczastymi brwiami igieł ziały trzy pary oczu – w jednych połyskiwał gniewny szal niedźwiedzia, w drugich powaga sowy, w trzecich zaś czujność jelenia.

– Odważnie – rzekł ciężko Wiż.

Nawet inni borowi lękali się mówić z nim twarzą w twarz, a Szelest do nich przecież nie należał.

– Nie dajesz mi wyboru. To ciężkie zarzuty.

– Mówię w imieniu wszystkich. Niepokoisz nas, Szeleście. Ukochałeś ludzi i gnasz za nimi, zaniedbując swoje obowiązki. A reguły są niezmiennie i bezwzględne.

– Czy na pewno?

Wiż przekręcił nieforemną głowę w zdumieniu. Zamknął niedźwiedzie oczy, w których gotowała się furia.

– Czy jesteście pewni, że jest niezmiennie? – powtórzył Szelest.

– O czym mówisz?

– O Żywym Wierchu.

– Kościej to inna władza, ale wciąż starym prawom poddana. Moru się lękasz?

Szelest westchnął ciężko. Kolejne oskarżenie. Mór przecież był częścią natury nie mniej niż wiosenne słońce.

– Idziesz wciąż i wciąż za Wityszą. O ludzi się lękasz – drażył Wiż.

– Tak, Kościej będzie im okrutniejszym panem niż Matoha. To prawda, że odkąd Witysza wróciła w Tatry, śledzę jej kroki...

– Pamiętaj, że z niej dwukrotnie los zadrwił, gdy zapominała o swoich obowiązkach, poświęcając je na rzecz ludzi. Powinieneś wyciągnąć z tego i dla siebie naukę.

– Pozwól mi skończyć! – warknął Szelest i tym razem to jego złość odbiła się echem wśród drzew. – Śledzę jej kroki i słucham turni. Żywogórzec coraz głębiej zasypia, a Kościej ani myśli przypominać jego tętna ludziom. Ty wiesz, do czego nas to przybliża.

– Władza strażnika Żywego Wierchu nie sięga nad Wołoszyn.

– Jego nie. A czarownik?

– To człowiek!

– Właśnie. Człowiek, który obudził Kościeja, pomordował nasze siostry ze strumieni i pomógł unicestwić Matohę. Jeden człowiek!

– Boisz się go, Szeleście?

– My przetrwamy, to prawda. Ale, w istocie, Wiżu, w Tatrach Kocham nie tylko lasy. Ludzi, których tu mamy, nie ma już nigdzie indziej. Ludzi, którzy tu są, też dali nam starzy bogowie. Możesz gardzić moim przywiązaniem do Hajduka i Niemiry. Moją słabością wobec ich prośb, gdy chcą ratować chorych. Lecz ci, którzy przyjdą, jeśli pozwolimy unicestwić górali, nie będą częścią naszego świata. Zwalą lasy, a jeśli Żywogórzec usnie, Tatry nie staną po naszej stronie. Dokąd wtedy pójdziemy? Zaszycemy się w ostojach, które łaskawie nam darują?

Wiż pochylił grzbiet. Ręce jego rozrosły się i wniknęły w ziemię, dając potężnej sylwetce podporę. Kruk sfrunął z gałęzi i począł wyszarpywać spod śniegu wilcze mięso. Szelest nie spuszczał wzroku z borowego. Lękał się jego osądu jak nigdy, ale i rozmawiał z nim pewnie jak nigdy.

– Pozwólcie mi podążać własną ścieżką, tylko o to proszę – podjął ostrożnie.

– Milcz! Radzę się! – huknął Wiż.

Korzeniami drzew i krzewów płynęły do niego obawy i przecucia Jaworzynowego Wału. Szelest znieruchomiał. To było jak sąd. Jeśli ostoja miała go za złego pana, żadne dobre chęci nie mogły go uchronić. Spojrzał kątem oka na niedoszłe pastwisko zaznaczone oskarżycielsko uschniętym drzewem i śladami cierchlenia.

– Las razem z tobą słucha turni i razem z tobą się obawia – odezwał się wreszcie borowy.

– Nie zaszczyliłem mu tego strachu. Żyjemy blisko Żywego Wierchu, czujemy zmiany. Chcę chronić to wszystko, co tu mamy, najlepiej, jak umiem. Znalazłem sojuszników wśród ludzi.

– I wrogów!

Uschnięte drzewo zważyło się z hukiem niczym echo głosu Wiża.

– I zachłannych głupców, którzy nie poszanowali naszych praw. Oni tu nie wrócą, przysięgam ci.

– Oby. Jeśli znów dopuścisz, by ktoś tknął ostoję i uszedł bez konsekwencji, nie będziesz godny nosić imienia strażnika. Pozwalam ci jednak kontynuować swoją drogę. W twoim lesie budzi ona spokój. Idź za morem, jeśli pragniesz. Słuchaj Żywego Wierchu, jeśli potrzebujesz jego muzyki. Chroni jednak regle przed ludźmi, jeśli trzeba. Nie ludzi przed prawami.

– Dziękuję ci za wyrozumiałość. – Leszy skłonił się nisko.

Stary borowy ruszył z powrotem równym, harmonijnym krokiem. Świerki rozstępowały się przed nim, krzewy pokładały mu się do stóp. Śnieg nieśmiało zasypywał odcisnięte w runie ślady borowego. Szelest opadł na kłodę, oparł czoło na pięści. Kilka kruczych piór zatańczyło wokół niego w powietrzu i opadło na ziemię. Podniósł jedno z nich, skupił na nim wzrok i wszystkie myśli. Obawy powoli odpłynęły, pozostała tylko determinacja. Dźwignął się, ostatni raz pogładził chore drzewo i podążył w górę Jaworzynowego Wału.

Harcyk, jak niemal codziennie, odkąd pierwsze powiewy przedwiośnia zaczęły się mocować ze śniegami, zaszedł wraz z południowym słońcem do Klemensówki. Za każdym razem, przemierzając drogę w jej pobliżu, czuł wzrastający niepokój. Rutyna sprzyjała zasadzkom. Od drzwi obrzucił czujnym spojrzeniem wszystkie kąty i nagle odetchnął z ulgą. Był tam. Siedział plecami do środka sali, zgarbiony nad stołem. Pisał coś zaciekle. W świetle padającym z okna dało się spostrzec błysk sygnetów na jego palcach. Harcyk podszedł i bez pytania dosiadł się do czarownika.

– Witajcie, Dalegorze.

Mężczyzna łypnął na niego z pewnym znudzeniem. Schował gruby brulion oznaczony drobnym pismem.

– Harcyk. Rad jestem was widzieć – mruknął.

Zbójnikowi zdał się rozleniwionym, sytym drapieżnikiem. W jego spojrzeniu nie brakło wprawdzie dawnej przenikliwości, ale głos zdradzał niechęć.

– Ja was też. Wypatruję was już jakiś czas.

– W Krakowie byłem. Tu znieść zimę... – Dalegor pokręcił głową.

– A może trzeba było.

– Nie trzeba. I tak czekanie nam pozostało, by Kościej umocnił władzę.

Harcyk rozejrzał się niespokojnie. W każdej chwili spodziewał się Hajduka lub jego kompanów.

– Umocnił, ale zaraz może ją stracić. Albo my głowę. Obiecałeś mi bezpieczeństwo!

– Obiecałem, że ten człowiek...

– Ten człowiek na przełomie roku prawie mnie dopadł. A teraz tylko zima go trzymała w ryzach – wycedził Harcyk. – I przyjdzie się mścić, na pewno. Na tobie, na mnie. Spalenik się odnalazł.



W spojrzeniu Dalegora odbiła się mieszanina zdumienia i podziwu.

– Żyw?

– Kto?

– Ów człowiek.

– Żyw jak diabli.

– Jednak. – Palce czarnoksiężnika wykreślać poczęły jakieś niewidoczne znaki na lepkich deskach stołu. – Pewnym był, że przepadł w tamtej burzy.

– Obiecałeś...

– Och, dotrzymam słowa. – Dłonie Dalegora zatrzymały się w swym tańcu. – Jest niebezpieczny. Bardziej, niż myślałem. Pozwólcie, zbójniku, porozmawiajmy na osobności.

Jan – zgodnie z podejrzeniami Harcyka – opuścił Cierpkówkę, gdy tylko zelzały mrozy. Słowa Spalenika, wciąż balansującego na skraju szaleństwa, zawiodły go wpierw w rejon Wołoszyna. Masyw krył się jednak pod potężną, białą czapą, a jego żleby straszyły lawinami. Zdobywanie go w tych warunkach nie miało sensu. Hajduk się wycofał. Wędrował za tropami na Antałówkę, Olczę czy do Kościeliska, choć, kto go widział, nie zgadłby, że szuka jakiegokolwiek człowieka. Przyciągały go strumienie. Woda igrająca w słońcu przednówka i porywająca uczezione kamieni płyty lodu hipnotyzowała. Potrafił przepędzić kilka godzin, zapatrzony w rozbijający się o kamienie nurt. Sam potem nie wiedział, co tkwiło mu w myślach. Jedyne w brzuchu i piersiach, gdzieś głęboko, budziła się fizyczna tęsknota. Zwykle przedwiośnie było dla niego czasem niespokojnego wyczekiwania. Teraz w pewien sposób również, choć każdy piękniejszy dzień miał w sobie coś z uroczystej żałoby. Z oczekiwania na ostateczną pustkę. I w tym oczekiwaniu Jan gubił swoją determinację. Przypominał sobie o zemście zwykle w chwilach, gdy nie mógł za nią gonić. Tak było łatwiej.

Niemirze przednówek nie pozostawiał wiele czasu na myślenie. Klepiąc kosy, sierpy i lemiesz, wykuwając gwoździe i ostrza noży, kradła krótkie chwile dla łaski Wityszy. Późnymi wieczorami lub przed świtaniem, ryła grawerunki, nieustannie niezadowolona z efektów. Albo to żelazu, które długo przygotowywała, czegoś brakowało, albo jej runom. Co gorsza, obie odpowiedzi mogły być prawdziwe. Bała się już liczyć, ile dobrego materiału wytraciła na nieudane próby, ile razy zaczynała od nowa. Łupy Jana topniały szybko, przekazywane w rekompensacie Kowalowi. Niemira oddała nawet szpilkę od krawata Malawskiego, która przypadła jej jako prezent. Nad

ostatnią różgą pracowała, odkąd Kowalik zaczął wracać do codziennych obowiązków. Z początku miała nadzieję skończyć przed wiosną. Teraz jednak znów ją traciła.

Siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, próbując poukładać myśli. Runy mieszały jej się w głowie z zamówieniami na narzędzia i upomnieniami Staszka. Nie była już tą samą, niezawodną pracownicą jak zeszłego roku. Myliła się, robiła błędy, zapominała. Dzień wcześniej gazda z Gajdów przyszedł do kuźni i cisnął wykute przez Niemirę gwoździe Kowalowi pod nogi. Musiała przyznać – sfuszerowała. W tamtej chwili była pewna, że zostanie wyrzucona i kolejną wiosnę zacznie od szukania dachu nad głową. Jadźka z Kowalikiem jednak ugłaskali gospodarza i skończyło się tylko na długiej, upokarzającej połajance. Od tego dnia miało być lepiej. Bez błędnie i z zaangażowaniem...

– Potrzebujesz pomocy? – Klimek oparł jej rękę na ramieniu.

Potrząsnęła głową, prostując się. Spojrzała na chłopaka.

– Nie powinienes już obwiązywać ręki. Nowa wiosna wyciąga ze starych ziół resztki życia.

– Mniej boli.

– Nie szkodzi.

Ramię, choć zabliznione, wciąż szwankowało. Pogruchotany obojczyk zrósł się krzywo, ręka bolała, a w palcach brakło chwilami czucia. Mimo tego Kowalik cieszył się, że tylko tak się wykipił. Wierzył, że z czasem chora ręka, z bólem czy bez, nawyknie znów do pracy.

– Powinnaś wziąć się za tę kosę. Jutro idziecie podkuwać Raptusowi konie, to wam się zejdzie.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, ale i pewną dezorientacją. Wzrok uciekał jej ku złożonej z boku lasce Wityszy.

– Możesz też siadać do tego – dodał. – Umiem wyklepać kosę.

– Kowalik... – westchnęła ciężko.

Nie lubiła wykorzystywać jego oddania, nawet jeśli przez czas rekonwalescencji ustaliła się między nimi pewna równowaga. Klimek, leczony tajemnymi metodami przyniesionymi z lasu, zrozumiał, że stracił prawo do wyrzekania na odmienność Niemiry. Szukał jeszcze swojego szańca w zrozumieniu. Pytał o Szelesta i inne duchy. I choć dziewczyna nie chciała zdradzać wiele, to to, jak mówiła, zdradzało dość.

– Daj. Ojca nie ma w obejściu. Nie spostrzeże się.

– Ostatni raz. Przebrnę te znaki i...

Dostrzegła pobłażliwe spojrzenie jasnych oczu chłopaka.

– Ja to naprawdę kiedyś skończę – dodała cicho.

– Wiem – odparł zdecydowanie i począł oglądać ostrze kosy.

Morowe powietrze przychodzi znikąd i w niewiadomą stronę odchodzi. Nawet Szelestowi trudno było śledzić włóczęgę Wityszy. Dalegorowi trzeba było pięciu nocy, by rozszyfrować ścieżki demona. Zadziwiał go jej upór. Nie schodziła niżej niż w kosówki, choć budzące się w lasach i na polach życie musiało ją nęcić. W najpiękniejsze dni, gdy ludzie gremialnie opuszczali swoje obejścia, wracała w pieczary Żywego Wierchu.

Dalegor obrał więc sobie dzień ponury, gdy śniegi wróciły nad wierchy i doliny. Ponownie zdał się na Harcyka.

– O świcie musimy być na Giewoncie – zażądał.

Zbójnik nie oponował. Nawykł do dziwnych rozkazów czarownika, a wejście na strzegącą podtatrzańskich wsi górę, nawet w śnieżycy, nie stanowiło dla niego wyzwania. Zresztą Dalegor, choć przez zimę wyraźnie przytył, nabrał też siły i sprężystości. Szli więc w mroku, szybko mijając puste jeszcze hale. Śnieg padał ciężki, mokry, kleił się do ubrań i włosów, ale w miarę jak wspinali się wyżej, ustawał.

Byli pod kopułą szczytową, gdy rozjaśniło się zupełnie. Dalegor roztarł ramiona. Swędziała go skóra i paliło w trzewiach. Wyczuwał, że na szczycie tkwi coś, co samą swą obecnością kpi z Podhalańskiego Gazdy, którego, jak chodziły plotki, górale zamierzali uhonorować, stawiając krzyż na tej właśnie górze.

– Harcyk – Dalegor chwycił człowieka za ramię. – Dalej pójde przodem. Wy zatrzymacie się przy tamtej skale i wyżej nie zrobicie ani kroku.

Ledwo jednak ruszył, usłyszał za sobą głos.

– Ktoś idzie. Od Małolączniaka ktoś... – zbójnik zawahał się – idzie...

Ktoś? Postać trawersowała strome zbocze, nie bacząc na grubą warstwę świeżego śniegu, która nie zdołała jeszcze związać się z podłożem i gotowa była w każdej chwili ruszyć lawiną. Harcyk zmrużył oczy. Miał wrażenie, że perspektywa płata mu figle. Obcy zdawał się być nadspodziewanie wysoki i postawny, a przy tym lekki i gibki. W jego marszu nie było znać śladu wysiłku, jakby śnieg sam się przed nim rozstępował.

– Albo coś... – wymamrotał.

Dalegor, napięty jak struna, pokiwał głową.

– Coś. Leszy. Aż tak daleko od lasu. Ciekawe...

– Leszy? – Postać momentalnie nabrała w oczach Harcyka znajomych kształtów.

Widział go może kilka razy – zwykle z daleka, w gęstwinie lub mroku – ale dość się o nim nasłuchiwał od pijanego kompana.

– Szelest pewnie. Przyjaciół Hajduka.

Dalegor zgrzytnął zębami. Wyrównał oddech.

– Zdążę – syknął przez zęby. – Gdyby był blisko, nie wahajcie się, zbójniku.

– Ostrze Kościeja?

– Poświęcone kule wpierw. On może nie pozwolić ci zadać ciosu – odparł Dalegor.

W myślach szacował, czy zdoła ugłaskać Kościeja, gdy obróci przeciw sobie las. Leszy to nie była już byle rusalka. Za nim stała wielka siła. Nie było jednak czasu na bardziej wyrafinowane plany.

Czarownik ruszył mozolnie w górę.

Witysza stała na skraju skały, twarzą ku Zakopanemu. Chude ręce rozkrzyżowała, a dłonie rozłożyła, jakby chciała schwycić ostatnie płatki śniegu. Pochyliła głowę – ciemne, rzadkie włosy opadły jej na twarz i tańczyły, szarpane wiatrem. Bijący od niej odór śmierci budził instynkt przeżycia i rozpędzał wszelkie myśli, pozostawiając tylko rozpaczliwe pragnienie ucieczki. Dalegor sięgnął do sakiewki i roztarł w dłoniach sól. Zmarznięta, poobcierana skóra zapiekła.

– Będziesz moja, Witysza.

– Nie – odpowiedziała niskim, nieludzkim głosem.

– Demonie...

– Nie!

Obróciła się i skoczyła, wyciągając obleczone gnijącą skórą palce ku gardłu czarownika. Wrzasnął w przestrachu, ale nie drgnął. Poczł muśnięcie na twarzy i bolesny skurcz wstrząsający całym ciałem. Witysza zaskowyczała i upadła w śnieg. Dalegor spojrział na nią z góry. Kradł cenne chwile, by opanować panikę i wyrównać oddech. Bezwiednie sięgnął do talizmanu ze zbitych razem ułomków rogu Kościeja i kopyta Matohy. Z przyjemnością gładził go przez chwilę. Upokorzona morowa dźwigała się powoli na nogi.

Dalegor sypnął nad jej głowę szczyptę soli. Ostatnich kilka kryształków położył na języku.

– Ja, Dalegor, sługa Wołosa, pan Kościeja, wzywam cię do posłuszeństwa.  
Witysza się wyprostowała. W jej ciemnych, smutnych oczach ziała nienawiść.

– Wiążę cię siłą tej ziemi!

Wyrwał zza pasa nóż wyrzeźbiony z kwarcu, w którym trwał Kościej. Wbił go w ziemię u stóp demona i pochylony wyrysował krąg.

– Wiążę cię świętą wodą tej ziemi!

Z menażki popłynęła oczyszczona w sobótkową noc woda.

– Wiążę cię...

Witysza zaskowyczała i rzuciła się do ucieczki. Dopadła skraju skał, rozłożyła ręce jak dramatyczna samobójczyni.

– ... wołą dusz, które z tej ziemi wyszły i które tej ziemi oddałaś w swej służbie!

Na Giewoncie się zaroilo. Wyglądało to, jakby obłoki nagle się obniżyły i poczęły tańczyć wokół szczytu. Migwały w nich dziecięce twarze wykrzywione bólem lub błyskające niewinnymi uśmiechami. Anuśka Spalenikówna wyciągnęła pierwszą rączkę i chwyciła Wityszę za nadgarstek. Kolejne czepiały się jej włosów, sukienki, twarzy.

– Niemira?! Niemira?!

Morowa dziewczica poczęła się miotać, zaglądać duchom głęboko w oczy.

– Niemira? – podchwycił szeptem Dalegor. – Kim jest Niemira?

– Córeczka... Moja córeczka... Ale tu jej nie ma.

Bezwolna Witysza opadła na skały. Duchy obsiadły ją gęsto, szarpały, drapały, wciskały piąstki do ust, a palce w oczy.

– Nie ma... – odparł cicho Dalegor. – Ale zabiorę cię do niej.

„Czyli ta odmienica to coś więcej...” – myślał wstrząśnięty. – „Więcej niż góralska wiedźma”. Fakt, że na poły nieświadomie ją stworzył, napawał go równocześnie dumą i strachem.

Sylwetka leższego znieruchomiała gdzieś w połowie drogi między gładkimi stokami Kondrackiej Kopy a Giewontem. Harcyk opuścił pistolet, zafascynowany. Szelest obrócił się i popędził na przełaj w dół. Uciekał.

## ROZDZIAŁ 20

Widok strażnika lasu wywołał w Wichrzykach i Cierpkówce popłoch. Wieść o niespodziewanej wizycie rozeszła się lotem błyskawicy. W głębi wąwozu Szelest zastał więc zamknięte na głucho chałupy, z krzyżami, gromnicami, a także jodłowymi i jesionowymi gałęziami wystawionymi w oknach. Gdzieś tam nakreślono nawet na drzwiach swarzyce.

Niemira powitała go, stojąc na progu kuźni, obwiązana ciężkim, kowalskim fartuchem. Do ostatniej chwili nie mogła uwierzyć w plotki. Leszy nigdy nie pojawiali się w ludzkich siedzibach. Teraz zaś widziała go nie dość, że w samym środku Cierpkówki, to jeszcze ze strachem w oczach. Momentalnie panika chwyciła ją za gardło.

– Co się stało? Co ci jest?

Przez krótką chwilę, nim odpowiedział, przez jej głowę zdołały przewinąć się dziesiątki czarnych scenariuszy.

– Mnie nic. Ale Dalegor spętał Wityszę. I...

Zobaczył, że dziewczyna ogląda się w głąb kuźni.

– To już nie ma sensu – odpowiedział na jej nieme pytanie.

– Za późno...? – W głosie Niemiry pobrzmiało niedowierzenie.

– Nie wiem, czy na wszystko nie jest za późno. To, co sprawił... – Szelest pokręcił głową. – Nie doceniliśmy go. Tak strasznie nie doceniliśmy. A najgorsze, że Żywogórzec już go nie zatrzyma.

– Nie rozumiem.

– Opowiem ci w drodze. Chodź. Muszę cię do kogoś zabrać. Nie... Muszę się najpierw naradzić. Nieważne. Tak czy tak, nie możesz tu zostać.

Pierwszy raz widziała, by Szelest tak się mieszał. Pierwszy raz mówił tak szybko, gwałtownie. Był w tym wręcz przerażająco ludzki.

– Pójdę z wami – zasugerował nieśmiało Kowalik, ale oczy leszego momentalnie błysnęły taką agresją, że Niemira nawet nie musiała oponować.

Wycofał się ostrożnie w głąb kuźni.

– Powiadomisz Jana – powiedziała, zgarniając kurtę i baranicę, którą przyrzuciona była ława. – Nie wiem, dokąd idę, ale tym się nie martw.

Przekaż wszystko, co usłyszałeś.

Gęstwina, w którą ją zaprowadził, nie przypominała nic, co Niemira dotąd widziała. Korony drzew stykały się tu ze sobą, tworząc baldachim mokrego śniegu i soczystej zieleni wczesnych liści. Pod stopami nie było czuć kamieni ni ziemi. Mchy i gałęzie krzewów splątały się w miękkie, bogaty kobierzec, którego wspaniałości nie zdołała ukryć nawet zima. Rzeźbione czasem kolumny pni starych drzew i labirynt młodnika tworzyły razem konstrukcję z szalonego snu. Gdzieniegdzie przemykały zwierzęta, odzywały się pierwsze ptaki, ale wszystko pogrążone było w niespokojnym oczekiwaniu. Niemira nie umiała sobie nawet wyobrazić wspaniałości tego miejsca w pełnym rozkwicie.

– To schronienie jednego z was? – spytała szeptem.

– Zbliżamy się do ostoji Wiża – odparł poważnie Szelest.

Bliskość borowego zmiotła strach. Tutaj, jak nigdzie, las manifestował swoją potęgę i to dodawało leszemu sił. Wskazał Niemirze nieregularną polanę. Gałęzie splatały się nad nią w równą sieć, z której wiatr osypywał resztki śniegu.

– Czekał tu. Muszę najpierw z nim pomówić.

Troskliwym gestem poprawił jej baranią skórę na ramionach.

– Otul się ciepło. To zajmie sporo czasu. Wiż będzie chciał zasięgnąć rady najstarszych drzew. Nie jest chętny ludziom.

– Więc dlaczego...?

– Jest nam potrzebny. Przekonam go. Nie bój się, tu nic ci nie grozi.

Wchodząc głębiej, Szelest spodziewał się oskarżeń, wyrzutów i gróźb. Wszak pozwolił, by strach zmącił mu umysł. Leszy nigdy nie przekraczali granic ludzkich siedlisk, a on to zrobił. Przynosił teraz zapach człowieka do dziewiczej ostoji, wiodąc za sobą jeszcze kogoś. A jednak stare dęby powitały go nadzwyczaj ciche i wręcz pokorne. Sam Wiż zaś czekał, rozparty na splątanych korzeniach drzew.

– Powiedz mi, co zaszło – zażądał bez powitań.

– Czarownik związał morową dziewczycę swoją wolą.

– Ludzie od wieków próbowali pętać demony.

– Nie fakt, że to zrobił, ale to, jak rzeczy dokonał, zmąciło mój spokój.

– Przeraził cię – poprawił Wiż, śmiejąc się ochryple.

– Przeraził. Sięgnął po dusze drzemiące w krainach Wołosa, które dotknęła wcześniej ręka Wityszy. Obrócił je przeciw niej.

– Podporządkował sobie zmarłe dusze... – uściślił powoli Wiż to, co w ruchu Dalegora było najgroźniejsze.

Jęknęły stare pnie i konary. Drzewa zdjął strach.

– Reguły wyznaczane przez tętno Żywego Wierchu słabną, Wiżu. Jeśli w ogóle jeszcze istnieją. Bez muzyki kopyt Matohy, Żywogórzec zapada się coraz głębiej we śnie. Niedługo jego moc zgaśnie. Nie uchronimy się sami przed Żmijem.

– Myślisz, że ten człowiek może dotrzeć do serca Wołoszyna?

– Nie doceniliśmy go. To, co widziałem... Jego magia to nie wiedza o starych regułach i rytuałach. To tworzenie. Dalegor nie jest kolejnym naiwnym człowiekiem, który związał się z demonem, nie wiedząc, jakie ma to konsekwencje. Natura jego układu z Kościejem jest inna. Więcej. Myślę, że nawet sam Kościej nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie dałby mu władzy nad Wityszą, gdyby nie był już oswojony.

– Ale to kolejny człowiek, który szuka potęgi, by górować nad ludźmi.

– Nie... Właśnie nie – padła cicha odpowiedź.

Borowy zapadł się w obrazach odbitych w ściętych strachem, lodowych taflach oczu Szelesta. Długo trwali obaj nieruchomo, aż nagle drzewa zadrżały, sypiąc wokoło śniegiem i liśćmi. Leszy zachwiał się, ukucnął, palce wpił w ożywcze, miękkie runo. Pochylił nisko głowę. Słońce, które wdarło się przez przerzedzone korony, zaigrało na kruczych piórach pokrywających jego głowę i opadających na plecy. Przez chwilę wyglądały na posiwiałe.

– Widzisz teraz?

Rosochata twarz Wiża wykrzywiła się groteskowo. Przenikliwe, sowie spojrzenie zawisło gdzieś w przestrzeni. Sięgało daleko – poza las, ponad szczyt Żywego Wierchu i dalej nawet, nad obróconego w kamień, upadłego Żmija, którego nazwano Wołoszynem.

– Myśleliśmy, że niszcząc Matohę, spełnił swoje ambicje.

– A to był tylko krok – odparły głosem Szelesta liście.

Wiż dźwignął się z siedziska. Potrząsnął głową, rozstawił szeroko nogi, nachylił się i przycisnął pięści do ziemi. Drzewo się poruszyło. Wyglądało, jakby postanowiło wydzwignąć się z ziemi. Korzenie się uniosły, tworząc ciemną, sięgającą głęboko jamę.

– Podążaj za mną, Szeleście. Musimy zaczerpnąć rady całych regli.

Szelest wrócił po Niemirę o zmroku, gdy chłód zrobił się już dokuczliwy. Krążyła po polanie, rozcierała ręce, podskakiwała i tańczyła, by obudzić w



ciele jeszcze trochę ciepła. Przez chwilę obserwował ją spomiędzy gałęzi. W chaotycznych ruchach próbował znaleźć potwierdzenie swoich nadziei.

– Wybacz, że tyle to trwało – odezwał się na powitanie.

Machnęła ręką. W jej oczach dostrzegł niecierpliwość.

– Zaprowadzę cię teraz do Wiża. Tylko nie mów nic, póki cię nie przedstawię i póki on cię nie powita. Nie chcesz go rozgniewać.

Odpowiedziało mu nieme, ponaglące spojrzenie. Niemira zrównała się z leszym, minęła go nawet o kilka korków i stanęła. Nie drgnął nawet. Miała wrażenie, że się waha. Posłała mu wymuszony uśmiech.

– Przecież będzie dobrze, prawda? Niełatwo, ale dobrze. Inaczej byś mnie tu nie zabrał.

Westchnął ciężko i ruszył. Tak naprawdę nie wiedział, jak będzie.

Pieczara Wiża wrzynała się głęboko w ziemię. Korzenie starych drzew tworzące jej sklepienie spletały się w zadziwiające wzory. W blasku stad świetlików zmieniały się w tajemniczą barierę, dzielącą dwa światy. Siedzący na tronie z żywego drewna i kości borowy zdawał się wrastać w komnatę. Ostrzeżenia Szelesta nie miały sensu. Niemira zaniemówiła. Gospodarz ostoi fascynował ją i przerażał. Choć kształtem przypominał pokrzywionego człowieka, podobieństwa na tym się kończyły. Trzy pary oczu, poruszające się niezależnie od siebie rozpraszały i odrzucały. Dziewczyna schyliła głowę, gdy leszy ją przedstawiał. Miała wrażenie, że czuje dotyk Wiża – przesycił ziemię, na której stała i otaczające ją powietrze. Zapomniała o oddechu, o biciu serca. Chciała stać się niedostrzegalna, nieobecna... Cicha...

Wiż pociągnął głośno nosem. Zabrzmiał przy tym jak stary, zasmarkany dziad, który chodzi po prośbie od drzwi do drzwi.

– Śmierdzisz człowiekiem i śmiercią, Niemirowie – oświadczył poważnym tonem. – Niedobrze, ale spodziewanie. Szczęściem Żywogórzec węchu nie ma. Za to smak... i owszem.

Dziewczyna się wzdrygnęła. Korzenie nad jej głową zaszeleściły chichotem. Zdezorientowana zerknęła na Szelesta i dostrzegła pobłażliwy uśmiech na jego ustach. Wiż sobie z niej kpił, a jej nie pozostawało nic innego, jak na to przystać. Nie drgnęła.

– No dobrze, dobrze. – Borowy zmienił ton. – Czyli to ona.

– To ona.

– Dobrze, Niemirowie. Zatańczysz mi teraz.

Podniosła głowę. Próbowwała odczytać jego intencje, ale jedynie po twarzy przyjaciela poznała, że to nie jest kolejny żart. Postąpiła krok naprzód. Zesztywniała z zimna, oszołomiona wydarzeniami, ogłuszona atmosferą miejsca i majestatem borowego czuła się zupełnie bezradna. Próbowwała przypomnieć sobie sobótkową muzykę, jakikolwiek ruch albo chociaż krok zbójnickiego, ale w głowie miała pustkę. Przez moment czuła tylko palący, upokarzający ból razów spadających na plecy.

– Nie... Nie dam rady. Wybacz mi, Wiżu, ale...

– Spróbuj – przerwał jej Szelest. – Musisz mu pokazać, co czujesz, gdy tańczysz.

– Muzyka...

– Jest tu przecież.

Miał rację. W Tatrach muzyka była zawsze. Czasem głucha jak w jaskiniach, czasem agresywna, pędząca z lawiną. Niemira zamknęła oczy. Zawirowała w wyskoku. Ręce same znalazły swój ruch. W ciszy taniec zastygał, stawał się kanciasty. Wszystko albo nic. Gwałtowny gest i idealny bezruch na przemian. I rytm stóp uderzających o ziemię. Teraz ich tupanie było muzyką, której słuchało się ciało. Wątpliwości powoli ulatywały. Mocny, niski głos wypełnił pomieszczenie. Aksamitny i gładki otulał, pętał i narzucał spokój. Wcześniejsze pozy wracały teraz echem, powolne, rozleniwione. Niemira poczuła, że ciężko jej oddychać. Pieśń już jednak przyspieszyła i dziewczyna musiała za nią podążyć. Nie rozumiała słów, ale czuła je całym ciałem. Chwyciła skraj spódnicy i puściła się w szaleńcze obroty. Stopy ledwo muskały ziemię, ręce chwyciły powietrze, jakby szukały szczebli niewidzialnej drabiny.

– Dość – zarządził Wiż.

„Nie, nie, nie...” – chciała prosić Niemira, ale zagryzła tylko mocno zęby. Zatrzymała się w pół ruchu, otworzyła oczy. Naprzeciw niej stał Szelest. Z jego ust wypłynęły ostatnie słowa pieśni. Nigdy wcześniej nie słyszała, by śpiewał, nie wyobrażała sobie nawet, jak mógłby brzmieć. Dreszcz przebiegł jej po plecach, a w trzewiach rozeszło się ciepło. Chciała więcej jego głosu – chciała tańca! Leszy jednak twardym spojrzeniem wskazywał Wiża. Odetchnęła głębiej i obróciła się ku borowemu.

– Dużo pracy przed tobą. Tak Żywogórca nie obudzisz – oświadczył w zamyśleniu.

Spojrzenie sowych oczu błądziło gdzieś nad głową dziewczyny, dwie pozostałe pary były zamknięte.

– Obudzić Żywogórcę? Nie rozumiem.

– Pewnie, że nie. Usiądź. Sił jeszcze będziesz potrzebowała. Dobrze...

Wiż mówił długo, a przy tym brzmiał, jakby był zniecierpliwiony, że musi tak proste rzeczy tłumaczyć.

– Muzyka Żywego Wierchu... Tak to nazywacie, prawda? Rytm, który Matoha wybijał wam przy redykach, Sobótce czy dziadach.

– Tak, właśnie tak.

– Nie przerywaj. W istocie było to coś znacznie ważniejszego. Było... Jest. Rytm samych gór. A kiedy mówię „gór”, to mam na myśli wszystko, od najmniejszego kamienia czy kropli wody po ludzi i demony. Rozumiesz? Dobrze. Dla was ten rytm był wskazówką, lecz Matoha wygrywał go przede wszystkim Żywogórcowi. Uderzeniami kopyt budził go i jego magię. By znów popłynęła w skalnych żyłach, by przesycała tatrzańskie powietrze. Bo bez niej... muzyka zgaśnie. To wszystko tworzy krąg, przeplata się, karmi nawzajem. Żywy Wierch jest zaś tego wszystkiego zwornikiem. Ucieleśnieniem wszelkich reguł i praw, którymi rządzą się Tatry. Rozumiesz? Zresztą nie musisz na razie wiedzieć wszystkiego – sapnął ciężko. – Widzisz... Żywogórzec drzemie od wieków. Jednak wola istoty tak potężnej odciska się na wszystkim, nawet gdy ta jest we śnie. Chyba że ów sen stanie się zbyt głęboki.

– Co wówczas?

– Och, z początku pozornie nic. Wielkie zmiany to te, których nie widać. Woda drążąca skały. Gdy Żywogórzec uśnie na dobre, zostaniemy nadzy. Wy, ludzie, najbardziej. Jeśli Dalegor postanowi zebrać czarty i wygubić wasze wsie, uczyni to. Gałąź jodłowa nie zatrzyma już złego ducha. Żadne stare czary nie odgonią moru. Jeśli zaś Dalegor dotrze do wszystkich tajemnic Wołoszyna, obudzi też Żmija.

– Co tak naprawdę tam tkwi? Słyszałam ledwie urywki...

– Za dużo pytasz. Tego to nawet ja nie pamiętam. W tej ziemi legł Żmij; wcielenie samego Wołosa. W miejscu jego śmierci zaś wyrosła góra. Ziemia tam przesycona jest jego magią, jego duszą. To siła groźna, wroga Żywogórcowi i przez niego stłamszona. Wy, ludzie, powiedzielibyście, że siła zła. Karmicie Wołosa ofiarami, wasi wołchwowie proszą go o dary, ale

nikt nie chciałby, by pan podziemi rozciągnął swe rządy gdziekolwiek poza krainy zmarłych.

Tego Niemirze nie trzeba było tłumaczyć. Potężnych bytów nie zjednywało się z miłości do nich, lecz, by zagwarantować sobie ich spokojną obojętność.

– Co ja mogę w tym wszystkim zrobić? – jęknęła, patrząc bezradnie po Wiżu i Szeleście.

Leszy, widząc, że borowy nie zamierza wyklądać takich oczywistości, podjął powoli:

– To, co robił Matoha, a czego nie uczyni Kościej, bo jest na smyczy Dalegora i pamięta jeszcze swoje porażki sprzed wieków. Wytańczyć rytm Żywogórcowi.

Dziewczyna westchnęła ciężko. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że to usłyszy.

– Wiż zna muzykę Tatr. Rytm, który pobrzmiewa w sercu Żywogórcza i wrywa go ze snu.

– Ale ja? Jak? Matoha był demonem. Dźwięk jego kopyt roznosił się na całe Tatry.

– Żywogórzec nie jest głuchy, a ziemia jest czuła – odparł Wiż. – Jeśli dobrze się z nią obejdiesz, przekaże twój każdy krok. Tylko tego jeszcze musisz się nauczyć. Tego... – Otworzył wszystkie trzy pary oczu i na moment wbił spojrzenie w Szelesta. – Tego ja muszę cię nauczyć.

Leszy wiedział, ile najgodniejszego wśród borowych kosztowały te słowa skierowane do człowieka. Skłonił głowę z wdzięcznością i pokorą.

– Nie umiesz tańczyć z ziemi. Za dużo szukasz powietrza i ognia. Ale coś w sobie masz. Coś więcej niż sam dotyk Wityszy. Jest, jak mówił mi Szelest. Czujesz głębiej. To powinno wystarczyć. Zostaniesz tu i nauczysz się tańca, który nie pozwoli Żywogórcowi zasnąć. A może nawet porwie go do walki, jeśli będzie trzeba? To już będzie zależało od ciebie...

Niemira ponownie omiotła spojrzeniem toporną, powykręcaną sylwetkę Wiża, który jednym ruchem mógłby z łatwością obalić rosnące nad nimi wiekowe drzewa. Nie wyobrażała sobie, że ktoś taki będzie uczył ją tańca. I choć jej ciało napełniła jakaś tęsknota za ruchem, to w myślach wciąż błyskała nadzieja, że to tylko żart. Kpiny strażników lasu z człowieka.

– A któryś z was? Jakaś wiła?

Wiż zaśmiał się głośno, aż świetliki przygasły i się pochowały.

– Wierz mi, gdybym mógł, wybrałbym kogokolwiek innego niż człowiek. Nas jednak wciąż wiążą reguły Żywogórcy. Nikt z nas nie będzie miał nad nim władzy. To był przywilej strażnika demonów. Strażnika Żywego Wierchu. My mamy swoje role. Duchów lasów, wód...

– A ja?

– A ty... – W głosie Wiza nadal dudnił śmiech. – A ciebie stworzyło złamanie reguł. Krótkowzroczność i egoizm Wityszy być może nas uratuje.

– To było jej marzenie. I uczucie – zaprotestowała Niemira.

Zapadła cisza. Ciemność jeszcze się pogłębiła.

– Pierwsza lekcja... – zahuczał borowy. – Wolno ci się ze mną spierać. Ale musisz być gotowa, że konsekwencje będą bolały.

Korzenie okręciły się wokół rąk, nóg i talii dziewczyny. Z ziemi wyrosły parzące pędy i wślizgnęły się pod ubranie. Niemira zacisnęła zęby, ale po chwili krzyk wyrwał jej się z ust.

– Daruj jej! – krzyknął Szelest.

Rośliny odstąpiły. Niemira skuliła się, przyciskając ręce do brzucha.

– Dobrze... Przygotuję się w takim razie na wiele bólu – wydukała, uśmiechając się krzywo.

– Wybornie.

Światliki rozjaśniły na powrót komnatę.

Widok Szelesta opuszczającego pieczarę fizycznie bolał. Chciała iść za nim, podziękować za śpiew, poczuć jeszcze jeden uścisk, usłyszeć ciepłe słowo. Ale choć widziała w jego oczach podobne pragnienie, zachował dystans.

– Niczego się nie bój – powiedział tylko, kładąc jej rękę na ramieniu. – Znajdziesz tu to, czego brakowało w noc Sobótki i w tańcu z wietrzycą.

Ufała mu, ale się bała. Do ostatniej chwili wierzyła, że pozwolą jej jeszcze wrócić do Cierpkówki, wyjaśnić wszystko Kowalom i poradzić się Jana, ale Wiz postawił sprawę jasno. Od teraz była w jego mocy.

Wizja zemsty, której Hajduk trzymał się ostatkiem sił przez te wszystkie miesiące, przepadła w kilka dni po odejściu Niemiry z Cierpkówki. Szelest nie omieszkiał okrasić opowieści o wydarzeniach na Giewoncie przestrogami. Choć i tego nie było trzeba. Strach wciąż wзираł z jego słów, a to wiele mówiło zbójnikowi. Nie zmniejszało jednak ani trochę gorczy. Rozmawiali w lesie, otuleni wiosennym słońcem i otoczeni kręgiem

świętych głązów. Kiedyś Hajduk zabrał z tego miejsca maleńką Niemirę, teraz mógł tylko przekazać jej przez pośrednika miecz Agnieszki.

– Szelest, ja wszystko pojmuję! – warknął na przyjaciela, słysząc kolejne pouczenia.

– Nie jesteśmy gotowi teraz zniszczyć Dalegora. Ale będziemy. Wytrzymaj.

– Przecież nie pognam go szukać. Głupi nie jestem.

– Ze sobą wytrzymaj, Hajduk...

– Zrozum, mnie już została tylko zemsta. Chcę chociaż przyłożyć do niej rękę, jeśli nie mogę inaczej.

– Więc wesprzyj teraz Niemirę.

Jan wskazał na miecz.

– Jak jeszcze? Zniknęła tak nagle. Sam mówisz, że nie mogę jej zobaczyć tam, gdzie ją zabrałeś.

– Nie możesz. Wiż nie akceptuje ludzi. Ale ja się tam pojawiam. Mogę przynosić wieści, że jesteś w dobrym zdrowiu i wspierasz górali w Dymnym Wąwozie... Albo mogę przyjść i opowiedzieć, jak przez frustrację postradałeś życie. – Ostatnie zdanie Szelest wypowiedział niemalże oskarżycielsko.

– Nie musisz od razu... – Jan machnął ręką, zniechęcony.

Obrócił się na pięcie. Nie miał ochoty na lekcje, a leszy był najwyraźniej w nastroju do pouczeń.

– Przekaż jej broń i daj mi spokój – burknął przez ramię.

Odpowiedziało mu niskie warczenie. Spiał się odruchowo. Kiedyś wyprowadził Szelesta z równowagi – równowagi między człowiekiem a bestią – i dotąd miał blizny na plecach. Spojrzał szybko za siebie, ale na twarzy leszego, jeśli odbijał się gniew, to raczej skierowany przeciw samemu sobie.

– Nie gniewaj się, Hajduk. Wiem, że cierpisz. Ona też. I w tym wszystkim muszę coś zrobić, żebyście przeżyli! Żebyście siebie samych lub wzajem nie dobili.

Zbójnik odetchnął, uśmiechnął się półgębkiem. Strażnik lasu porządkujący poplątane sieci ludzkich emocji i relacji zdał mu się nagle postacią komicznie żalowaną.

– Do czego to doszło. Żebyś ty... – Zaśmiał się. – Nieważne. Nie jestem wielką panią, żeby z lamentem w góry chodzić i sobie w łeb strzelać.

Smierci nie będę szukał, nie bój się. Nie musisz mnie tu smutkami Niemiry jeszcze straszyć. Dość mi sama uświadomiła wtedy przed Wigilią.

Szelest czuł, że Jan wchodzi z nim w jakąś grę – próbuje szybko zatrzeć złe wrażenie i ugasić niepokoje. Widać to było zwłaszcza w pozbawionych zwyczajowego, zawadiackiego błysku oczach zbójnika. Ale nie przerywał jej. Domyślał się, że była dla niego pewnego rodzaju sposobem na zaklinanie rzeczywistości. Sam też potrzebował odrobiny stabilności. Choćby złudnej. Zaangażowanie, z jakim Niemira podjęła się nowego zadania, uspokoiło jego lęki, ale nie pozwoliło zapomnieć, że przez moment im uległ.

## ROZDZIAŁ 21

Zarośnięty, leśny staw – właściwie trzęsawisko – pokryty cienką, zanikającą z każdym dniem warstewką lodu, stał się pierwszą sceną dla Niemiry. Przychodziła z Wizem przed świtem, zdejmowała buty, zawijała spódnicę i wchodziła w bagno splątanych roślin, przemarzniętego mułu i lodowej krupy. Tam zaczynała tańczyć to, co zagrał tego dnia wiatr, co wystukał borowy albo zaśpiewały budzące się ptaki. Kostniejące nogi piekły bólem, a ciało szarpały dreszcze. Wiz zaś nigdy nie był zadowolony.

– Wciąż w górę, wciąż w powietrze... Nie, Niemira. Ten ruch musi być ciężki i gęsty, jakbyś tańczyła w zastygającym lawinisku.

– Nie tańczyłabym w zastygającym lawinisku.

Wiz obnażył w uśmiechu żółte zęby.

– Oj, zaufaj mi, póki starczyłoby oddechu, tańczyłabyś ile sił.

Pozwoliła ogarnąć się drgawkom wywoływanym zimnem.

– Chyba tylko tak – burknęła, szcękając zębami.

Zwieszona nad stawem świerkowa gałąź smagnęła ją lekko.

– A z tym oddechem... – kontynuowała z uporem.

– Ach, zmilknij!

Gałąź wyciągnęła się, oplątała dziewczynę w pasie i pociągnęła w głąb trzęsawiska. Wiz wybuchnął chrapliwym śmiechem.

– No, wyłaź, wyłaź! Na tańce w bagnie po szyję jeszcze za wcześnie – zawołał.

Przy bliższym poznaniu zdradzał skłonność do humoru. Czy też raczej starania ku niemu. Nie do końca pojmował, co może bawić człowieka, i jego żarty miewały grację zwalonych pni, ale nie zrażało go to. Wbrew zapowiedziom na opór dziewczyny reagował raczej drobnymi złośliwościami albo przekomarzaniem, niż zadając ból. Gdy zaś naprawdę się gniewał, posyłał między nią a siebie pośrednika – nauczonego ludzkiej mowy kruka – jakby w obawie, że nie zapanuje nad swym temperamentem. Choć był surowym nauczycielem, Niemira miała wrażenie, że stara się wywoływać na jej twarzy uśmiech. Wyjątkiem były chwile, gdy w pobliżu pojawiał się Szelest. Wtedy Wiz nabierał momentalnie zgryźliwej powagi i



brutalnie karał dziewczynę za każdy błąd. Miał dla lepszego twarz dostojnego, groźnego mentora i nic nie mogło tego zmienić.

– Jakże on się o ciebie troska – szydził później.

Załamywał przy tym teatralnie ręce. A mógł czynić to widowiskowo, gdyż splecione z gałęzi i zwierzęcych mięśni, gięły się na najdziwaczniejsze sposoby. Sam nie okazywał nawet odrobiny troski. Choćby Niemira ślaniała się i mdlała, nigdy nie podał jej ręki czy choćby kropli wody.

– Niedługo zaczniesz tu przychodzić sama. Będziesz tańczyć do upadłego i wracać. Nikt ci nie pomoże – przestrzegał czasem, ale dziewczyna nie wierzyła, że ten moment nadejdzie.

Śniegi topniały, odsłaniając bogactwo przyrody, a rady i opowieści Wiża nie rozjaśniały się ani na jotę.

– Musisz tańczyć z ziemi. Cały twój ruch musi iść z ziemi. Zapomnij, że masz niebo nad głową, że widziałaś kiedykolwiek wodę i ogień. Tańcz z ziemi – powtarzał najczęściej.

Czasem, gdy skryta w jego pieczarze sięgała po przyniesiony przez Szelesta miecz Agnieszki, słyszała tylko kpiny.

– Własnymi rękoma ruszać nie umiesz. Będziesz żelastwem machać? Czy człowiek wiecznie musi próbować wzrosnąć, zanim wykiełkuje? – począł gderać pewnej nocy.

– A ile czasu mam na to wszystko? Uczysz mnie czegoś, co pewnie Matoha chłonał przez wieki. Dalegor nie będzie czekał. Muszę szukać dróg na skróty.

Jakiś korzeń uszczypnął ją przypominająco w kostkę. Trzepnęła go ręką jak niesfornego psiaka. Wiż wyłonił się zza zasłony zwieszonych ze sklepienia mchów, otoczony rozjarzonymi świetlikami. Podszedł i ciężką, gęsto obrosniętą młodymi liśćmi dłoń położył jej na włosach.

– To, jak szybko ktoś się czegoś nauczył, nic nie mówi o tym, ile tobie to zajmie. Może Matoha uczył się przez wieki, może nie. To nie ma na nic wpływu. Może inna pojęłaby wszystko, tylko postawiwszy tu stopę. Kto wie? Ale to tak samo nieważne. Jesteś tutaj ty. I nikt poza tobą się tego nie nauczy. I nikt nie zrobi tego tak jak ty. Szelest wierzy, że masz wszystko, czego potrzeba.

– A ty?

– Ja nie. – Odchrząknął, gdy drgnęła niespokojnie. – Żartowałem. Ale to też nie ma znaczenia. Każdy ruch zawsze będzie twój. Jesteś z nim tak

naprawdę sama, niezależnie od moich rad, a tym bardziej niezależnie od czyjejkolwiek wiary. Myślenie o tym, ile czasu dają ci inni albo ile im by to zajęło, nie ma sensu. Odwraca myśli od tego, co ważne. Ważny jest teraz tylko taniec. Twój taniec.

Oparła się bokiem o niego. Nie spodziewała się tej łagodności i opiekuńczości. Przesunęła palcami po ostrzu miecza.

– Mój taniec... – powtórzyła. – W takim razie jutro będę ćwiczyć z bronią. To jest mój taniec. Coś, co czuję.

– Och! Moje własne słowa przeciwko mnie... – Wiż zachybotał się na boki jak targnięte wiatrem drzewo. – No, jest w tym logika – przyznał niechętnie.

Następnego dnia nie zbudził jej przed świtem, jak zwykł robić. Gdy odkopała się wreszcie spod skór, było południe.

– Będziesz potrzebowała dużo sił na to, co sobie postanowiłaś – wyjaśnił, widząc jej zdumienie. – Pójdziemy po zmroku.

Trzęsawisko, w którym zwykła tańczyć, strząsnęło już resztki lodu, choć zima nie dawała jeszcze o sobie do końca zapomnieć. W ciemności rozjaśnianej tylko przez stado świetlików skryta pod kożuchem traw tafla wyglądała niczym zwykła, uśpiona polana. Niemira wzdrygnęła się na myśl o ludziach, których to miejsce mogło zwieść. Zmrużyła oczy, ale nigdzie w przybrzeżnym sitowiu nie wypatrzyła topielca.

Ujęła miecz w dwie ręce – za rękojeść i za klingę. Płynnym krokiem weszła w trzęsawisko. Przywitało ją głuchym młasnieniem i oblepiło chciwie.

– Idź głębiej. I słuchaj – powiedział Wiż.

Ale ona miała już swój plan. Opuściła głowę, by nie kusilo jej światło gwiazd, i spiralą ruszyła w głąb bagniska. W pamięci przywołała oszołomienie szaleńczego tańca z wietrzycą. Broń rwała się jej w rękach, ale to jeszcze nie był ten czas. Zaczęła zataczać nią powolne kręgi przed sobą. Zaczepiana przez rośliny i korzenie, pilnowała niezmienności rytmu. Szerokie, płaskie cięcie wyprowadzone nad powierzchnią bagna przyszło samo, doskonale zgrane z ruchem nóg. Niemira obróciła się wokół własnej osi. Nie szła już głębiej. Teraz czuła głębiej: uśpione dusze powalonych drzew gdzieś na dnie, skrytego w szuwarach topielca, senne myśli zagrzebanych w mule ropuch...

Odchyliła się w tył. Zakręciła mieczem tuż przed twarzą, a stopami uderzyła kilkakrotnie o muliste dno. Ciało stawało się coraz cięższe, jakby

przesiakało wodą razem ze spódnicą. Niemira gięła się, wrosnięta w bagno, skuta okowami ziemi. Tylko w sztychu broni pozostał ten kawałek wolności i lekkości, którego nie potrafiła się wyzbyć. Bagno tańczyło z nią. Powierzchnia to marszczyła się, to wygładzała, a dno drgało głębokim, podziemnym rytmem. Żadnych podskoków. Urosnąć z ziemi, nie tracąc jej dotyku ani na moment. I opaść, zlać się z nią w jedno. Taniec stał się intensywniejszy. Choć Niemirze zdawało się, że w nim grzęźnię, przyspieszała. Trzymając broń w jednej ręce, drugą czarowała wokół ostrza – powierzała mu wszelkie swoje wątpliwości, niepokoje i wstyd. W zamian czerpała dumę i pewność siebie. Zatopiła na moment palce we włosach, uśmiechnęła się szeroko do nieba. Księżyc mrugnął do niej słodko. Skusił. Wybiła się mocno, wychynęła na moment z bagna. Lecz tym razem nie przerwało to transu. Opadła z gracją, zgięła się w talii, przytuliła na moment policzek do trzęsawiska i znów poczęła rosnać. Zakołysała biodrami, ramiona skrzyżowała przed twarzą. W ostatnim akordzie rozrzuciła je na boki, uderzając o powierzchnię trzęsawiska. Stłumiony huk szarpnął koronami pobliskich drzew.

Niemira opuściła bezwładnie ręce. Serce łomotało jej szaleńczo, wciąż odtwarzając rytm, jaki przed chwilą wybijały stopy. Oddech stał się charczący. Zmierzając na brzeg, dziewczyna prawie nic nie widziała. Podczołgała się do nóg Wiża, zbyt słaba, by wstać. Bolał ją każdy miesiąc – od stóp po policzki.

– Od dziś będziesz przychodziła tu nocami. Sama. Wiesz już, co robić – zahuczał jej nad głową borowy.

Potem potężna, sękata ręka ujęła ją pod pachę. Wiż ruszył, ciągnąc za sobą dziewczynę niczym wór czy ubitą zwierzynę. Nie protestowała.

Dwa kolejne dni przespała, trzeciego zaś, wieczorem, wzięła miecz i ruszyła czynić tak, jak radził.

Od rozmowy z Szelestem Jan na różne sposoby zaklinał rzeczywistość. Nieobecność Niemiry w jakiś paradoksalny sposób uwydatniała mu jego własną beczynność. Próbował więc ją przełamać. Pierw obiecał sobie, że wróci do zbójowania, a łupy z tego lata złoży w kryjówce, nieopodal miejsca śmierci Lelei. W hołdzie jej. Ledwo jednak ułożył ten romantyczny plan, wizja wędrowania ścieżkami, z których zawsze wracał do brzeginy, rozbroiła go. Wspinał się jeszcze na górujące nad Kościeliską Organy, w których załomach i jaskiniach nie raz szykował napaści i dzielił łupy, ale wiedział

już, że nie ruszy dalej. Wrócił do Cierpkówki i na powrót zaprzyjaźnił się z gorzałką, której przez miesiące nie tykał. Sypiał po szopach – czasem w obejściu Wardów, częściej nie. Dnie przepędzał w gospodzie i tam zasłyszał, że z Wichrzyków znów chcą słać koziarza, by wycierchlił polanę na Jaworzynowym Wale. Przetrzeźwiał szybko. Następnego dnia poszedł rozmawiać z gazdami.

– Czyście zapomnieli, jak to się na jesieni skończyło? Jaworzynowy Wał to od wieków ostoja. Pastwisk tam lepiej nie robić.

– Kiedy się zmieniło. Przyzwolenie dali. Ziemia uczciwie przez wieś kupiona – odparł stary gazda od Bańdziochów.

– Może ludzie dali. Las nie. Mówię wam, że lepiej nie ryzykować.

Próbował tłumaczyć na różne sposoby. Przypominał śmierć młodego Raptusa i straszne opowieści pozostałych chłopaków. Przestrzegał przed posyłaniem kolejnego człowieka, skoro rok wcześniej koziarz przepadł bez wieści. Ale nie słuchali go. „Zmieniło się” – mówili... A on obawiał się, że mogą mieć więcej racji, niż przypuszczają. Jeśli ostrzeżenia Szelesta były słuszne, stare reguły wiążące demony i ludzi słabły. On sam zaś, rozdarty między obowiązkami leszego a wsparciem Niemiry, mógł nie być tak opiekuńczym strażnikiem Jaworzynowego Wału jak wcześniej.

Dlatego dwa dni później, uzbrojony w butelkę gorzałki i ciupagę, Hajduk poszedł za koziarzem. Z jednej strony chciał tego robotnego, sumiennego chłopca uchronić przed końcem w łapach bestii, z drugiej zaś oszczędzić Szelestowi kolejnych kłopotów. Na rozstajach przysiadł na chwilę. Dzień zrobił się gorący, prawie letni, jakby przyroda zdecydowała się uprzątnąć resztki zimy przed nadchodzącą niespiesznie Wielkanocą. Jan pociągnął łyk gorzałki, potem następny. Wystawił twarz do słońca.

Kachna zatrzymała się nieopodal, w drodze do tartaku. Obserwowała, jak Jan z każdym łykiem zapada się głębiej w myślach. Zdecydowanie, które z początku miał wymalowane na twarzy, odpłynęło, zastąpione pierw złością, potem zaś obojętnością. Westchnęła ciężko. Słyszała o jego kłótniach z gazdami i przez chwilę nawet się cieszyła, że Hajduk przypomniawszy sobie swoją rolę w Dymnym Wąwozie.

– Mogłam się spodziewać... – mruknęła.

Poprawiła pod pachą bochen chleba, który niosła dla Antka, i już miała odejść, gdy jej wzrok padł na zmierzającą w stronę Jana kobiecą postać. Była smukła i wysoka, ale mocno zgarbiona. Ubrana w szary chałat wyglądała

załośnię, a splątane, rozpuszczone włosy przybrane w wianek zeschniętych paproci dopełniały obrazu. Kachna postąpiła ostrożnie naprzód. Widziała, jak mężczyzna podnosi mętne spojrzenie na obcą i usuwa się lekko, robiąc jej miejsce obok siebie, w plamie słońca.

– A to tak ta twoja tęsknota wygląda... Nie, zaraz... – Kachna wahała się między złośliwym śmiechem a niepokojem.

Kobieta ujęła Hajduka za rękę, zbliżyła twarz do jego twarzy i poczęła coś szeptać. Pochylił głowę, zacisnął palce na jej dłoni. Wydał się nagle siostrzenicy strasznie stary i bezbronny. Obca podniosła głowę i wtedy Kachna dostrzegła głębokie cienie na jej twarzy i toczące się po policzkach łzy.

– Do czorta! Tęsknica...! O ja ci dam!

Jan niczego nie słyszał. Biernie chłonał melancholię bijącą od kobiety. Gdzieś bardzo, bardzo głęboko w sercu wiedział, kim jest, wszak sam tyle razy ostrzegał przed nią ludzi idących na cmentarz czy odprowadzających zmarłych w ich ostatnią drogę. Tylko teraz przyjmował jej obecność jako normalność. Tęsknica ujęła go za podbródek, przysunęła się bardzo blisko.

– Wara! – wrzasnęła Kachna.

Chwyciła kamień i cisnęła nim. Trafiła. Demonica odskoczyła od Jana, szlochając. Zasłoniła się ramionami przed kolejnym pociskiem.

– A żeby cię...! Wara! On już ma dość smutków bez ciebie!

Hajduk nagle oprzytomniał, zerwał się na nogi. Kaśka już dopadła do tęsknicy, gotowa bić. Chwycił ją w pól i odciągnął.

– Już! Starczy! – huknął. – A ty się wynoś. Ale już! Bo ciupażką popieszczę.

Tęsknica pociągnęła nosem i powolnym krokiem pokutnicy poszła przed siebie. Jan puścił siostrzenicę, obrócił ją ku sobie.

– Dziękuję.

– Chcesz mi podziękować, to weź się w garść – burknęła.

Patrzyli po sobie przez chwilę. Wreszcie Kachna dodała łagodniej:

– Przychodziła do ciebie już wcześniej?

– Raz czy drugi. Słabo pamiętam. Nieważne.

– Wujku, zróbcie coś ze sobą, naprawdę. Kłopotów tyle.

– Wiem. Na Jaworzynowy Wał miałem iść, przegonić koziarza.

– To idź, a potem wracaj i ze Staszkiem Halkowym pogadaj. Zrobił mi awanturę, jakbym to ja wpływ na Niemirę miała. Roboty mają po pachy,

Kowalik niby się wprawił, ale ta ręka, co ją miał ranioną, szwankuje mu ciągle. Nie narobi tyle, co trzeba. Kowal się odgraża, że jak Niemira zaraz nie wróci, to weźmie sobie parobka, a jej więcej do chałupy nie puści. Jadźka go tylko jakoś hamuje jeszcze, bo zatroskana. Ja bym Niemirę znów do siebie wzięła, ale... – Rozłożyła ręce.

– Ona nie wróci. Wiem... Wiem... Ani też nie pomoże Kowalowi szybko.

Hajduk zamyślił się. Dużo z tego, co mówiła, obito mu się o uszy, ale umykało gdzieś w dręczącej melancholii. A przecież poza codziennymi obowiązkami, jeszcze jedna praca czekała wciąż na Niemirę w domu Kowali.

– Chyba mu znajdę parobka – Jan uśmiechnął się pod wąsem.

Umowę zawarli prostą. Hajduk pół dnia pomagał w kuźni przy zamówieniach, nic za to nie biorąc, drugie pół zaś spędzał nad laską Wityszy. Pierw rozszyfrowywał, co zdołała już stworzyć Niemira. Przypominał sobie lekcję znaków, której udzielił im Szelest, i porównywał z tym, co widzi. Dostrzegł, że niektóre symbole zostały wyryte i zaraz pokreślone kolejnymi. Inne zupełnie zeszlifowano, ale świadomie pozostawiono ich ślad. Tak też było w oryginale. Sieć drobnych skaz i wyszczerbień również zdawała się nieprzypadkowa. Ilość szczegółów, na które musiał zważać, początkowo przytłoczyła Jana. Mimo tego na dziesięć dni przed Wielkanocą, gdy Staszek Kowal poszedł do Gajdów podkuwać konie, chwycił za rylce.

## ROZDZIAŁ 22

Wyczuwalne w powietrzu, natarczywe spojrzenie towarzyszyło tańcowi Niemiry od kilku nocy. Zawsze, gdy posyłała swe zmysły z wiatrem, by wychwycić rytm migotania gwiazd i melodię liści, natykała się na nie. Budziło niepokój swą intensywnością, ale równocześnie rozpływało się w niebycie, gdy próbowała lepiej je poznać. Tańczyła więc dalej, zgodnie ze wskazaniem Wiza. Czerpiąc siłę z ziemi, czuła się bezpiecznie. Wiedziała, że do borowego dociera rytm jej kroków, że zasłuchują się w niego mieszkające w ostoi drapieżniki. Było tak, jak zapowiadał Szelest – powoli odkrywała swoje miejsce. Nie było w nim zabawy i płytkiej ekscytacji, lecz uspokajająca harmonia i przesycająca wszystko zmysłowość. Czasem już nad ranem, gdy szary świt wlewał się między drzewa, Niemira wychodziła na brzeg, zdejmowała sukienkę i tańczyła powoli, przypatrując się uważnie swemu ciału. Zaskakiwała ją płynna praca rąk i siła nóg.

Tę noc też chciała tak zakończyć, lecz jeszcze przed północą poczuła, że słabnie. Ciężar, który nadawała swemu ciału, by zrosło się z górami, zdawał się miażdżyć jej płuca i łamać kości. Zataczając się, wyszła na brzeg i przywarła do pobliskiego drzewa. Chwytała powietrze szeroko rozwartymi ustami. W głowie wciąż dudnił jej rytm, który tego wieczora przyszedł do niej z Żywego Wierchu. Próbowała wyrzucić go z głowy, odciąć się, ale nacierał nieustannie, wdzierając się w ciało drogami wszelkich zmysłów.

„Nie jest dobrze. Wrócić” – błysnęła jej rozpaczliwa myśl.

Niemira przeszła kilka kroków i upadła. Próbowała wstać, ale choć w mięśniach czuła niedźwiedzią siłę, cała ta siła była w tej chwili przeciw niej. Dążyła do ziemi, chciała się z nią zespolić, poddać rytmowi. Dysząc ciężko i walcząc o każdy ruch, dziewczyna poczęła się czołgać. Chwyła sięgający nisko konar, ale potężna gałąź strzeliła pod jej ciężarem.

– Pomocy... Wiż... – Nawet te dwa jęki wyrwały jej się z ust posłuszne melodii Żywego Wierchu.

Odpowiedziało jej spojrzenie. Bliższe niż zwykle. Zaraz za nim rozbrzmiały kroki. Nieharmonijne. Obce. Niemira obróciła głowę i

dostrzegła chybotliwy płomień lampy, tańczący między drzewami. Leśne powietrze posykiwało cicho, rozdzierane zapachem karbidówki.

Dalegor przekleństwem spłoszył kłujące krzewy, które próbowały go zatrzymać, wczepiając się w ciemne palto. Wydobył ostrze Kościeja i obejrzał uważnie, czy nie nosi żadnej skazy, po czym na korze kilku najpotężniejszych drzew wyciął proste runy. Chciał mieć pewność, że żadne z nich, nawet zaklęte przez dziada borowego, nie zdoła drgnąć. Wreszcie podszedł bliżej i oświetlił zmagającą się z własnym ciałem dziewczynę. Długo czekał na noc, która ją przerośnie, i po raz kolejny cierpliwość się opłacała. Spojrzał z politowaniem na zasłaniające twarz, ubłocone włosy góralki, spod których wyzierały rozmigotane przerażeniem oczy. Krzyknęła. Ziemia zadrżała, ale ochronne znaki i amulety utrzymały okoliczne duchy w ryzach. Poza jednym.

Dalegor postawił lampę na ziemi, odgarnął Niemirze włosy z karku i zbliżył ostrze. Nie zdążył pchnąć. Trzasnęły gałęzie i pnie młodych świerczków. Olbrzymi niedźwiedź, który wyłonił się z gęstwiny, całym ciałem natarł na czarownika. Jeszcze nim go dotknął, amulety uwolniły swoją siłę. Ryk wściekłości przemienił się w skowyt bólu. W świetle karbidówki Niemira widziała, jak spętane dusze zdzierają z leszego skórę bestii i szarpią sploty potężnych mięśni. Szelest odrzucił zwierzęcą postać, ale nie dał się zatrzymać. Powalił czarownika i sięgnął do jego gardła. Zmiażdżyć krtań czy skrócić kark to dla niego nic, jak dla dziecka złamać suchą gałązkę. Długie palce ledwo jednak musnęły skórę Dalegora. Zawieszony na szyi amulet zbity z ułamków ciał Matohy i Kościeja rozbłysnął ponurym światłem. Leszy zawył nieludzko. Ręka w jednej chwili uschła prawie do łokcia, spopieliała i poczęła się sypać. Czarownik nie czekał, aż zaskoczenie minie. Wymacał ostrze Kościeja, które upuścił w zamieszaniu i próbował pchnąć przeciwnika. Szelest zbyt dobrze pamiętał siłę tej broni. Uskoczył z gracją kota i dopadł do Niemiry, która wielkim wysiłkiem zdołała się dźwignąć na kolana.

– Ty nie musisz ginąć. Odejdź – warknął Dalegor, wstając.

Leszy milczał. Z bliska Niemira widziała głębokie rany na jego ciele i słyszała ciężki, rwany oddech. Przesunął się tak, by pewniej ją zasłaniać. Czarownik się nie spieszył. Sprawdził, czy amulet na szyi i namoczone w niedźwiedziej krwi rzemienie oplecione wokół kostek i nadgarstków są na miejscu, poprawił chwyt na broni. Wiedział, że jego przeciwnik jest



bezsilny. Niemira też rozumiała to coraz lepiej. Szelest słał w skupieniu wołanie o pomoc – słyszała je w drzeniu ziemi i szepcie traw – ale pogrążone w stuporze drzewa nie odpowiadały. Stało się jednak coś innego. Głos leszego przywołał wspomnienie najpiękniejszej pieśni, jaką słyszała, i zdołał wreszcie wyprzeć z jej głowy rytm Żywego Wierchu. Drobnymi ruchami zawtórowała mu. Posłała wezwanie skałom, wodnym żyłom i korzeniom drzew. I usłuchały.

Skóra na rękach Dalegora zapłonęła bólem. Znaki, którymi uwiązał dusze drzew, wgryzły mu się na powrót w ciało, w mozaikę tatuaży. Zdążył tylko spojrzeć za siebie. Dwa stare buki wydzwignęły się z ziemi i zwały koronami, tworząc bramę, w której środku kłębiła się czysta wściekłość lasu. Czarownik ostatnim, desperackim ruchem próbował sięgnąć Niemiry, ale Szelest był na posterunku. Uderzył uzbrojoną rękę czarownika i odepchnął go w bok, sam nie zmieniając pozycji. Próbował go jeszcze pochwycić, ale Niemira uwiesiła mu się na ramieniu.

– Zostaw! Zabije cię! – jęknęła.

Wiż przekroczył bramę otoczony wyciem i rykami drapieżników. Dalegorowi nie trzeba było nawet jednego spojrzenia. Na tego przeciwnika nie był gotów. Las wokoło zadrżał z podniecenia. Wszystko, co żyło, rzuciło się na czarownika. Sięgało gardła, darło ubrania, kaleczyło, czepiało się włosów. Amulety wpiły się w skórę Dalegora, paląc ją żywym ogniem.

– Kościeju, ukaż nieposłusznych! – zawył rozpaczliwie.

Nad Żywym Wierchem zapłonęły błyskawice i wyciągnęły się ku regłom. Wiż chwycił je w potężne ramiona i zdusił, przyciskając do piersi. Nie gonił. Chybotął się na boki, śląc kolejne klątwy. Wiedział, że póki Żywogórzec śpi, a Kościej łaskawie patrzy na człowieka, żadna magia nie złamie mocy amuletów. Lecz czynił wszystko, by każda żywa istota, każda roślina, kamień i kropla wody w lasach dzieliły jego gniew na Dalegora. Przestał, dopiero gdy czarownik wyrwał się z jego ostoi. Ignorując splecionych w uścisku Szelesta i Niemirę, począł uspokajać rozgniewane drzewa. Gładził naruszoną ostrzem Kościeja korę, szeptał lecznicze zaklęcia.

– No. Ileż można się zapewniać, żeście cali? – burknął wreszcie.

Podszedł bliżej, zmiażdżył zgaszoną już lampę i sowimi oczami spojrzał na kikut ręki Szelesta. Niemira, przygryzając wargi, powiodła za jego wzrokiem.

– No co tak patrzysz? Odrośnie mu przecie – rzucił. – Pewno krzywo trochę, bo paskudnie zatrute, ale odrośnie.

– Mówiłem – mruknął leszy do ucha dziewczynie.

Wiż jednak spoważniał i poklepał go ojcowskim gestem po ramieniu.

– Żeś się sprawił. Co też może działać determinacja. Przez trudny krąg się przedarłeś.

– Tylko dalej nic nie mogłem zrobić.

W głosie Szelesta czuć jeszcze było napięcie walki i wyrosłą z bezradności wściekłość. Jego duma jako strażnika ucierpiała w tym starciu gorzej niż ciało.

– Ty pierwszy przyszedłeś mi tłumaczyć, że z tym człowiekiem nie poradzimy łatwo – odparł Wiż. – Teraz wiemy, co to dokładnie oznacza.

Szelest pokiwał sztywno głową.

– Dobrze, nic tu więcej po nas – kontynuował borowy. – Dasz radę wstać, Niemira?

Zaprzeczyła niemo.

– Niech będzie... Ten jeden raz. – Wyciągnął po nią rękę.

– Pozwól mi ją zabrać. Odprowadzę ją jutro – zaproponował nagle leszy.

Wiż przekręcił głowę, wpatrzył się w młodszego pobratymca wszystkimi parami oczu, wreszcie uśmiechnął się krzywo.

– Ten jeden raz – powtórzył, podśmiewając się chrapliwie.

Zostali sami. Szelest objął Niemirę, z trudem dźwignął ją na ramiona. Wciąż nie strząsnęła z siebie w pełni ciężaru tańca gór. Jedną ręką objęła go za szyję, by nie zsunąć się z podpierającego jej plecy kikuta, drugą powiodła po głębokich bruzdach zostawionych przez opętane dusze na ciele leszego.

– Nie rozumiem, co się dziś stało.

– To bardzo intensywna noc. Kiedyś składano w nią ofiary Wołosowi. Żywy Wierch wciąż ją czuje. Oddałaś się jej, a ona cię przerosła.

– Przepraszam...

– Nie przepraszaj. Nie masz za co. I nie dziękuj – uprzedził.

Podciągnęła się nieco i oparła mu głowę na ramieniu. Dłoń zatopiła w kruczych piórach. Umęczona, nie spostrzegła nawet, że tym razem nie obruszył się na ten gest. Chłoneła jego oszałamiający zapach i łagodne kołysanie marszu. Gdy przycisnął ją mocniej do siebie, musnął palcem odsłoniętą skórę i na chwilę przytulił policzek do włosów, ogarnęła ją równocześnie błogość i dziwne napięcie. Jakby radosne oczekiwanie

podszyte przeczuwanym rozczarowaniem. Długo wsłuchiwała się w trzask gałęzi pod stopami leszego i jego głęboki oddech. Aż stało się to nie do zniesienia. Wiedziona impulsem, uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Szelest nie odwrócił wzroku, ale przeblysł niepokoju na jego twarzy wiele Niemirze wyjaśnił. Gubił się. W tym, co czuł, i co z tego znał, a co było mu obce.

Objęła go za szyję i przywarła ustami do jego ust. Znieruchomiał wpierw, potem odwzajemnił ostrożnie pocałunek. Jego wargi miały dziwny smak. Cierpki, podszyty lekką słodyczą niczym wczesne owoce. Niemira wpiła się w nie zachłannie. Tonęła w zapachu leszego, szorstkim dotyku, narastającej śmiałości. Gdy oderwała się po chwili, była jak pijana.

Dotarli do miejsca, gdzie las wspinał się na strome zbocze, wpatrzony we wschód słońca. Tam Szelest wybrał niewielką jaskinię, zaścieloną w głębi baranicami. Niemira przytuliła się do szorstkiej wełny, pozwoliła się okryć.

– Połóż się przy mnie.

– Śpij.

– Kochasz mnie?

Chciała, by zabrzmiało to jak zaczepka, ale sama usłyszała w swoim głosie niechcianą powagę. I tęsknotę. I Szelest też to usłyszał.

– Niemira... Co ja mam ci powiedzieć? – Rozłożył ręce w geście bezradności. – Mogę czuć, że tak. Ale to będzie moje czucie. Czy tak samo nazwałby je człowiek? Jak bardzo podobny bym się wydawał, nigdy nim nie będę, nie wiem! Moja miłość nigdy nie będzie tym, co widzisz między ludźmi. Nawet nie tym, co było między Hajdukiem a Leleją, bo brzeginom bliżej do ludzi...

– Ale czymś dla ciebie będzie? – przerwała mu, siadając. – Tak?

– Tak.

– I dla mnie też...

Chwyciła go za rękę i zmusiła, by usiadł obok.

– To jest chyba w porządku. Żeby każdy kochał, jak umie.

Jej myśli zboczyły na moment ku Wityszy, ale odepchnęła je. Szelest milczał, ściskając jej dłoń w swojej. Uśmiechnęła się.

– Nie mówmy już teraz o tym. Przepraszam, że spytałam... Odpocznijmy po prostu.

Gdy kładła mu głowę na kolanach, czuła, jak z każdym dotykiem w jej ciało wraca lekkość.

W dalekiej jaskini na zboczu Wołoszyna nie było tego dnia śladu spokoju. Witysza od świtu rzucała się po ścianach, darła pazurami znaki na nich wykreślone i wyklinała wszystkie siły, które ją między nimi wiązały. Kiedy jednak w prowadzącym do pieczary tunelu rozległy się kroki, opuściła ręce wzdłuż ciała, pochyliła nisko głowę i tak znieruchomiała. Szedł jej pan. Dalegor stanął kilka kroków od morowej dziewicy. Z przyjemnością zaciągnął się zgnitym powietrzem wypełniającym komnatę. Po porażce w ostoi Wiża widok spętanego, potężnego bytu dodawał mu sił i pozwalał zapomnieć o głębokich ranach na nadgarstkach i kostkach oraz o upokarzającej ucieczce. Amuletu wiążącego moc Matohy i Kościeja nie zdjął, mimo że ten wciąż palił mu skórę.

– Witysza... Tęsknisz za wolnością? Za sianiem moru?

Uniosła głowę i niemo potwierdziła.

– Wkrótce więc będziesz mogła znów to czynić.

Puste oczy morowej dziewicy roziskrzyły się. Wyciągnęła ramiona, jakby już chciała gnać przed siebie. Dalegor dostrzegł, że palce ma pozdzierane prawie do kości, a paznokcie połamane. Zapamiętał to jako ostrzeżenie.

– Cierpliwości. Cierpliwości. Cierpliwość zawsze popłaca. Musimy się najpierw dobrze przygotować.

Pierś przeszył mu bolesny chichot strażników demonów, wydobywający się gorącym z amuletu.

– Dużo lepiej, niż ja się przygotowałem. Wiele lepiej. Wyobrażałaś sobie, że stworzyliśmy niechcący coś tak silnego? – Oczy Wityszy rozszerzyły się w zrozumieniu. – Tak, tak, o niej mówię. Wiele już potrafi. Wiele sił buntujących się przeciw Kościejowi ją wspiera. – Wzdrygnął się na wspomnienie Wiża.

Witysza rzuciła się znów w swój szaleńczy taniec. Skowyczała i szamotała się jak gałgan rzucony wiatrem. Dalegor patrzył na to obojętnie.

– Więc rozumiesz. Spokojnie, spokojnie. Jeszcze przed redykiem zawitamy do Dymnego Wąwozu. Zobaczysz ją już niedługo – rzucił pobłaźliwie.

Obrócił się i momentalnie uszła z niego pewność siebie. Wiedział, że ponowne zejście w lasy, choćby z morową dziewicą u boku, mogło się skończyć podobnym upokorzeniem. Do tego nie miał złudzeń – tak jak on zamierzał przygotować się na walkę z nimi, tak oni ostrzyli broń na niego. Nie tylko Niemira i opiekunowie regli. Pamiętał o Hajduku z Dymnego Wąwozu, o przestrzegających starych tradycji gazdach i chłopakach

gotowych zasłaniać dziewczkę własnym ciałem. Nikt z nich nie zamierzał czekać z założonymi rękami.

– Wygubią was prawa, których tak bronicie – rzucił w powietrze, po części do duchów, po części do ludzi.

Wyszedł w kojący chłód wiosennego zmierzchu. Za nim pognął ostatni, pełen protestu, wrzask Wityszy.

## ROZDZIAŁ 23

Wieść o napaści Dalegora na Niemirę dotarła do Jana kilka dni później, w plotkach odwiedzających dom Wardów bożąt. Następnego ranka, gdy Staszek Kowalowy uroczyście wbijał w futrynę trzy wykute na Wielki Piątek gwoździe, Hajduk bez słowa porzucił kuźnię i pognął do Szelesta. Ten go zresztą oczekiwał – za dnia krążąc w okolicach wsi, nocami zaś mając oko na Niemirę.

– Tak, niestety. Co więcej, to się stało w ostoi Wiza – przyznał, gdy Jan począł go wypytywać o szczegóły.

– Nie ubiliście...?

Szelest spojrział na kikut, z którego po bokach wyrastały giętkie, młode gałązki, mające dać zaczątek nowej ręce. Przez chwilę układał odpowiedź, która wciąż paliła wstydem i poczuciem winy.

– Nie. Ja i Niemira ledwo z życiem uszliśmy. Wizowi uciekł.

Jan zaklął. Spojrział w kierunku niewidocznego z okolic Dymnego Wąwozu Wołoszyna. Usta zadrgały mu lekko jak u czającego się do ataku kota.

– Żeby tak skrzyknąć chłopą, dopaść go gdzieś. Siedzi w górach, ale słyszałem, że bywał w Klemensówce czy w gościach na Równi Krupowej. Wziąć paru zbójników...

Leszy potrząsnął głową.

– Mówiłem ci już...

– Mówiłeś! I robiłem, jak mówiłeś! Tylko do czego to prowadzi? Czas ucieka, a on coraz śmieiej sobie poczyna. Zrzuciliśmy wszystko na barki Niemiry, a sami nawet nie potrafimy zapewnić jej bezpieczeństwa. Tym razem się udało, a jeśli następnym zdoła ją skrzywdzić?!

Choć nie było wiatru, drzewa wokół zaszumiały groźnie. W gardle Szelesta zagotował się stłumiony warkot.

– Masz moją gwarancję, że jej nie skrzywdzi – wycedził leszy. – Zawiodłem, ale swoje za to odebrałem. Nie będę słuchał twoich wymówek. Jeśli nie wierzysz już w to, cośmy ustalili, możesz robić przeciw, co zechcesz! Rzuć laskę Wityszy, idź na zbója... Czegóż ode mnie oczekujesz?!

Zrobił krok i nim Jan zdołał cokolwiek odpowiedzieć, zniknął otulony lasem. Hajduk postąpił bezmyślnie przed siebie. Trochę za nim, trochę za własnymi, gniewnymi myślami. Zatrzymał się nagle, zaklął i ruszył z myślą przejścia do Doliny Stawów Gąsienicowych. Nie zamierzał porzucać pracy nad laską Wityszy, ale i rezygnować z własnych pomysłów tym bardziej. Złość Szelesta wydała mu się wyrazem bezsilności.

Zanocował na Świnickiej Przełęczy, wypatrując w dole ogni zbójników. Ciemność oddzieliła go grubą kurtyną od malowniczych stawów i miękko wyłobionych dolin poniżej. Tylko sierp księżycy, wyzierający gdzieś spomiędzy chmur, wyławiał z mroku szpiczasty wierzchołek niedalekiego Kościelca. Wojciech, który zimą przywiódł do Kowala swoich kompanów i przyniósł świstacze sadło, był kiedyś częstym towarzyszem zbójceckich wypadów Hajduka. Z czasem zaczął sam werbować chłopaków i obierał coraz częściej inne cele niż Jan. Szanowali się jednak bardzo. Czasem też współpracowali. Zwykle wczesną wiosną obozował w Zadnim Kole, u podnóża monumentalnej Świnicy. Tam zbierali się jego ludzie, póki na usiane stawami i potokami hale nie wygoniono owiec.

I tym razem było podobnie. Mimo zbliżającej się Wielkanocy Wojciech uciekł od swojej frajerki i organizował bandę na letni czas. Powitano Jana gościnnie, uszykowano zaraz gorzałkę i mięso upolowanej kilka dni wcześniej kozicy. Nieopodał, w skalistej Koziej Dolince, był ich dostatek. Harnaś znad Stawów z niekrytą radością przyjął pięknie intarsjowany pistolet, który Hajduk mu wręczył w podzięcie za pomoc zimą. Nie wiedział, że ten pozbywa się przy tym wyrzutu sumienia. Bliźniacza broń leżała wciąż w potoku Doliny Kościeliskiej.

Usiedli przy ognisku, najedli się, napili, posypały się żarty i nim Jan zdołał przejść do rzeczy, ktoś wyciągnął złóbcoki. W tle grały kliwe piosnki, gdy półgłosem przedstawiał swoją sprawę Wojciechowi. Ten zaraz zawołał Heńka Matuszowego i odgonił pozostałych. Jego wąska twarz, przecięta zazwyczaj szerokim, zawadiackim uśmiechem, spoważniała, a w oczach zagościła czujność. Gdy zapadła cisza, spojrzał tylko krótko w twarz Matuszowego i podjął:

– Zanim wam odmówię, Hajduk, coś wam powiem. My zawsze chętni wam pomóc.

– Dowiedliście tego zimą – odparł Jan.

– A rozbić parę łbów, co tobie i, co za tym idzie, całemu zbójniczemu gronu, w szkodę weszły, tym bardziej. Ale musimy też myśleć o swoich interesach. Chłopczy, co tu z Kościeliska się schodzą, mówią, że Harcyk przyszedł morem straszyć. Ponoć Dymny Wąwóz przeklęty i z niego przyjdzie zgniłe powietrze. Harcyk radzi pod opiekę Dalegora się uciekać. Straszy przed tobą, przed Wardami i Matuszowymi.

Jan aż zazgrzytał zębami. Spojrzał wyzywająco na Wojciecha.

– Nie przyszedłbym was prosić, żebyście się do morowego powietrza przyczynili.

– Toż nie mówię tego. Ale niejednen z nas chałupinę jakąś gościnną czy frajerkę w Kościelisku, Witowie czy na Równi ma. Nie chcemy tam nieszczęść.

– Prędzej Dalegor je tam sprowadzi.

– Jeśli nawet... – Zbójnik uniósł rękę, uciszając Jana. – Jeśli nawet on jest źródłem tej klątwy, przed którą straszy, znak, że jest potężny. Zresztą sam to potwierdzasz swoją prośbą. My przeciw wam nie pójdziemy. W jego łaski też nie będziemy się wkupywać. Zbójnik to wolny człowiek. Ale póki wiem, że z niedźwiedziem nie poradzę, to się nań nie rzucam. Rozumiecie mnie?

– Rozumiem – odparł ciężko Jan.

Nie pozwolił Wojciechowi więcej się tłumaczyć. Odmowa to odmowa, cóż mu pozostało? Jedyne wysłuchać o zimowej nudzie, o tym, kto aresztowany, a kogo jeszcze czekają. Zapowiadało się, że tego roku nad Stawy ściągnie wielu bitnych chłopów. Ale Jana już to nie dotyczyło. Dla uciechy młodzików, którzy tylko opowieści o nim słyszeli, zmierzył się z Wojciechem w strzelaniu do celu (przegrał sromotnie) i zgodził się siłować z chłopakiem, którego wołali Wół (zwyciężył bez trudu). Dopiero odchodząc, raz jeszcze zwrócił się do harnasia znad Stawów:

– Jeśli receptę na tego niedźwiedzia, co wam frajerki straszy, znajdę, przyjdziecie?

Wojciech uśmiechnął się szeroko, odsłaniając pożółkłe zęby. Heniek zaś mruknął:

– Recept od Wardów nikt nie puszcza mimo uszu.

Wbiegł na Świnicę, przelatując niemalże nad śliskimi płaszciami i śmiało wspinając się stromymi ścianami. Wiedział, że powinien spieszyć do wsi, ale najpierw chciał wypalić całą złość z mięśni i przewietrzyć skołatana łepetynę. Stał na szczycie zlany potem, w potężnym wietrze, który gonił



nad górami. Zdjął kapelusz i spojrzął ku ciągnącym się dalej graniom Orlej Perci. Szarym szczytom, których broniły spękane, pionowe ściany, przewieszki i strome, kończące się ślepo żleby. Gdzieś za nimi spał Żmij, wrośnięty w na pierwszy rzut oka łagodne stoki Wołoszyna. Ilu złudzeniom można było ulec w Tatrach! Pozornemu spokojowi stawów, w których tętniło życie, lękowi przed hukiem życiodajnych kaskad, które kryły jaskinie pełne skarbów... Jan pochylił z pokorą głowę. Pojął, że sam siebie oszukał. Człowiek z bronią – choćby najsilniejszy – znaczył niewiele, jeśli nie umiał stać się częścią tych szaleńczych porządków. Przez lata jedność z nimi przychodziła mu niejako mimochodem. Teraz musiał o nią wreszcie powalczyć.

Ruszył w dół, równie nierozważnym pędem, jak wcześniej. Czekwała na niego porzucona praca. Był też winny Szelestowi wieści... i przeprosiny. Te ostatnie miał nadzieję ukryć gdzieś między słowami. Pokory, która spłynęła na niego na Świnicy, nie starczyło na pewno na płaszczenie się przed nikim.

W Pyszniańskiej Dolinie Jan mimowolnie zwolnił. Wartkie strumienie chwytaly mu wzrok, sprawiały, że potykał się i mylił kroki w marszu. Gdy przeskakiwał nad jednym, miał wrażenie, że ma pod sobą rzekę ognia – jeśli jej dotknie, przepadnie. Powiódł wzrokiem za nurtem i nagle zmartwiało. Drobna, wychudzona postać o połyskliwej skórze siedziała wśród traw, na podmywanym wodą kamieniu. Postrzępione, przypominające sitowie włosy sięgały jej ramion. Hajduk wpierw pomyślał, że wzrok płata mu figle, ale wtedy istota się poruszyła.

– Leleja? – szepnął półprzytomnie.

Postąpił krok w jej stronę i wróciła mu świadomość. Spojrzął w ziemię, wziął głęboki oddech. Gdy ponownie spojrzął w dół strumienia, nikogo nie było.

– Dureń! – sarknął na siebie. – Ckliwy dureń!

Miał nadzieję, że ciemna, duszna kuźnia odetnie go od śmiechu potoków i tkwiących nad nimi wspomnień. W niej jednak znalazł kolejne powody do wątpienia w jasność swego umysłu. Zawile symbole, które, pewien był, wygrawerował na różdze, zniknęły. Oglądał ją od wszystkich stron, coraz bardziej niedowierzając. Wreszcie naklął na gorzałkę, siebie i wciskające się w uszy odgłosy świętowania. Usiadł od nowa do roboty. Jeszcze dobrze nie skończył ryc znaku, gdy spostrzegł, że ten blaknie, zaciera się i w końcu znika.

– Do czorta!

Rozejrzał się wkoło.

– Kowalik, chodź tu! – krzyknął.

Chłopak zajrzał niepewnie do kuźni. Była późna noc – w całym obejściu panował absolutny spokój – Jan zaś czynił hałasu za trzech.

– Kowalik, chodź i patrzże mi na ręce.

– Co się dzieje?

– Nic! Siedź i patrz!

Jan chwycił rylce, raz jeszcze natarł go popiołem z sobótkowych ziół i począł grawerować symbole. Klimek stał pochylony, odgarnął włosy z twarzy, by mieć pewność, że nic mu nie umknie i wpatrywał się intensywnie. Coś dziwnego się działo. Znaki zdawały się spływać miękko z rylca. Żelazo ustępowało za łatwo.

– Jak ojciec to robi, to inaczej rzecz wygląda...

– Cicho! Patrz uważnie.

Zbójnik otarł pot z czoła. Sam nie wiedział, czy woli, by Klimek zobaczył to, co on, czy by poświadczył jego poczytalność. „Chyba lepiej zrobić swoją robotę, nawet jeśli człek od tego oszaleje” – zdecydował wreszcie i wtedy Kowalik krzyknął:

– Zaciera się! Znika!

Wyglądało, jakby ktoś pracowicie zeszlifowywał pracę Jana. Znaki stopniowo traciły na wyrazistości, aż przepadły zupełnie.

– Jaki czort? – Hajduk rzucił rylce na stół. – Ktoś to tykał po odejściu Niemiry? Zanim się za to wziąłem? Albo, teraz gdy mnie nie było?

– Nie... Nic nie wiem.

– Dobra, idź. Chciałem tylko wiedzieć, czym oszalał.

Został sam. Zgasił lampy i oparł ciężko głowę na dłoniach. Frustracja, wściekłość, bezradność i najgorsza w tym wszystkim tęsknota uderzyły spiętrzone lawiną, której nie szło zatrzymać. Myśli miały się od przeklętej różgi do tajemniczej postaci ujranej nad potokiem. „Jeśli jedna złuda okazała się prawdą, to czemu i nie druga?” – szeptał podstępny głos w głowie.

„Bo ona nie żyje!” – Chciał krzyzczeć Hajduk.

Trzasnął pięścią w stół, zerwał się na nogi i wybiegł przed kuźnię. Pognał do Raptusa. Chciał wypalić gorzałką Leleję, Wityszę i wszystkie inne mary, które w ostatnich dniach tak okrutnie z niego kpiły. Już miał pukać w szybę

zamkniętej na głucho karczmy, gdy ziemia drgnęła jakby w ciężkim oddechu. Jan spojrział wkoło. Nad czarną granią Dymnego Muru kładły się gęste kłęby mgły. Spływały wzdłuż pochyłych ścian i otulały troskliwie domostwa. Mężczyzna zamarł z uniesioną ręką. W szybie zobaczył napuchniętą twarz ojca. A może swoją? Przeraziło go, że ledwo je rozróżnia.

– Dureń! – ryknął na siebie. – Chciałeś zemsty, a dobijasz się o wódkę?! Tfu! Wyrzekałeś na Szelesta, że zrzucił wszystko Niemirze na barki. I co? On teraz jej strzeże, ona budzi góry do tańca, a ty...?!

Trzasnął pięścią w ścianę obok okna, po czym wyrwał zza pasa ciupagę i wymachując nią, jakby rąbał niewidzialnego przeciwnika, ruszył z powrotem do kuźni.

Nad ranem, gdy miast po raz kolejny rozpoczynać grawerunki, w skupieniu przebierał zioła, szukając w nich odpowiedzi, zaszedł do niego Kowalik.

– Chyba wiem, co się stało.

Jan spojrział na niego zapuchniętymi oczami. Gestem zachęcił do mówienia.

– Tylko się nie złościć. Teraz się dopiero dowiedziałem, jak rozpytywałem, czy ktoś poza wami, ojcem i mną do kuźni zaglądał. – Wziął głęboki wdech. – Matula księdza sprowadziła. Święcić cały dom kazała, a kuźnię i wszystko, co Niemira tykała, to najbardziej.

– Co?! – Jan zerwał się z miejsca. – Od świętego Klemensa proboszcz? Ten staruszek?

– Ano. Tak mówiła, że jego samego ubłagała, choć chromy.

– Baba głupia! Cóż jej do łba...!

– Nie złościć się, błagam. I ciszej. Matuli powiedziałem, że teraz z tego nieszczęście. Przejęła się bardzo. Ale nie jej wina. Sama od nieszczęścia nas chciała chronić. Mówiła, że była parę dni temu w Kościelisku. Wyszły jej naprzeciw kobiety, z którymi zaprzyjaźniona... i przeganiać ją poczęły. Nie żeby groziły, co to to nie. Przestrzegały. Że chłopcy to teraz poszły, ale jak wrócą, to nikomu z Dymnego Wąwozu nie przepuszczą. Że one słyszały, jak to z naszych czarów mór jakiś przyjdzie. Matka przeraziła się, pomyślała, że to o czary Niemiry i tę historię z Wityszą rzecz idzie. Bała się komu rzec, żeby i we wsi ludzie się przeciw nam nie podnieśli. Po księdza tylko prędko posłała. Z błaganiem, by chałupę ze złych sił oczyścił. No i przyjechał, poświęcił. Was nie było, mnie też nie. Ojciec wiedział, ale co on tam się kłócić będzie.

Jan usiadł ciężko. Wściekłość mieszała się w nim z rozbawieniem. Przypomniawszy sobie, że bożątka, które z wieściami do Szelesta słał, nie chciało jakoś progę Kowali przestąpić. Piecuch też się wyniósł, ale góral zwał wszystko na niechęć Jadźki. A tu masz! Zrobiła baba wiosenny porządek w chałupie! Na własne nieszczęście. Sądząc po wieściach z Kościeliska, Dalegor się zbroił. A ona właśnie wytrącała im oręż.

– Znana przyczyna, może i znane remedium na nią będzie. Zastąpisz mnie dziś przy ojcu. Muszę iść do Szelesta.

– Powiecie mi, co się dzieje?

Jan westchnął ciężko.

– Tak. Powinniście wiedzieć. Matce i ojcu powtórzysz.

Począł składać historię z opowieści Szelesta i Wojciecha znad Stawów. Gładko splotły się z doniesieniami Jadźki i bezproduktywnymi wysiłkami nad laską Wityszy. Oczy Kowalika się rozszerzyły. Przesunął palcami po żelaznej różdze.

– Może ja zacznę za gońca robić, a wy siądziecie spokojnie nad pracą. Przecie, jeśli nie wytrącimy Dalegorowi morowej dziewczicy z ręki... – zaczął, ale Jan szybko mu przerwał.

– Szelest nie byłby rad cię widzieć, a to z nim głównie teraz mówię.

– A Niemira...?

– Tam, gdzie jest, żadnemu człowiekowi nie wolno się zbliżać.

Kowalik zagryzł lekko wargę, zmarszczył nos. Usiadł wreszcie na zydlu, począł obracać w rękach rylce, którymi pracował Jan.

– Daj ty sobie, Klimek, z nią spokój – rzucił nagle zbójnik, zabierając mu z rąk narzędzia. – Fajny jesteś chłopak, jakąś normalną sobie znajdziesz.

– Dałem sobie już, dałem – mruknął. – Martwię się tylko. Z tym leszym to rzeczywiście lepiej, żebym nie mówił. Ale jakby ona się gdzie pojawić miała, powiecie mi? Nic ja tam od niej nie chcę. Nie, żeby mi wcześniej to i owo po łbie nie łąziło, ale też ślepy nie jestem. Ona gdzie indziej się widzi, jej rzecz. Ale co się nagadaliśmy i nakłóciliśmy to nasze. Pomagała mi, ja jej, gdy mogłem. Głupio tak nagle wszystko jej zostawiać i udawać, że mnie sprawa nie dotyczy. Jak dotyczy. Mnie i całej wsi. Ona chyba jeszcze między ludzi wróci kiedyś...?

Hajduk zmilczał, choć w pierwszej chwili chciał potwierdzić. Wreszcie rzucił tylko:

– Zabiorę cię, jak będzie gdzie w pobliżu. Zobaczyć ludzką twarz dobrze jej zrobi.

## ROZDZIAŁ 24

– To dziś? – Niemira zapatrzyła się w prześwitujące przez sieć korzeni niebo. – Naprawdę uważasz, że powinnam iść?

Wizja powrotu – z początku rozpaczliwie wyczekiwanego – budziła w niej paraliżujący strach. Zgarbiony Wiz wyciągnął komicznie szyję, aż jęknęły napięte mięśnie wierzbowych witek.

– Nie lubię powtarzać – stwierdził oschle.

– Wiem, ale...

– Więc nie każ mi powtarzać. Idź ćwiczyć na ziemi, która jest twoja. Z tej wyciągnęłaś, ile mogłaś.

– Wciąż nie jestem gotowa.

– Na co? Nie w tej ostoi będziesz, gdy przyjdzie budzić Żywogórca.

Niemira roztarła gęsią skórkę, która wystąpiła jej na przedramiona. Spojrzała błagalnie na borowego.

– Wiz, potrzebuję twoich rad.

Poruszył się na siedzisku jakby trochę zakłopotany. Zwieszający się z powały korzeń, który nieraz strzelił ją w twarz czy po łapach, gdy spierała się z panem ostoi, teraz połaskotał ją łagodnie w policzek.

– No i właśnie dlatego musisz iść. Nie będzie moich rad, gdy przyjdzie co do czego. Góry czują twój taniec. I ty już wiesz, jak zmienny musi być. O każdej porze roku Żywogórzec śni inaczej. Z każdego miejsca inne melodie do niego płyną. I w każdym miejscu inny rytm powinien być grany. Teraz musisz to wszystko rozwikłać już sama. Jeśli chcesz mojej rady... Ćwicz na swojej ziemi. Tej, której będziesz bronić. Połącz wreszcie te światy.

Zamilkł na chwilę, ale Niemira czuła, że nie skończył, a nie należało mu przerywać. Skulił się wreszcie na powrót i odetchnął ciężko, aż zadrgała cała pieczara.

– No i powtórzyłem – stwierdził z przekąsem. – Pora na ciebie.

Przez ostoję Wiza biegła, nie mogąc wytrzymać sam na sam ze swoimi myślami. Szelest czekał nieopodal, gotowy odprowadzić ją do świata, który tak bardzo bała się zawieść swoim powrotem. Ledwo go zobaczyła, rzuciła mu się w ramiona. Od czasu napaści Dalegora, kradła cenne chwile

odpoczynku i poświęcała je leszemu. I choć wciąż i wciąż było ich za mało, starczyły, by ośmielić oboje. Rozplątać trochę węzeł wątpliwości, wstydu, dawnych uraz i wyrzutów sumienia. Oswajali się wzajem, choć odwrotnie, niż gdy człowiek oswaja zwierzę. Raczej dzika natura, z którą się kryli, powoli budziła się w obojgu.

Szelest przygarnął dziewczynę mocno do siebie i pocałował. Przez skórę czuł jej strach i niepewność.

– Chodźmy od razu – zdecydował. – Nie każmy im dłużej czekać.

– Im?

Wiedziała, że Jan zamierza zjawić się na Jaworzynowym Wale – we trójkę mieli omówić ostatnie wydarzenia i rozważyć dalsze kroki. Poza tym mężczyźni, choć nie wspominali o tym głośno, nie zamierzali spuszczać Niemiry z oka nawet na chwilę. Jeśli w ostoi borowego nie była bezpieczna, to w okolicach ludzkich osad tym bardziej. Leszy zaś nie wszędzie mógł za nią pójść.

– Hajduk przyprowadził Kowalika. Uznał, że tak łatwiej ci będzie wrócić między ludzi. – syknął z gniewem Szelest.

Choć Niemira nawet nie myślała, by prosić o taką asystę, zrobiło jej się ciepłej na sercu.

– To dobrze – stwierdziła prosto. – Będzie łatwiej.

Było. Widok jasnego spojrzenia Klimka i jego radości ze spotkania zdarł z duszy Niemiry pajęczynę lęków. Świat Cierpkówki, tak przez ostatnie miesiące nierealny, stał się nagle bliski i witał ją uśmiechem. I nieważne było, że Szelest nie potrafił ukryć niechęci do chłopaka, ani to, że Hajduk przekazywał coraz bardziej alarmujące wieści z Kościeliska. Kowalik zdał jej się zmieniony. Zmężniał. I widać to było niezaprzeczalnie, mimo że wydarzenia zimy odbiły się na jego wyglądzie. Schudł, postura nieco mu się skrzywiła, jakby ranne ramię ciągnęło do ziemi. W wyrazie twarzy jednak, w linii ust i kości policzkowych odbijała się siła charakteru. Usiedli we czworo przy ognisku, rzucili mięso na ruszt, Klimek puścił w obieg butelkę nalewki, którą podkradł matce z podarków znoszonych latem Niemirze. Podczas gdy Jan z Szelestem rozważali, co dalej czynić z różgą Wityszy, Kowalik zaczął dzielić się zwyczajnymi plotkami. Miło było posłuchać o narzeczonym kolejnej z jego sióstr i o burdzie w karczmie u Raptusa. Zobaczyć, że życie toczy się normalnym rytmem mimo wiszących nad

wszystkim cieni Kościeja i Dalegora. Odciąć się od głuszy strzeżonej przez Wiża, mdłego zapachu trzęsawiska i wyczerpania tańcem.

Nie na długo jednak. Z boku nadpłynęły nagle słowa Jana, które brutalnie ściągnęły Niemirę w bagno codzienności.

– Wszystkie brzeginy Dalegor pomordował? – pytał Szelesta, wodząc wzrokiem po ziemi. – Żadnej już tu nie ma?

– Jeśli jakieś ocalały, pierzchły daleko. Ich siła jest w grupie. Samotne albo znajdują inny krąg, albo szeszną.

Leszy wpatrzył się czujnie w przyjaciela. Pytanie go zaskoczyło i jednocześnie zaniepokoiło. Hajduk sam zresztą czuł, że wchodzi na grząski grunt. Przetarł dłonią twarz, wyciągnął fajeczkę i zaczął w skupieniu ją nabijać. Zapalił. Złuda znad potoku nie dawała mu spokoju. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej przekonywał się, że to nie mogło być przywidzenie. Tęsknota przywołałaby mu przed oczy Leleję taką, jaką była. Rozkwitłą, zmysłową i barwną. Ta mara przypominała zaś raczej wychudzone dziecko.

– A co jeszcze żyje nad potokami?

– Zależy, o co pytasz i gdzie szukasz – odparł z pewną irytacją Szelest. – Czemu drążysz?

Hajduk machnął ręką. Obaj zerknęli równocześnie na Kowalika. Ani Szelest nie zamierzał dzielić się wiedzą przy chłopaku, ani Hajduk opowiadać o swoich tęsknotach i widziadłach. Zmilczeli więc.

Energia wiosny, kotłująca się w Dymnym Wąwozie, przytłoczyła Niemirę. Wichrzyki i Cierpkówka powtarzały swój coroczny taniec prac w polu, przy inwentarzu i wokół nadszarpniętych przez zimę domostw. I dla żadnego innego tańca nie było tu już miejsca. Ba! Nawet dla siebie samej dziewczyna już go nie widziała. Patrzyła na skupione twarze gazdów łowiących promienie wieczornego słońca na progach chałup. Na uśmiechy panien sypiących kurom ziarno i pot spływający z czoła parobkom. Świat, który tak ją nęcił w opowieściach Kowalika, odepchnął ją obojętnie, gdy tylko się do niego zbliżyła. Jak miała nieskrępowanie tańczyć przed poważną Felicją z Raptusów, która łajała właśnie jedną z córek za szwendanie się z juhasami? Jak mogła zatrząść ziemią Wąwozu, w którym każdy stał niezamordowanie na straży swojego spokoju?

Kowal przyjął ją długą połajanką. Uniósł nawet rękę, jakby chciał sprać komornicy skórę, ale znieruchomiał nagle i wycofał się z zamiaru. Wtedy



pierwszy raz Niemira dostrzegła wspomnienie swoich dawnych wyczynów i cień, jaki za sobą ciągnęło. Potem to samo zawisło między nią a Kachną i stopniowo wpełzało w codzienność Cierpkówki. To uciszyło śmiechy wracających z wyrębów chłopaków, to znów wypłoszyło z gospody żonę Spalenika...

Niemira upatrywała w tej skazie swojej nadziei – rysy, przez którą wsączy się tajemnica Żywego Wierchu. Czego jednak nie próbowała, góry milczały, a ona czuła się w najlepszym wypadku śmieszna. W gorszym – upokorzona. Kryła swój taniec przed ludźmi, lecz mimo tego cały akt stracił dla niej swą intymność. W Dymnym Wąwozie dość było miejsca na dwa tuziny obejść, ale stały gęsto, a wiosną górale zdawali się wyrażać z każdej dziury w ziemi. Niemira zaczynała i zaraz przerywała. Czasem dostrzegając obserwatora, czasem jedynie sobie go wyobrażając. Jeśli próbowała kontynuować, wszystkie myśli i tak lgnęły do ludzi, a miast rytmu Żywego Wierchu przychodził rytm razów, które zebrała w sobótkową noc.

– Więc może chodźmy najpierw na halę – zaproponował Kowalik.

Podsłuchiwał, gdy trzeciego dnia żaliła się Janowi na swoje niepowodzenia. Miała nadzieję, że pozwoli jej odpocząć przy kowadle czy grawerunkach, ale był nieubłagany. Cóż jej pozostało – pomysł Klimka był lepszy niż brak pomysłu. Zawitali we dwoje pod uspioną jeszcze bacówkę. Wyżej leżały zrzucone na stosy drewniane deski. Trzeba było odbudować juhaskie szafasy, które zimą zniszczyła lawina. Szczęściem jednak tego dnia nikt przy nich nie pracował.

– O! Trza będzie powiedzieć ojcu, że zawias nie wytrzymał! – Chłopak począł oglądać bacówkę.

„Po co?” – błysnęła nieprzyjemna myśl Niemirze. – „Dalegor nie będzie czekał do redyku. A ja tego tańca nie powtórzę”.

Miała trzy niedziele.

Stanęła w miejscu, w którym na Sobótkę płonął hipnotyzujący ogień. Przywołała go przed oczy. Powoli wyciągnęła przed siebie miecz.

– Mogę patrzeć? – spytał Kowalik.

Miała ochotę odmówić, ale rozsądek podpowiadał, że okietznanie ludzkich spojrzeń to też część nauki. Skinęła głową. Powoli puściła ręce w taniec. Gięły się wężowo, kreśląc wokół dziewczyny zawiłe znaki i zaznaczając akcenty błyskiem ostrza. Biodra poszły za ich rytmem nieco leniwie. Niemira czuła zachwyty Kowalika, ale nie mogła znaleźć właściwego rytmu.

To był znów taniec ludzi, nie gór. Nie przerywała jednak. Rozpuściła włosy i wygięła się, wbijając wzrok w błękitne niebo. Oszałamiającym kolorem wytrąciło jej miecz z dłoni. Pognała w obrotach, w zbójnickim stylu wyskoczyła w powietrze. Odpowiedział jej ostry gwizd i kłaśnięcie. Klimek o mało sam nie wyrwał do tańca. Bawiła się tak jeszcze przez chwilę, mieszając zmysłowość z popisami sprawności. Gdy wreszcie znieruchomiła, nie czuła nawet odrobiny zmęczenia, choć pot perlił jej się na czole.

„To nie to...” – westchnęła w myślach, ale nie było w tym niepokoju, Ruch oczyścił ją ze smutków i obaw ostatnich dni.

– Piękne to było – wydukał Kowalik.

Z trudem przychodziło mu odnaleźć słowa. Dziewczyna podziękowała i dała znak, by wracali. O równy krok było mu jeszcze trudniej.

Widok przemykającej się pod ścianą wąwozu Niemojki zaskoczył Niemirę. Dziewczynka przeskakiwała z głazu na głaz, sprawnie łapiąc równowagę na śliskich, spęczniałych od wody mchach. Miedziane, rozpuszczone włosy tańczyły wokół jej pełnej twarzyczki, a skromna, przemoczona sukienka kleiła się do kolan.

– Wolno jej tak samej?

Kowalik wzruszył ramionami.

– Chyba nie, ale upilnować jej nie mogą. Ucieka do ojca podobno.

– Spalenik? Co z nim?

– Palców część potracił, mało brakowało, a Antek by mu stopę ciął...

– To wiem. To jeszcze jak u Wardów był.

– A tak. A teraz? Cóż... Niby u rodziny mieszka, ale odkąd cieplej się zaczęło robić, łązi po wsi jak upiór. Mówią, że czasem do kościoła zachodził i że nawet na ofiary coś dawał i u księdza wybaczenia prosił... Pomyłony jak był, tak jest.

– Lepiej, żeby go pilnowali. Jeszcze mu co Dalegor zrobi.

– Chcesz, to im powiedz. Myślę, że dość zmartwień mają, żeby prosić oszałałego pod dach. Nie rozumieją zbyt wiele z tego, co uczynił. Zresztą... Jak by go mieli ustrzec?

Niemira powiodła wzrokiem za skręcającą w stronę zwałiska głazów Niemoją i uśmiechnęła się do siebie.

– Nie wiem... Ale może się dowiem – mruknęła.

Tymczasem jednak pozostało jej wrócić do kuźni i opowiedzieć o kolejnej porażce. Jan był zaskoczony, jak łatwo tym razem się z nią pogodziła. Zdawała się pogodna i spokojna jak rzadko. Tego samego nie można było powiedzieć o nim. Podpowiedzi Szelesta – lakoniczne i okraszone sownie wątpliwościami – skierowały go ku mocy Podhalańskiego Gazdy. Jednak ani narzędzia skropione przez księdza święconą wodą, ani namaszczone woskiem z gromnic czy rozgrzewane w ich płomieniu, nie działały. Jan rył symbole z coraz większą wprawą, ale najdalej nazajutrz znikwały. Myślał nawet rozpytać o jakiegoś niedouczzonego wikariusza i namówić go, by spróbował wygrawerować kilka znaków ręką Pon Buckowi służącą. Pomysł wydał mu się jednak odrażający. Jeśli trzeba było obrazić Podhalańskiego Gazdę, wykorzystując jego moc dla dobra demonów, wołał ten grzech wziąć na siebie. Co innego ludzi łupić, co innego kusić, żeby ksiądz duszę na szwank wystawiał. O swoją się nie martwił. I tak wiedział, że aby ją odkupić, musiałby chyba samodzielnie cały kościół sfinansować. A czynić tego bynajmniej nie zamierzał. Porzuciwszy więc ten plan, miotał się dalej, targany narastającą frustracją.

– Dalej nic? Myślałeś Wołosowi sprawę powierzyć? – spytała Niemira, siadając na brudnej podłodze.

Klimek spojrzał ciekawie na Hajduka. Ten zaklął i cisnął rylec przez pomieszczenie.

– To pierwsze, co zrobiłem. Szelest odradzał. Mówił, że Wołosowi nie w smak to, że byle wołchw para się magią ustalającą porządku między demonami. Ale i tak poszedłem Między Ściany, złożyłem ofiarę, jak mnie ojciec uczył. Nie pomogło. – Rozłożył ręce. – Więc szukam pomocy u tego, co to wszystko, za przeproszeniem, zepsuł. No i szukam...

Dziewczyna zamilczała. Wstała i poczęła porządkować narzędzia. Jan pracował za trzech, ale nie zwykł pilnować ładu. Klimek pochylił się nad żelazną różgą. Przesunął palcami po jej powierzchni. Sam intensywnie myślał, jak zaradzić sytuacji. Wstyd mu było, że to z zapobiegliwości jego matki taki problem wynikł.

– Może w burzę mocy gromnic szukać? – rzucił.

– Może...

Zapadła cisza. Każdemu z nich przeszło przez myśl, że do burz mogą nie doczekać, ale żadne nie chciało tego powiedzieć na głos. Jan wyszedł na

próg kuźni i zapalił fajeczkę. Niemira oparła się o framugę za nim. Łebek wbitego w nią gwoźdźcia uszczypnął ją w dłoń. Syknęła i cofnęła rękę.

– Mogę o coś spytać?

Wypuścił z ust kłęb dymu i skinął głową.

– Czemu pytałeś o brzęginę?

Szerokie ramiona mężczyzny drgnęły w nagłym skurczu.

– Nic ważnego.

– Widziałeś gdzie jakąś?

– Nie drąż, Niemira. Nie twoja rzecz. Ot, zdało mi się.

– Pewien?

– Pewien! – warknął Jan.

– Rozumiem. Wybacz... Po prostu myślę ostatnio o śpiewie. Wiesz... Żywogórzec wsparł Matochę w walce, ale wówczas śpiewały mu też brzęginy. Nie tylko rytm kopyt demona był potrzebny, by go obudzić.

– Słyszałaś Szelesta. Brzęgin nie ma. Będziesz musiała dać sobie radę sama.

– Wiem. Dlatego przez chwilę się zastanawiałam... – Machnęła ręką i przysunęła ją do ust, by zlizać kropelkę krwi.

– Śpiew? – Padło nagle z głębi kuźni.

Jadźka często do niej zachodziła w ostatnim czasie. Nieproszona przynosiła zbójnikowi strawę i napitki, zagadywała, dbała o bożęta. Teraz też przyszła, niosąc odmierzone ziarno. Sypnęła je po kątach, przysłuchując się rozmowie.

– O jakież śpiew wam chodzi? – poczęła dopytywać.

Niemira powtórzyła spieszenie historię. Jan był nadal wściekły na gospodynię, choć widział, że ta stara się zadośćuczynić za swoją winę. Nudziło go jej gadanie, a teraz jeszcze irytowało wścibstwo. Milczał więc zaciekle, by nie uchybić gaździnie nieuprzejmym słowem.

– To rozumiem – podjęła Kowalowa, wysłuchawszy opowieści. – Ale co zaśpiewać trzeba?

– No... Pieśń brzęgin. – Niemira spojrzała na nią zupełnie skołowana.

– No ja wiem. Ale jakie słowa? Melodia jakaś?

Jan spojrzał przez ramię. Wciąż z fajką w zębach, uśmiechnął się półgębkiem i mrugnął do Kowalika. Niemira stała jak wrośnięta w ziemię.

– Nie wiem... – wydukała wreszcie.

– Ja myślę, że trza się dowiedzieć – kontynuowała Jadźka. – Gaździny z córkami bym skrzyknęła. Te, co przy procesjach czy uroczystościach śpiewają. Jakbyśmy tak się nauczyły... Przecież jak dla samego Podhalańskiego Gazdy nasz śpiew dobry, to czemu nie dla jakichś demonów?

Hajduk parsknął śmiechem. Omal nie zgubił fajki. Niemira plasnęła się ręką w czoło.

– Głupio mówię? – Kowalowa cofnęła się pół kroku.

– Mówicie genialnie – wydukał Jan, wciąż się śmiejąc. – Pomyśl, Niemira. Matochę zastąpimy tobą, chór brzegin chórem bab ze wsi... Czegóż więcej trza do szczęścia? O! Laskę Wityszy z kija zrobimy.

Dziewczyna pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Jest w tym coś kusząco oczywistego... Aż wstyd, że sama nie pomyślałam. Tylko... Gdyby rzecz była tak prosta, czy Wiź by mi nie powiedział? Nie kazał uczyć się tańca do konkretnej melodii?

Jan westchnął.

– Wszystko na razie, co w pomysłu proste, komplikuje się. – Spojrzał znacząco na żelazną różgę. – Ale jeśli brak innych tropów? Jeśli nawet nie Wiź czy Szelest... Może są w lesie jakieś duchy, rusałki czy wiły, które tę pieśń znają?

Niemira skinęła głową.

– Idź.

– Poradzisz sobie sama? – Hajduk odepchnął przedwczesny entuzjazm. – Nie będziesz bezpieczna...

– Idź – powtórzyła z naciskiem.

Nie mogła wzbronić Janowi poszukiwania jego mary. Zwłaszcza w chwili, gdy znalazł po temu dobry pretekst. Nawet jeśli czas naglił, a okoliczności nie sprzyjały. To mógł być sposób na odnalezienie jego samego.

## ROZDZIAŁ 25

Zostali z Klimkiem we dwoje, jeśli nie liczyć Przylepy, który rzucił się na przyniesione przez Jadźkę ziarno. Niemira podeszła do stołu, przy którym pracował Jan. Z przyzwyczajenia zaczęła porównywać nową laskę Wityszy z połamanym oryginałem.

– Tak niewiele brakuje – westchnęła.

Kowalik stanął obok niej. Milczał. Dziewczyna starła z dłoni kroplę krwi i przysiadła na zydłu.

– Skaleczyłaś się?

– Tak. Nic poważnego. Drzazga w futrynie czy coś.

Chłopak zmarszczył czoło. Bezwiednie podszedł do drzwi.

– Gwóźdź... – mruknął.

– Być może – odparła obojętnie.

Jego spojrzenie przyłgnęło do wystającego nieco, żelaznego łebka. Było ich więcej. Kutych z wielkim pietyzmem i wbijanych po trzy w każdy Wielki Piątek, jako symbol trzech gwoździ, którymi do krzyża przybito Paniezusa. Mało który rytuał praktykowano w tym domu z taką starannością.

Kowalik chwycił za obcęgi. Czuł, jak palą go policzki, gdy mocował się z tkwiącym we framudze bretnalem. W duchu prosił Pon Bucka i wszystkie tatrzańskie demony, by matka ani ojciec nie zajrzeli do kuźni. Cieszył się też, że Niemira nie zwraca uwagi na jego krzątanie. Nawet jej się w tym momencie wstydził. Podwazał łebek, ciągnął, kręcił, szarpał. Po chwili miał już w rękę długi na palec, solidny gwóźdź o kwadratowym przekroju. Otarł pot z karku i z wahaniem zbliżył się do dziewczyny.

– Spróbuj tym...

– Tym?

– Tak. Nie pytaj, później wyjaśnię. Sprawdź, może to coś da.

Jej wzrok przemknął najpierw po czerwonej twarzy Kowalika, a potem skierował się ku drzwiom. Chwyciła nietypowy rylec i pochyliła się znów nad stołem. Jeszcze nim wyryła pierwszą kreskę, poczuła, że dzieje się coś szczególnego. Jakaś siła prowadziła jej dłoń, a znaki spływały z gwoździa na żelazną powierzchnię różgi niczym farba na deskę.

– Znalazłeś to!

– Nie wiemy, czy nie zniknie. – Kowalik, chyba przestraszony własnym pomysłem, starał się tonować radość Niemiry.

– Zobaczymy jutro. Ale... Nie, nie zniknie. Zobaczysz, że nie zniknie. – Objęła go serdecznie, śmiejąc się. – Jan to powinien dokończyć. Choćby dla siebie. Daj mu to jutro.

– Powiedzieć, skąd...?

– Nie oburzy się. – Wzruszyła ramionami. – Ale jeśli nie chcesz, nie musisz. Spraw za to jakąś oprawę. Łatwiej będzie trzymać.

Oglądając laskę następnego ranka, Niemira czuła jeszcze odrobinę niepokoju. Lecz symbol, który wyryła gwoździem, trwał niezmienny. Podniesiona na duchu, wyszła na podwórze. Na obejściu zawsze było co robić, przez chwilę krążyła więc między inwentarzem a szopą. Cały czas jednak miała na oku drogę wiodącą na tyłach gospodarstwa – pod samą nachyloną ścianą wąwozu. Wkrótce dostrzegła dziecięcą postać przeskakującą po kamieniach. Szybko zabrała uszykowany nocą pakunek, narzuciła na ramiona sfatygowaną chustę od Jadźki i pobiegła za chałupę. Przeszła przez podgniły płot, który ze względu na wilgoć i głęboki cień niemal co roku trzeba było naprawiać, i weszła w połacie głębokich mchów. Ku jej zdziwieniu mała zatrzymała się i wpatrzyła w nią wyczekująco.

– Witaj, Niemoja. Dokąd to?

– Witajcie, Niemiro – odpowiedziała poważnie sześciolatka.

Kiwała się z nogi na nogę, rączki co chwilę podnosząc do włosów. Na policzki wystąpił jej rumieniec.

– Do tatusia idę.

– Mogę iść z tobą?

– Chyba możecie. Tato nic nie mówił – odparła po namyśle.

Ruszyły różnym krokiem w stronę miejsca, gdzie ściany wąwozu łączyły się, zamykając go ślepo. Niemoja, z początku trochę zawstydzona, szybko oswoiła się z towarzystwem. Bez skrępowania wspierała się na Niemirze, gdy przyszło przeskakiwać między oddalonymi od siebie głazami. Raz nawet kazała się przenieść. Wytłumaczyła skwapliwie, że mchy i trawy to w istocie przyczajone potwory, gotowe w jednej chwili pochwycić nieuważnego wędrowca i wciągnąć do podziemnej jamy. Jeden dotyk i mogłyby się zbudzić!

Dno w głębi wąwozu pięło się łagodnie w górę. Zostawiało w tyle zieloność traw i krzewów i dumnie prezentowało szare skały, zdobne gdzieś w wykwity kwarcu. Niemoja, zadyszana od swoich akrobacji, zrezygnowała z dalszych skoków. Uczepiła się ręki towarzyszki i paplała bez ustanku. Zmilkła na moment, gdy stanęły u stóp zwornika. W miejscu, gdzie dwie potężne ściany stykały się, z grani wyrastał przewieszony nad wąwozem, skalisty szpon. Przecinały go liczne szczeliny, poniżej zmieniając się w stromy żleb pełen odgałęzień. Jedno z nich niknęło za odłupaną, skalną płytą, która zdawała się trzymać ściany cudem lub jakąś diabelską mocą. Mieszkańcy wąwozu wiedzieli, że w osłoniętej nią, wielkiej jaskini żyją dziwożony. Zagłądano więc w tę okolicę niechętnie. Niemira chciała zatrzymać małą, gdy ta poczęła drapać się w górę. Wspinaczka żlebem była wymagająca. Jednego roku przyjechali nawet turyści zwący się taternikami i próbowali pokonać przewieszkę Szpona. Był wypadek, cofnęli się... Potem wyczynu dokonał przewodnik z Zakopanego, ale Niemirę mało to obchodziło. Tutejsi mieli swoje ścieżki i woleli na nich siłować się z górą. Niemojka jednak ewidentnie ich nie знаła. Kilka ruchów i już stała na wąskiej półeczce, która dalej prowadziła ku warstwom kruchych płasni. Nie przestawała przy tym mówić, choć rwała nieco wyrazy, gdy brakło jej oddechu.

– Nie-moja... Nie-mira...

Stanęła i obróciła się tak gwałtownie, że aż musiała przycupnąć, by nie upaść.

– Nie-moja i Nie-mira. Niem-oja i Niem-ira! Jesteśmy trochę jak siostry! – ogłosiła, uśmiechnięta szeroko.

– Trochę... – wymamrotała Niemira, zaskoczona logiką małej.

Nie myślała nigdy o niej jak o siostrze. Ani przez chwilę. Spalenika też zresztą nie miała za ojca. A jednak teraz to słowo wypowiedziane na głos dziwnie ją uradowało.

– Czeka! Wysoko to chcesz jeszcze włączyć? Nie ma innej drogi?

– Nie wysoko. Tato nie pozwolił wysoko. Tylko do pustelni – ostatni wyraz wymówiła z wielkim namaszczeniem. – Masz siostrę? – Nie zrezygnowała z poprzedniego tematu.

– Nie.

– Ja też nie. Chcesz mieć?

– Niemoja! Patrz, jak idziesz, bo spadniesz.



Mała się wzdrygnęła. Spojrzała wyraźnie nadąsana, usta zaczęły jej drżeć.

– Ale chcę, chcę – uzupełniła szybko dziewczyna. – Tylko naprawdę uważaj.

Dotarły do szerokiego otworu jaskini. Niemoja sprawnie przewinęła się przez próg i zniknęła w głębi. Niemira dogoniła ją. Spojrzała do środka. W dole otwierała się potężna komnata o płaskim, wyżłobionym wodą dnie. Spalenik do wejścia podstawił drabinę. Niemira spostrzegła, że mała musi chwilami zwieszać się na prawie prostych rękach, by zejść – brakowało kilku szczebli.

Wojciech siedział na głazie, w miejscu, gdzie światło dnia już nie sięgało. Podparł zarośniętą brodę na dłoniach i patrzył tępo przed siebie. Niemoja, niezrażona jego bezruchem, przywitała się serdecznie i zapowiedziała towarzyszkę.

– Niech stąd idzie – odparł zachrypniętym głosem. – Ja znów coraz głębiej...

Wstał nagle. Minał córkę, która podreptała za nim jak lojalny psiak i podszedł do Niemiry.

– Śniło mi się, że wyjdę po drabinie... – powiedział, patrząc w górę. – Ale nie. Nie da się.

– Da. Tato, ja wam pokażę. – Niemoja uczepiła się ręki ojca.

Nie cofnął jej, ale nie było w tym nawet odrobiny uwagi. Niemira, zeskakując właśnie z ostatniego szczebla, zerknęła za siebie.

„Ach tak... Siedem”.

– Wy wyrąbaliście pozostałe szczeble?

– Ja.

– To chodźcie ze mną. Zaprowadzę was tam, gdzie we śnie mieliście dotrzeć.

Oczy Spalenika rozbłysły na moment, ale zaraz przygasły.

– Nie. Już za późno. Stało się – jęknął.

Wyrwał rękę z uścisku córki i zawrócił w głąb jaskini.

– Mnie już tylko ciemność...

W oczach Niemojki poczęły się zbierać łzy. Chwyliła pasmo miedzianych włosów i mocno przygryzła. Niemira położyła jej rękę na ramieniu. Czowała, jak wzbiera w niej gniew podobny temu, który towarzyszył opiece nad marniejącym w żałobie Janem. Tylko tym razem nie była bezradna.

– Dość tego, Spalenik!

Tupnęła nogą, chwytając Niemoję za rękę. Dno jaskini drgnęło ciężko jak ospały olbrzym. Góra zahuczała nisko. Niemira zgarbiła się pod ciężarem własnego ruchu, zaraz jednak uniosła głowę.

– Zawiniłeś. I przyjmiesz teraz naszą pomoc. Czy tego chcesz, czy nie. Jeśli musisz, przyjmij to jako karę.

Postąpiła krok naprzód, Spaleniak zaś jej naprzeciw. Widziała, że drży, kuli się i pociera nerwowo okaleczone dłonie. Spróbowała się doń uśmiechnąć, ale w głowie wciąż pobrzmiwał jej groźny pomruk góry.

– Weź Niemoję na barana i w drogę. Mamy kawał do przejścia.

Wołos wygrzewał się w wiosennym słońcu. Od chwili, gdy weszli do wąwozu Między Ściany, Niemira intensywnie czuła jego obecność. Powierzchnie niepokojącą, ale odbijającą się kojącym echem w głębi duszy. Wąwóz rozkwitł. Spomiędzy traw i kamieni wychynęły krokusy, krzewy napęczniały zielenią, kryjąc wejścia do nisz i jaskiń.

– Kozice!

Drzemiąca dotąd na ramionach ojca Niemojka wyprężyła się jak struna i wycelowała palec w dwa senne capy, siedzące u stóp świętej figury. Reszta stada pognęła w górę zbocza, gdy tylko usłyszała ludzi, ale te dwa zdawały się zupełnie obojętne.

– Postaw tu córkę – nakazała Niemira.

Wręczyła mężczyźnie torbę, którą zabrała z chałupy. Był w niej miód, garść ziarna, orzechów i suszonych grzybów. Wszystko, czego było trzeba, by nasycić boga i jego demony.

– Złożysz ofiarę. Poczekasz do zmierzchu, wychwalając imię Wołosa i dziękując za potęgę Tatr, które ci zdradził. Prosił będziesz nie o przebaczenie, lecz o to, by Wołos przywrócił cię córce. By oddał waszą rodzinę na powrót w opiekę Roda.

Spaleniak pokiwał głową. Łapał gwałtownie powietrze jak ryba wyciągnięta z wody, a po czole spływał mu pot.

– Od zmierzchu do północy będziesz czujnie nasłuchiwać. Jakie zwierzęta tej nocy zasłyszysz, te będziesz musiał przed Sobótką złożyć w ofierze, by się wykupić. Wszystko pojąłeś?

– Tak – wydukał.

Widziała, że był przerażony. Zawołał nawet za nią, gdy odchodziła, prowadząc za rękę Niemoję, ale udała, że nie słyszy. Zresztą jej nowa siostra była wystarczająco zajmująca.

– A koziołki? Mogę jeszcze popatrzeć na koziołki?

– Lepiej nie. Chodź, zrobię ci wianek z krokusów.

Odeszły, zostawiając górala sam na sam z figurą Wołosa. Capy jak na sygnał podniosły się na nogi. Gdy podchodził, nastawiły haki i zaparły się jak do ataku. Stały jednak nieruchomo na straży, gdy wylewał miód u stóp posągu i obsypywał byczą głowę ziarnem. Kiedy skończył i usiadł na ziemi, uniosły głowy i niespiesznie odeszły.

Usłyszał je później, wieszczące śmierć przed Sobótką dwóm kozicom.

Noce w wąwozie Między Ściany dawno, może nigdy, nie tętniły głosami tak różnorodnych zwierząt. Znad wsi przywiało beczenie owiec, a z regli ryk niedźwiedzia. Ptactwo, nawet dzienne, nawoływało się w powietrzu, a lisy i świstaki podchodziły blisko, niezrażone obecnością człowieka. Tuż przed północą zapiał kogut, kończąc czuwanie Spalenika. Niemira także nasłuchiwała uważnie. Siedziała na głazie u wylotu wąwozu, gładziła włosy uspiętej Niemojki i cieszyła się w duchu. Wołos był łakomy, ale i łaskawy.

Kiedy rankiem wracali do wsi, Wojciech wciąż włókł się krokiem somnambulika, z pochyloną głową i rezygnacją bijącą z każdego ruchu. W jego oczach pozostały ból i pokora, ale szaleńczy strach ustąpił miejsca nieśmiałej jeszcze determinacji. Niemoja szła z ojcem za rękę i tym razem w jego dotyku była czułość.

– Macie takie same wianki – zauważył w pewnym momencie.

Pogładził córkę po włosach. Rzeczywiście, miały – tak zarządziła Niemoja – i choć wianek Niemiry był koślawy i za mały, pilnowała, by nie spadł jej z głowy.

– Bo jesteśmy siostrami – oświadczyła pewnie dziewczynka.

Spalenik zadrzał. Spojrzał na Niemirę, jakby pytał: „powiedziałaś?”. Pokręciła tylko głową.

– Nawet mamy podobne imiona – kontynuowała Niemoja.

Wojciech wypuścił głośno powietrze i zapadł się nieco w siebie. Sięgnął znów po dłoń córeczki. Niemira wzdrygnęła się, gdy i ją chwycił za rękę. Był dla niej obcym człowiekiem. Lubianym, ale obcym. I takiej wzajemności spodziewała się po nim. A jednak w tym drobnym geście, trochę rozpaczliwym, znalazła dziwne ciepło, którego nie znała. Nie cofnęła ręki. Miał za sobą wiele i jeśli potrzebował wsparcia, była gotowa mu je dać.

Z lekkością ducha, jaką dał jej taniec na hali, prostą radością wyniesioną z kuźni i wreszcie tym miłym ciężarem, którego doświadczyła w jaskini

Dymnego Wąwozu, czuła się mocna jak nigdy.

– Aresztowali uczonego z Warszawy! W Kościelisku!

Kowalik prawie rzucił się Niemirze na szyję, gdy tylko przekroczyła próg izby.

– Co mówisz? Dalegora?

– Dalegora! Tak. Właśnie matka z kościoła wróciła. Od Witowa po Jaszczurówkę o tym mówią. Żandarmi przyszl. Węgierscy! Zabrali go, bo ludzi zbroił. Powstania się chyba przestraszyli.

Niemira uśmiechnęła się krzywo.

– To niczego nie zmienia – odparła. – Może tyle, że teraz ten wąż będzie miał dostęp do uszu żandarmów.

Kowalik przygaśł momentalnie. Widziała, że jest zły na jej krakanie.

– Jan jeszcze nie wrócił? – rzuciła, by rozproszyć ciszę.

Doskonale widziała, że w kuźni pracuje samotnie Staszek.

– Nie wrócił. Trzeba by tę laskę...

– Nie. Poczekamy. Czas na pewno nam to aresztowanie kupiło. Jakby tak do redyku... – westchnęła z rozmarzeniem. – O ile łatwiej byłoby w taki dzień budzić Żywogórca.

Czuła jednak, że Dalegor nie dopuści, by to się spełniło. Kościelisku jedynie groził morem, ale w Dymnym Wąwozie zamierzał dać mu się wyszaleć. By to uczynić, potrzebował ludzi słabych po zimie, zebranych w jednym miejscu. Nie zaś chłonących siłę gór na wysokich halach.

## ROZDZIAŁ 26

Wbrew zapowiedziom Jan ani przez moment nie zamierzał iść do Szelesta, czy szukać porad dziadów borowych. Nie wierzył też w pomoc innych rusałek. „My jesteśmy wyjątkowe!” – wykrzyknęła mu kiedyś w twarz Leleja, obrażona do żywego porównaniem do wiły, i przez lata upewnił się, że nie przesadzała. Ruszył więc w pogoń za marą, za bladym wspomnieniem wychudzonej postaci tkwiącej na brzegu strumienia.

Mimo pięknej pogody uciekające szybko dni szaleńczej tułaczki dały mu się we znaki. Walcząc z wyrzutami sumienia, nie spał. Wędrował dniem i nocą, często prowadzony jedynie światłem gwiazd i księżyca. Mało pił, nie jadł. Obszedł miejsca, które kiedyś były bliskie Lelei i jej siostrom, ale nie miał wielkich nadziei znaleźć tam brzeginy. Jeśli jakaś ocalała i została w Tatrach, na pewno złąkniona trzymała się z dala od wód, które były świadkiem mordu.

– Więc gdzie? – spytał na głos.

Trzecią noc spędzał w marszu – piekące oczy i zmęczone mięśnie dręczyły nie mniej niż poczucie winy. Powinien być w kuźni lub chronić siostrzenicę. Szykować ludzi do walki, która lada chwila mogła nadejść. Zamiast tego gonił za widmem. I fakt, że Niemira od początku nie miała wątpliwości, co uczyni, i cicho przystała na jego plan, przestał starczać za usprawiedliwienie.

– Jaskinie?

Podmokłe labirynty mogły być dobrą kryjówką.

– Lecz i pułapką bez wyjścia – dodał zaraz. – Leleja... Dokąd ty byś poszła?

Poczuł, jakby ktoś dał mu pstryczka w ucho. Sam uderzył się w czoło i ruszył biegiem ku Przysłopowi. Odpowiedź była prosta – tam, gdzie ukochana przez brzeginy woda demonstrowała swoją siłę.

Potok rwał jak szalony, kąsając łydki zimnem. Próbował chwycić górala i porwać ze sobą do zabawy. Za progiem spadał najpierw krótką ścianką, pieklił się w niewielkim kotle i dalej, pokonawszy kolejny stopień, z siłą uderzał w Dolinę Strążyską. Jan długo rozważał, czy szukać kryjówki wśród

traw i zarośli, czy czekać, siłując się z Siklawicą. Ostatecznie wybrał to drugie. Brzeginy w jednej chwili mogły przybrać formę tysięcy kropel wody i pognać z nurtem. Póki ona była w strumieniu, a on na ziemi, miał marne szanse na coś więcej niż mgnienie oka. Stał więc przy samym progu wodospadu, tłamsząc w piersi przekleństwa i powstrzymując szczęknięcie zębów. Słońce, które tak wściekle pędziło, gdy spieszył w górę, teraz, jak na złość, zwolniło.

Dopiero gdy ciepłe promienie poczęły pojednawczo muskać drżące ramiona mężczyzny, coś w muzyce wodospadu się zmieniło. Siklawica zaśmiała się perliście, połaskotana gnającą pod prąd brzeginą. Jan dostrzegł tylko migotanie na progu wodospadu i drobna, półnaga dziewczynka wychynęła gwałtownie na powierzchnię o krok od niego. Zaparła się biodrem o kamienie, zgarnęła z twarzy rzadkie włosy i nagle znieruchomiła. W jej oczach błysnęło zwierzęce przerażenie.

– Czekaj! – Skoczył ku niej.

Zamknął drobne ciało w silnym uścisku i wyrwał z wody. Targnęła się jak ryba, próbowała sięgnąć fal, ale w porę zablokował jej rękę. Zawyla w bezsilnej rozpacz, a potok odpowiedział jej pełnym furii hukiem. Ślizgając się po kamieniach, Jan odciągnął rusałkę dalej od brzegu i przydusił do ziemi.

– Nie krzycz. Spokojnie! Nie zrobię ci krzywdy.

Przestała walczyć i ścichła. Tylko łkanie wstrząsało jej ciałem. Wyglądała żałośnie. Kiedyś zapewne piękna, marmurkowa skóra była chropowata i pozbawiona blasku. Pod nią wyraźnie rysowały się zebra. Tuż poniżej szyi, od obojczyka do piersi, biegła wypukła, poszarpana blizna. Jan zadrżał na jej widok.

– Chcę ci pomóc – rzucił, choć nie od tego planował zacząć rozmowę. – Nie skrzywdzę cię. Pamiętasz... pamiętasz Leleję? I jej siostry?

Drgnęła, jak dźgnięta igłą, i jęknęła cicho.

– Pamiętasz Leleję? – powtórzył. – Jestem Hajduk. Jestem tym mężczyzną, z którym żyła. Nie zrobię ci krzywdy.

Znieruchomiła. Łzy wciąż płynęły po młodziutkiej twarzyczce, ale drżenie odrobinę ustało.

– Chcę ci pomóc, ale i potrzebuję pomocy – dodał cicho góral. – Nie uciekniesz?

– Nie ucieknę – wyszeptała miękko.

Nazywała się Kapia i pamiętała dobrze Leleję. Jeszcze lepiej pamiętała śmierć, której ledwo uszła, i stratę sióstr. Kilka ocalałych uciekło, ale ona wówczas zbyt się bała, by opuścić kryjówkę. Tak została sama. A strach i samotność pogłębiały stopniowo rany zadane przez Dalegora. W wodzie poruszała się z absolutną swobodą, ale przez łąkę czy las Jan musiał ją nieść. Była zbyt słaba, by iść o własnych siłach.

– Mówiłeś, że potrzebujesz pomocy – powiedziała, gdy zatrzymali się na chwilę przy przecinającym regle potoku.

– Trzeba zatańczyć i zaśpiewać Żywogórcowi. Taniec, jakiego mu trzeba, znamy. Ale pieśni były wasze.

Kapia pobłdziła spojrzeniem między obmywane wodą głazy.

– Znasz te pieśni? – spytał Hajduk.

Pokiwała szybko głową.

– Znam. Nauczę was – zapewniła gorliwie. – Ale... Ale będę musiała odpocząć. Nabrać sił. To nie takie byle piosnki. Nie dam rady ich teraz...

– Odpoczniesz. Nie bój się. Pomożemy ci.

Czuł się dziwnie. Kapia, tak różna od dojrzałej, zmysłowej Lelei, nie budziła w nim tylu pragnień i uczuć. A jednak coś sprawiło, że zapomniał o swojej prośbie i gdyby go nie spytała, pewnie nie powiedziałby o niej aż do spotkania z Szelestem. Więcej jeszcze, było mu zupełnie obojętne, co brzegina odpowie. Ucieszył się, gdy potwierdziła, ale nie to było najważniejsze. Siedziała na głazach, wciąż struchlała jak zaszczute zwierzę, i w tej chwili chciał tylko to odmienić.

Bała się wszystkiego. Od ludzi poczynając, przez posłuszne Kościejowi demony, po... zwierzęta zachodzące do strumieni czy nawet ryby! Widok Szelesta też wpierw ją sparaliżował, zaraz jednak skłoniła się głęboko leszemu. W milczeniu słuchała, jak mężczyźni ustalali, co należy dalej czynić. Raz tylko jęknęła, gdy pojęła, że przyjdzie jej uczyć ludzi. Cofnęła się cicho między rozbuchane zielonością gałęzie i schowała twarz w dłoniach.

– Nie bój się. Nikt więcej cię nie skrzywdzi – zapewnił raz jeszcze Hajduk.

Spojrzał wymownie na Szelesta.

– Zrobię co w mojej mocy, by dodać jej sił – odrzekł leszy. – A ty idź. Dymny Mur drżał ostatnio. Myślę, że dobre wieści czekają na ciebie w Cierpkówce.

Gdy tylko zostali sami, Kapia wcisnęła się głębiej między krzewy. Leszy obserwował ją przez chwilę w milczeniu. Kikut uciętej ręki – obrastający coraz gęściej cienkimi, splatającymi się ściśle gałązkami – odwiódł za plecy, drugą dłonią zaś gładził podbródek.

– I co ja mam z tobą zrobić? – spytał ciężko. – Przecież ty za młoda. Nigdy Matosze i Żywogórcowi nie śpiewałaś. Nie uczyły cię jeszcze.

Młodzieńczą twarz wykrzywił grymas. Kapia zwiesiła głowę, wplątała palce w sztywne sitowie włosów i rozszłochała się na dobre.

– Ja tylko... Ja tak strasznie chciałam, żeby ktoś mi pomógł! Tak bardzo nie mam już siły... – Złapała z wysiłkiem oddech. – Obiecał, że mi pomoże... Jeśli ja mu pomogę. Nie chciałam, żeby mnie zostawił!

Szelest westchnął. Z gracją przeszedł przez kryjące brzeżynę chaszczę i ukucnął naprzeciw niej. Odsunął jej ręce od głowy i zmusił, by uniosła spojrzenie. Przebiegł palcami po bliźnie.

– To Dalegor ci zrobił?

– Tak... – Zaczęła dygotać. – Chciał gardło poderznąć. Byliśmy na częściowo zamarzniętym stawie. Przy brzegu. Dalej była woda, ale mnie złapał, nim dopadłam. I... I nagle lód mu pękł pod stopami. Chwyciłam się wody... Drasnąć mnie tylko zdołał, a i tak chorowałam miesiącami.

Szelest pokiwał głową.

– Nie płacz. Nie wyrzucę cię stąd. Hajdukowi też nie trzeba było kłamać.

– Wybacz mi...

– Wybaczam. Jego przeprosisz... Później. Sporo później. Bo skoro już skłamałaś, to trzeba coś z tym zrobić.

– Ja naprawdę nie znam...

– Nie. Nikt nie zna. Pieśni brzeżyn już nie odzyskamy. Tej pieśni w każdym razie. Ale Żywogórcowi różne tony miłe. Pomożesz mi nauczyć śpiewać kobiety, które tu przyjdą. Tak, jak ja ci powiem.

– Dobrze.

– I dasz mi słowo, że nie zdradzisz się choćby zająknięciem, że to ja ci tę wiedzę powierzyłem. Ani przed ludźmi, ani przed duchami, jeśli takie spotkamy. Na razie. Później, gdy przyjdzie pora, zwolnię cię z danego słowa.

Kapia pokiwała powoli głową.

– Niczego nie zdradzę. Przysięgam.

– W takim razie chodź. Sama musisz dużo zrozumieć. Nie ma czasu.



Postąpiła za nim, nieco zdumiona. Pierwszy raz widziała któregokolwiek z dostojnych strażników lasów... w zupełnie ludzkim pośpiechu. Zbyt była jednak wystraszona, by pozwolić sobie na roztrząsanie tej myśli dłużej.

Kobiety zbiły się w ciasną grupkę, kilka kroków za Niemirą. Widok potężnej, leśnej istoty wzbudzał strach i szacunek. Głowy ustrojone w kolorowe, odświętne chusty, pochylały się nisko, lecz ciekawskie spojrzenia, mimo obaw, lgnęły do leszego. Młodsze dziewczki ukradkiem wskazywały sobie lśniące, krucze pióra na jego głowie i blizny na twarzy. Starsze krytycznie lustrowały skrywające ciało sute skóry i futra. Niemira z rozbawieniem dostrzegła, że Szelest jest lekko onieśmielony. Nigdy wcześniej nie stał twarzą w twarz z tak liczną grupą ludzi. Na pewno nie, by z nimi mówić i ich u siebie podjąć. Jadźka, której powierzono zadanie skrzyknięcia kobiet gotowych zaśpiewać w obronie wsi, wywiązała się z niego lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał.

– Witajcie w mojej ostoi – podjął wreszcie leszy mocnym głosem.

Liście zaszumiały swoje powitanie.

– Uszanujcie to miejsce, a będzie wam miłym schronieniem na czas nauki. Ja jestem Szelest, opiekun tego lasu. Jeśli którąkolwiek z was znajdzie się w niebezpieczeństwie, pomogę jej. Ale i jeśli którąkolwiek zawini, ukarzę.

– Przyszły tu na naukę. Wszystkie znają prawa ostoi – odparła Niemira. – W duchu śmiała się z własnego tonu. Skoro jednak on postanowił powitać gości tak oficjalnie, musiała grać swoją rolę. – Jadźka, podejdźcie tu. – Kowalowa ujęła się pod boki i dziarsko wyszła naprzód. – To Jadźka Halkowa z Miedzianów. Ona tym kobietom przewodzi i jeśli będziesz pragnął im coś rzec, mów jej. Ona też zadba, by ich obecność nie była dla ostoi uciążliwa.

Przedstawiona pokiwała głową i dygnęła z dużą gracją. Niemira prawie parsknęła na wspomnienie jej prób w domu. Jedno przyznać musiała – nauka nie poszła na marne.

– Zaszczyt to dla nas – rzekła odrobinę drżącym głosem Kowalowa.

Szelest odpowiedział oszczędnym gestem.

– Idźcie teraz przesieką. Wkrótce dojdziecie do stawu, przy którym czekać będzie brzegina Kapia. Wasza nauczycielka. Wskaże wam miejsce, gdzie odpoczniecie, nim zacznie się nauka.

Ruszyły, czyniąc wiele hałasu. Ledwo bowiem zostawiły leszego za plecami, rozgadały się przejęte. Szelest i Niemira zostali sami. Zniknęły

poważne miny, twarze rozjaśniły uśmiechy.

– Dobrze, że przyszłaś. Myślałem już, że Jan je przyprowadzi.

– Zamierzał, ale chciałam cię jeszcze zobaczyć. Ludzie się radują, że Dalegor w Nowym Targu, w areszcie. Ale ja nie wierzę, że tego nie zaplanował. Redyk za pasem. Nie pozwoli przecież ludziom po halach się rozproszyć i wezwać nam ochrony Żywego Wierchu.

Szelest pokiwał głową. Czułym gestem odgarnął Niemirze kosmyki włosów, które uciekły z warkocza i muskały policzki. Objął ją mocno. Młode gałązki obrastające kikut ręki wkradły się dziewczynie pod koszulę i połaskotały plecy. W odpowiedzi stanęła na palcach i przywarła do ust leszego. Wraz z wiosną zmieniły smak. W pocałunki wkradła się słodycz i nęcąca tajemniczość ziół.

– Nie będziesz mógł być przy mnie, gdy to wszystko się zacznie, prawda?

– Każdy z nas w dniu rozstrzygnięcia musi być na swoim miejscu – odparł z westchnieniem. – Jeśli chcemy zachować to, co Dalegor próbuje zmienić. Ale nie bój się. Nie będziesz zupełnie sama. Nigdy. Obiecuję.

Spojrzała na niego pytająco, ale zmilczał. W ostatnim czasie wiele godzin strawił na rozmowach z Wiżem. Zdecydował wreszcie, jaką powinien mieć rolę w nadchodzących wydarzeniach, i choć był do niej przekonany, ciążyła mu. Wpierw mimowolnie, potem już świadomie zaczął szukać jakiegoś wyłomu. I znalazł. Lecz za wcześnie było o tym mówić.

Pożegnali się ciepło, choć słowa podszyte były niepokojem, a spojrzenia jakimś gorączkowym nienasyceniem. Wracając do wsi, Niemira nie mogła pozbyć się obawy, że widziała leszego ostatni raz.

„Nie będziesz zupełnie sama. Nigdy” – powtarzała sobie uparcie.

Szelest rozsiadł się na tronie splątanych gałęzi i podmywanych wodą korzeni. Dłoń oparł na łbie starej, smutnej wilczycy. W płaszczu ze skór drapieżników wyglądał majestatycznie. Tak, jak góralki mogły sobie wyobrazić pana lasów. U jego stóp, po pas w wodzie, siedziała odziana w suknię z trzciny i tataraków dziewczka. Jej duże oczy przywodziły na myśl otwarte kwiaty lilii wodnych. Kilka westchnień zazdrości rozległo się na jej widok. Kobiety przycupnęły na brzegu stawu, wciąż skulone jedna przy drugiej. Noc spędziły w ciepłych pieczarach, ułożone na jelenich skórach, rankiem zaś najadły się mięsa i popiły wodą ze strumieni. Na razie wszystko było bajeczne. Teraz czekała je pierwsza lekcja i każda zastanawiała się, czy dorasta do zaszczytów, które ją spotykają.

Kapia drżała w środku, powtarzając słowa leszego. Siedziała tak, by móc choć kątem oka obserwować jego twarz, ale to niewiele pomagało. Sama czuła jego lekcje. Choć nie śpiewała nigdy Matosze, była częścią tego samego świata, co on. Teraz musiała czucie przełożyć na słowa, by... nauczyć czucia. Patrzyła na twarze góralek i nie umiała wyczytać z nich niczego. Nie rozumiała ich i podejrzewała, że podobnie one nie rozumieją jej. Ale posłuszna nakazom, tłumaczyła:

– Nie ma słów, które są szczególnie miłe Żywogórcowi. Są serca i dusze. One powinny wam podpowiedzieć treść. Melodię da wam strumień, wiatr, szum drzew... – Odetchnęła głęboko. – Zaśpiewajcie teraz.

– Co? – spytała Kachna Warda.

– Cokolwiek – wcięła surowo Jadźka. – Śpiewajmy „Nad stawu czarnym oczkiem”! – zarządziła bez chwili zwłoki.

Ckliwa piosenka poniosła się między drzewami. Anka Porębianka poczęła wyklaskiwać rytm, a głosy bardziej nieśmiałych dziewcząt zlały się w przyjemny poszum.

– Harmonia! – rzucił władczo Szelest, gdy ucichły.

Brzmiał jak groźny sędzia lub mistrz ceremonii otwierający kolejne jej części. W istocie pomagał Kapii wychwycić ich błędy i wskazywał temat dalszej przemowy.

– Harmonia – podjęła melodyjnie brzegina. – Siłę pieśni buduje doskonałe połączenie intencji wielu istot. Zrozumienie siebie wzajem. Jedna przez drugą śpiewacie. Jak żaby letnią porą rechoczące na mokradłach. Która ładniej, która głośniej. Macie zaś dobudowywać kolejne głębie do tonów przewodniczki. Która wam przewodzi?

– Anka śpiewa najpiękniej!

– Ale Olka przy procesjach najpierwsza – wykrzyknęła spłoszona Porębianka.

– Cichać! Ja będę przewodzić – oświadczyła Jadźka.

Spojrzały po niej krytycznie. Żadna nie uważała, by Kowalowa miała najlepszy głos, jednak Kapia przystała bez wahania, zadowolona, że tak szybko znalazła ochotniczkę.

– We dwie teraz zaśpiewamy. Ona przewodzi, ja za nią.

I choć każdej pieśń była inna, zgrały się bez trudu. Szelest odetchnął dyskretnie z ulgą. Brzegina miała tę magię, której było potrzeba. Strach i poczucie osamotnienia wydarły jej tylko z serca wiarę w siebie.

– Słuchanie!

To był temat kolejnej lekcji.

Powóz podskoczył, pokonując koleinę i zajechał pod karczmę w Dzianiszu. Dalegor naciągnął kaptur. Lało, ludzie pochowali się w budynkach, a chmury szczelnie przykryły nieodległe przecież Tatry. Tylko nagi, łagodny grzbiet Ostrysza odcinał się na tle chmur.

– Nie spieszyliście się. – Harcyk pomógł wsiąść czarownikowi. – Zwołałem już ludzi...

– To ich odwołaj.

– Nie rozumiem.

– Pomówię z nimi jutro w Kościelisku. Dziś mam ważniejsze sprawy.

– Ważniejsze?! Ludzie się aresztowań boją. Niejeden tu dziada czy ojca miał w Spilberku albo Wiśniczu!

Dalegor zaklął pod nosem. Pozwolił, by własna perspektywa przesłoniła mu wszystko inne, i to zemściło się momentalnie. Chłopów trzeba było dozbroić. W Dymnym Wąwozie wszak żyli zbójnicy, obyci z bronią i walką. Dla niego rzecz była oczywista. Dla nowotarskich urzędników i galicyjskich szpicli również... Jakiś podejrzany człowiek z Warszawy, tytułujący się uczonym, zjednuje sobie chłopów i wręcza im karabiny. Jak nic powstanie szykuje! A nikt tu nie chciał powtórki z chochołowskiej awantury. Zgarnęli go, stłukli, przesłuchali. Szczęściem słuchali uważnie, a bili po nerkach, mógł więc obserwować reakcję na każde swoje słowo, dopasowywać kolejne sylaby, ton i grę gestów. Jeszcze, gdy wieźli go do aresztu, miał nadzieję wykorzystać sytuację. Zjednać sobie oficerów, pociągnąć ich we wspólnej sprawie na zbójników. Potem chciał już tylko wydostać się możliwie najmniejszym kosztem. Jego pozycja nie pozwalała na wiele manewrów. Już na pewno nie w czasie, który pozostał do redyku.

– Nikt nie będzie nigdzie siedział. Wyjaśniłem rzecz. Nikt też nie dostanie karabinów.

Oczy Harcyka się rozszerzyły.

– Czyli nie uderzamy?! Wszyscy gotowi...

– I niech będą gotowi – przerwał mu oschle Dalegor. – Uderzamy. Każdy broń ma. Dymny Wąwóz to dwadzieścia chałup na krzyż. Czapkami ich nakryjemy. A potem pożre ich mór.

Poklepał zbójnika po ramieniu.

– Jutro wezwiesz wszystkich na Ostrysz. Kończymy przygotowania!

Brodząc samotnie w ulewie i nasiąkniętych wodą trawach, Dalegor marzył, by faktycznie wszystko już się skończyło. Albo by nigdy się nie zaczęło. Zamiast drążyć tajemnice Wołoszyna, całą wiosnę zmarnował na szarpaninę z jakąś wsią! Wiedział, że już nie może się wycofać, choć przez chwilę, siedząc na zimnej podłodze w wąskiej, wilgotnej celi, miał ochotę. Chciał rzucić to wszystko i wrócić do studiów, którym starczyły księgi i okazjonalna wyprawa do lasu. Lecz jak? Zabrnął za daleko. Ludzie, z którymi się zderzył, byli zapalczywi i mściwi. Gotowi krzyżować jego plany i co gorsza, zdolni to robić. Płacił za swoje dawne błędy wysoką cenę.

Witysza wyłoniła się nagle z kłębu mgły. Odepchnął momentalnie zbędne myśli. Chwila wątpliwości w obliczu takiego demona – choćby ze złamaną wolą – mogła go kosztować życie. Sięgnął po skryty pod płaszczem sznur opleciony rutą, mitrą i piołunem. Obwiązał go wokół szyi morowej dziewicy, luźny koniec zaś rzucił na ziemię. Wydobył woreczek z solą i począł nad nim szeptać zaklęcia. Witysza uniosła na czarownika spojrzenie przekrwionych oczu. Rozwarła powoli usta, jak do niemego krzyku, rozłożyła szeroko ramiona. Dalegor poczuł kwaśny posmak żółci na języku. Gorączka rozpałała mu policzki, a igielki słabości rozpełzły się po całym ciele. Nie przerwał jednak ani na moment inkantacji. Na chwiejnych nogach obszedł znów Wityszę. Posypał solą linę. Tam, gdzie spadły kryształki, pętla zmieniła się w twardą, szorstką obrozę. Reszta zaś wyglądała jak oszroniona.

Witysza opuściła ramiona, znów pochyliła głowę i zawarła usta. Dalegor upadł, sięgając po koniec sznura. Zanurzył z przyjemnością twarz w mokrej trawie i roześmiał się histerycznie.

– Dobra próba, Witysza.

Szarpnął za linę, przyciągnął blisko morową pannę i z tryumfalnym uśmiechem pocałował ją w usta.

– Oszczędzaj siły. Gdy spuszczę cię ze smyczy, będziesz ich potrzebowała dużo.

## ROZDZIAŁ 27

– Zbierają się!

Młody Tomek z Miedzianów wpadł do chaty Kowali, wznosząc alarm. Posłano go do młyna, ale zaniepokojony pustkami w Kościelisku, zawędrował dalej – do samego Dzianisza.

– Chłopów mrowie. Wóz jakiś ciągną stokiem Ostrysza. Wielki, klatka jakaś na nim, płótnem zakryta.

– Morową wiozą... – westchnęła ciężko Niemira. – Co żeś jeszcze widział?

Tomek się zamyslił. Przyjął od jednej z dziewcząt kubek mleka, wychylił i podjął powoli:

– Wolno idą. Padało dużo, wóz im co chwila w błocie grzęźnie. Na żelaznej drodze szybciej im będzie, ale dalej, w lesie... Czasu trochę nam dadzą. Nie zbliżałem się. Czarownika zem nie widział, ale wiódł ich chyba Harcyk.

– Myślisz, ile im zejdzie w drodze?

– We wsi gadają, że czarownik jeszcze noc lub dwie w gospodzie ostawać zamierza. Ze dwa dni lub trzy mamy.

Niemira spojrzała w stronę Jana, który razem z Kowalem wyszedł z kuźni. Kuli gwoździe na budowę Antkowej chałupy.

– Ruszaj nad Stawy. Jak najszybciej chłopaków Wojciecha skrzyknij.

Hajduk pokiwał głową. Wrócił do kuźni, ściągnął fartuch i rękawice, złapał ciupagę. Spojrzenie spoczęło na moment na owiniętej w chustę Niemiry żelaznej lasce. Gdy Jan rył ostatnie znaki, niecierpliwie wyczekiwał tej chwili radości, która przyjść miała wraz z zakończeniem roboty. Ale nie przyszła. Zamiast niej wyrosła ściana wątpliwości. Skończył. I cóż z tego? Sens jego pracy miało zweryfikować dopiero spotkanie z Wityszą.

Niemira stanęła za jego plecami.

– Ja zaopiekuję się już laską. Nikt nie powinien się zbliżać do morowej. Także ty... Zwłaszcza ty.

– Dobrze, dobrze, nie pouczaj. Idę. Poślij Kowalika do Szelesta. Niech baby będą gotowe.

Kto by tej nocy zawędrował w dolinę u stóp Swinicy, myślałby, że natrafił stado jakichś pierwotnych, górskich demonów. Światło pełni księżyca obmywało półnagie ciała ze strachu i oswajało ze śmiercią. Jak od wieków przed walką być miało. Górale odrzucili ciupagi i pistolety. Stanęli przeciw sobie, podzieleni na dwie grupy, uzbrojeni tylko w nagie pięści i bose stopy. Ciała natarli olejami i ziołami, twarze naznaczyli popiołem. Jan zaintonował monotonną, narastającą pieśń i dwie grupy ruszyły na siebie. Hajduk twarzą w twarz z Wojciechem. Wraz z pierwszymi ciosami ryk się podniósł straszny. Wydawało się, że walka górali obudziła jakieś podziemne demony i to one krzyczały w szale. Nikt się nie cofał, nie kulił, nawet uchylali się niechętnie. Walczyli w końcu nie po to, by pokonać przeciwnika, ale by samemu sobie udowodnić, że jest się do walki gotowym. Zamarli, dopiero gdy Jan potężnym uderzeniem oszołomił Wojciecha, podparł go barkiem, dźwignął i obalił na kamienie.

Harnaś znad Stawów wsparł się na łokciu, spojrzał spode łba na Hajduka. Szał walki powoli gasł w jego oczach, ale na twarz nie wrócił uśmiech.

– Silniejszy jesteś. I to twoja walka – podjął ochryple, nie podnosząc się z ziemi.

Jan wciąż dyszał ciężko. Po brodzie ciekła mu krew z rozbitych warg i nosa, a na chudej szyi pulsowały nabrzmiące żyły. W głowie wciąż słyszał krzyki i łomot uderzeń, ale był spokojny satysfakcją nasyconego drapieznika. Nie potrzebował od tej walki niczego więcej ponad sprawdzeniem samego siebie.

– Nie. – Wyciągnął rękę do Wojciecha i pomógł mu się dźwignąć na nogi.  
– Ty poprowadzisz swoich ludzi. Ja w tej walce będę za swą prywatną zemstą gonić. Nie byłbym dobrym harnasiem.

Pomruk zadowolenia rozniósł się wśród walczących. Rozpalono ogniska, zagrzano miód pitny z niedźwiedzim sadłem i żyntycą. Każdy wypił po łyku, resztę zaś wtarto we włosy i rany. Przed świtem rozszalały, pijany korowód pognał biegiem grzbietami gór. Na potężny ryk górali odpowiedziały niedźwiedzie, jelenie i wilki. Zadrżał też Żywy Wierch, podrażniony tętentem zbójnickich kroków.

Tej samej nocy Dalegor zebrał zastraszonych chłopów na podwórzu przed dzianiszowską gospodą. Czterech mężczyzn zdjęło z wozu klatkę i ustawiło ją z największą ostrożnością.

– Zzuccie buty i stańcie w kręgu. Tak, by każdy stopą stopy tego obok dotykał – rozkazał czarownik.

Obszedł potem zebranych i sprawdził, czy zrobiono, co powiedział. Po nim jeszcze czynność powtórzył Harcyk. Pod pełnym księżycem, u progu walki, nie było miejsca na błędy. Dalegor podszedł do klatki, przy każdym rogu wyrysował w błocie symbol Wołosa, na środkach boków zaś swarzyce. Wyprostował się wreszcie i jednym szarpnięciem zdarł zasłaniające wnętrze płótno.

Podwórze wypełniły okrzyki przerażenia i błagania o litość. Morowa dziewczica trzymała rozkładającymi się palcami pręty klatki. Twarz miała wykrzywioną w nienawistnym wyrazie, nozdrza rozdęte jak drapieżnik węszący ofiarę. Obroża na jej szyi trwała nietknięta, sznur zaś sięgał na zewnątrz.

– Oto Witysza. Mór, który miał na was uderzyć. Mór, z którym musicie się oswoić.

Ktoś załkał, inny szturchnął go w bok, warcząc jakieś przekleństwa.

– Nie lękajcie się. Pochwyciłem ją, by klęsce zapobiec, nie by do niej doprowadzić. Kto pozostanie przy mnie, moru nie musi się lękać. Widzicie wszak, że Witysza jest na smyczy, jak wściekły pies, co ma chronić obejścia.

Głosy ścichły. Dalegor pierwszy podszedł i pocałował obie zaciśnięte dłonie demona. Wskazał potem Józka Jedlaka, kazał mu wyjść na środek i uczynić to samo. Pozostali musieli trwać w bezruchu, pilnować kręgu, w którym dzielili witalność. Gdy drżący z przerażenia Józek wrócił do swoich, wystąpił następny góral. Po nim następny. Pod szerokimi, pomarszczonymi czołami błyskały rozjarzone strachem oczy. Spierzchnięte wargi całowały dłonie morowej dziewczicy. Ostatni podszedł Harcyk. Gdy pochylił się do rąk Wityszy, ona nagle chwyciła go przez kraty za koszulę i przyciągnęła do swoich ust. Wrzasnął z przerażeniem. Dalegor skoczył, szarpnął za smycz i morowa cofnęła się potulnie. Odpowiedział uspokajającym gestem na strach Harcyka.

– Nic to. Porywcza jest, ale i pokorna, jak widzicie – oświadczył spokojnie, choć serce zabiło mu mocniej.

Czuł, że Witysza odpowiedziała na odległe drgnięcie Żywego Wierchu.

Niemiry nie było we wsi, gdy nad ranem, wraz z powrotem kobiet, zgiełk wesołych rozmów wdarł się między ściany wąwozu. Nie widziała wychudłej twarzy Jadźki i zaciętości w jej roziskrzonych oczach. Skryła się przed



wszystkimi w pustelni, którą Spalenik na dobre porzucił. Zabrała z chałupy miecz i laskę Wityszy, kilka rzeczy codziennych, bliskich sobie drobiazgów i niewielki zapas jedzenia. Zamierzała słuchać pulsu Tatr, póki nie zabrzmia w nim kroki Dalegora. Chciała szukać swojego rytmu i tańczyć. Tańczyć do ostatniej chwili.

A jednak nie zrobiła ani jednego kroku. Wspięła się do komnaty, której nie zdołały podmyć deszcze, i tam poczuła, jak ogarnia ją dziwna ciężkość. Nie walczyła z nią. Usiadła na głazie, który przed wieloma laty musiał oderwać się od sklepienia i po chwili odpoczynku sięgnęła leniwie do tobołka. Palce natknęły się na drewniane korale Agnieszki. Wyjęła je, przysunęła do nosa. Wciąż pachniały lasem i skrzyły się lekko kropelkami zastygłej żywicy. Odłożyła je na bok. W skupieniu, z wielką starannością zaczęła rozplatać warkocz i rozczesywać włosy. W przyjemności, jaką sprawiała ta prosta czynność, była jakaś magia. Zupełnie nowa dla Niemiry.

W chwili gdy tkwiąca w jaskini dziewczyna rozpuszczała włosy, Dalegor spletał w skupieniu swoje sieci warkoczyków. Nowe symbole, spajane drewnianymi koralikami płynęły spod palców. Udręczony gorączką Harcyk wszedł do ciemnego pomieszczenia.

- Wszyscy czekają – rzucił słabym głosem.
- Nie pośpieszaj mnie.
- Jeśli chcemy uderzyć jutro o szarej godzinie...
- Nie pośpieszaj mnie!

Zbójnik znieruchomiał. Oparł się ciężko o ścianę i przesunął dłoń po zroszonym potem karku. Czuł słabość i obrzydzenie do swojego trawionego gorączką ciała. Dotknięty przez Wityszę, długo myślał o losie, który chce zgotować góralom. „To przez Jana. On to zaczął” – powtarzał sobie z uporem. – „Jego tylko zabić i Niemirę i ten koszmar się skończy”. Tak się oszukując, wypełniał gorliwie obowiązki i obserwował dyskretnie czarownika w nadziei, że jego ruchy przywrócą mu pewność.

Dalegor długo jeszcze spletał włosy. Wreszcie się dźwignął, chwycił ostrze Kościeja i podszedł do Harcyka. Złapał go za nadgarstek i ciał po odsłoniętym przedramieniu. Przytrzymał mocno mężczyznę, pozwolił wypłynąć zepsutej krwi, po czym obłożył ranę ziołami.

- O północy będziesz zdrów – oświadczył głośno, by słyszeli go i za drzwiami. – Ogłoś wymarsz.
- Idą...

Spalenik przeszedł przez Wichrzyki i Cierpkówkę, głosem pokutnika powtarzając to jedno słowo. Jeśli nawet przez ostatnie dni zdawało się, że wracał do normalności, teraz znów niewątpliwie był szaleńcem. Jan zatrzymał go przed domem Wardów, na którego podwórzu zebrali się gotowi do walki zbójnicy.

– Wiemy. Niemira wróciła. Wy chcecie iść z nami?

Błądny wzrok Spalenika nabrał nagle wyrazu.

– Nie. Absolutnie nie! Lękam się, że Dalegor ciągle ma nade mną władzę.

Hajduk złapał mężczyznę za połą kamizeli i odciągnął na bok. Głos miał zachrypnięty od niedźwiedzich ryków, które nocami posyłali ze zbójnikami w niebo, sposobiąc się do walki.

– Słuchajcie, Spalenik. Też tak myślałem i gotów byłem nawet was, w jakiej jaskini związanego zostawić. Ale Niemira w was wierzy. Rzekła, żeby dać wam wybór. Jeśli nie zechcecie się bić, z babami pójdziecie. Na Dymny Mur chcą się wspiąć, żeby stamtąd powitać gości naszych śpiewem. Niemira mówi, że poznaliście tam każdy kamień, możecie im pomóc i ich strzec.

Wojciech przystał na to. Razem z Jadzką powiodł kobiety ku stromym ścianom. Gdy rozpoczęli podejście, Kowalowa uniosła rękę, jakby chciała uczynić znak krzyża, ale góral ją powstrzymał.

– Gazdy Podhalańskiego w to nie mieszajcie. Inszych to sprawa.

– Zapłacimy za te wszystkie czary – odparła szeptem.

Wątpliwości, które przysły, gdy Kapia wpajała im słowa niosące moc, pożerały ją od wielu dni. Zaparła się jednak i zamierzała wszystko wypełnić co do joty. Rozliczenia z Pon Buckiem trzeba było zostawić na później.

Spalenik wskazywał babom skryte za progami płasnie i głębokie okna jaskiń. Radził, jak się dobrze pochować przed przypadkowymi kulami czy złym okiem. Kobiety jednak – prawie każda w bojowym nastroju i odświętnie ubrana jak na Boże Ciało – chciały stanąć przeciw wrogom na równi z mężczyznami. Na ile tylko mogły. Nikt zresztą nie wierzył, by chłopci z Kościeliska, nawet ogłupieni zupełnie, woleli strzelać do śpiewających bab, miast do zbójników.

Cierpkówka i Wichrzyki czekały.

Gdy otoczony bojowymi okrzykami górali wóz wtaczał się do wąwozu, nie było już na nim klatki. Witysza stała swobodnie, spokojna i cicha jak sama śmierć. Ręce rozłożyła szeroko niczym matka, która wita nadbiegające dzieci. Była w tym geście jednak jakaś zachłanność i niezdrowe pragnienie.

Długa, oszroniona solą lina prowadziła od morowej do rąk Dalegora. Czarownik szedł za wozem, przesłonięty jeszcze drewnianą burtą. Palce mocno zaciskał na smyczy.

Wesoły śpiew, którym kobiety powitały zbrojny pochód, załamał się nagle. Niektóre zamilkły, w głosach innych pobrzmiały żal i strach. Rytm rozsypał się zupełnie. Trwający przy Jadźce Spalenik, chwycił ją za ramiona i obrócił ku sobie.

– Musisz...! – jęknął.

– Wiem, co muszę! – warknęła, rozgniewana po równi na niego, na siebie i na pozostałe baby.

Wyrwała mężczyźnie ciupagę, wysunęła się na skraj skalnej półki i uderzyła kilka razy o skałę obuszkiem. Poczula na sobie spojrzenia góralek. Z dołu odpowiedziały jej trzy tupnięcia, od których zadrżała ziemia. Między chałupami szli zbójnicy z Niemirą i Janem na czele. Jadźka bez zawahania podjęła pieśń. Taką, jaka grała jej w duszy – przesyconą odorem moru, strachu i poczucia winy. Słowa ludzi i lasu mieszały się swobodnie w jej wersach.

Niemira przymknęła oczy. Teraz pojęła te zagadkowe obietnice Szelesta, gdy się zegnali. Był tu z nią, zaklęty w śpiewie tkwiących w skałach Dymnego Muru kobiet. Poczula dotknięcie na ramieniu. Odepchnęła lekko rękę Jana i ruszyła tanecznym krokiem naprzód. W sukience ze zgrzebnego, białego płótna, pozbawionej jednego chociaż haftu czy ciekawszego cięcia, wyglądała jak odbicie Wityszy. Sięgające pośladków, rozpuszczone włosy tańczyły razem z nią. Czoło ustrojone miała opaską z drewnianych koralików Agnieszki, a wokół talii zawiązała zniszczoną już mocno chustę od Jadźki. Miecz i dyskretnie grawerowaną różgę skrzyżowała przed sobą. W tle dudniły kroki zbójników, chłopów z Wichrzyków i Cierpkówki, gotowych bronić siebie i rodzin przed morem. Podniosły się okrzyki, zwierzęce ryki i przerażające zawrota. Żadna strona nie zamierzała negocjować. Póki w tłumie był Dalegor, obie tak samo walczyły o życie.

Dziewczyna otworzyła oczy i jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Wityszy. Chłopi z Kościeliska unieśli pistolety. Kto nie miał, czekał z ciupagą na swoją kolej – na tych, których nie poszarpią kule.

– Nie marnować prochu na dziewczkę! – ryknął Harcyk. – Dla niej co innego mamy!

W jednej ręce trzymał kapiszonowca, w drugiej groźnie pobłyskiwało ostrze Kościeja. Morowa dziewczica jakby na te słowa targnęła się naprzód. Solna obroża werżnęła się mocno w jej chudą szyję. Dalegor ściągnął z całych sił smycz.

– Strzelać! – wrzasnął.

Witysza zawyła potępieńczo. Choć szarpnięta przez czarownika omal nie upadła ani na moment nie oderwała wzroku od Niemiry. Wyciągała w jej stronę rozczapierzone palce i skowyczała straszliwie. Z zakamarków gospodarstw, z dziur w ziemi i spróchniałych, powalonych drzew wypełzło robactwo i szczury. Kilka przypadkowych strzałów przecięło powietrze, ale w ciżbie zapanował chaos i panika. Dziewczyna posłała morowej ciepły uśmiech i zawirowała w obrotach.

– Brać się za nich! – ryknął Jan, ruszając pędem.

Palce zadrgały na spustach, lufy plunęły ogniem, ze ścian wąwozu podniósł się głośniejszy jeszcze śpiew. A Witysza szalała, miotając się na smyczy.

## ROZDZIAŁ 28

Huk wystrzałów, trzask zderzających się ciupag, błysk słońca na ostrzach siekier. Dwie góralskie grupy zderzyły się w chaotycznym starciu. Z góry nie sposób już było poznać, kto swojak, kto obcy – mieszały się czarne kapelusze, kolorowe hafty, grube cuchy, które choć trochę miały chronić przed ciosami. Białe koszule barwiły się na czerwono. Kto zgubił broń, bił pięściami, łokciami, kopał, a i gryzł, gdy było trzeba. Na ziemi wiło się kilku poważnie rannych. Jeden padł między głązy, śmiertelnie trafiony.

Jan roztrącił dwóch zbójników. Zablokował uderzenie ciupagi i kopnięciem w krocze obalił jednego z kościeliskich gazdów. Poprawił jeszcze obuszkim w głowę, postraszył wystrzałem pędzących rannemu w sukurs i rzucił się ku Harcykowi. Wyrwał drugi pistolet zza pasa, tamten ciskając na ziemię. Nie było czasu nabijać broni. Przeciwnik spostrzegł się w ostatniej chwili. Doskoczył i trzasnął Jana ciupagą w rękę. Zbyt słabo wprawdzie, by broń wytrącić, ale strzał poszedł w ziemię. Hajduk z mordem w oczach naparł na zbójnika. Uderzył obuszkim w pierś, aż trzasnęły żebra. Poprawił z góry, w bark, ale zaraz musiał uchylić się przed kontrą. Zwarli się gwałtownie. Harcyk pluł krwią i charczał. Bronił się jednak zaciekle. Na chwilę rozdzielił ich upadający Tymek Bańdzioch. Oczy wywrócone miał białkami na wierzch, a na zalanej krwią twarzy malował mu się grymas bólu. Jan, wytrącony z równowagi, kątem oka dostrzegł nacierającego z tyłu kościeliskiego górala. Rozpaczliwie rzucił się w bok, uchodząc przed ciosem i skontrował. Odślonił Harcykowi plecy. Ten sprawnie przesadził nieprzytomnego Tymka. Spiał mięśnie... I się zawahał. Patrzył, jak Hajduk roztrzaskuje bark atakującemu i jak znów zwraca się ku niemu. Dopiero wtedy głodne krwi ostrze wyrwało naprzód. Jan uniknął go o włos. Puścił ciupagę i chwycił Harcyka za uzbrojoną rękę. Zwarli się w kłinczu, dysząc ciężko i szukając okazji, by wyprowadzić cios czy obalić przeciwnika. Wszystkie mięśnie paliły, rany szarpały bólem, a wysuszone gardła z trudem przełykały zgęstniałą ślinę. Impas się przedłużał, a żaden z górali nie ustępował. I nagle Harcyk poleciał w bok niczym słomiany chochoł obalony wiatrem. Krzyknął ze zdumienia. To Tymek Bańdzioch,

półprzytomny z bólu, ale uparty, chwycił go za nogi i ściągnął na ziemię. Hajduk opadł na przeciwnika jak kruk. Zza pasa wyrwał nabity pistolet, przyłożył mężczyźnie do piersi i zamarł wpatrzony w rozwarte w niemym krzyku usta.

– Żeby cię czorty rozszarpały! – warknął i trzasnął Harcyka kolbą w głowę.  
– Kowalik! Miejże go na oku. Tymek, wstaniesz? Kowalik, pomóż mi z nim.

Dwóch innych zbójników przyszło im w sukurs. Ludzie z Dymnego Wąwozu, wsparci przez zdziczałą bandę Wojciecha znad Stawów, konsekwentnie zyskiwali przewagę. Niemira wirowała wśród nich, rozdzielając ciosy tępym, ale ciężkim mieczem i różgą, na widok której każdy doświadczony góral bladł.

Szał Wityszy przypominał Dalegorowi determinację niedźwiedzicy broniącej młodych. Podsycana rozpaczą woła morowej budziła się z marazmu. Pokryta solą lina zaczęła kaleczyć dłonie czarownika, a jego zaklęcia wypływały z ust poszarpane górującym nad wszystkim śpiewem kobiet z Dymnego Wąwozu. Harcyk padł gdzieś pod nogami zbójników. Hajduk, wiedziony pragnieniem zemsty parł naprzód, a Wojciech znad Stawów z harnasiową swadą podsycił czynami odwagę swych ludzi.

Bezsilność i zwątpienie opanowały serca ludzi z Kościeliska. Zbili się ciasno wokół wozu. Za plecami mieli mór, przed sobą, bliższą i realniejszą groźbę szybkiej śmierci. Czarownica z Dymnego Wąwozu, pod której stopami pękały kamienie, zdawała się im teraz potężniejsza od uczonego z Warszawy. Dalegor wiedział, że szarpiąc się z własną bronią, przybliży moment, gdy obróci się przeciw niemu. Wszak żaden nie pragnął tej bratobójczej walki.

– Wystrzelać tych na zboczu! – ryknął. – Wystrzelać śpiewających!

Zdezorientowane spojrzenia podniosły się ku Dymnemu Murowi. Choć czarownik wprost tego nie zakrzyknął, wiedziano, że tam na górze były kobiety. Kilka uzbrojonych dłoni uniosło się niepewnie.

– Uciszyć więdźmy!

Huknął pojedynczy strzał. Ktoś zaraz pochwycił rękę strzelca i ściągnął lufę ku ziemi. Inni się wahali.

– Wystrzelać więdźmy, bo spuszcze Wityszę ze smyczy!

Dalegor poluzował chwyt i szamocząca się morowa dziewczica sięgnęła końcami palców karku jednego z górali. Mężczyzna padł na ziemię w

konwulsjach. Pozostali wymierzili pospiesznie.

– Hańba! – wrzasnął Wojciech znad Stawów.

Z dwoma kompanami wyrwał rozpaczliwą szarżą ku wozowi, ale powstrzymywany ciupagami i widłami niewiele mógł zrobić.

Jadźka nie widziała dobrze, co dzieje się w dole. Śpiewała z całych sił, zachwycona poczuciem jedności z pozostałymi kobietami i onieśmielona podnieceniem, jakie ją ogarnęło. Zdarła gardło, ale nadal własny głos wydawał jej się najpiękniejszą muzyką. Naraz Spalenik rzucił się na nią i przygwoździł go ściany Dymnego Muru. Straszliwy huk rozniósł się po wąwozie. Mężczyzna, wciąż trzymając kurczowo jej ramiona, targnął się jak zgnięty rozgrzanym metalem. Jego dłonie osłabły, na usta wystąpiła krwawa piana. Jadźka patrzyła, jak w przepełnione bólem oczy szaleńca powoli wraca spokój. Bezmyślnie uśmiechnęła się do niego, nie pojmując jeszcze w pełni, co się stało. Dopiero gdy osunął się na skały, dygocząc w palcach śmierci, zrozumiała. Kilka kroków od niej, młodziotka Ula z Raptusów krzyczała z bólu, zwinięta w oknie jaskini. Anna Porębianka stała dalej, ze zdumieniem wpatrzona w draśnięcie na ramieniu, jakby nie wiedziała, co to jest. Jakaś kobieta w kwiecistej spódnicy leżała u stóp ściany, zmieciona wystrzałem. Jadźka bezwiednym ruchem zamknęła zgaszone oczy Spalenika. W dole walka rozgorzała z jeszcze większą furją, a jej miast śpiewu w gardle wzbierał szloch.

Harmonia Dymnego Wąwozu z Żywym Wierchem, która napędzała Niemirę, zgasła przecięta strzałami. Rozwścieczeni zbójnicy i pozbawieni już wszelkich hamulców chłopcy rzucili się sobie do gardeł. Nad walczącymi splatały się czary Dalegora. Dziewczyna zaś pragnęła tylko uchronić te, które stały tam na górze i próbowały wśród płaczu i jęków bólu odbudować śpiew.

Miecz i różga zakreśliły obszerne koła. Niemira postąpiła naprzód, nie odrywając nawet stóp od ziemi. Brnęła przez trawy i głązy niczym łódź tnąca powierzchnię jeziora. Wyciągnęła ramiona do nieba i zakołysała się jak stare drzewo szarpane halnym. Poczuła w ustach duszącą gorycz i w tej samej chwili ze szczelin i jaskiń Muru buchnęły biało-szare kłęby. Całą potężną ścianę spowił gęsty dym, zasłaniając kobiety. Niemira zachwiała się, otumaniona. Bezwiednie zrobiła kilka kroków naprzód. Poczuła ból – ktoś ranił ją w ramię, ale zaraz Heniek Matuszowy podciął go ciosem pod

kolana. Ucał ją w pól i chciał odciągnąć w bok, ale nie był w stanie. Zdało mu się, że dziewczyna wrosła w ziemię.

– Nie rusz – wydyszała. – I odsuń się lepiej. To było dla nich. Teraz będzie dla was i dla Żywogórcy.

Spojrzała w stronę wozu. Dalegor ściągnął zeń Wityszę i prowadził ją teraz, posłuszną jak gończy pies.

– Czujesz to? Tak, czujesz, co zrobiono z twoimi duchami... zadrzyj... – szepnęła Niemira.

Ruszyła przed siebie tańcem kamiennej lawiny. Tupnięciem roztrąciła mężczyzn z Kościeliska, którzy weszli jej w drogę. Rozłożyła szeroko ręce i obracała się, drobiać ciężkie kroki. Na górze Jadzka przytuliła policzek do dygocącej skały.

– Słyszycie?! – wychrypiała. – To wszystko dla nas. Śpiewajmy!

Ciężki, żałobny ton skrzywdzonych kobiet potoczył się wąwozem, wplątał się w rozpuszczone włosy Niemiry, wyostrzył klingę miecza. Wciąż zataczając koła, to gnąc się do ziemi, to wyrastając do nieba niczym turnie, dziewczyna parła naprzód.

– Miejsce jej dajcie! Miejsce! – wołał Wojciech.

Hajduk skoczył w krok za Niemirą, choć drżąca ziemia uciekała mu spod nóg. Widział żądzę mordy gorejącą w oczach Wityszy i ostrze Kościeja w ręku Dalegora. Czarownik niechybnie czekał na atak i Jan zamierzał zrobić wszystko, by uniemożliwić mu kontrę.

Niemira jednak nie pragnęła bezpośredniej konfrontacji. Szła, bo potrzebowała tego ruchu, by posłać swe intencje jeszcze głębiej. Padła nagle na kolana, z impetem zawisając na wbitym w głaz mieczu i lasce. Przytknęła do nich czoło, dysząc ciężko. Hajduk usłyszał, jak mówi:

– Jeśli nie teraz, to nigdy.

Krwawa ślina bryzgała jej z ust przy każdym słowie. Pierś unosiła się i opadała gwałtownie, a całe ciało dygotało.

Ziemia zaś już nie drżała. Wszystko – od dna wąwozu po najwyższe iglice Raptawickiej Turni – tańczyło szaleńczo.

Kapia, dotąd nieobecny, przesyconym bezsilnością wzrokiem wpatrzona w Żywy Wierch, chwyciła się nagle ramienia Szelesta. Stali na Ornaku – on wsłuchany w echa Dymnego Wąwozu, ona we własne myśli – gdy Siwe Skały poczęły grać muzykę.



– Czujesz to? – szepnęła brzegina, na poły przerażona, na poły podniecona.

Szelest się zaśmiał. Jak mógłby nie czuć?!

– Widziałaś go kiedyś? – Sam sobie odpowiedział, kręcąc głową. – To patrz!

Z jaskiń Żywego Wierchu rwały na wszystkie strony demony i duchy. Nawet nocnice, mimo dziennego światła, opuściły schronienia. Niebo szybko zasnuło się ciężkimi chmurami, wleczonymi na linach przez planetniki. Wietrzyce, zmory, drobne czarty, biedy, strzygi, strzygonie, a nawet byty, których nawet Szelest nie umiał nazwać, pierzchały stadami w niebo lub w dół zbczy. Nad nimi wyrósł i Kościej, chaotycznymi ruchami wydobywający się z otchłani swojej pieczary. Kapia wrzasnęła na jego widok i skuliła się przy samej ziemi. Szelest zobaczył, że blizna na jej ciele się rozwarła. Chwycił brzeginę na rękę, przycisnął do siebie.

– Wytrzymaj. Zaraz będzie po wszystkim. Wytrzymaj.

– Zabierz mnie stąd!

– Wytrzymaj, Kapia. Tylko chwilę.

Kościej nie zdołał stanąć na szczycie. Strop komory runął, więząc go, zasypanego do pasa. Żywy Wierch jednocześnie rósł i się zapadał. Dźwigał się w górę – dorównywał już Starorobociańskiemu – a przy tym garbił się coraz bardziej, miażdżąc demony, które nie usłuchały ostrzeżenia. Potężne, skalne ramiona wzniosły się nad głowę Kościeja. Ten, siekąc wokoło ogniem i burzą, próbował uciec żywiołakowi. Nie dało się jednak wyrwać ziemi, z której wyrósł i którą władał Żywogórzec. Kanonada kamieni spadła na strażnika demonów. Szczelina, głębsza niż jakakolwiek tatrzańska jaskinia, rozwarła się pod jego nogami. Zaryczał jeszcze w proteście, drąc pazurami skałę. Wzywał mocy Dalegora, ale czarnoksiężnik był daleko, za zasłoną tańca grani i niesionego wiatrem śpiewu.

– Kapia!

Brzegina zwiotczała w ramionach Szelesta.

– Kapia!

Położył ją ostrożnie w trawach, spojrzął w nieprzytomne oblicze i odetchnął z ulgą. Zbyt nawykł do delikatności ludzi. Rana brzeginy zamknęła się na powrót i tylko czerwone plamy przypominały o tym, że ledwie przed chwilą krwawiła.

Leszy powiódł wzrokiem w stronę spowitych gęstą mgłą turni Dymnego Wąwozu. Wiele by dał, by wiedzieć, co tam się teraz działo. Starczyło, by Żywogórzec zrobił krok i z okolicznych grani leciały kaskady kamieni – padały skalne iglice, a w ich miejsce wydzwigiwały się kolejne. Gdy zatopił kamienną dłoń w miękkim dnie doliny, Organy zagrały tryumfalnie. Wokoło tańczyły duchy i demony. Tatry wiwatowały na cześć Żywogórcza, a Szelest... a Szelest bał się tylko, że Niemira może nie przetrwać żywiołu, który rozpętała.

– Nie! Nie! – protestowała dziewczyna, każde słowo okupując krwawymi plwocinami.

Jan nie słuchał. Wpadł między nią a Wityszę, choć ledwie był w stanie ustać. Pod jego nogami zaroilo się od szczurów i robactwa. Kąsały, wdzierały się pod ubranie, do nosa i ust. Na znak Dalegora kilku chłopów opadło zbójnika z widłami i siekierami. Wojciech skoczył mu w sukurs. Na trzęsącej się ziemi, wśród lecących ze ścian wąwozu kamieni, walka przypominała zabawę taneczną paralityków. Hajduk zdołał rozbić kilka głów, sam jednak stracił równowagę. Jeden z przeciwników upadł na niego. Zadrzał zaraz spazmatycznie i sflaczał, trzaśnięty przez harnasia znad Stawów po krzyżu. Jan złapał kilka ciężkich oddechów. Próbował zepchnąć z siebie martwego górala, ale walka wyzuła go z sił. Krzyknął na Wojciecha, ten jednak nie słyszał. Witysza zaś była już o krok od Niemiry. Zimna i obojętna, posłuszna Dalegorowi. Po twarzy czarownika płynęła krew. Skapywała też z końców poplątanych warkoczyków. Jakieś przypadkowe uderzenie – może kamień – rozbiło mu głowę. Dygotał na całym ciele, lecz nie z bólu czy słabości. Dłoń zaciskał z całych sił na ostrzu Kościeja.

– Może go obudziłaś... Ale wierz mi, to ostrze nie straciło mocy – wysyczał.

Przez zasłonę Dymnego Muru przedarł się potężny wiatr, zaraz po nim zaś przemknęła błyskawicznie ulewa, ledwie zraszając walczących. Niebo na chwilę pojaśniało, a potem zmieniło się w istny kalejdoskop. Deszcze, śniegi, wichury i silne słońce pojawiały się na przemian, ledwo na mgnienie oka. Niemira oderwała wzrok od pustej twarzy morowej dziewczycy i spojrzała wokoło. Ściany wąwozu drgały równym pulsem, zjednoczone z Żywogórcem. Była w tym ich statycznym tańcu jakaś niema groźba. Jakby zaraz miały ruszyć sobie naprzeciw, miażdżąc wszystko wokół.

Dalegor nie potrzebował tych znaków, by wiedzieć, że przegrywa. Kościeliscy górale wpadli jednak na ich widok w panikę. Rzucili się na oślep – jeden przez drugiego – do ucieczki. Bili kogo i co popadnie – nieważne, czy swego, czy wroga. Kilku dopadło do Dalegora. Chwyтали się jego płaszcz jak dzieci matczynej kiecki. On zaś parł naprzód, nie bacząc na chaos. Tatry znów go oszukały. I zamierzał je za to ukarać najdotkliwiej, jak tylko będzie w stanie. Szarpnął za smycz Wityszy.

– Zniszcz to wszystko... – Usłyszeli uczeptieni go ludzie. – Zabij ich! Wszystkich!

Morowa dziewczica spojrzała przez ramię. Uśmiechnęła się z satysfakcją. Mimo szalejącej nawałnicy powietrze zgęstniało, przesycone zgnilizną.

– Zdrajca! – ryknął jeden z Kościeliskich gazdów. – Zdrajca!

Uniósł siekierę, ale nim zdołał zadać cios, padł na ziemię w drgawkach, wymiotując gwałtownie. Hajduk zepchnął z siebie bezwładne ciało i wstał na nogi. Ruszył chwiejnie, wyczerpany do granic.

– Z drogi – warknął Dalegor. – Bierz ją! – szarpnął smyczą, jakby miał na niej podrażnionego wyźła.

Niemira wyciągnęła przed siebie miecz. Sztych wycelowwała w pierś Wityszy. „Opanuj się... Opanuj” – prosiła w myślach. – „Nie tak się miałyśmy poznać. Nie tak!”. Rozdzieliła je przetaczająca się w panice grupa górali. Już nie było „tych z Dymnego Wąwozu” i „tych z Kościeliska”. Wszyscy byli „stąd”. Niektórzy próbowali rzucić się na Dalegora, inni gnali na oślep, depcząc rannych. Jakiś uczeptił się liny, wyjąc w panice modlitwy. Kowalik skoczył w ślad za nim z ciupagą, ale upadł, gdy dygocąca ziemia rozpekła mu się pod nogami. Potężny juhas przebiegł mu na oślep po plecach i wpadł na Wityszę. Poznawszy w niej swoją rychłą śmierć, począł na oślep wymachiwać toporkiem. Spod ostrza posypały się kryształki soli. Kowalik ujrzał, jak oczy Dalegora rozszerzają się w przerażeniu.

– Jeszcze raz! – wrzasnął, zrywając się na nogi.

Oszalały ze strachu człowiek, obrastający w oczach dymienicami, zamachnął się i padł bezsilnie na ziemię. Kowalik chwycił jego topór i przymierzył spokojnie... Uderzył. Solna obroza pękła z trzaskiem.

Dalegor miał czas tylko puścić linę i zawezwać ochrony biesów. Czary, którymi spętał morową dziewczicę, starła w jednej chwili przesycająca wszystko moc Żywogórca. Witysza wyła i chichotała jednocześnie. Z furją dopadła do czarnoksiężnika, dłonią oblepioną robakami sięgając mu do

gardła. Pchnął instynktownie. Ostrze Kościeja wgrzyło się głęboko w wychudzone ciało. Najpierw padły szczury u stóp morowej, potem ona sama zadrżała, targnięta bólem. Ale się nie cofnęła. Zacisnęła dłoń na gardle czarownika, drugą wplątała w jego włosy. Kolejne pchnięcie było jak uderzenie pioruna. Witysza zwisła bezwładnie, wciąż uczepona człowieka. Wysunęła wzdęty język, z trzewi uwalniając najgorszą śmierć, jaką miała dla ludzi.

– On ją zabije! – krzyknęła Niemira.

Chciała biec ku morowej, ale ciężar tańca trzymał ją w miejscu. Tych kilka chwil pozwoliło jednak Hajdukowi odzyskać oddech. Bezmyślnie dopadł do Wityszy i szarpnął ją w bok. Upadli razem między kamienie. Przycisnął ją ciężarem ciała, bo choć ledwo żywa, rwała się do walki. Spojrzał przelotnie na swoje ręce. Skóra gniła w oczach, a stare blizny podchodziły gangreną. Zaklął pod nosem, ale nie puszczał.

Niemira wrzasnęła w proteście, widząc, jak mór pożera Hajduka. Cały swój taniec oddała mieczowi i porzuciwszy go utkwionego w kamieniu, wsparła się na lasce Wityszy. Jeden krok i splunięcie krwią. Drugi. Po chwili szła już pewnie przed siebie. Dalegor nie był gotów na takie starcie. Cisnął ostrzem Kościeja i rzucił się do ucieczki. Trafiłby, ale laska Wityszy, jakby obdarzona własnym instynktem, zbiła pocisk. Niemira uderzyła nią o ziemię. Kamienie ruszyły żłebem Dymnego Muru i z łoskotem zagroziły Dalegorowi drogę.

Obrócił się, skrzyżował ręce w obronnym geście, wzywając biesy na pomoc. Góralka była już o krok. Laskę odwiodła na bok, drobną dłoń zacisnęła w pięść. Rozmigotane oczy śmiały się z niego spojrzeniami dziesiątek dusz, które upokorzył swymi czarami.

– One wszystkie... moje! – zawył.

Uderzenie żelaznej różgi przyjął na przedramiona, tyle jednak starczyło. Przy akompaniamencie trzasku kości padł między głązy. Niemira stanęła nad nim. Oddychała gwałtownie, ale wstrzymywała ostatni cios. Zatluc człowieka? Chciała i Żywogórzec też chciał. A jednak coś ją paraliżowało. Omiotła baczny spojrzeniem czarownika. Na szyi miał krwawe, płytkie bruzdy – ślady rąk Wityszy. I choć wokół nich zaczął się plenić mór, nie pełzył dalej. Dziewczyna pokiwała głową do własnych myśli, pochyliła się...

– Nie! – zaprotestował Dalegor, ale nie miał gdzie ani jak uciec.

Szybkim ruchem zerwała mu amulet zbity z ułomków ciał Matohy i Kościeja. Dłoń zapiekła ją straszliwie, do nozdrzy uderzył swąd spalenizny. Odrzuciła przeklęty przedmiot. Gdy znów spojrzała na czarownika, szczury zdołały już go opaść, a zgnilizna zajmowała twarz.

– Smacznego – syknęła, patrząc, jak zwierzęta rozszarpują poznaczoną tatuażami skórę na rękach.

Obróciła się w stronę Wityszy, która wlokła się, potykając i upadając, ku swojej zemście. Jan leżał krok dalej, bezsilny, ale z determinacją wymalowaną na cierpiącej twarzy.

„Wytrzymaj, błagam” – jęknęła w myślach Niemira.

– Ty masz co innego do zrobienia – oświadczyła twardo, zachodząc drogę morowej.

Czuła dreszcze, gdy stała tak naprzeciw Wityszy, z laską w wyciągniętej ręce. Patrzyła jak jej twarz – pierw bezmyślna maska nienawiści – z chwili na chwilę zmienia wyraz.

– Skończ ten mór, Witysza. Wróc do nas taka, jaka byłaś – mówiła cicho Niemira. – Przyjdź do mnie taka, jaka chciałaś przyjść.

– Przyjść... do ciebie? – Głos morowej dziewczicy rozbrzmiał dziecięcym zdumieniem.

– Tak. Chcę cię poznać. Teraz będziesz mogła. Weź tę laskę. Skończmy to.

Dziewczyna wskazała wzrokiem chyboczące się góry i ciemne stada szczurów.

– Ty skończ mór, ja uspokoję Żywogórca. Zróbmy to razem, błagam.

Witysza zaskowyczała. Skoczyła naprzód ku Niemirze.

Dwie gnijące dłonie zacisnęły się na lasce i skóra zaczęła z nich obłazić jak kora z jabłoni. Niemira wpatrywała się z niedowierzaniem w malejącą sylwetkę morowej i jej łagodniejące oblicze. Po chwili stała przed nią blada dziewczynka w białej sukience. Miała młodzieńczo gładkie policzki i wypisaną na twarzy niewinność. I tylko w wielkich, ciemnych oczach kryły się doświadczenia dojrzałej kobiety. I śmierć.

– To razem? – spytała Niemira.

Odpowiedziała jej cisza tak intensywna, że zagłuszyła wycie wiatru, szloch przerażonych ludzi i huk spadających skał. Witysza skinęła ciemną główką i oddała dziewczynie śpiew kobiet z Dymnego Muru i zaklęty w nim głos Szelesta. Niemira ruszyła pierwsza, krokiem płynnym i zmysłowym. Zatrzymała się nagle. Rękoma poczęła wybijać rytm o uda,

kolana, ramiona i pierś. Poczwała, jak uwaga wszystkich okolicznych turni skupia się tylko na niej. Obrotem zaprosiła, by powierzyły jej swój gniew, radość, smutki i ruszyła zanieść je na Żywy Wierch. Za jej plecami skały powoli usypiały, a ludzie otrząsali się z krwawego szaleństwa.

Jan nie potrzebował widzieć więcej. Począł czołgać się do krwawiącego, skomlącego z bólu Dalegora. Na gest cichej szczury się pochowały, zostawiając okaleczonego człowieka na granicy śmierci. Dana mu przez biesy żywotność przedłużała teraz agonię. Coś zachrobotowało pod palcami Jana. Wyczuł chłodną rękojeść noża, więc odruchowo chwycił ją w garść. Dopiero dźwigając się nad czarownikiem, spojrzał na znalezisko. Ostrze Kościeja.

– Wyrzynałeś tym brzeginy. Zobaczymy, jak na ciebie zadziała – wycedził przez zęby.

Dalegor targnął się w proteście, ale pozbawiony mocy i niemalże oskórowany żywcem, nie miał szans. Hajduk dwoma szybkimi ruchami rozplatał mu brzuch i gardło. Osunął się obok, z dłonią w kałuży gorącej krwi, z lubością wsłuchując się w rżenie konającego. Czuł, że i po niego idzie kostucha. Pierwszy raz od utraty Lelei nie była mu to miła myśl, ale tonęła w falach satysfakcji i ulgi. „Może tak będzie lepiej” – przemknęło mężczyźnie przez głowę. – „Może gdzieś tam ją spotkam”. Na poły pogrążony w majakach nie spostrzegł, jak oplatają go trawy i gałęzie. Nie poczuł łaskotania liści na skórze. Gdy potężna postać przesłoniła mu światło, przyjął ją obojętnie, przekonany, że to śmierć. Cieszył się tylko, że widzi jedynie rozmazane kształty – straszne bowiem historie o jej obliczu słyszał od ojca.

## ROZDZIAŁ 29

Choć ciała wywieziono, Niemira bacznie wypatrywała, czy nie trafi z Niemoją na coś, czego mała widzieć nie powinna. Jeśli jeszcze coś takiego było. Po walce, gdy Mur przestał już dymić, dziewczynkę znalazła Jadźka – przykucniętą na półce przy zwłokach ojca i usiłującą go obudzić. Nikt nie pojmował, jak się tam znalazła. Podejrzewano tylko, że uciekła, gdy zawaliła się chałupa, w której kryła się z rodziną i sąsiadami. Taniec Żywogórcza zostawił w Cierpkówce i Wichrzykach wiele zniszczeń. Jakim cudem jednak przeszła niezauważona i wdrapała się na ścianę – sama nie umiała wytłumaczyć.

Minęły dom Gajdów. Zorganizowano w nim lazaret dla tych górali z Kościeliska, którzy byli za słabi, by odejść. Przez dwa dni, które upłynęły od starcia, Niemira najwięcej czasu spędziła, krążąc między tym miejscem, chałupami goszczącymi rannych zbójników i szopą Wardów. Tam na zdrowie lub śmierć czekali zarażeni. Witysza, odchodząc, zabrała ze sobą mór i większość nim dotkniętych dochodziła do siebie szybko. Los kilku, którzy odważyli się z nią bezpośrednio walczyć, wciąż był jednak niepewny. Nimi mało kto chciał się zająć. Antek wyprawił więc żonę z dzieckiem do rodziny i wraz z Kachną przyjął potrzebujących. Kowalik, choć też powinien tam leżeć, zdrowiał w domu, pod czujnym okiem matki. Ku wielkiej uldze Niemiry, było z nim dobrze. Przyznał się, że gdy tylko spostrzegł na skórze dymienice, wtarł w nie sól z obroży Wityszy. Czary Dalegora zatrzymały chorobę.

Cierpkówka i Wichrzyki szamotały się więc między żałobą a nadzieją. Dzieci posłano w lasy, by szukały popłoszonego inwentarza, ci z walczących, którzy wyszli bez szwanku, pomagali w odbudowie, wozili rannych, czy dbali o obejścia poszkodowanych sąsiadów. W domu Porębów zebrali się najstarsi gazdowie i radzili, co dalej. Wsie bowiem wyszły ze starcia pokaleczone, a w oczach ludzi wciąż gościł strach. Zaproszono do rozmów Wojciecha znad Stawów, po trosze w dowód szacunku i wdzięczności, po trosze zaś, by przekonać go do dalszej pomocy. Jednego ważnego człowieka brakowało przy tych rozmowach. O Hajduku niewiele wiadano.

Niektórzy zapamiętali jego rozkładające się ciało, unoszone przez leszego. Jedni wierzyli, że był to dla niego ratunek, inni, że las upomniał się o duszę hołdującego starym obyczajom górala. Nawet Niemira, choć wiedziała, że Jan znalazł się w najlepszych możliwych rękach, lękała się o niego. Od momentu powrotu do wsi nieustannie walczyła z pokusą, by biec do ostoi Szelesta. Obowiązków jednak miała zbyt wiele, a sił z każdą chwilą coraz mniej. Stanięcie twarzą w twarz z Żywogórcem wlało w nią nową energię. Takiej harmonii, jak gdy dotykała kamiennej skóry pochylonego ku niej żywiołaka, nie czuła jeszcze nigdy. Jej ciało ciągnęło do niego, gotowe zrosnąć się z górami. Euforia tego krótkiego spotkania zanosła ją do Dymnego Wąwozu i pozwoliła zachować nadzieję mimo przejmujących widoków. Nie była jednak niewyczerpana. Rany, ociążałe z wyczerpania ciała, strach, wściekłość i zaraźliwy żal ludzi, którzy potracili bliskich, wyzuły Niemirę do cna.

„Ostatnia sprawa. I choć na chwilę... Na ten jeden wieczór” – powtarzała sobie, gdy zbliżały się do prowizorycznego schronienia stworzonego ze skór rozpiętych między strąconymi z Raptawickiej Grani skałami. Ścisnęła mocniej dłoń Niemojki. To spotkanie było bardziej wymagające niż którekolwiek z wcześniejszych zadań tego dnia. Zajrzała do środka.

Harcyk leżał na paru zapluskwionych pledach. Pod głową miał zwiniętą pokrzwawioną cuchę. Pozwolono mu żyć, ale rannego i obolałego nikt nie doglądał. Na ziemi stał garnek z wodą i miska zaschniętej kaszy z serem, którą u kogoś wyprosił. Niemira obserwowała go z daleka. Póki nie przyszła do niej Niemoja z pytaniami, nawet nie myślała go widzieć.

– Harcyk, mamy z tobą do pomówienia.

Mężczyzna usiadł bez słowa. Zmrużył podpuchnięte oczy, jakby raziło go światło. W tych kilka dni bardzo wychudł, a jego skóra zdawała się niemalże papierowa.

– Niemoja? Czemu ją tu przyprowadziłaś?

Dziewczynka spojrzała spode łba na zbójnika.

– Ja chyba już jestem duża. I chyba zrobiłam się silna... – oświadczyła niespodziewanie.

Niemira przykucnęła obok niej.

– Tak, pewnie tak.

– To już nie jestem Niemoja. Jestem Marysia. Tak tata mówił. Że jak będę duża i silna, to będę miała na imię Marysia.



– Dobrze. – Pogładziła dziewczynkę po włosach, po czym zwróciła się do Harcyka: – W zasadzie to ona ma do ciebie sprawę. Ale najpierw mi musisz coś powiedzieć.

– Nie zabiłem Lelei. Nie wiedziałem nawet, że on to zrobi...

– Wiem, byłeś durniem – przerwała mu. – Tchórzem i durniem. Nawet jeśli myślałeś, że jesteś wyrachowany. Nie obchodzi mnie teraz to, co było. Ona potrzebuje tego, co będzie.

– Będzie? Powiesicie mnie albo zatłuczecie kijami.

Wzruszył ramionami. W jego głosie nie było wyzwania. Raczej rezygnacja.

– A co, jeśli nie? – spytała cicho Niemira.

– Jeśli nie?

– Jeśli nie.

Zamilkł na dłuższą chwilę.

– Nie wiem. Pójdę do Olki może... Będę zbójował. Nie wiem. To wszystko jest takie nierealne.

– Chciałbyś normalnego życia?

– Cóż z mojego chcenia?! Czy ty nie widziałaś, co się stało?!

– Nie krzycz! – pisnęła Marysia.

Niemira wzięła głęboki oddech. Próbowwała przywołać w pamięci tę determinację, jaka towarzyszyła jej rozmowie ze Spalenikiem. Harcyk jednak budził w niej obrzydzenie i strach. Tamten był ofiarą... „I właśnie dla tamtego to robisz. I dla małej”.

– Z chcenia niewiele. Ale czasem można coś zrobić. Wiesz, że Spalenik zginął?

Harcyk pokręcił głową.

– Zasłonił Jadżkę Kowalową, gdy Dalegor kazał do kobiet strzelać. Ale nie to ważne. Krótco przed tym szukał swojego odkupienia. Za to, coście zrobili w Mylnej. Zobowiązał się przed posągiem Wołosa złożyć mu ofiary, jakie pan podziemi wyznaczy. W zamian jego dusza miała zostać przywrócona rodzinie.

– Nie zdążył.

– Nie dostał szansy. Za szybko to wszystko się stało.

Zbójnik pochylił głowę, zatopił palce w posklejanych włosach. Wobec wielu osób czuł wyrzuty sumienia. Zaczęły się rodzić, gdy Dalegor przyprowadził morową dziewczycę między ludzi, a na dobre zajęły mu myśli, gdy w ciemnościach szafasu zmagął się ze słabością. Wobec nikogo jednak

nie czuł się tak winny, jak wobec Spalenika. Sam przecież, wykorzystując jego lęki i traumy, sprowadził go do Dalegora. Razem uszykowali swym krajanom to piekło.

– Niewiele jesteś wart, Harcyk – podjęła Niemira. – Ale możesz przynajmniej jemu się jeszcze przysłużyć. Niem... Marysia przysłała dziś do mnie i spytała: „kto złoży te wszystkie ofiary za tatusia?” i wtedy zrozumiałam, że jest jedna osoba, która powinna.

Harcyk zaniemówił.

– Weźmiesz na siebie odkupienie jego duszy? Złożysz Wołosowi jego ofiary?

Trzymająca się z boku dziewczynka wyszła teraz pewnie przed zbójnika i wpatrzyła mu się bacznie w twarz. Jej usta stopniowo rozciągnęły się w uśmiechu.

– Tak. Chcę to zrobić – odparł Harcyk.

– Więc słuchaj uważnie. – Mała nie pozwoliła Niemirze dojść do słowa. – Dwie kozice. Niedźwiedź. Baran. – Zginała kolejne paluszki, skupiona na liczeniu. – Kogut i bażant. I świstak. Krowa i...

Harcyk słuchał długiej wyliczanki bardzo uważnie. Wzrok wbił w ziemię, głowę nisko opuścił. Nie chciał, by Niemira widziała choćby cień wdzięczności, którą teraz czuł.

W ostoi Szelesta przyroda wciąż świętowała przebudzenie Żywogórca. Ptaki wzbijały się chmurami w powietrze i opadały, podnosząc najdziwniejsze trele. Gnały potem w pędzie między drzewami, ledwie mijając pnie i gałęzie. Nawet kruki w tych dniach odrzuciły swoją żalobną powagę. Wiatr tańczył wśród liści, słał dobre nowiny na wszystkie strony, zwoływał kolejne zwierzęta, by tu, pod okiem strażnika lasu, mogły chłonąć euforię Tatr wspólnie – zapomniawszy, które drapieżnikiem, a które ofiarą. Tylko w skrytych pod okapami mchów salach panowało skupienie, wciąż przesycone strachem o przyszłość.

Kapia ujęła rękę Hajduka, dokładnie obejrzała jego dłoń – z wierzchu, od spodu, między palcami – po czym powoli zaczęła odwijać oplatające przedramię bandaż z liści łopianu. Zerknęła co chwila to na mężczyznę, to na Szelesta, który wprawdzie trzymał się z boku, ale surowo śledził każdy jej ruch.

Przesunęła palcami po miejscach, gdzie wygniła skóra wciąż się nie goiła. Hajduk zauważył cień smutku na jej twarzy.

– Co? Niedobrze? – rzucił dziarsko.

– I tak i nie... – odparła niepewnie. – Jest lepiej. Ale powoli, bardzo powoli.

Wiedział, co miała na myśli. Jego ciało było wyczerpane. Trzymało się życia chyba tylko siłą woli, która po walce wróciła zbójnikowi. Nawet jeśli ogólny stan się poprawiał, chwilowy atak słabości starczyłby, by go zabić.

– Trudno, poczekam – mruknął, przymykając oczy.

Raziło go światło.

Po chwili doszły go słowa Kapii, wyszeptane do Szelesta:

– Idź, nie lękaj się. Zaopiekuję się nim. Wytrwa.

– Wiem – odparł leszy, ale nie ruszył się z miejsca.

– Idź. Powiesz mi, jak Niemira sobie radzi – rzucił Hajduk. – Spytaj, jak we wsi sobie radzą. I czy Wojciech z Kowalikiem cali. Winny im jestem...

– Dobrze, dobrze. – W głosie Szelesta brzmiało rozbawienie.

Na prośbę przyjaciela siał wyrwane z radosnego transu ptaki po wieści. Hajduk znał więc odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

– Pójdę już. Przekażę, żeś żwawy.

Gdy kroki Szelesta ucichły, brzegina wróciła do chorego. Poczęła nacierać mu skórę maścią z ziół i świstaczego sadła. Rozchylił znów powieki. Wypiękniała. Pod okiem Szelesta odzyskała powabne kształty, a jej skóra stała się gładka i lśniąca niczym wypolerowany granit. Tylko w twarzy pozostał lęk wystraszonego dziecka. Złapała jego spojrzenie, odłożyła miszkę ze świerkowej kory i otarła mu pot z czoła.

– Wytrzymaj – poprosiła cicho.

Uśmiechnął się, próbując nadać umęczonej twarzy pogodny wyraz.

– Wiem, że ciągnie cię do Lelei – dodała niespodziewanie. – Ale ona chciałaby, żebyś wytrzymał.

Piers mężczyzny uniosła się w głębokim wdechu. Wypuścił powoli powietrze.

– Słyszałam ją, gdy upadł Kościej. To była dla niej wielka ulga. Teraz już jej dobrze, tylko o ciebie się troska. Dla wszystkich moich siostr jego śmierć to wielka ulga... – dodała i głos jej się załamał.

– Tylko dla ciebie nie do końca...? – zachrypiał Hajduk.

– Nie. Jestem szczęśliwa – zaprzeczyła sztywno, walcząc ze łzami.

– Wrócą tu te, które uciekły?

– Może kiedyś... Nie wiem. Zależy, jak bardzo pokochały nowe strumienie.

Odwróciła się. Przez chwilę udawała, że miesza masę, ale po drzeniu nagich ramion widać było, że tylko się kryje. Nędznie zresztą. Opuściła bezradnie ręce.

– Nie pytaj więcej, dobrze?

Nie odpowiedział. Uspokoiła się i starannie dokończyła zmianę opatrunków. Hajduk leżał, obserwując ją spod wpółprzymkniętych powiek. Nie przypominała mu Lelei. Raczej Niemirę, kiedy jeszcze była podlotkiem. Ostatni rok ją zmienił, w pewien sposób mu ją odebrał. I właśnie, gdy to się działo, znalazł Kapię...

„Dlatego tak bardzo chcesz, żebym jeszcze został na tym świecie?” – spytał ukochanej w myślach. Coraz wyraźniej widział w tym spotkaniu jej rękę, od wskazania mu Sikławicy w Dolinie Strążyskiej po dające ulgę opowieści brzeginy.

– Nie bój się, mała. Przy nas niełatwo zmarnieć ze smutku. Wierz mi, wiem, co mówię.

Kapia zeszywniała. Przełknęła głośno ślinę.

– Hajduk, powinnam ci coś jeszcze wyjaśnić... – zaczęła niewyraźnie.

– Wiem, wiem... Skłamałaś. W nosie to mam. Choć jak się powtórzy, to ci skórę przetrzepię.

Fuknęła odruchowo. Człowiek może i miał się za dojrzałego, ale przecież był młodszy od niej. I pozostawał tylko człowiekiem. Żadna brzegina nie godziła się na takie groźby. Góral parsknął.

– Oj, będziesz ty kiedyś jak Leleja. Niejednego zbójnika będziesz za nos wodzić.

– To zobaczymy. Pamiętaj tylko, żeby mi skórę przetrzepać, to musisz wyżyć.

Zmusiła go, by położył się na wznak i przetarła mu czoło chłodnym wywarem z ziół.

– Śpij. Przyniesie ci to trochę ulgi.

Wiosenne popołudnie powinno tętnić życiem. Ale las wokół Niemiry nagle ścichł. Krzewy wstydliwie próbowały ukryć obumarłe gałęzie, a mech litościwie zakrył trop zwiędłych kwiatów, ale dziewczyna szybko się zorientowała, że nie jest sama.

– Nie chowaj się. Nie obowiązują cię już zakazy Matohy – zawołała półgłosem. – Chodź do mnie. Mam coś dla ciebie.

Cicha wychynęła spomiędzy drzew. W jednej ręce trzymała laskę, w drugiej skórzaną sakwę. Stała naprzeciw Niemiry. Usta rozwarła jak zachwycone dziecko, ale wzruszenie i uniesienie w jej oczach nie miały w sobie nic z naiwności. Odłożyła różgę i ostrożnie wyciągnęła rękę w stronę dziewczyny. Chwyciła końce jej włosów, przysunęła się i poczęła porównywać kolor ze swoimi. Uśmiechała się coraz szerzej, a łzy jak grochy toczyły jej się po policzkach. Szukała podobieństw we wszystkim – nawet tam, gdzie ich nie było – i każdym szczegółem cieszyła się tak samo. Niemira stała nieruchomo, próbując przełknąć rosnącą gulę w gardle. Czasem w myślach klęła Wityszę za swój pogmatwany los, ale zawsze chciała ją poznać. I choć wszystko w tym spotkaniu było koślawe, od uczuć cichej poczynając, Niemira musiała przyznać jedno – czuła się kochana.

Drżącą ręką wyjęła z przewieszanej przez ramię torby wianek obumarłych krokusów. Ten, który uplotła, gdy z Niemoją zostały siostrami.

– Mogę? – Zdjęła cichej wianek z włosów i założyła swój. – Będzie ci ładnie.

Witysza podziękowała niemo.

– Spiesz się na Ornak. Możesz iść część drogi ze mną.

Ruszyły ramię przy ramieniu. Witysza chwilę tylko utrzymała ciekawość na wodzy. Gdy mijaly wielką kałużę w koleinie, wyrwała do niej i poczęła się przeglądać. Poprawiła wianek i dopadła z powrotem do Niemiry. Nie miała już uśmiechu.

– Dziękuję – zaskrzeczała jej głosem rzeczywistość. – I przepraszam...

– Nie przepraszaj. To wszystko nie twoja wina. – Dziewczyna chciała iść dalej, ale cicha zaszła jej drogę.

Wyciągnęła z sakwy ciężki, żelazny amulet, zdobiony licznymi, prostymi symbolami przypominającymi dziecięce bazgroły.

– Sama zrobiłam.

– Dziękuję... Co to?

– Dla Hajduka. Zabierze mój mór.

Niemira powstrzymała chęć objęcia cichej. Dopiero dalej, w drodze, pozwoliła wziąć się za rękę. Kątem oka widziała, że Witysza prowadzi ją z matczyną dumą, jakby całemu lasowi, a potem halom, chciała pochwalić się

swoją córką. Gdy rozstawały się na Iwaniackiej Przełęczy, wyskrzeczwała jeszcze jedno słowo:

– Tęskniłam.

Gęstwina, dotąd ustępująca wędrującemu Jaworzynowemu Wałem leszemu, zwarła się nagle w potężny mur. Dwa stare buki potrząsnęły konarami w niemej groźbie. Szelest znieruchomiał. Przed chwilą jeszcze był na swojej ziemi, teraz nagle stała mu się obca i wroga. Wiedział, że ten moment nastąpi, ale odwlekał nieuchronną rozmowę tak długo jak mógł. Być może za długo, skoro Wiż zaczynał ją w ten sposób.

– Pozwól mi się wytłumaczyć!

– Próbuj...

Borowy dziad wyłonił się spomiędzy drzew, otoczony przez cztery niedźwiedzie. Zwierzęta powoli, kołysząc się na boki, otoczyły Szelesta.

– Wszystko, co źle uczyniłem, miało swój cel i doprowadziło nas do zwycięstwa. Żywogórzec...

– To wiem – przerwał niecierpliwie Wiż.

– Oddane mi w opiekę regle nie ucierpiały, a prawa w tamtej chwili...

– Co? Nie obowiązywały cię?

Wiż podszedł do Szelesta, oparł mu potężne dłonie na ramionach, niemalże wgniatając go w ziemię. Spojrzenie niedźwiedzich ślepi borowego wwiercało się w trzewia. Leszy poczuł, że nie może się ruszyć. Skóra na jego nogach zmieniła się w grubą, starą korę, ze stóp wyrastały korzenie i wżynały się w ziemię.

„Więc tak? Po prostu”? Nie panował już nad ciałem. Budzone przez Wiżą, zmieniało się. Jeszcze kilka chwil i nikt nie odróżni go od zwykłego drzewa. Nawet on sam siebie.

– Błagam, posłuchaj mnie!

– Nie. – Na rozkaz borowego usta Szelesta zdrewniały. – Teraz ty mnie posłuchasz. Powinienem cię oddać wraz z całym tym lasem pod opiekę innego leszego. Ostrzegałem cię wiele razy, a ty wciąż i wciąż... – Ton Wiżą stał się gderliwy niczym u starego dziadka. – Dałeś ludziom swój śpiew. Dałeś nasze zaklęcia. Znów wszedłeś do ludzkich osiedli, choć istoty lasu trzymały się regli. Znów leczysz człowieka. A teraz, miast wytłumaczyć się borowym, gnasz na oślep do tej swojej dziewczki. Zwyciężyliśmy, to prawda. Z twoją wielką pomocą. To prawda. Lecz kosztowała cię ta pomoc całego siebie. Nie jesteś już jednym z nas. Zbyt śmierdzisz ludźmi.

Szelest potrząsnął głową. W jego oczach szalał strach.

– Złamałeś w ostatnim czasie dziesiątki praw. Według wszelkich reguł powinienem odebrać ci twój las. – Wiż odchrząknął i kora na nogach leszego poczęła się łuszczyć, a korzenie usychać. – Ale obaj wiemy, kto teraz będzie strażnikiem na Żywym Wierchu. I... – Sowie oko mrugnęło porozumiewawczo. – I coś czuję, że ta osoba nie byłaby zachwycona takim obrotem spraw.

Szelest złapał gwałtownie oddech jak tonący wyciągnięty na powierzchnię. Opadł na jedno kolano, dłoń przyciskając do piersi.

– Ładnieś to sobie wykombinował, buntowniku, ładnieś – dokończył borowy.

– Przysięgam, nigdy niczego takiego nie miałem na myśli...

– Ty tu teraz będziesz nad nami władza! Ha! Choć nawet nigdy do roli borowego nie dorosłeś.

– Skąd! Co ty mówisz?! Nigdy nie chciałem władzy. Przysięgam, niczego takiego bym nie wymyślił.

Świerki zaskrzypiały chichotem. Twarz Wiża rozciągnęła się w krzywym uśmiechu.

– No! Już! Żarty sobie tylko z siebie stroję.

Szelest znieruchomiał. Zbyt był wstrząśnięty, by roześmiać się czy z niego, czy z siebie.

– Żarty. Drwiny. Kpiny. No czego nie rozumiesz?! – obruszył się nieco borowy. – Ach... Że przesadziłem? Takiś wrażliwy? Och, wstań już, wstań.

Leszy wyprostował się powoli. Kilka czarnych piór opadło mu z głowy.

– Ale się wystraszył! Ach, no pięknie, pięknie. Uspokój się. Żarty sobie stroję. Znaczy, no... Prawdy w nich trochę jest. Że za skórę niektórym borowym zalazłeś... I że lepiej cię teraz nie karać, bo panna znów Żywogórcowi zatańczy.

– Wiżu – przerwał stanowczo Szelest. – Nie chcę kary i nie uważam, bym na nią zasłużył. Ale jeśli borowi uważają, że tak będzie dla lasów dobrze, że popełniłem coś niewybaczalnego... Poddam się osądowi. Pozwól mi tylko z Niemirą porozmawiać, a na pewno jej zemsty nie będziesz się musiał obawiać.

Borowy się uśmiechnął.

– Rad jestem tę deklarację usłyszeć. I wszyscy będą. Tym razem jednak, choć stąpałeś po granicy, to jej nie przekroczyłeś. Waga sprawy cię chroni.

Leszy odetchnął z ulgą.

– No, idź już. Nie przystoi, żeby dziewczka czekała. A! I przekaz jej ode mnie, że się dobrze sprawiła.



# EPILOG

Szelest spostrzegł Niemirę, gdy już biegła ornaczańską granią. Bez śladu zmęczenia, silną jak zazwyczaj i szczęśliwą. Ruszył jej naprzeciw, zagarnął w ramiona. Dopiero teraz, czując jej chłodne ciało przy sobie, odzyskiwał spokój.

Posypały się pytania, nawet takie, na które znali odpowiedzi. Zapewnienia – proste i oczywiste, ale tak potrzebne, by odzyskać grunt pod nogami – że będzie dobrze, że już po wszystkim, że są cali, że ci, których kochają, żyją... I wiele, wiele więcej. Niemira tuliła się gwałtownie do leszego, szukała tego oszałamiającego uczucia, które pozwoliłoby oderwać się od rzeczywistości. Tonęła w zapachu i czułym dotyku.

Usiedli wreszcie na porastających zbocze czerwonych trawach, wciąż objęci, ale już spokojniejsi. Niemira zawiesiła wzrok na otulonym miękkim światłem zachodzącego słońca Starorobociańskim Wierchu. Żywogórzec znów drzemał, wtulony mocno w jego zbocze. W jego skalnym ciele na powrót znalazły się jaskinie dla duchów gór. Tylko przeorane dno doliny, zasypane pokruszonymi skałami, zdradzało, że miało tu miejsce coś niesamowitego.

– Trzeba wypędzić owce na hale. Oznaczony tradycją dzień minął i ludzie mówią, że nie ma co zwlekać... A ja nie jestem pewna. Oczekują, że powiem im to samo, a ja nie wiem...

– Nie wiesz? Poczujesz przecież.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Prawda? Też tak mi się zdawało. Czuję, że trzeba jeszcze kilku dni, żeby ślad moru zniknął z Dymnego Wąwozu. Nie możemy przynieść go na hale. Rozdrażnimy Żywogórca.

Szelest przechylił się tak, by spojrzeć Niemirze w oczy.

– Nic ci się nie zdawało. Idąc tu, spotkałem Wiza. Poza tym, że postanowił mnie postraszyć...

Niemira zaśmiała się, czując dreszcz przechodzący leszego.

– Uświadomił mi coś. Nie ma już Matohy ani Kościeja. A Żywogórzec musi słyszeć czyjeś kroki, by nie zapaść w zbyt głęboki sen. Ktoś musi też

przekazać jego rytm ludziom. W czasie redyku... Na Sobótkę. Wigilię... I nie tylko za kilka dni czy miesięcy.

– Chcesz powiedzieć, że tym kimś będę ja?

Położył jej dłoń na policzku.

– Niemira, przecież to czujesz.

Zamilkła na dłuższą chwilę. Próbowała wyobrazić sobie siebie tańczącą na garbatym, skalnym szczycie.

– Ale nie muszę mieszkać w pieczarze jak Matoha czy Kościej? – zażartowała, byle strząsnąć z siebie melancholię, która zakradła się nie wiadomo skąd.

Szelest pozostał poważny.

– Nie. I nigdy nie powinnaś tam schodzić. To miejsce demonów. Tylko.

„Obym nigdy nie musiała” – odpowiedziała w myślach i drgnęła niespokojnie. Zmusiła się do uśmiechu.

– Znów gdzieś pomiędzy... – Pogłaskała wzrokiem garb Żywogórca. – Ale chyba to kocham. – Westchnęła. – Chyba tak. Dobrze! Więc wyznaczyć redyk i... Ach, tym razem nie pójdę za kierdlem...

– Nie. Ale też nie będziesz sama. Ani w dniu redyku... Ani... w sobótkową noc.

Serce zabiło jej gwałtowniej, ciepło rozlało się w ciele. Przytuliła się mocniej do Szelesta. Wcześniej w żadnym z tych światów nie miała do końca swojego miejsca. Teraz, choć pozornie wciąż rozdarta, w obu czuła się jak gaździna na swoim obejściu.

Taniec Gór Żywych

Copyright © Adrianna Filimonowicz

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art Madmortigan / Midjourney

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2022 r.

książka ISBN 978-83-7995-624-1

ebook ISBN 978-83-7995-586-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Bożena Walewska

Korekta: Monika Kociuba

Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Skład i typografia: [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-432 Bydgoszcz

[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)

[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)

[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)